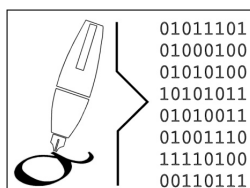


Orson Scott Card

Zadomowienie

Przełożyła: Maciejka Mazan

rok wydania oryginału: 1998



*Mike'owi i Mary Bernice
przyjaciółom i współcywilizatorom
barbarzyńskich hord*

Dziękuję:

Mojej żonie Kristine, która współpracowała ze mną przy pracy nad koncepcją powieści; Emily i Geoffreyowi Gardom, Erin i Phillipowi Absherom oraz Peterowi Johnsonowi, których uwagi na najwcześniejszym etapie pisania nadały pierwszemu szkicowi powieści pełniejszy kształt i treść.

Clarkowi i Kathy Kiddom za gościnność i coś więcej, kiedy zacząłem pisać drugą wersję książki; i jeszcze raz Kathy za przeczytanie tejże wersji świeżym okiem.

Markowi i Margaret Parkom, w których pokoju gościnnym napisałem i przefaksowałem niejeden rozdział.

Kathleen Bellamy, mojej asystentce, która zawsze czyta ostatnia, dzięki czemu wylapuje błędy, które wszyscy inni przeoczyli.

I (znowu i nieustannie) mojej żonie Kristine i moim dzieciom: Geoffowi, Em, Charlie Benowi i Zinie, które nauczyły mnie, po co jest dom i czym może się stać

Rozdział pierwszy

Nowy dom

Rok 1874

Doktor Calhoun Bellamy zaaranżował wszystko tak, by nie być świadkiem burzenia starego domu Varleya. Nie chciał zapamiętać tych scen. Natomiast pragnął obserwować każdy kolejny etap budowy nowego domu, który zaprojektował dla Renee i ich przyszłych dzieci.

Jego największym marzeniem były studia na wydziale architektury, zwłaszcza odkąd ojciec wysłał go za granicę po wojnie secesyjnej. Marzenie kształtowania przestrzeni wokół ludzi obudziły w nim nie wspaniałe europejskie wielkie budowle, katedry i pałace, pomniki i muzea, lecz wiejskie domy z Toskanii, Prowansji i Anglii. W jego oczach stopiły się w dziwny amalgamat: mozaika willi stworzonych dla wiecznego śródziemnomorskiego lata i wiosny oraz niezdojanych angielskich twierdz, których mieszkańcy czuli się bezpiecznie i przytulnie mimo srogich zim i nieustannego deszczu. Wrócił z głową pełną projektów domów, które zmieniłyby życie Amerykanów — po czym przekonał się, że tutejsi architekci nie są zainteresowani nowymi pomysłami. Nikt nie chciał przyjąć młodego zapaleńca na ucznia. Wreszcie Cal zdecydował się na studia medyczne i poszedł w ślady ojca.

Lecz teraz, kiedy do ślubu został niespełna rok, pozwolił sobie na ostatnie szaleństwo. W porozumieniu z architektem z Richmond zaprojektował dom, który z zewnątrz wyglądał jak konwencjonalna wiktoriańska budowla, ale wewnątrz miał zachować niektóre pomysły, które nawiedziły Cala za granicą. Nic dziwnego, jedynie niekonwencjonalne wykorzystanie przestrzeni, na widok której budziły się marzenia o wirujących parach na balu w wiejskiej posiadłości, łuki przywodzące na myśl otwarte drzwi i korytarze domów na Riwierze, a także wzgórza ponad Florencją... Architekt usiłował go przekonać, że w takim domu nikt nie będzie się czuł dobrze, ale Cal nieodmiennie i radośnie odpychał jego zarzuty. Takiego domu pragnął; architekt miał tylko narysować plan budowli, która przetrwa aż do Wniebowzięcia, jak to skromnie określił Cal.

— A kiedy miałyby to nastąpić? — spytał architekt, jedynie odrobinę sarkastycznie.
— Nie chciałbym marnować pańskich pieniędzy na nadmierne umocnienia.

— Niech będzie niezniszczalny — odparł Cal. — Tak na wszelki wypadek.

Teraz pozostało już tylko usunąć stary dom rodziny kwaków, zbudowany przy ulicy Baker na długo przed uzyskaniem przez Greensborough praw miejskich. Miasto rozrastało się w kierunku zachodnim, a dzielnica, choć niezamożna, była jak najbardziej urzekająca. Właśnie w takim miejscu syn i spadkobierca najznakomitszego lekarza w mieście mógł wybudować domostwo dla swojej narzeczonej. Porośnięty drzewami wąwóz na tyłach działki gwarantował prywatność i piękny widok z okien; wielka powozownia oraz pomieszczenia dla służby oddzielały budynek od sąsiedniej parceli, a zacienione ulice obejmowały go z dwóch pozostałych stron. W rezultacie dom miał być odizolowany od innych, konwencjonalnie przyjemny na zewnątrz, zaskakujący i czarujący wewnątrz.

Dlatego Cal nie był zadowolony, kiedy do jego gabinetu wpadł zdyszany służący i uparł się przekazać mu wiadomość od majstra ekipy wyburzającej stary dom.

— Lepiej, co by pan przyszedł. Oni tam znaleźli coś takiego, co musi pan to zobaczyć.

— Powiedz im, żeby poczekał godzinę. Nie pojmują, że mam tu pacjentów, którzy mnie pilnie potrzebują?

Chłopak zagapił się na niego tępo. Nie było nadziei, że przekaże odpowiedź w zrozumiałym sposób.

— Nieważne. Powiedz im, żeby poczekał, dopóki nie przyjdę.

— Tak, proszę pana — wymamrotał służący i zawrócił biegiem. Bez wątpienia zwolni, kiedy tylko zniknie za rogiem i dalej powlecze się jak żółw. Tak to właśnie jest z tymi ludźmi. Można dać im wolność, ale nie zrobi się z nich dobrych pracowników. Istnieją pewne granice tego, co armia Północy może narzucić podbitemu Południu.

Właściwie tego dnia doktor nie miał pacjentów, więc po paru minutach opuścił gabinet. Szedł pieszo, ponieważ dzień był piękny; spodziewał się, że dogoni służącego, ale najwyraźniej albo go nie docenił, albo chłopak potrafił się dobrze ukrywać.

Nie zdziwił go widok bezczynnie czekających robotników — w końcu płacił im dniówki. Jeśli majster czuł się zawstydzony faktem, że marnują pieniądze pracodawcy, nie zdradził tego w żaden sposób.

— Nikt się tego nie spodziewał — powiedział — więc tylko wy możecie podjąć decyzję.

— Jaką decyzję?

— Lepiej niech łaskawy pan zejdzie ze mną do starej piwnicy, to pokażę.

Wobec rozpaczliwego stanu domu nie było to bezpieczne przedsięwzięcie. Nawet kiedy dotarli do jasno oświetlonego punktu w miejscu, gdzie podłoga na parterze zo-

stała zerwana, i tak bez przerwy obijali sobie głowy lub łydki o jakieś niewidoczne przeszkody. W końcu majster zatrzymał się przy kamiennym murze fundamentu, w którym czerniała niewielka dziura.

— Widzicie, panie?

Cal nie widział absolutnie nic, dopóki majster nie wyjął jeszcze kilku kamieni i nie uniósł latarni. Dopiero wtedy okazało się, że za ścianą ciągnie się tunel łączący piwnicę z... z czym?

— Dokąd prowadzi?

— Posłałem chłopaka, coby przez niego przeszedł. Wylazł w wąwozie. Widzi mi się, co te Varleye przed wojną przeprowadzali tędy czarnuchy.

Cal zacisnął usta.

— Ufam, że nigdy więcej nie wypowiecie tego słowa w mojej obecności.

— Upraszam łaski, chciałem powiedzieć: czarne.

— Nie dziwi mnie, że kwakrzy łamali prawo. Nie sympatyzuję z nimi, lecz cenię ich za odwagę i prawość.

Majster skrzywił się z pogardą.

— Ale lepiej, co się wynieśli na zachód. Dobrze mówię?

— Bez wątpienia — przyznał Cal i uśmiechnął się nieznacznie.

— Więc jak, mamy to zasypać?

Cal zastanowił się przez chwilę. To prawie zabytek, czyż nie? Tunel, przez który przeprowadzano niewolników, nadawał jego domostwu nieco szlachetnej patyny. Amerykańskie budynki rzadko mogą się pochwalić jakąś przeszłością.

— Zostawcie, jak jest. Zbudujemy fundamenty w taki sposób, żeby go zachować. Może zrobię tu piwniczkę na wino.

— Wedle życzenia łaskawego pana.

Cal wracał do gabinetu jak na skrzydłach. Zbuduję nowy dom dla mojej żony, lecz jednocześnie będzie on stary niczym rzymskie katakumby, pomyślał.

Rozdział drugi

Ponowne odkrycie

Rok 1996

Dom Bellamych starzał się wraz z całym College Hill. Dostatni wiek dziewiętnasty wyczarował po obu stronach ulic rzędy wielkich, ekstrawaganckich posiadłości, ale po wybuchu wojny światowej bogacze woleli wznosić swoje siedziby w okolicach klubu w Irving Park, a College Hill zaczęło powoli podupadać. Owdowiałe staruszki nadal mieszkaly w domach, które wybudowali im bogaci mężowie, lecz inne budynki stały opustoszałe; wykupywali je ludzie, którzy urządzali w nich mieszkania do wynajęcia, z kuchniami i łazienkami dobudowanymi gdzie popadło. W miarę rozprzestrzeniania się rozkładu cena czynszu spadała, aż wreszcie na ich wynajęcie mogli sobie pozwolić studenci z uniwersytetu.

To był koniec tej dzielnicy. Początkowo mieszkania wynajmowały młode studentki, a zatem osoby bardziej cywilizowane, lecz bez względu na to, jak doskonałe miały maniery, były jedynie lokatorkami, a domy nie należały do nich. Potem uczelnie stały się koedukacyjne i college dla dziewcząt zmienił się w Uniwersytet Karoliny Północnej w Greensboro. Żeńskie i męskie organizacje studenckie zagarnęły dla siebie najlepsze budynki w pobliżu kampusu. Reszta domów została podzielona na jeszcze mniejsze mieszkanek, w których studenci cisnęli się jak śledzie. Nie troszczyli się o trawniki; właściciele nieruchomości zajmowali się nimi jeszcze mniej.

Wszystko to stało się udziałem domu Bellamych, włącznie z krótkim epizodem we wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy został siedzibą żeńskiej organizacji studenckiej. Na początku lat osiemdziesiątych dzielnica zaczęła się starzeć, a dom Bellamych zmienił właściciela. W 1987 roku ów starszy pan przeniósł się na Florydę i przestał wynajmować pokoje w złudnej nadziei, iż pusty dom szybciej się sprzeda. Budynek szybko uległ zniszczeniu — zaniedbany, o oknach zabitych deskami, ze zdziczałym i zarosniętym chwastami trawnikiem, koszonym zaledwie parę razy do roku. Tablica „Na sprzedaż” stała tak długo, że czerwona farba złuszczyła się do reszty; podczas jakiejś burzy

przewróciła się i nikt jej już nie podniósł. Nikt nie chciał domu, który podczas przerażania na mieszkania do wynajęcia został poważnie zdeformowany. Nikt nie chciał nawet parceli, położonej na rogu ulic i z wężem z tyłu. Wreszcie właściciel zapomniał, że ma taką posiadłość.

Jakby specjalnie po to, by dom wyglądał jeszcze żałośniej, powozownia i kwatery służby prezentowały się całkiem przyzwoicie. Już dawno przerobiono je na pomieszczenia mieszkalne; były stare, lecz zadbane i miały ładnie skoszony trawnik. Kwitły, podczas gdy dom Bellamych powoli ginął.

Aż do pewnego sierpniowego dnia w 1997 roku, kiedy Don Lark przejechał obok niego w nieco sfatygowanym czerwonym fordzie furgonetce, po czym zawrócił, by jeszcze raz się mu przyjrzeć. Zaparkował na ulicy Baker, wysiadł i obszedł dom na piechotę, przyglądając mu się wnikliwie. Znalazł na trawniku tablicę z napisem „Na sprzedaż”, odwrócił ją i odcyfrował nazwę agencji handlu nieruchomościami.

Od czasu postawienia tablicy agencja zmieniła nazwę dwa razy, ale numer telefoniczny pozostał ten sam. Don zatrzymał się przy najbliższej budce i wyjaśnił kobiecie po drugiej stronie linii, że jedyna tablica na terenie posiadłości nosi numer telefonu jej agencji.

— Przykro mi, ale nie zbieramy ofert na ten adres...

— A jeśli oferty same przyjdą?

— Przykro mi, ale nie rozumiem, co...

— Droga pani, nie obchodzi mnie, kto zbiera oferty na kupno tego domu. Macie tam agentów handlu nieruchomościami, tak? A oni potrafią znaleźć właściciela tego domu i poinformować kupca, w tym przypadku mnie, do kogo mam się zwrócić, czy właściciel chce sprzedać posiadłość, a jeśli tak, to za ile. Mówi to pani coś?

— Ta uszczypliwość jest zupełnie niepotrzebna.

— Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś o tej parceli, a to nie ja namalowałem numer na tablicy.

— Proszę poczekać.

Zaczekał. Musiał wrzucić jeszcze jedną monetę i czekał dalej. A potem w słuchawce rozległ się głos innej kobiety.

— Tu Cindy Claybourne. W czym mogę pomóc?

— Pani się zajmuje nieruchomościami?

— Tak mi się wydaje. — Roześmiany głos, miły dla ucha.

— Nazywam się Don Lark i interesuje mnie zrujnowany budynek na rogu Baker i Motley. Na tablicy, która jest stara i dawno temu się przewróciła, znalazłem numer waszej agencji. Recepcjonistka powiedziała, że nie szukacie na niego kupca, przynajmniej nie w tej chwili.

— Hm, to brzmi tajemniczo.

Don przypomniał sobie wielebnego Gardinera, który w czasach jego dzieciństwa odpowiadał na niezliczone pytania: „Hm, sądzę, że to tajemnica”. Uśmiechnął się i powiedział:

— A żeby to wyjaśnić, trzeba wysłańca niebios?

— Nie, raczej Sherlocka Holmesa. Chętnie zajmę się tą sprawą. Czy może mi pan podać swój numer?

— Mógłbym, gdybym go miał.

— Więc telefon do pracy?

— Jak powiedziałem, jestem poważnym klientem, mam pieniądze w banku, bez obaw, tylko tak się złożyło, że nie posiadam telefonu. Będę musiał sam zadzwonić albo przyjść do agencji.

— Tajemnica za tajemnicą — odparła. — Dziś po południu o piątej? U nas?

— U nas czyli gdzie?

Podawała mu adres. Podziękował i odłożył słuchawkę. Potem wsiadł do furgonetki i wrócił do domu Bellamych.

Widział coś innego niż większość ludzi, którzy przyglądali się wymarzonemu domowi Calhouna Bellamy'ego. Zachwaszczone podwórko, łuszcząca się farba, zabite deskami okna, ściany pokryte graffiti — to wszystko było dla niego prawie niedostrzegalne. On widział całkiem niezły dach — w zadziwiająco dobrym stanie, zważywszy na widoczne zaniedbanie budynku. To znaczyło, że wewnątrz nie jest zawilgotniałe. I ani dach, ani ganek nie zapadały się — to oznaczało wytrzymałą strukturę na solidnym fundamencie. Był to mocny dom.

Don jeszcze raz obszedł parcelę, szukając śladów obecności termitów, wyrw w podmurówce oraz miejsca doprowadzenia prądu i wody. Pochylił się do wrzucenia węgla na tyłach domu zdradziła, gdzie kiedyś znajdowała się tu ścieżka; co do staroświeckiego pieca węglowego, Don przyjął, iż nadal znajduje się w piwnicy — kto zdołałby wyrzucić takiego potwora? — ale nie używano go co najmniej od pięćdziesięciu lat. I dobrze. Darujmy sobie westchnienia za kafłowymi piecami. W domu, który Don naprawiał parę lat temu, stał taki jeden. Don zaciekawiał się, naładował do niego węgla i podpalił. Zanim uzyskał jakieś rezultaty, wysmarował się na czarno od stóp do głów, nie wspominając już o zadziwiającej ilości sadzy, która eksplodowała z komina. Jej płatki opadały niczym popioły z Góry Świętej Heleny, a przynajmniej tak mu się to skojarzyło. Nic dziwnego, że ludzie rzucili to w cholerę, kiedy tylko do użytku weszło ogrzewanie gazem lub olejem opałowym. Przy tym draństwie spaliny wydawały się czyste i zdrowe.

Im dłużej przyglądał się domowi, tym bardziej się mu podobał. Stolarka była znakomita, a choć farba całkiem spłowieła, prawie nic nie wymagało uzupełnień. Parę futryn okiennych spaczyło się i odstawało, lecz szyby nadal były całe. Gdzie się podziały łobuzy z kamieniami? Najwyraźniej okna zostały zabite deskami, zanim zjawili się wandy.

Dom wymagał gigantycznej pracy, ale na nią zasługiwał. Ten, kto go zbudował, używał wyłącznie najlepszego budulca, a robotnicy pracowali z miłością. Przywrócenie domu do dawnej świetności pociągnie za sobą całe miesiące wytężonej pracy, ale kiedy dzieło zostanie ukończone, będzie wyglądał oszałamiająco.

Chcę go mieć. Don przyznawał to z największą niechęcią — wiedział, że to oznacza, iż najprawdopodobniej zapłaci zbyt wiele. Ale może po tylu latach zapomnienia właściciel z radością pozbędzie się domu? Może cena będzie przystępna? Wtedy Don mógłby zapłacić gotówką, nie zapożyczając się w banku. Po ostatnim remoncie dostał prawie sto tysięcy dolarów. Jeśli kupi dom za pięćdziesiąt, zostanie mu jeszcze na materiały, ewentualnego współpracownika i na przeżycie przez rok, bo tyle potrwa remont. Koniec z pożyczaniem, koniec z bankami, koniec pieniędzy zżeranych przez odsetki.

I wtedy, jak zawsze gdy zaczynał się zanadto cieszyć, przypominał sobie o oczach, które nie zobaczą tego domu, o stopach, które nie będą chodzić po jego podłogach, o głosie, który nigdy nie rozlegnie się w przestronnych pokojach czy na zewnątrz, w zadbanym ogródku.

Robiło się ciemno. Pojechał do zajazdu przy trasie I-40, zapłacił parę dolców za prysznic, zjadł paskudną kolację i poszedł spać do furgonetki, pomiędzy narzędzia.

Rozdział trzeci

Sprzedawca z motywacją

Zajęło to trochę czasu — zbyt dużo wobec niepewnej perspektywy ubicia interesu — ale Cindy Claybourne zainteresowała się sprawą i postanowiła nie rezygnować. Niby dlaczego wybrała zajęcie, w którym mogła ustalać dogodne godziny pracy, jeśli nie ze względu na możliwość robienia czegoś dla własnej przyjemności, nie dla pieniędzy? Tego ranka nie miała żadnego umówionego spotkania. Akta agencji były do jej dyspozycji. A zatem zaczęła odkrywać historię domu Bellamych.

Najpierw odgrzebała najbardziej współczesne fakty. Właścicielowi zależało na szybkiej sprzedaży podupadającej posiadłości; wszyscy lokatorzy zostali powiadomieni, iż muszą się wynieść do końca lata. Ale nie znalazł żadnych nabywców, nie za tę cenę. Przeniósł się na Florydę. Początkowo dzwonił od czasu do czasu. Jednak zajmująca się domem agentka przeniosła się z mężem do Atlanty; następny agent wyleciał z roboty z powodu totalnej niekompetencji, jego następcą zaś był furia, który tracił zainteresowanie sprawą, jeśli nie została załatwiona od ręki. Cindy znała takie typy, nie przepadała za nimi i wkurzało ją, że wystawiają kiepskie świadectwo innym agentom. Zbierali całą śmietankę, sprzedawali domy, których trudno by było nie sprzedać, a najgorszą robotę zostawiali prawdziwym zawodowcom, takim jak Cindy. W efekcie największe pieniądze zbijali ci najbardziej powierzchowni i bezwzględni. Co za parszywy układ.

A dom Bellamych był klasyczną ofiarą takiego postępowania. Właściciel nie chciał tracić pieniędzy na remonty, ale nie pozwolił też opuścić ceny. Za każdym razem, kiedy wreszcie dawał się przekonać, robił to o wiele za późno, a cena i tak była za wysoka.

Wszystko to miało miejsce przed rokiem 1992, kiedy Cindy zaczęła pracować w agencji. Od tego czasu akta domu leżały nietknięte. Właściciel mógł już nie żyć. A więc... zadzwoniła do niego.

Ku jej zaskoczeniu nie tylko żył, ale w dodatku odebrał telefon.

— Ta ruina? — powiedział z niechęcią starszy pan. — Co roku, kiedy płacę za nią podatki, mam ochotę splunąć.

— Zdaje się, że mamy potencjalnego nabywcę.

— Żartuje pani! To ta chałupa jeszcze się nie zawałiła? Huragan Hugo jej nie wykoń-

czył?

— Ciągłe stoi.

— Ha. Dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i ani centa mniej.

— W osiemdziesiątym dziewiątym obniżył pan cenę do osiemdziesięciu czterech tysięcy.

— Tak?

— I nie było chętnych.

— Wiem o tym! Niech mnie pani nie poucza. To wartościowy dom!

Cindy zignorowała to ostrzeżenie. Ciągnęła dalej z uśmiechem:

— Nieruchomość jest warta tyle, ile ktoś za nią daje. Jeśli nikt nie chce jej kupić, jest warta tyle, ile dochodu da ziemia. Jeśli nic pan nie uprawia i nic nie wydobywa, a nieruchomości nikt nie chce kupić, jest bezwartościowa.

— Uparła się pani mnie obrażać?

— Płaci pan podatki za ten dom od dziesięciu lat, nic pan na nim nie zyskuje i nikt nie odpowiedział na pańską ofertę. Zamierza pan sprzedać ten dom, czy też zabierze go ze sobą do grobu?

Wydawało się, że starszy pan pęknie z wściekłości. Przez jakieś piętnaście sekund Cindy słuchała wrzasków na temat swojej głupoty i grubiaństwa. Potem odłożyła słuchawkę i pociągnęła łyk wody „Polskie Źródło”. Rzuciła okiem na gazetę, włączyła komputer i grała na nim przez dwie minuty, po czym podniosła słuchawkę i nacisnęła przycisk „redial”.

— Odłożyła pani słuchawkę — sapnął starszy pan.

— A, więc rozmawiałam z panem? Wydawało mi się, że trafiłam na kogoś, kto nie chce sprzedać domu. Niby po co taki ktoś miałby rozmawiać z agentem handlu nieruchomościami?

Stary zachichotał złośliwie.

— Sprytna jesteś, co?

— Nie bardzo. Raczej dość obojętna. Nie dostanę prowizji, jeśli pogniewa się pan na mnie i zrezygnuje z moich usług. Ale nie dostanę jej także wtedy, jeśli dom będzie niszczał, ponieważ właściciel ma zupełnie nierealistyczne poglądy na jego wartość.

— Więc ile jest wart według pani?

— Tyle, ile zaproponuje za niego nabywca.

— Zwariowała pani? Mam przyjąć pierwszą ofertę?

— Nie wdawajmy się w dyskusje, kto tu zwariował. Postarajmy się zachować zdrowy rozsądek. Nikt nie pytał o ten dom od wielu lat. Parcela z każdym dniem traci na wartości. Jak mi wiadomo, ewentualny nabywca zamierza zburzyć dom i wybudować na działce nowy.

— Zburzyć taki piękny stary dom? To grzech!

— Nie większy, niż pozwalać mu dogorywać.

— Dobrze, przyznaję. Niech pani obniża cenę, ile się pani podoba. Ale za każdy tysiąc poniżej osiemdziesięciu tysięcy pani prowizja zmaleje o jeden procent.

— Mam lepszy pomysł. Moja prowizja będzie wynosić osiem tysięcy dolarów, bez względu na to, za ile pójdzie dom.

— Co? Zwariowała pani?

— Ciągłe pan o to pyta, ale to nie ja zaczęłam zmieniać zasady. Pójdźmy na kompromis i pozostawmy przy pierwotnych ustaleniach co do mojej prowizji. Co pan na to?

— Dobrze, że jestem dżentelmenem, bo już by pani usłyszała, co ja na to!

— Kiedy dostanie pan czek i nie będzie pan musiał płacić podatków za pusty dom, uzna pan, że jestem cholernie dobrą agentką, której udało się to, czego nie potrafili dokonać inni: uwolniłam pana od tego domu. Może nawet dojdzie pan do wniosku, że główną przeszkodą, jaką musiałam pokonać, był uparty właściciel, który nie ma pojęcia, co się dzieje na rynku handlu nieruchomościami w Greensboro.

— Skąd mam wiedzieć, że nie kupuje pani dla siebie? Skąd mam wiedzieć, że nie zbija pani ceny, żeby mnie oszukać?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Nie robię tego, ponieważ nie zamierzam wysłuchiwać tych obelg.

I znowu odłożyła słuchawkę.

Ryan Bagatti przy sąsiednim biurku wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Chętnie bym zobaczył kasetę edukacyjną, z której nauczyłaś się tej techniki. Sean Penn i Zsa Zsa Gabor w filmie „Jak stać się milionerem, rzucając słuchawką”.

— Nic mu nie zrobiłam.

— Bo ja wiem? Rozmawiałaś z nim tak, że pewnie ma już siniaki.

Nonszalancko potrząsnęła głową.

— Co mnie obchodzą pieniądze i prowizje? Ubóstwo uszlachetnia. Bezrobocie to kapitalistyczna metoda zmuszania ludzi do prac rolniczych.

Telefon na jej biurku zadzwonił; recepcjonistka wymieniła nazwisko rozmówcy. Cindy pokazała Ryanowi język i podniosła słuchawkę.

— Hej — powiedziała.

— Może pani robić wszystko, żeby tylko pozbyć się tego cholernego domu — oznajmił właściciel.

— Prowizja według umowy?

— Bierz wszystko, kobieto, tylko się go pozbadź!

— Zrobię co w mojej mocy, proszę pana.

— I nie udawaj damy, bo nią nie jesteś, moja pani. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

— Teraz już tak, proszę pana. Dziękuję, że mi pan to uświadomił.

— Nie popuścisz, co?

— To moja najbardziej urocza cecha — powiadomiła go. — Tylko trzeba się przyzwyczaić.

— Lepiej, żeby ci się udało.

— Życzę miłego dnia.

Tym razem słuchawka została odłożona łagodnie, a Cindy uśmiechnęła się zwycięsko do Ryana.

— Uszło ci na sucho tylko dlatego, że jesteś kobietą.

— Musiałam tak się zachować tylko dlatego, że jestem kobietą. Gdybym była mężczyzną, wysłuchałby mnie poważnie i nie robiłby takiego przedstawienia.

— Do twarzy ci z feministycznymi hasłami.

— A ty jesteś naprawdę atrakcyjny, kiedy pamiętasz, że masz żonę.

— Moja żona tak nie uważa.

— Więc pewnie ma rację.

Miała jeszcze parę godzin, a dom ją zaintrygował. Dokumenty podawały, że został zbudowany w 1874 roku przez doktora Calhouna Bellamy'ego. Cindy zawsze chętnie informowała przyszłych klientów o historii domu, nawet jeśli liczył sobie zaledwie parę lat. Nabywcy lubią wiedzieć, że dom powstał, powiedzmy, dla kierownika dużej firmy albo że jakieś skromne mieszkanko zbudowano dla zakładów przemysłu tekstylnego jako niedrogie kwatery dla robotników. W ten sposób zyskiwali poczucie łączności ze swoim domem, jego historię mogli opowiedzieć przyjacielom. A co najważniejsze, odnosili wrażenie, że ich dom ma osobowość. Nie wiadomo, czy dlatego właśnie decydowali się na kupno, ale nie zaszkodzi spróbować, prawda?

Więc poszła do odpowiednich urzędów, gdzie przez parę godzin szukała dokumentów i świadectw zawartych transakcji. Dom nie miał wielu właścicieli. Doktor Bellamy mieszkał w nim wraz z żoną aż do roku 1918, kiedy oboje umarli — epidemia grypy? Ich dzieci pozostały tam jeszcze przez dwa lata, w 1920 sprzedały dom za dziewięć tysięcy dolarów. W tamtych czasach była to bardzo dobra cena. Potem dom był „pozabawiony stałych lokatorów”, cokolwiek by to miało oznaczać, a w latach trzydziestych przechodził z rąk do rąk. Kolejni gospodarze dzielili go na coraz mniejsze mieszkanka i wynajmowali coraz uboższym lokatorom.

Nuda. Potencjalny nabywca zainteresuje się najwyżej rodziną Bellamych. A zatem Cindy pomaszerowała na drugą stronę ulicy, do głównej biblioteki i zaczęła przeglądać mikrofilmy gazet z tamtych czasów. Nie miała indeksu, ale wiedziała, na których stronach znajdują się ploteczki towarzyskie. Oczywiście rodzina Bellamych była wspomniana bezustannie. Uwielbiali zabawy. Bale, herbatki tańczące, przyjęcia niemal co tydzień, czasami dwa lub trzy razy w tygodniu. I najwyraźniej zdobycie zaproszenia do Bellamych stanowiło powód do dumy. Nieustanny wir zabaw trwał aż do końca stulecia, po czym ograniczył się do corocznego balu i przyjęcia. No, to już coś — oznajmić

kupującemu, że dom Bellamych był miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej końca dziewiętnastego wieku.

Cindy poczuła, że oczy zaczynają ją szczypać od wpatrywania się w mikrofilmy. Jak zawsze po kolejnym poszukiwawczym maratonie, zbeształa się za tę manię. Jakim cudem ma się utrzymać z tej pracy, skoro nieustannie robi sobie wolne? Klient i tak był chętny, właściciel dał jej wolną rękę w ustaleniu ceny — dlaczego musi jeszcze grzebać w starych dokumentach, skoro umowę ma już niemal w kieszeni?

Ponieważ kochała domy. Kochała domy i ludzi, którzy w nich mieszkali. Domy są jak pień drzewa, tak uważała, a ludzie to liście, które z nich wyrastają. Potem starzeją się i opadają, okolica marnieje, ale pień pozostaje, dając początek nowemu pokoleniu liści.

Oczywiście nigdy o tym nikomu nie mówiła, ponieważ ludzie albo patrzyli na nią jak na wariatkę, albo żartowali z niej, tak jak Ryan. I mieli rację. Jednak nie zamierzała zmieniać poglądów i nawyków. Gdyby nie mogła wносить twórczego wkładu do sprzedaży domów, równie dobrze mogłaby się wycofać.

Don Lark spóźnił się na spotkanie o pięć minut. Cindy od razu się domyśliła, że to właśnie musi być ten facet, który dzwonił z automatu — i nie tylko ze względu na jego robocze ubranie i potargane włosy. Wszedł, rozejrzał się i nie odpowiedział na pytanie recepcjonistki. Nie zdradził najmniejszym gestem, że ją usłyszał, przynajmniej przez parę pierwszych chwil. Dopiero kiedy zauważył Cindy, która patrzyła na niego zza swego biurka, odwrócił się do Leah i coś powiedział. Leah wskazała malowanym paznokciem, mężczyzna kiwnął głową, a Cindy pomyślała: Jemu nie zależy na robieniu dobrego wrażenia. Nie ma ochoty się przymilać. Najpierw ocenia sytuację, a potem znajduje najmniej skomplikowaną drogę do celu.

Nigdy nie odkryła, jak powinno się traktować takich ludzi. Przymilacze chcieli, żeby okazywała, jak wielkie zrobili na niej wrażenie — trzeba było przyjmować ich wybór z ochami i achami. Z kolei twardziel zignorowałyby Leah i podszedł prosto do biurka Cindy. Wobec twardzieli stosowała strategię polegającą na sprzeciwie — mówiła im, dlaczego dom, który chciała im sprzedać, nie leży w zasięgu ich możliwości finansowych albo że wymaga mnóstwa dodatkowych wydatków. Nie uważała tego za hipokryzję. Klienci odsłaniali się emocjonalnie, a ona zaspokajała ich głód. Gdyby miała kiedyś nakręcić własną kasetę dla agentów handlu nieruchomościami, właśnie takiego sformułowania by użyła. Zaspokoić głód.

Ale ten człowiek należał do owego rzadkiego typu, który wie, czego chce, ale na niczym nie zależy mu tak bardzo, by żądać, błagać lub dążyć po trupach. Co znaczyło, że mogła jedynie pokazać mu dom, odpowiedzieć na pytania i ewentualnie pomóc zawrzeć umowę. Żadnych strategii. Zamiast zwracać się do jego wewnętrznego dziecka, od razu mogła mówić do wewnętrznego dorosłego. Tacy klienci rzadko się zdarzają, ale zawsze cieszyła się na ich widok.

Dlatego wstała z prawdziwie szczerym uśmiechem, wyciągnęła rękę i przedstawiła się stojącemu przed nią mężczyźnie.

— Don Lark — odpowiedział. Uścisk jego dłoni był mocny, lecz krótki. — Ten dom na Baker.

— Pański samochód czy mój? — spytała.

— Każdy swoim.

Zerknęła na Ryana, który kręcił głową i przewracał oczami. Miał teorię, że klient, który nie chce jechać ze sprzedawcą, nigdy nie dobija targu. Natomiast jej teoria zakładała, że klient musi później gdzieś jechać i nie chce mu się wracać do siedziby agencji.

— Dobrze — powiedziała Cindy. — Tylko muszę pana ostrzec. Znalazłam klucz, który powinien pasować, ale sprawa była nieaktualna tak długo, że nie wiem, czy w ogóle otworzę nim drzwi.

Don skinął głową.

— A jeśli nie pasuje, to co?

— Chyba poszukam ślusarza.

— Chodźmy.

Była całkiem pewna, że jeśli klucz nie będzie pasować, Don otworzy drzwi bez pomocy ślusarza. W tej chwili tego nie powiedział, bo doprowadziłoby to do zbędnej dyskusji. Założył z góry, że sprzeciwiłaby się i wywlokła kwestię przepisów i niszczenia własności klienta. Cóż, ona także potrafi być cierpliwa; poczeka, aż Don sam się zorientuje, że kiedy nadarza się okazja, ona nie przeżywa biurokratycznych lęków.

Wsiadając do sable'a — ostentacyjnie skromnego pomiędzy BMW i lexusami — zauważyła, że choć furgonetka Dona robiła wrażenie samochodu robotnika, jej silnik pracował niemal bezszelestnie. Więc jednak nie pomyliła się w ocenie. Don nie dbał o wygląd swoich narzędzi, ale starał się, żeby funkcjonowały bez zarzutu. Dopiero wtedy zaświtała jej ta myśl: Nie może być żonaty, skoro nie ma telefonu.

Rozdział czwarty

Inspekcja

Cindy minęła dom Bellamych w drodze z biblioteki, ale nie miała czasu, żeby się przy nim zatrzymać. Teraz ujrzała go oczami Dona Larka. On nie zauważał zaniedbanego podwórka. Łuszcząca się farba zabitych okien i kulfoniaste graffiti na ścianach nic dla niego nie znaczyły. Poza tym dom właściwie robił całkiem korzystne wrażenie. Nic się nie waliło. Stolarka była w niezłym stanie. Dach wyglądał na stary, ale solidny. Don Lark miał doświadczenie, które pozwoliło mu ujrzeć dobry dom pod nieefektywnymi pozorami. Takiemu mężczyźnie rozwiedziona kobieta w średnim wieku mogłaby pokazać się nago.

Nie myśl tak, upomniała się surowo.

Kiedy wysiadła, Don już z kimś rozmawiał.

— Cindy Claybourne, Jay Placer. Jay jest inżynierem, sprawdza dla mnie domy.

Cindy uśmiechnęła się i uściśnęła Jayowi dłoń. Był nieco młodszy od Dona, a jego miękkie ręce i ciało zdradzały, że pracuje przy biurku i nie robi niczego dla poprawy kondycji. To się Cindy podobało — według niej istniała zdecydowana różnica między mężczyznami, którzy są twardzi, ponieważ wykonują ciężkie zawody, a mężczyznami, którzy są twardzi, ponieważ mają dość pieniędzy, żeby spędzać wiele godzin na kosztownych męskich sportach. Jej ojciec był strażakiem, a w wolnym czasie zajmował się tapetowaniem ścian. Szanowała mężczyzn takich jak Don, którego stwardniałe dłonie były świadectwem ciężkiej pracy. Szanowała także mężczyzn takich jak Jay, którego miękkie ciało także było świadectwem ciężkiej pracy innego rodzaju. Szanowała — lecz niestety, ten typ jej nie pociągał. Dlatego podszyte tragedią kreskówki o Dilbercie nigdy jej naprawdę nie śmieszyły. Zawsze miała ochotę krzyknąć do niego: Zjeżdżaj z tego biura i zabierz się do prawdziwej roboty!

Podeszła do drzwi frontowych. Skrytka na klucz nie była zanadto zardzewiała — niespodzianka, zważywszy na tyle lat i rozmaite warunki, od ulewnego deszczu po ekstremalnie parne dni. Klucz wszedł do zamka i przekręcił się gładko.

— No — odezwała się. — Sukces.

W skrytce wisiał następny klucz; wzięła go i przekonała się, że nie pasuje do ciężkiej

kłódki przy drzwiach. Zawahała się, zbита z tropu.

Don wyciągnął rękę. Oddała mu klucz. Pochylił się i włożył go do zamka. Pasował; drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Niestety, kłódka ani drgnęła.

— Nie mogę uwierzyć. Dali klucz do drzwi, a nie do kłódki.

— Najwyraźniej kłódkę dołożyli później — odezwał się Jay. — Pewnie właściciel chciał chronić dom przed włóczęgami i wandalami.

Don już szedł do furgonetki. Wrócił z groźnym łomem, który włożył pod skobel. Szarpnął raz i jeden koniec żelaznego zabezpieczenia wysunął się z drewna. Wcisnął łom głębiej i jednym ruchem wyłamał skobel razem z odpryskami drewna.

— Tyle na temat ślusarza — powiedziała Cindy.

— Naprawię to, nawet jeśli nie kupię domu — obiecał Don. — Kiepskie zabezpieczenie.

Popchnął drzwi, które stanęły przed nim otworem.

— Tak samo postępujesz z kobietami? — spytał Jay. — Pokazujesz im łom i zaraz się otwierają?

Więc Jay był jednym z tych mężczyzn, którzy muszą robić paskudne uwagi w obecności kobiet. Przegrałeś, Dilbert, pomyślała Cindy. Dowcip nie zrobił na niej wielkiego wrażenia, ale jeśli w dobie politycznej poprawności mężczyzna mówi coś takiego w obecności kobiety, to albo chce ją obrazić, albo do tego stopnia nie zdaje sobie sprawy ze zmian kulturowych, że trzeba mu przebadać mózg.

Hali był obskurny; drzwi z boku prowadziły do dwóch mieszkań na parterze. W głębi wznosiła się obszerna klatka schodowa, przerażająco stroma. Wykładzina dywanowa była dziurawa.

Jay zaczął obracać się wokół własnej osi, oceniając rozkład domu. Poklepał ścianę po prawej stronie schodów.

— Drzwi znajdują się z boku, więc to powinna być ściana nośna, ponieważ znajduje się blisko środka domu. Ta została dodana, żeby utworzyć drugie mieszkanie, pewnie w latach trzydziestych, sądząc po dźwigarze nad drzwiami.

— Schody oryginalne? — spytał Don.

— Na pewno. — Jay wskoczył z rozmachem na pierwszy schodek, drugi, trzeci, za każdym razem lądując całym ciężarem. — Nie ma co, żaden skąpy właściciel nie zbudowałby schodów tak szerokich i solidnych. Nadal twarde jak skała! Ten ktoś znał się na swoim fachu.

— Doktor Bellamy był architektem amatorem — wtrąciła Cindy.

— Kto? — odwrócił się Jay.

— Calhoun Bellamy, człowiek, który zbudował ten dom. Sam go zaprojektował dla swojej narzeczonej. Ukończył go w 1874 roku, w samą porę, by przenieść ją przez próg. Pewnie nie spuszczał oka z robotników.

— Jeśli to było potrzebne — dodał Jay. — Ludzie traktowali wtedy pracę honorowo. Nie trzeba ich było pilnować, czy nie oszukują. Wstydziłoby się oddać schody, które skrzypią albo się chwieją.

— Ale to kosztowało — zauważył Don. — Jak sądzisz, trzy czy cztery wozy?

— Stawiam na cztery. Albo trzy bardzo duże. Gdybyśmy teraz chcieli zbudować tak masywne schody, klient oskarżyłby nas o działanie na jego szkodę przez zbędne wykorzystywanie drogich materiałów. A jak dajemy tanie, to narzekają, że schody się uginają. Nikt im nie dogodzi.

Drzwi do mieszkań nie były zamknięte, a wnętrza przedstawiały się dokładnie zgodnie z oczekiwaniami Cindy. Stare tandetne meble, zniszczone przez włóczęgów lub zwierzęta — co tłumaczyło zainstalowanie kłódki na drzwiach. Na ścianach jaśniejsze prostokąty po obrazach lub plakatach. Farbę nałożono niechlujnie na tapetę, która kryła pod sobą jeszcze starszą tapetę, a wszystko razem tworzyło brzydkie zgrubienia i bliźny pod brzydką farbą.

— Czy tutaj mieszkał niewidomy? — rzuciła Cindy.

— Ściany pierwotnie nie były pomalowane na ten kolor — powiedział Don. — To tandeta, płowieje tak szybko, że trzeba kończyć malowanie tego samego dnia, bo widać wyraźną różnicę.

— Więc jaki to był kolor?

— Jeszcze brzydszy — odezwał się Jay. — Założyłbym się, że malowano w latach siedemdziesiątych. Mamy szczęście, że właściciel poskąpił pieniędzy na wykładzinę, inaczej patrzylibyśmy teraz na zielone lub pomarańczowe kudłate strzępy.

— Co tu tak czuć, pleśń czy padlinę? — mruknęła Cindy.

— To tylko zapach wybujałego złego gustu — odpowiedział Jay.

Więc może nie był męską szowinistyczną świnią. Może po prostu lubił żartować.

Znajdowali się w północnym mieszkaniu, które Jay uznał za oryginalny salon; pokój po przeciwnej stronie mógł stanowić gabinet, bibliotekę lub nawet sypialnię, jeśli w domu mieszkała teściowa, bratanek czy ktoś taki. Don wszedł do ciemnego, ciasnego korytarza. Prowadził do małych i wąskich sypialni.

— Oczywiście to zostało przerobione — powiedział Jay. — Tu musiała być jadalnia. I to wspaniała! Cztery okna, co najmniej!

Na tyłach mieszkania znaleźli wielką staroświecką kuchnię z masywnym stołem pośrodku. W jej kącie wbudowano łazienkę, a za nią znajdowały się schody do piwnicy. Don i Jay natychmiast ruszyli w dół.

— Nie chce pan spojrzeć na pomieszczenia kuchenne? — zawołała za nim Cindy.

— I tak są tandetne — odparł Don. — Z czasem zbuduję ładniejsze.

Ach, tak. To był głos człowieka, który podjął decyzję. Cindy powstrzymała się od komentarza i poszła za nimi do ciemnej piwnicy.

Oczywiście zarówno Jay, jak i Don mieli przy sobie malutkie latarki. Pewnie mają w kieszeniach wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy. Dziadek Cindy był taki sam; jego kieszenie wydawały się czymś w rodzaju skrzyni ze skarbami. Obaj mężczyźni skierowali światło latarek na nie wykończony sufit. To tutaj dom zdradzał swoje tajemnice.

Jay oderwał nieco izolacji ze starych przewodów.

— Nie puszczaj tędy prądu, ani przez chwilę.

— Nie musisz mi tego powtarzać — powiedział Don.

— Cud, że jeszcze tu nie było pożaru. — Jay spojrzał na Cindy. — Kiedy lokatorzy się stąd wynieśli?

— Ostatni wyprowadził się na wiosnę osiemdziesiątego szóstego. Były to studentki, więc rzeczywiście to cud, że nic się nie spaliło. Suszarki, elektryczne lokówki...

Znaleźli bezpieczniki. Jay parsknął cichym śmiechem i natychmiast zamknął drzwi skrzynki.

— Daj to do muzeum — mruknął. — Muzeum zabawek.

Ale rury kanalizacyjne znajdowały się w zaskakująco dobrym stanie. Jay i Don zaczęli się rozwodzić nad złotą erą hydrauliki, kiedy używano rur z kutego żelaza i miedzi, a robotnicy znali swój fach. Jedynie rury prowadzące do paru dobudowanych łazienek były z galwanizowanej stali. Jay oświetlił cienkim promieniem latarki wielką plamę rdzy na jednej z nich.

— Nie dotykajcie. Tylko rdza to trzyma. — Westchnął. — Lepiej sprawdźmy, dokąd prowadzą te rury.

— Właściwie to nieważne. Większość łazienek dodano, kiedy dom został podzielony na mieszkania, więc i tak będę musiał wszystko przebudować.

— Czy urządzenia kanalizacyjne nie są przynajmniej w części oryginalne? — odezwała się Cindy.

Spojrzeli na nią jak na wariatkę.

— Ten dom zbudowano w 1874 roku — powiedział Don. — Oryginalnym urządzeniem kanalizacyjnym była wygodka na podwórzu.

— A miedziane rury zaczęto instalować dopiero w latach trzydziestych — dodał Jay.

— Aha. — Zupełnie jakby oblała egzamin. Albo jeszcze gorzej, jakby właśnie go zdała.

Na górze przy słabnącym świetle wpadającym przez okna smutek i zaniedbanie opuszczonego domu stały się jeszcze bardziej widoczne.

— Kiedyś tu było pięknie — odezwała się Cindy. — Spójrzcie na te listwy okapowe, na te gzymsy...

— Nawet listwy do wieszania obrazów — uzupełnił Jay. — Ktoś dbał o ten dom. Ale teraz potrzebny jest kapitalny remont.

Szli od łazienki do łazienki, sprawdzając czy nie ma przecieków i pęknięć. Wkrótce znaleźli się w głównej łazience.

— No, toaleta jest do niczego — zawyrokował Don. — Ale działa prysznic i nawet ma zasłonkę. Nie do wiary.

— Jedyna zdatna do użytku toaleta jest na parterze — poinformował go Jay. — A dwie pozostałe łazienki mają te niby nierdzewne rury, więc pewnie będziesz musiał brać prysznic tutaj, a z toalety korzystać na dole.

— Bardzo wygodne — mruknął Don.

— Chce pan tu mieszkać? — upewniła się Cindy.

— Tak zwykle robi — powiedział Jay. — Mieszka w domu, który remontuje.

— Chce pan się wprowadzić przed skończeniem remontu?

— W ten sposób oszczędzę na czynszu — wyjaśnił Don. — Jeśli w ogóle się zdecyduję.

— Oczywiście.

Ale wiedziała, że się zdecyduje.

— Pora na test kwasowy — zarządził Jay. — Na strych!

Jeśli można to było nazwać strychem. Owszem, znaleźli tam także rupieciarnię z nie otynkowanymi ścianami, ale wszystkie inne pomieszczenia były wykończone; miały interesująco pochyłe stropy i wielkie okna, przez które lały się strumienie światła. Jay i Don obejrzeni sufit centymetr po centymetrze, wypatrując zacieków.

— Nie wierzę — powtarzał Jay. — Ten dom stał pusty przez dziesięć lat, a dach nigdzie nie przecieka.

— Ale i tak muszę go wymienić — dodał Don. — Nikt nie zechce kupić domu, jeśli nie powiem, że dach jest nowy.

Znowu wzmianka o późniejszej sprzedaży domu. Więc dlaczego czuła ten niepokój? Nie chodziło o transakcję. Chodziło o Dona Larka. On coś w sobie miał. I nie tylko dlatego że był w jej typie. Jej typ zwykle okazywał się ochlapusem, który żłapie piwo litrami i co parę chwil lata do wychodka. Właściwie nie podobali się jej mężczyźni w jej typie. Nie znajdowała także nic romantycznego w facecie, który nie ma telefonu, a pomiędzy zleceniami mieszka w furgonetce. Dlatego tak bardzo dziwiło ją, że nie może odebrać od niego oczu.

W graciarni Don spojrział na odsłonięte poprzeczne belki i gwizdnął.

— Człowieku, kiedyś to się budowało! To dopiero solidny dom.

Cindy usiłowała dojrzeć w belkach cokolwiek niezwykłego.

— Mówi pan tak dlatego, że są grubsze niż zwykle? — I gęściej rozmieszczone.

— Więc wszystko jest mocniejsze? — dopowiedziała.

— Mocniejsze, ale cięższe — wyjaśnił Don. — Ten dach jest bardzo masywny. Podłogi na strychu też muszą być wyjątkowo grube. Ściany nośne na piętrze i słupy podpie-

rające belki stropowe w piwnicy są obciążone do granic wytrzymałości.

— To jakby obwód zamknięty — dodał Jay. — Im bardziej wytrzymały jest dom, tym bardziej musi być wytrzymały. Jak wzmocnisz na górze, musisz zaraz wzmocnić wszystko na dole. Po jakimś czasie grunt nie może tego wszystkiego unieść.

— Naprawdę?

Don potrząsnął głową.

— Teraz mówimy już o wysokościowcach. Dla takiego gruntu jak tutaj nie znajdziesz zbyt ciężkiego domu.

— Mówi tak, bo nie jest inżynierem — sprzeciwił się Jay. — Mógłbym opowiedzieć na ten temat to i owo.

— Mógłby, ale raczej mu nie pozwólmy — powiedział Don. — Chyba że ma pani problemy z zaśnięciem.

Jay zrobił nieudolny grymas a la Groucho Marx.

— Lubię myśleć, że to ja sprawiam największe kłopoty przy zaśnięciu.

Roześmiał się lubieżnie.

Cindy potknęła o jakąś skrzynię. Pewnie pustą, bo przesunęła się z łatwością, wzniecając chmury kurzu. Cindy zaczęła kichać.

— Nic się pani nie stało?

— Sto lat! Sto lat! Sto lat! — powtarzał Jay przy każdym kichnięciu. Nie znosiła tego głupiego zwyczaju.

— Przepraszam, muszę zejść — wykrztusiła.

Po pierwszym kroku zorientowała się, że przy potknięciu skręciła sobie nogę w kostce. Skrzywiła się i podskoczyła.

— Coś się jednak stało — zauważył Don.

— Nie, to tylko drobna kontuzja, zaraz się rozchodzi.

— Pomogę pani.

Kobiety, które flirtowały z mężczyznami, tuląc się do nich pod byle pozorem, budziły w niej taką pogardę, że teraz, choć bardzo potrzebowała pomocy przy zejściu — zwłaszcza jego pomocy — odruchowo się cofnęła.

— Nie, naprawdę... skończcie tutaj, a ja zaczekam na dole. Nic mi nie jest.

Dał się przekonać, niech to diabli. Ale właściwie mówiła prawdę — zanim dotarła do ganku, noga była już w znakomitym stanie. Ani śladu bólu. Ani śladu Dona. Pod tymi rękawami pewnie kryją się mięśnie jak z żelaza. Mógłby ją podrzucić w powietrze jak dziecko.

Po chwili obaj zeszli na dół. Don nie marnował czasu. Spytał, czy noga boli, ale kiedy Cindy zaprzeczyła, natychmiast przeszedł do rzeczy.

— Jeśli cena jest odpowiednia, dom nada się do remontu. Jest solidny, lecz muszę go rozebrać niemal do fundamentów i zacząć od nowa. Więc nie mogę zapłacić za niego

zbyt wiele.

— Jeśli chce się pan zastanowić i oszacować... — zaczęła.

— Nie chcę się zastanawiać — przerwał. — Już obszedłem dom z zewnątrz, policzyłem kondygnacje i zrobiłem wstępne pomiary. Zanim do pani zadzwoniłem. Cena nie może przekroczyć pięćdziesięciu tysięcy.

Uniosła brew.

— Mam to uznać za ofertę?

— Nie będę się targować.

— To prawda — poświadczył Jay. — On nie gra nawet w pokera, bo nie potrafi bluffować. Nie licytuje, dopóki nie ma pewniaka.

— Ja nie grywani w pokera, tylko sprzedaję domy.

— Mówię, że zapłacę do pięćdziesięciu tysięcy i to wszystko. Nie chcę, żeby pani proponowała siedemdziesiąt pięć i żebyśmy w końcu zgodzili się na sześćdziesiąt dwa.

— Wiem. Mówi pan, że zapłaci do pięćdziesięciu, bo jeśli cena będzie wynosić więcej, nie kupi pan domu.

— Jeśli cena okaże się wyższa, będę musiał pożyczyć część pieniędzy z banku i przez cały czas pracy nad domem płacić odsetki. A remont potrwa niemal rok. Jeszcze nie pracowałem nad takim wielkim domem. Nie mogę sobie pozwolić na kredyt. Gotówka albo nic.

— Ma pan pięćdziesiąt tysięcy gotówką?

— Mam do pięćdziesięciu tysięcy.

— Ktoś tu popełnia błąd — odezwał się Jay.

Cindy spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— To znaczy, że dom nie jest dobry?

— Jest bardzo dobry. Tylko nie wydaje mi się, żeby Donowi opłacała się ta inwestycja. Nie w tej okolicy, nie w tym roku.

— Jeśli wyłoży poniżej pięćdziesięciu tysięcy...

— Ale w remont włoży dwa razy więcej. Plus rok pracy znakomitego cieśli. To będzie jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. A zakładam się, że żaden dom w tej okolicy nie poszedł za więcej niż sto.

Cindy uśmiechnęła się drapieżnie. Jay wtargnął na jej teren i zamierzała odrobinę się zabawić.

— Tak naprawdę wszystko w tej okolicy sprzedaje się w przedziale od stu dziesięciu do stu dwudziestu. A ceny są tak niskie z powodu tego domu. Obniża wartość całej dzielnicy. Poza tym ten dom jest wyjątkowy. Proszę się rozejrzeć. Budynek naprzeciwko był powozownią, która kiedyś należała do tej posiadłości, na miłość boską, a to drugi najlepszy dom na tej ulicy. Więc kiedy ten dom wejdzie na rynek, będzie można za niego wziąć przynajmniej o trzydzieści tysięcy więcej niż za inne. Jeśli znajdzie się od-

powiedniego kupca.

— I tutaj zaczyna się pani rola — dokończył Jay z uśmiechem. Ten cynizm doprowadził ją do furii.

— Właśnie, tu zaczyna się moja rola. Bo jestem w swoim zawodzie tym, kim pan jest w swoim, pominawszy fakt, iż nie robię paskudnych uwag pod adresem płci odmiennej. Więc kiedy nadejdzie pora, żeby sprzedać ten dom, nie zaproponuję go komuś, kto szuka okazji. Znajdę kogoś, kto chce posiadać klejnot i zapłaci za niego godziwą cenę. A jeśli pan Lark jest naprawdę taki dobry, założę się już teraz, że sprzedam ten dom za dwieście tysięcy dolarów.

— Zakładamy się?

— Przestańcie — przerwał Don. — Nie korzystam z pomocy agentów. Nie stać mnie na prowizję.

— Jeśli nie wynegocjuję takiej ceny, nie przyjmę prowizji.

— To by było nie w porządku. Pani praca jest warta zapłaty. Więc nie pozwolę pani pracować za darmo.

— Chętnie się założę — nie ustąpiła. — Jesteście mężczyznami czy nie?

— Przyjmuję — powiedział Jay.

— Nic pan nie postawił.

— Stawiam moją reputację znawcy nieruchomości.

— Nie ma pan żadnej reputacji, bo słyszałam o panu.

Don parsknął śmiechem. Właściwie brzmiało to jak warknięcie, kilka warknięć. Niemal ostrzeżenie. Rozbawiłaś mnie, ale nie zbliżaj się, bo ciągle mogę cię ugryźć. Ten śmiech spodobał się Cindy. A przynajmniej jej hormonom. Zdała sobie sprawę, zła na siebie, że gdyby teraz Don zdjął buty, pewnie podnieciłaby się odorem jego skarpetek. Weź się w garść, dziewczyno.

— Nie przyjmę tego zakładu — oznajmił. — Nie zakładam się. Za to pomyślę, czy nie nawiążemy współpracy. Ale dopiero kiedy dom będzie już skończony. Nie można kupować kota w worku.

— Ona nic nie kupuje — warknęła Jay. — Agenci biorą domy na konsygnację.

— Na zlecenie. Jeśli nie widzi pan różnicy...

— Nie kłóćmy się. Uznajmy, że się nie lubimy, ale kochamy Dona, więc pogódźmy się dla jego dobra.

Co to miało znaczyć? Natychmiast schowała się za maską profesjonalnego spokoju.

— Powiem mojemu klientowi, że proponuje pan czterdzieści sześć tysięcy pięćset. Może nie lubi pan się targować, ale on tak. Kiedy dojdziemy do czterdziestu dziewięciu, wezwę pana na podpisanie dokumentów.

— I to się uda? — spytał Don, jakby zaskoczony.

— Na pewno — zapewniła go. Potem uśmiechnęła się szeroko do Jaya, tak sarka-

stycznie, żeby poszło mu w pięty.

Zignorował ją i odwrócił się do Dona.

— To twoje pieniądze i twoje życie. Jeśli to jest życie.

— Nie jest. Ale tylko takie mam. — Don znowu zwrócił się do Cindy. — Kiedy mam zadzwonić?

— Jutro o piątej. Wtedy umówimy się na zamknięcie transakcji.

— Na pewno? Od tego zależy, jak naprawię drzwi.

— Drzwi? — Dopiero po chwili przypomniała sobie, że włamali się do domu.

— Chciałem założyć nowy skobel, ale przytwierdzony tak, żeby nie można go było wyłamać. A jeśli kupię ten dom, zamontuję nowe futryny i drzwi.

— Proszę je zamontować

— A co będzie, jeśli właściciel się nie zgodzi? — spytał Jay.

— Jeśli się nie zgodzi, pokryję wszystkie wydatki.

— Dziękuję za pomoc, Cindy — powiedział Don. — Zdaje się, że sprawdziłaś historię domu.

Zauważył!

— Owszem.

— Może kiedyś opowiesz mi coś o doktorze... Jak mu tam...

— Doktor Calhoun Bellamy. — Nie mogła nic na to poradzić, ale nagle zeszytniała. Nie znosiła takiego rozkazującego tonu.

— Nie chcę odrestaurować tego domu, tylko go wyremontować. Nie chcę cofać go do pierwotnego stanu.

— Wcale się tego nie spodziewałam.

— Chcę go doprowadzić do takiego stanu, żeby na nim zarobić. Ale skoro to rozumiesz, chętnie wysłuchani, co o nim wiesz.

— Proszę bardzo.

Don uniósł palce do czoła, jakby chciał dotknąć runda nie istniejącego kapelusza. Potem odszedł szybkim krokiem do furgonetki i odjechał.

Zdała sobie sprawę, wściekła, że zostawił ją samą z Jayem. Ale w końcu co ten typ mógłby jej zrobić? Poza tym zna Dona. Może odpowiedzieć na parę pytań.

— Ile domów ma na koncie? — spytała.

Wzruszył ramionami.

— Załatwia jeden w cztery miesiące od... nie pamiętam w tej chwili... od śmierci żony, w każdym razie. Dwa i pół roku?

— Cztery miesiące... Szybko pracuje.

— Tamte domy były mniejsze.

Dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedział.

— Naprawdę stracił żonę? Wzruszył ramionami.

— Powinienem powiedzieć „byłą żonę”. Robiła mu brzydkie numery w sądzie o opiekę nad córeczką. Utrzymywała, że Nellie — tak nazywała się mała — nie jest jego dzieckiem. On twierdził, że żona jest zapijaczoną narkomanką.

— Nieprzyjemna sprawa.

— Aha, ale to on miał rację. Dziecko na pewno było jego. A ta kobieta miała w sobie pięć różnych rodzajów narkotyków, kiedy uderzyła samochodem we wspornik mostu. Dziewczynka... miała wtedy prawie dwa latka... siedziała w specjalnym foteliku.

— Ale to nie pomogło?

— Może by i pomogło, gdyby fotelik był przypięty. W końcu nie można się spodziewać, że matka pomyśli o wszystkim.

— Mój Boże! Pewnie oszalał z rozpaczy.

— Raczej z wściekłości. Najpierw myśleliśmy, że się zabije. Potem baliśmy się, że pozabija sędziów, prawników i kuratorów, którzy uznali, że dziecko musi być z matką, i nie zamierzali oceniać stylu życia obu rodziców, skoro narkomania matki nie została udowodniona.

— Dziecko potrzebuje matki — powiedziała cicho.

— Potrzebuje obojga rodziców. Niech pani nie zaczyna.

— A jeśli chcę skończyć?

Spojrzał na nią, nieco zbity z tropu.

— To pani spytała o Dona.

Znowu spojrzała na dom.

— Remontuje domy, bo szuka samotności?

— O, chciał zostać sam. Niektórzy z nas uczepili się go tak mocno, że wreszcie poprosił, byśmy go zostawili, i obiecał, że nikogo nie zabije, nawet siebie, jeśli tylko damy mu trochę spokoju.

— Ma dobrych przyjaciół.

— Tak, ale przyjaciele nie zastąpią dziecka. No a Don spłukał się do suchej nitki, walcząc o Nellie. Ledwie mu zostało na pogrzeb. Stracił firmę. Więc zapożyczył się, żeby kupić zrujnowany dom, małe ranczo, w gorszym stanie niż ta jego furgonetka. Ale on ma złote ręce, więc... proszę, teraz nie ma długów, za to ma gotówkę w banku i ten dom, który wyremontuje.

— I topi żal i samotność przy remontach pięknych starych domów.

— Tamte nie były wcale piękne. To nie jest aż takie romantyczne.

— Nie romantyczne, ale może trochę... heroiczne. Nie sądzi pan?

— Sądzę, że Don się tym zajmuje, ponieważ nie może umrzeć.

Rzucił jej ostatni obleśny uśmiech i ruszył do minivana. Cindy także wróciła do swego samochodu, nie bacząc na to, że zostawia otwarty dom. Don wróci i założy nowe drzwi. Była tego pewna.

Zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Zerwał się wiatr, a nad drzewami na zachodzie zbierały się chmury. Wreszcie nadchodzi jesień. Prawdziwa, nie tylko zmieniająca kolor liści, ale i przynosząca złą pogodę. Zimne deszcze. Cindy nie znosiła zimna, choć czekała na nie z niecierpliwością. Zmiana. Koniec starego roku. Nadchodzące święta. Wspomnienia. Ludzie, których straciła. Melancholia. Tak, właśnie to, melancholia. Dobra rzecz na jesień.

Ale dla Dona jesień nigdy się nie kończyła, prawda? Stracił dziecko i wiedział, że gdyby sąd podjął inną decyzję, gdyby prawo było inne, jego córka nadal by żyła.

Przynajmniej miał świadomość, że oddał wszystko, by ją odzyskać. Ale co to za pociecha? Cindy pomyślała o swoim ojcu. Spokojny, praworządny człowiek. Pracował fizycznie, był bardzo silny. Czasami widziała, że powstrzymuje się ze wszystkich sił, żeby kogoś nie uderzyć. Nigdy tego nie zrobił, ale chciał, co było jeszcze bardziej przerażające, bo wiedziała, że gdyby się nie powstrzymał, cios byłby straszliwy.

Jeśli Don Lark przypomina jej ojca, wszystko to musi go zjadać od środka. Ciągłe wątpliwości — czy wtedy, kiedy jeszcze mógł, nie powinien machnąć ręką na sądy, porwać córki i ukryć się z nią? Nawet gdyby go złapano, nawet gdyby poszedł za to do więzienia, a ona i tak by zginęła, miałby świadomość, że zrobił absolutnie wszystko, żeby ją uratować. Widziała, że mężczyźni tak rozumują. Przynajmniej niektórzy. Biorą na siebie ciężar całego świata. Muszą walczyć o wszystkich, pomagać wszystkim, zapewniać byt wszystkim. A kiedy nie dają rady, nie widzą powodu, żeby dalej żyć. Czy Don Lark był właśnie taki? Pewnie tak. Mężczyzna, który pamiętał, jak żyć, lecz zapomniał po co.

Rozdział piąty

Drzwi

Kiedy Don zajmował się jeszcze budowaniem domów, najpiękniejszą chwilą był dla niego początek budowy. Stał na zadrzewionej parceli, wśród bzykania, trzepotania i szelestów, spoglądał na krzywizny terenu, widział, jak będzie wyglądać tu przyszły ogród i trawnik, i gdzie powinien znaleźć się dom, niczym zwieńczenie posiadłości. Wyobrażał sobie plan budynku, zastanawiał się, gdzie umieścić piwnicę, która wychodziłaby na podwórko od tyłu, i myślał, że obszerny ganek będzie szczególnie przyjemny w gorące popołudnia. Widział dach wznoszący się ponad szczytami drzew — zawsze zachowywał najpiękniejsze, ponieważ w ich towarzystwie dom nie wyglądał jak nagi noworodek. Nowiutki dom musi wyglądać tak, jakby stał na swoim miejscu, jakby od razu zapuścił korzenie głęboko w ziemię. Ludzie nie czuliby się dobrze, gdyby robił wrażenie, że odfrunie przy byle podmuchu wiatru. Wysokie stare drzewa dawały poczucie stabilności nawet budynkowi, który został wykończony przed paroma dniami,

Kiedy rozpoczynała się budowa, spokój lasów był już zmacony, pył i piach fruwały w powietrzu. Nagi drewniany szkielet wyglądał niemal obscenicznie pomiędzy żyjącymi drzewami, jakby Don chciał je zmusić do posłuszeństwa, prezentując zmasakrowane ciała tych, które nie chciały współpracować. Nawet kiedy budynek był już niemal gotowy, a Don osobiście nadawał mu ostatni szlif, przyjemność kontaktu z drewnem, obserwowanie, jak zmienia się pod palcami, nie dorównywały tej radości, jaką odczuwał stojąc na parceli i widząc dom oczami wyobraźni.

To mniej więcej tak jak małżeństwo. Jak przyglądanie się rosnącemu brzuchowi żony. Wyobrażanie sobie, zastanawianie się, budowanie w marzeniach pełnej rodziny.

Przestał budować domy. Najpierw nie miał innego wyjścia. Honoraria prawników zjadły jego firmę, dom, wszystko co posiadał z wyjątkiem strzępku ubezpieczenia, którym zapłacił za pogrzeb córki. Znalazł zrujnowane gospodarstwo, razem z domem warte mniej niż pusta ziemia. Przyjaciele pożyczili mu pieniądze na spłacenie pierwszej raty. Wprowadził się do obskurnej czteroizbowej farmy pod Madison i zaczął nad nią pracować. Po trzech miesiącach zmienił ją — według słów agenta — w „rozkoszną wiejską chatkę wśród leśnych ostępów”. Spłacił przyjaciół, bank i niewiarygodnie cierpliwe-

go kierownika działu pożyczek u Lowe'a, po czym opuścił dom, mając dziewięć tysięcy dolarów w kieszeni. Trzy tysiące na miesiąc. Zrobił kolejną inwestycję — kupił i wyremontował następny dom.

Teraz miał już tyle pieniędzy, że mógłby znowu budować nowe domy. Gdyby zechciał, firma Domy Larka znowu ujrzałaby światło dzienne. Niektórzy nadal zostawiali mu wiadomości, przekazywali, że wstrzymają się z budową domu swoich marzeń, dopóki Don nie podejmie się tego zadania. Taką miał reputację. Kiedyś nawet wybrał się na plac budowy, śliczny pagórek na skraju cmentarza, otoczony lasem. Ale gdy tam stanął, nie zobaczył niczego. To znaczy, widział muchy, ptaki, wiewiórki. Widział nawet ukształtowanie terenu. Jego spojrzenie wyłowiło drzewa warte ocalenia i linię, jaką powinien kreślić podjazd.

Ale nie widział domu. Już nie potrafił wyobrazić sobie przyszłości. Coś w nim umarło i zostało pochowane razem z córką. Skoro można zabrać komuś najpiękniejsze marzenie i zabić je, to po co stawiać domy? Dlaczego ludzie tego nie rozumieją?

Nie zamierzał im tego tłumaczyć. Nie zamierzał też budować im domów.

Więc zajął się starymi budowlami. Porzuconymi, opuszczonymi, zniszczonymi ruinami, o które nikt już nie dbał. Budynkami o umarłych marzeniach. Był to język, który Don dobrze rozumiał.

I nie budował ich — to zrobił już ktoś inny — lecz budził w nich iskierkę życia. Sprawiał, że stare belki na krótki czas dawały komuś schronienie. Nie pora jeszcze na umieranie.

Teraz zaczynał następny dom, projekt najbardziej ambitny ze wszystkich. Dom zbudowany jak pałac. Dom pełen dawnych marzeń, które po drodze zmieniły się w koszmary, a wreszcie zapadły w sen. Teraz do niego należało obudzić ten dom na nowo.

Dwór Bellamych był solidny. Jay Placer też to widział, ale chyba nie znał się na starych domach na tyle, by zrozumieć wyjątkowość tego budynku. Zbudowany w 1870 roku, a jednak stał nadal. To kwestia czegoś więcej niż dobre rzemiosło. Ten dom był ostatnią wolą jego twórcy. Fundamenty zostały położone głęboko. Zasyпка była porowata i piwnica pozostała sucha. Przez to dom nie osiadał. Próg spoczywał na podmurówce tak wysokiej, że nie zaczął gnić nawet po stu latach. Ściany były połączone jak monolit, ich szkielet wykonano z doskonałego drewna. Dach nigdzie się nie zapadał. Wiele nowych domów budowano niedbale i Don nie wątpił, że będą miały szczęście, jeśli przetrwają pięćdziesiąt lat. Ale ten został zbudowany tak, żeby... żeby był niezniszczalny.

Gdyby inni umieli dostrzec doskonałą jakość, tak jak Don, tego domu nie można by dostać za taką cenę; i na pewno nie pozostawałby opuszczony przez tyle lat. Ale ludzie widzieli tylko paskudne tynki, zachwaszczony ogród, zabite deskami okna, smród taniej starej wykładziny i grube pokłady kurzu. Trzeba będzie tysięcy dolarów i całego roku

pracy, by doprowadzić go do odpowiedniego stanu. Ludzie nie mają na to ani czasu, ani pieniędzy. Natomiast Don nie miał nic oprócz czasu, a remont nie jest nawet w połowie tak kosztowny, kiedy robi się go własnoręcznie. Jeśli się umie to robić.

Dom Bellamych był niegdyś zachwycający i za rok znowu taki będzie. Pójdzie pod młotek jesienią. Don dopilnuje, żeby wyglądał jak urzeczywistnione marzenie o amerykańskiej przeszłości. Każdy, kto przekroczy jego próg, będzie czuł, że wreszcie wrócił do domu. Każdy, tylko nie Don. Dla niego to miejsce nie będzie domem bardziej niż inne. Kiedy teraz tu stał, nie zniechęcały go brzydkie zapach, kurz i brud; kiedy wyjdzie stąd za rok, spomiędzy lśniących parkietów, ścian i sufitów, kiedy jego piękne dzieło będzie ukończone, a przez okna będzie zagładać słońce, on nie poczuje pragnienia, by tu zostać. Na tym polega jego praca, a zamieszka tutaj, ponieważ nie chce marnować pieniędzy na czynsz, skoro ma już całkiem przyzwoity dach nad głową.

Oczywiście jeszcze nie dziś. Pozostawała drobna kwestia drzwi, a także podłączenia wody i elektryczności. Ale za parę dni wprowadzi się do miejsca swojej pracy. Zawsze to lepsze niż furgonetka.

Gdyby Cindy Claybourne o tym wiedziała, czy poświęciłaby mu trochę czasu? Może. Niektóre kobiety ciągną do dzikusów, nawet podstarzałych. Problem w tym, że na ogół nie umieją zinterpretować tej męskiej dzikości. Don widział to nawet w college'u. Brutale, dla których kobieta jest ulepszoną wersją gumowej lalki, zawsze mieli ładne dziewczyny w zasięgu ręki. Co one w nich widziały? Zrozumiał to wreszcie na lekcji biologii, zanim wiadomość o śmierci ojca odebrała mu szkołę, a dała firmę budowlaną. Te kobiety nie szukały niebezpieczeństwa; chodziło im o samca alfa. Gościa, który podporządkuje sobie innych w stadzie. Mężczyznę z inicjatywą, energią, żądzą władzy. Problem w tym, że cywilizowani ludzie nie wyrażają swojej energii tak jak brutale, a kobiety przeważnie tego nie łapią. Widzą męskie popisy, demonstrację agresji i sądzą, że mają przed sobą biologiczny ideał. A dostają zwykłego pawiana. Tymczasem prawdziwi mężczyźni — ci, którzy budują trwałe rzeczy, którzy troszczą się o słabszych, odpowiedzialni, często prowadzą bardzo długie i bolesne poszukiwania kobiety, która ich doceni.

Don sądził, że udało mu się znaleźć taką kobietę. Dopiero po czterech latach małżeństwa dotarło do niego, że jego żona ma inną miłość. Tyle tylko, że nie był to mężczyzna, ale kokaina, a w razie braku narkotyku wódka. O wiele bardziej podobało się jej to, co dostawała od dealerów i barmanów, niż wszystko, co dawał jej Don. Mówiła, że się wtedy „odpręża”.

Kobiety ciągnące do dzikości nie interesowały Dona. Właściwie minęło sporo lat od czasu, kiedy mu się podobały. No, niezupełnie. Zauważał je, owszem, zauważył Cindy Claybourne — jak go zmierzyła wzrokiem, jak w jej głosie pojawiło się ciepło, kiedy do niego przemówiła, jak słuchała jego słów nawet wtedy, gdy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gada głupio, nudno lub używa żargonu tak fachowego, że dla niej musi być

niezrozumiały. Zauważał kobiety, ale jeśli wyobrażał sobie, że zaczyna się z jakąś spotykać, rozmawiać, nawiązywać jakiś związek, odczuwał wyłącznie zmęczenie. Zmęczenie, smutek i odrobinę gniewu, choć wiedział, że nie wszystkie kobiety to nieodpowiedzialne, kradnące dzieci szympanse.

Poza tym to, co Cindy Claybourne uważała za dzikość, nie kryło w sobie ani energii, ani agresji. Don nie był żadnym dzikusiem z lasu, nie miał rozwianych wiatrem włosów od jazdy na rowerze czy w samochodzie z podnoszonym dachem. Don był facetem z rodzinnym samochodem, mężem z listą zakupów, nosicielem dziecinnego krzeselka, gościem, który zawsze myśli „my” zamiast „ja”. Tylko tak się złożyło, że mieszka w furgonetce, ponieważ jedno spojrzenie na duży samochód, dziecinnie krzeselko lub zamieszkały rodzinny dom wywoływało w nim zbyt silne emocje. Musiał trzymać się z dala od takich rzeczy. Był dziki tak samo jak bity pies — nie dlatego że kocha wolność, tylko przez utratę ufności.

Wyobraził sobie, że pyta Cindy Claybourne: Czy naprawdę chcesz się związać z takim mężczyzną jak ja? A ona odpowiedziałaby: Och, tak! — ponieważ kobiety zawsze tak mówią. Ale potem pomyślałaby: Och, nie! Co ja zrobiłam!

Dlatego Don wolał oszczędzić jej i sobie czasu, kosztów, tych kilku kolacji i niemrawych potańcówek w klubie Palomino, czy co tam jeszcze można robić podczas zalotów. Złożył podpis na umowie i nigdy więcej nie zobaczy już Cindy Claybourne, chyba że zechce sprzedać dom za jej pośrednictwem. A jednak, pomimo podjętej decyzji, nie mógł przestać o niej myśleć.

Człowiek mieszkający w furgonetce nie powinien ufać narzędziom na baterie, które w każdej chwili mogą się wyczerpać. Dlatego zawsze miał przy sobie zestaw z ręcznym świdrem, za pomocą którego zaczął montować zamek. Ponieważ drzwi nie miały służyć mu długo, nie zdjął starego zamka i zainstalował nowy na nietypowej wysokości. Dlaczego nie miałby tego zrobić? Tylko on będzie otwierać te drzwi. Był wysoki; dla niego zamek znajdował się na tym samym poziomie, co zamek w normalnych drzwiach dla kobiety wzrostu, powiedzmy, Cindy Claybourne.

A skoro już o niej pomyślał, zastanowił się też, o ile ją przerasta. Sięgałaby mu głową do ramienia, nie wyżej. A to znaczyło, że naprawdę musiałby się pochylić, żeby ją pocałować albo... cholera!

Założył zamek, otoczył go sztyldzikiem, przyśrubował, wypróbował. Klucz obracał się gładko. Drzwi wydawały się solidne.

Kiedy wyszedł przez tylny ganek, zamierzając obejść całe podwórko na zapleczu, zauważył, że ktoś przygląda mu się z okna byłej powozowni naprzeciwko. Pewnie jego działania były najciekawszym wydarzeniem w tej okolicy. Dom długo stał opuszczony, więc wszyscy muszą się cieszyć, że nad nim pracuje. Tak było za każdym razem, a jemu nie przeszkadzały uśmiechy, pozdrowienia, a nawet uwagi typu „najwyższy czas”. Miał

tylko nadzieję, że nikt nie poczuje przyływu sąsiedzkiej życzliwości i nie będzie go zabawiał rozmowami. Nie lubił tłumaczyć się innym.

To zawsze było jedną z najmilszych właściwości pracy nad domem. Ludzie, z którymi pracował, bardzo poważnie podchodzili do swojej pracy. Faceci w garniturach zwykle lubili głądzić — o sporcie, o Internecie, o czymkolwiek... Nie dawali spokoju, dopóki się nie zorientowali, z kim mają do czynienia. Ale robotnicy patrzyli tylko na to, czy znasz się na robocie. Jeśli uznali, że tak, zaczęli traktować cię z szacunkiem. Jeśli w dodatku płaciłeś im na czas, wyrabiali się w terminie, a nawet lubili dla ciebie pracować. Inni, którzy pracowali w grupach, chodzili razem do knajp na obiady i znali żony kolegów, przynajmniej ze słyszenia. Ale Don nigdy do nich nie należał. Wolny czas oddawał rodzinie, garstce przyjaciół, własnym rozmyślaniom.

Tak jak facet z elektrowni, kiedy wreszcie przyszedł. Żadnego gadania, parę uwag o pogodzie i już zaczął szukać wejścia linii. Pod ziemią, to dobrze. Niezbyt gruba, to niedobrze. Potem zszedł do piwnicy, żeby spojrzeć na bezpieczniki. Nie powiedział nic poza tym, co musiał. Don prowadził, oświetlając drogę wielką latarką, ale oczywiście facet z elektrowni miał własną i kierował jej promień dokładnie tam, gdzie poprzednio Don. Stara instalacja była widoczna pomiędzy belkowaniem sufitu, a trzydziestoamprowe bezpieczniki tylko go rozbawiły.

— Dobrze, że dom był pusty — zauważył. — Jedna suszarka i wszystko by stanęło w płomieniach.

— Nie będę puszczał prądu przez tę instalację.

— To dobrze. Sto amperów?

— Mam już własne bezpieczniki. Założę je, jak mi pan powie gdzie.

Po raz pierwszy facet z elektrowni zrobił miłą minę. Prawie się uśmiechnął. Może nie spodziewał się, że ktoś zechce go wyręczyć. A może liczył na to, że Don skopie sprawę i go rozśmieszy. Ale Don nie zamierzał skopać sprawy i wiedział, że oszczędzi wysiłku facetowi z elektrowni, więc nie zawracał sobie głowy jego myślami. Najlepsze, że facet wcale ich nie wyjawiał. Powiedział tylko:

— Mógłbym przeprowadzić linię przez ten sam otwór, jeśli nie będzie pan używać starego kabla.

A Don odpowiedział:

— W porządku.

Kiedy kable były już gotowe do podłączenia, Don zdążył założyć nowe bezpieczniki i wyrzucić stare. Facet z elektrowni zaczął podłączać; Don odstąpił mu z drogi.

— Jeszcze nie ma prądu — rzucił facet.

— Tak, a moja strzelba nie jest nabita.

To wywołało uśmiech.

— Pewnie nie muszę mówić, że do napraw trzeba wzywać fachowca i odcinać do-

pływ prądu przed podłączeniem kontaktów.

— Może mi pan odczytać moje prawa, panie władzo, ale już to przerabiałem.

Facet z elektrowni pokręcił głową i zachichotał.

Zanim włączył prąd, przyjrzał się, jak Don dołącza biały kabel do jednego z wyłączników. Nie odezwał się ani słowem, co było wyrazem uznania. Potem wskazał gestem drugi koniec zwiniętego kabla, który Don przyłączył do skrzynki odgałęźnej z pochwórnym wyjściem.

— Trzydzieści metrów?

— Czterdzieści pięć. Nie powiem, ile przedłużaczy będę do tego dołączał.

— Dobrze, bo nie chcę wiedzieć.

— Przed inspekcją wszystko wróci do normy.

Innymi słowy, nie będziesz miał kłopotów za podłączenie instalacji w tym stanie.

— Byłem tu już kiedyś — rzekł facet z elektrowni. — Znam te tynki. Mam nadzieję, że nie chce ich pan zachować.

— Wierzę w płyty okładzinowe. Będę tu remontować, nie restaurować.

— Dobrej zabawy.

I tyle. Facet z elektrowni kazał mu się podpisać na kwicie i już go nie było. Gość w garniturze chciałby umówić się na lunch, wymienić wizytówki i zaprosiłby na golfa.

Don dźwignął skrzynkę odgałęźną i ciągnąc za sobą kabel, ruszył po schodach na parter. Do piwnicy wchodziło się z mieszkania od północy, na razie najładniejszego w całym domu. Schody prowadziły do największej kuchni z masywnym stołem, pięknym meblem, tyle że pociętym inicjałami. Wąski korytarzyk prowadził do dwóch sypialni oraz salonu — i znowu był to najładniejszy z salonów w domu. Don postawił w nim skrzynkę, dołączył do niej listwę z sześcioma gniazdkami i wcisnął w jedno z nich wtyczkę reflektora. Na pokój runęła lawina ostrego białego światła. Słowa z Księgi Rodzaju znowu przemknęły mu przez głowę, jak zwykle w takiej chwili. Ale tutaj interweniował facet z elektrowni, nie Bóg. Bóg nie zajmuje się już światłem i ciemnością. Zatrudnił się na siedmiodniowy kontrakt, skończył o dzień wcześniej, wziął premię i poszedł sobie, by ktoś inny mieszkał w miejscu, które stworzył. Takie właśnie pojęcie miał Don o Bogu, przynajmniej od paru lat.

Skoro było już światło, pora podzielić firmament. Stary dowcip jego ojca — nazywać meble firmamentem. „To słowo nie ma żadnego znaczenia, więc mogę nim nazywać wszystko, co mi się spodoba”. A zatem Don zaczął usuwać meble z drogi. Tanie i brudne wykładziny nie były warte ocalenia, więc bez żalu ciął je nożem i obnażał te rejony podłogi, na których nie stały ciężkie meble. Posadzka zgodnie z oczekiwaniami była bardzo sfatygowana i tak solidna, że w dzisiejszych czasach nie odtworzyłoby się jej za żadne pieniądze. Ten dom został zbudowany jak należy.

Don zwinął wielki kłęb starej wykładziny, wyniósł ją na trawnik. Potem cofnął nie-

co furgonetkę, żeby nie nosić narzędzi taki kawał drogi. Obrócił z dziesięć razy, zanim wniósł do domu wszystkie torby i pudła. Włączył do kontaktu narzędzia — musiał doładować baterie.

W furgonetce zostały jeszcze trzy rzeczy — kubek na śmieci, warsztat i prycza. Pryczę wniesie na samym końcu, a warsztat był najcięższy, więc najpierw wyjął ogromny kubek, kupiony dziś rano, i poszedł z nim na tyły domu.

Przed tylnym wejściem znalazł odpowiednie miejsce. Duże śmieci mogły zostać przy krawężniku, obok wykładziny, ale potrzebował także pojemnika na resztki jedzenia i zwierzęce truchła, które mógł znaleźć; wszystko, co gnije, musi się znaleźć w kubie z pokrywą.

Było gorąco, trochę się spocił. To dobrze. Dobry był też cień domu i wysoki żywopłot, który dawał chłód, pięknie pachniał i zasłaniał drzwi domu naprzeciwko. A na końcu żywopłotu stała stara kobieta podpierająca się grabiami. Siwe włosy zaczesane w rozwichrzony kok z niesfornymi kosmykami, twarz pomarszczona od tysięcy dni na słońcu. Sąsiadka. Gadatliwa, sądząc po błysku w oczach. Zaczyna się. Ale Don był w dobrym nastroju.

— Witam — rzekł z uśmiechem.

— Tak... Rozwalasz ten dom, młodzieńcze, czy go naprawiasz?

Typowy prowincjonalny akcent, pełen twardego „r” i zaśpiewów.

— Ten dom jeszcze nie jest gotów, żeby umrzeć.

Staruszka natychmiast zawołała do kogoś ukrytego za wysokim żywopłotem:

— Miałaś rację, panni Judy, właściciel kazał temu biedakowi naprawić dom Bellamy! — Odwróciła się do Dona. — Tylko niech ci się nie wydaje, że jakiś zamek załatwi sprawę. Tu przychodzą dziwni ludzie. To złe miejsce!

Co ona robi, chce go przepłoszyć? To nie miało sensu. Sąsiedzi powinni się cieszyć, że ktoś chce wyremontować dom.

Zza żywopłotu wyłoniła się stara Murzynka, opierająca się na lasce tak mocno, jakby w ogóle nie miała biodra. To pewnie panni Judy.

— Daję cztery kawałki, panni Evvie, cztery kawałki! Mówię, że sam kupił chałupę!

Więc biała kobieta nazywała się panni Evvie. Oczywiście były to tylko przydomki. Don wiedział, że lepiej ich nie używać, chyba że zostanie o to poproszony.

— Nie bądź głupia — zaprotestowała biała staruszka. — Bogaci nie pracują własnymi rękami.

Don nie lubił mieszać się w spory. Pamiętał ze szkoły historię o wojnie trojańskiej, która zaczęła się, bo biedny Parys dał się wrobić w rozstrzygnięcie konkursu piękności pomiędzy boginiami. Nigdy nie mieszaj się w kłótnie kobiet — na tym w odczuciu Dona polegało przesłanie Homera. Tylko to dało się zastosować do prawdziwego świata. Co prawda, te dwie stare wiedźmy nie przypominały Ateny i Afrodyty... a może to

była Diana? Nieważne, nie będzie konkursu piękności. Tylko Don mógł rozstrzygnąć ich spór, a choć nie spodziewał się wybuchu wojny, doznał wrażenia, że wkrótce wpłaczę się w niechciane rozmowy. No, na to już nie ma rady. Matka wstałaby z grobu i zaczęła go straszyć, gdyby nie był grzeczny dla starszych pań.

Odwrócił się do panni Evvie, pokręcił głową ze smutkiem i powiedział:

— Nie trafiła pani. To ja jestem właścicielem, a raczej będę po podpisaniu umowy.

Evvie obróciła się z furią i kilka razy grzmotnęła grabiami w ziemię.

— Cholera! I jeszcze raz cholera!

Panni Judy zareagowała z wielką urazą.

— Przeklinasz jak tania wiejska dziwka!

— Gladys ci powiedziała, co? — piekliła się Evvie. — Oszukujesz!

— Nie powiedziałam, że mi nie mówiła, prawda?

— To nie fair! Nie wolno zakładać się o pewną rzecz!

— Jakie fair? Ja się tylko bawię — wymamrotała panni Judy. Były tak zajęte sobą, że całkiem zapomniały o Donie. Może jednak nie okażą się nieznośnymi sąsiadkami, pod warunkiem że dalej będą gadać tylko z sobą. Don uniósł dłoń do czoła w pożegnalnym geście i ruszył do furgonetki.

Warsztat nie był aż tak ciężki, bez przesady. Don często nosił znacznie cięższe i mniej poręczne belki lub cegły. Chodziło tylko o to, że musiał się z nim nosić przez wszystkie dni, tygodnie i miesiące czekającej go pracy. Czasami ten warsztat wydawał mu się najlepszym przyjacielem. Wiedział, jak z nim postępować i co mu szkodzi. I czasami, jak to bywa z przyjaciółmi, nie mógł na niego patrzeć.

Wniósł warsztat do północnego salonu i ustawił na środku. Bacnym wzrokiem zlustrował swoje nowe mieszkanie. Gąszcz mebli zniknie za dzień lub dwa. Ten pokój był największą pracownią, jaką otrzymał od chwili, kiedy zajął się remontami. Naga podłoga rozświetlała pomieszczenie ciepłym naturalnym drewnem. Za oknem widział wykładzinę, leżącą pomiędzy chodnikiem i ulicą. To był pierwszy symptom postępu.

Nie zamykał drzwi prowadzących do korytarza, ale były nieco obluźnione w zawiasach, więc przymykały się ze skrzypieniem za każdym razem, kiedy przez nie przechodził i zasłaniały drzwi frontowe. Uznał, że będą mu uprzykrzać życie, więc wziął śrubokręt i wyważył sworznie z tanich zawiasów. Te drzwi z pewnością nie należały do oryginalnego wyposażenia domu, lecz zostały zainstalowane po podziale na mniejsze mieszkania. Kiedy zniknęły, wewnątrz zaczęło wyglądać jakby lepiej. Powietrze lepiej krążyło.

Don wyniósł drzwi na chodnik i położył obok wykładziny. Przedtem był to tylko kawałek materiału na trawie. Teraz zaczęła rosnać sterta śmieci. Inni sąsiedzi mogliby protestować, ale tutaj coś takiego oznaczało, że ktoś sprząta porzucony dom. To pewnie ich ucieszy.

Kiedy się wyprostował, przy krawężniku zatrzymał się znajomy sable. Cindy Claybo-

urne wysiadła z samochodu jednym płynnym ruchem; poruszała się tak, jakby nie obchodziło ją, co pomyśla o niej mężczyźni, i właśnie to podobało się Donowi.

— Dobrze, że cię zastałam! — zawołała. — Trudno złapać kogoś, kto nie ma telefonu.

— Niezupełnie. Przeważnie siedzę tutaj.

— Tak właśnie myślałam. — Zerknęła na drzwi i zwój wykładziny. — Już oczyszczasz teren?

— Robię sobie przestrzeń do pracy. Nie zajmuję się dźwiganiem ciężarów. Taniej jest to komuś zlecić.

— Na pewno się domyślasz, co mnie sprowadza.

— Umowa zamknięta?

— Ponieważ w transakcji nie bierze udział żaden bank, a ty zgadzasz się na warunki, nie ma powodu zwlekać. Nasz prawnik przyjmie cię jutro o dziewiątej rano, jeśli ci to odpowiada.

— Świetnie.

— Bo jeśli to za wcześnie...

— Zwykle wstaję o świcie — przerwał jej. — Nie lubię marnować dziennego światła.

— A, tak. Pewnie trochę potrwa, zanim podłączą prąd.

— Facet z elektrowni przyszedł już dziś, ale nie używam instalacji, więc nadal zależy mi na dziennym świetle.

Skinęła głową. Sprawa została załatwiona, ale Cindy nie spieszyła się z odejściem. Prawdę mówiąc, on także nie chciał się jej pozbyć.

— Nie wejdiesz do środka?

— Nie chciałabym ci przeszkadzać, jeśli jesteś zajęty.

— Zrobiłem wszystko na dziś. — Właściwie to nieprawda, pomyślał. — Z wyjątkiem obejścia łazienek. Muszę sprawdzić, czy coś tam nadaje się do użytku.

— Mogę ci towarzyszyć? — zapytała z uśmiechem.

— Nie jest to coś, co kobieta chciałaby przeżyć na pierwszej randce — zastrzegł i natychmiast zaczął się zastanawiać, jak Cindy zrozumiała ten dowcip. A potem zastanowił się, czy to naprawdę dowcip.

— Nie oszukuj się — odparła. — Kobiety sprzątają dziewięćdziesiąt procent łazienek w Ameryce, więc stan urządzeń sanitarnych nieodparcie nas fascynuje.

Don przypomniał sobie, jak się upierał, że będzie sprzątał wszystkie łazienki w ich domu, ponieważ nie chciał, żeby jego żona szorowała na kolanach plamy, jakie mógł pozostawić siusiąc. Pewnego dnia przyłapał żonę szorującą na kolanach podłogę, którą umył poprzedniego dnia. Wtedy się poddał i zostawił to jej, a sam starał się tylko dobrze celować. Domyślał się, że pewnie nie lubiła tego zajęcia, ale uważała, że żaden mężczy-

zna nie zrobi tego jak należy. Choć Don był bardziej porządny. To pewnie kwestia kobiecych genów.

Ale nie powiedział o tym Cindy. Nic bardziej żalosego niż rozwodnik, który w kółko opowiada o swojej byłej. A może jest wdowcem? Czy to się liczy, że rozwiedziona żona nie żyje? Tylko jeśli się ją ciągle kocha, doszedł do wniosku. Tylko jeśli się ją opłakuje. A on był nadal na nią wściekły. Opłakiwał córeczkę. Dlaczego nie ma nazwy dla ojca, który stracił dziecko?

Jego rozmyślania trwały zaledwie chwilę, ale zdał sobie sprawę, że Cindy zauważyła to wahanie i już zaczęła się wycofywać.

— Nie, nie — rzekł czym prędzej. — Będę zaszczycony, jeśli zechcesz mi towarzyszyć w obchodzie urządzeń sanitarnych.

Przez chwilę przyglądała mu się wnikliwie. Wiedział, czego szuka: jakiejś oznaki zainteresowania, dowodu, iż owo wahanie nie było spowodowane niechęcią. Nie miał pojęcia, jak mogłaby wyglądać taka oznaka i czy ją zauważyła.

— Chodźmy — powiedział i odwrócił się, a kiedy dotarł do ganku, Cindy znajdowała się tuż za nim, więc pewnie jednak znalazła to, czego szukała.

Każde mieszkanie na parterze miało własną łazienkę, ale wanny były pełne jakiejś wstrętnej mazi, a umywalki poznaczone smugami, sygnalizującymi nieustanne przeciekanie. Będzie musiał odciąć wodę, może z wyjątkiem toalety w północnym mieszkaniu, które jest chyba najbardziej wygodne. Pokazał Cindy, że podłoga wokół toalety nie jest spaczona ani zaplamiona, więc nic tu nie przecieka.

— Pewnie trzeba wymienić wszystkie gumowe części w rezerwuarze, ale to nic wielkiego.

Skinęła głową. Zauważył, że brązowy osad na dnie muszli klozetowej wzbudził w niej obrzydzenie.

— To nie to, co myślisz — powiedział. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł go delikatnie. — To chyba jakaś pleśń albo grzyb, który się rozplenił, kiedy jeszcze stała tu woda.

Rzucił szmatę na podłogę.

— Nie zazdroszczę ci pracy — powiedziała Cindy. — Chyba jest ciężka, brudna i nieprzyjemna.

— Ja też bym się z tobą nie zamienił. Trzeba przez cały czas być miłym dla ludzi.

Roześmiała się.

— To dowodzi, że mnie nie znasz.

— Co, nie jesteś miła?

— Jestem znaną terrorystką wśród agentów.

Don był zaskoczony. Jak mogła utrzymać się w tym fachu, skoro ludzie jej nie lubią?

— Nie, nie, nie zrozum mnie źle — pospieszyła z wyjaśnieniem. — Zawsze jestem pogodna i grzeczna. Ale w razie konieczności mówię, co myślę. Pogodnie i grzecznie.

- I coś sprzedajesz?
- Do tego nie trzeba nic umieć.
- To najtrudniejsze ze wszystkiego.
- Tak sądzisz?
- Ja pracuję w drewnie. Wiem, z czym mam do czynienia. Widzę słoje, widzę sęki.
- Ludzie są całkiem podobni.
- Trudniej ich rozpoznać.
- Łatwiej nagiąć.

Stali w ciasnej łazience, starając się niczego nie dotykać z obawy przed brudem. Znajdowali się tak blisko siebie, że Don czuł jej oddech łaskoczący mu pierś pod koszulą, czuł delikatne perfumy, ale także jej woń, nieco piżmową. Ta kobiecość niemal go bolała, wzięła go z zaskoczenia. Od dawna nie stał tak blisko kobiety. Poza tym Cindy nie była byle jaką kobietą. Lubił ją.

— Naginasz mnie? — spytał.

Uśmiechnęła się.

— Czujesz się naginany?

Miał wrażenie, że grają w sztuce i w scenariuszu po jej kwestii widnieje napis: „całują się”. Teraz powinien się pochylić — nie aż tak nisko, jak myślał — i pocałować ją. Wiedział nawet, jakie to będzie wrażenie, usta muskające usta, wargi miękko ustępujące pod naporem, bez namiętności, lecz ciepło i słodko.

— Chodźmy na górę. Sprawdźmy, czy prysznic jest czynny — powiedział.

Sam nie wierzył, że mu to przeszło przez gardło. Ale kiedy tak stał i chciał ją pocałować, jego umysł nadal pracował: Nie mogę przytulić tej kobiety, jestem brudny i spocyny, muszę się wykapać, poczuje do mnie wstręt. A potem: Nawet gdybym podłączył od razu wodę, pewnie nie ma tu zdatnego do użytku prysznic. I wypowiedział na głos ostatnią myśl. Magiczna chwila minęła.

Ale była prawdziwa. Upewnił się, widząc niewielkie zmarszczki rozbawienia wokół oczu Cindy.

— Lubi pan czystość, drogi panie.

— Jeśli mieszka się w furgonetce, prysznic wydaje się cudem.

Parsknęła śmiechem.

— Cud z sitkiem...?

Minęła go i pierwsza wyszła z ciasnej rozgrzanej łazienki.

Trzy mieszkania na piętrze były mniejsze niż te na parterze i miały wspólną łazienkę. Nawet w czasach kiedy dokonano podziału, był to staroświecki, oszczędnościowy układ. Pewnie trudno było znaleźć lokatorów, którzy zgodziliby się na wspólną łazienkę. Znajdowała się na końcu korytarza, na tyłach domu.

Don domyślił się, że kiedyś biegły tędy tylne schody, węższe niż okazałe frontowe.

Gdy zbudowano łazienki, tędy przeprowadzono rury kanalizacyjne. W obecnych czasach ludzie o wiele bardziej potrzebują toalet i pryszniców niż tylnych schodów, po których dzieci mogą wejść do kuchni tak, by nie zobaczyli ich goście w salonie. Więc tylne schody nie zostaną odbudowane.

Tutaj prysznic miał nawet zasłonkę, poznaczoną plamami starej pleśni, ale nie obrzydliwą. A wanna była całkiem czysta i nawet nie aż tak zakurzona, jak się spodziewał. Nie zdradzała żadnych oznak przeciekania; będzie jej mógł używać, kiedy tylko podłączy wodę i wymieni przerdzewiały prysznic.

— To tutaj założysz jacuzzi? — spytała Cindy.

— Nie, tu będzie całkiem zwyczajnie. Główny salon zrobię na tyłach południowego mieszkania i tam będą wszystkie atrakcje.

Nawet nie pochylił się nad toaletą. Wielkie pęknięcie w muszli i wyraźne zacieki u podstawy powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć.

— Toaleta nie wygląda dobrze? — spytała Cindy.

— To już nie jest toaleta.

— A co?

— Rzeźba.

Roześmiała się.

— Już ją widzę, na piedestale w Centrum Sztuki.

Lubił jej śmiech. Lubił go słuchać. Chciał się przekonać, czy ta chwila znowu nadejdzie, czy znowu będzie miał ochotę znaleźć się blisko kobiety, wspomnienie o żonie zniknie i zobaczy Cindy Claybourne taką, jaka jest naprawdę.

— Słuchaj — odezwał się. — Chcesz się jeszcze ze mną spotkać, nie w łazience?

— No, nie wiem, właśnie sobie myślałam, że oglądane z tobą urządzenia sanitarne mają wyjątkowy urok.

— Dobrze, więc może się spotkamy w jakimś miejscu z ładnymi umywalkami?

— Łazienki w Southern Lights są urzekające.

Don zabrał tam żonę, kiedy wyszli na miasto po raz pierwszy od urodzenia córeczki. Nie sądził, żeby mógł tam wejść i nie zobaczyć znowu dziecka w nosidełku położonym na krześle. Szybko przebiegł w myślach listę restauracji, w których umawiał się z klientami, nie z rodziną.

— Cafe Pasta — powiedział z namysłem. — Albo Art Deco?

— Dobrze, ale pod warunkiem że ty też będziesz jadł kiełbaski, byśmy oboje pachnieli czosnkiem.

Znowu stała blisko, patrzyła na niego z uśmiechem i tym razem wyczuł odpowiednią chwilę, dotknął jej policzka, pochylił się i pocałował ją lekko, tak lekko, że właściwie nie był to pocałunek, raczej pieszczotliwe muśnięcie. I znowu, nieco dłużej, ciągle suchymi wargami. I trzeci raz, kiedy objął ją w talii, a jej usta przywarły do jego warg, wil-

gotne i ciepłe. Potem spojrzeli na siebie, już bez uśmiechu.

— I kto tu kogo nagina — odezwała się Cindy.

— Na pewno mówisz to wszystkim klientom.

— Jutro, kiedy zamkniemy transakcję, nie będziesz już klientem. Poza tym właściwie nigdy nim nie byłeś... raczej nabywcą.

— A kim będę w Cafe Pasta?

— Znajomym dżentelmenem.

To mu się spodobało.

— Kiedy? — spytała.

— To nie ja jestem rozrywany towarzysko.

— Jutro wieczorem?

— Do tego czasu nie nareperuję prysznic.

— Możesz skorzystać z mojego.

Zaskoczyła go. Zabrzmiało to jak zaproszenie i nie pasowało do tego, co sądził o romansach.

— Nie — powiedział, nieco zbyt ostro. — Dziękuję, ale umówmy się na piątek. Zgoda?

— Jeśli to ma być piątek, trzeba zrobić rezerwację.

— To ty masz telefon.

— Chętnie.

Ruszyła do wyjścia. Już na schodach rzuciła:

— Nawiasem mówiąc, kiedy zaproponowałam ci prysznic, nie miałam na myśli nic poza nim. Nie jestem taką dziewczyną.

— To dobrze, bo ja nie jestem takim facetem.

— Wiem — zgodziła się. Takim tonem, jakby się jej to podobało. Może jednak nie szuka pawiana.

Przy drzwiach zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

— Nie odprowadzaj mnie do samochodu. Chciałabym cię znowu pocałować, a nie trzeba, żeby sąsiedzi plotkowali.

— Dobrze. Do zobaczenia rano.

— Przyjdź do mojego biura. Razem pojedziemy do prawnika. Kancelaria jest w centrum i trudno znaleźć jedno miejsce do parkowania, a co dopiero dwa.

— Za kwadrans dziewiąta.

— Interesy z tobą to przyjemność — rzuciła z uśmiechem.

Stał w otwartych drzwiach i przyglądał się, jak wsiada do samochodu, uruchamia go i odjeżdża. A potem stał jeszcze przez chwilę, tak sobie.

Rozdział szósty

Lemoniada

Ponieważ nie miał pozwolenia na budowę ani tytułu własności domu, nie mógł już bezkarnie wykonać żadnej pracy. Nie zamierzał siedzieć w domu przez wieczór, a nie miał dokąd pójść. Już dawno doszedł do wniosku, że filmy i książki są albo głupie, a wtedy marnował czas, albo miały moc uwalniania emocji, których nie chciał przeżywać. Jedynie praca go zajmowała.

Skoro nie mógł robić nic w domu, pozostawało podwórko. W Karolinie Północnej wszystko, co można kosić, staje się trawnikiem, a zatem pod wybujalymi chwastami znajdował się trawnik, który tylko czekał, żeby go odkryć. Don musiał połączyć wszystkie przedłużacze, żeby wynieść Pożeracza Chwastów na dwór. Nie było szans, by przenieść go na tyły domu, ale od frontu też miał co robić. Może powinien kupić kosiarkę na benzynę, ale nie lubił wozić ze sobą niczego łatwopalnego.

Kiedy skończył z frontowym i bocznym trawnikiem, ociekał potem i był cały oblepiony strzępkami chwastów. Na niektóre był chyba uczulony, bo wszystko go swędziało. Świetnie się urządziłem, pomyślał, zwłaszcza że prysznic nie działa. Zwinał kabel i zaniósł kosiarkę do domu. Po drodze usiłował rozstrzygnąć, czy ma się umyć i znowu ubrać się w brudne rzeczy, czy też zrobić pranie, nie myjąc się. Zaczynało się zmierzchać, kiedy zamknął frontowe drzwi i ruszył do furgonetki.

— Hej! Panie robotniku!

To znowu ta biała staruszka z naprzeciwko. Stała za płotem i trzymała talerz przykryty serwetką w kratę.

— Chodź tutaj! — rozkazała.

Posłusznie podszedł do płotu. Ściągnęła ściereczkę teatralnym gestem. Pod nią znajdował się bochenek świeżo upieczonego chleba; choć Don był bardziej spragniony, niż głodny, a upał nie pozwalał myśleć o żadnym gorącym posiłku, nie mógł się oprzeć smakowitej woni.

— Nie wiem, dlaczego tak lubię ten zapach — wyznał. — Moja matka nigdy nie piekła chleba.

— Jezus powiedział, żebyśmy nie żyli samym chlebem, ale my chętnie byśmy spróbo-

wały. Mamy też gulasz. Wiem, jest za gorąco, żebyś miał na niego ochotę, ale chłop musi jeść. I zrobiłyśmy lemoniadę.

— Nie mogę sięść do stołu. W domu nie ma jeszcze wody, a ja jestem brudny jak parobek.

— Jadałam już z parobkami. Nie masz się czego wstydzic. Nie kłóć się ze mną, młodzieńcze. Widziałam, że zamknąłeś drzwi, więc nie możesz powiedzieć, żeś nie skończył roboty na ten dzień.

— Nie chciałbym przeszkadzać.

Omam nie powiedział jej, że musi zrobić pranie. Pewnie wyrwałaby mu ubranie z rąk i uparła się, że sama je upierze.

Uniosła brew z powątpiewaniem.

— Widzę, że jesteś głodny, więc czego się boisz? Że cię zagadamy na śmierć? Może i tak, ale nie każemy ci odpowiadać, więc możesz po prostu jeść i nie zwracać na nas najmniejszej uwagi. Jesteśmy do tego przyzwyczajone, bo same już się nie słuchamy.

Roześmiał się wbrew sobie, choć ze wszystkich sił starał się z uprzejmości zachować poważny wyraz twarzy.

— No widzisz — powiedziała z satysfakcją. — Poza tym, skoro nie masz w domu wody, pewnie cholernie chce ci się siusiu.

Na to nie było już odpowiedzi i dobrze o tym wiedziała. Odwróciła się i ruszyła różnym krokiem; była w połowie drogi, kiedy przeskoczył przez płot.

— Przepraszam — zawołał za nią — ale wejdę od tyłu, żeby nie nanieść brudu!

— Otworzę drzwi, zanim dojdiesz, chyba że będziesz biec — rzuciła przez ramię.

Chleb pachniał apetycznie, ale zapachy w kuchni były tak upajające, że powinny być nielegalne. Czarna kobieta — panni Judy? — pociła cię nad piecykiem; ale uśmiechnęła się na widok Dona, choć nie miała wolnej ręki, żeby go pozdrowić.

— Nie chciałbym robić kłopotu — powiedział.

— I tak zamierzałyśmy zjeść obiad, choćby nie wiem co. I musimy same gotować, więc nic się nie stało. Idź no umyć ręce, chłopcze, i twarz też.

Kiedy zobaczył czyściutkie ręczniki dla gości, nie pozostało mu nic innego, jak tylko wyszorować się porządnie z obawy, że zostawi brudne ślady na nieskazitelnej bieli. A skoro już był w łazience, skorzystał z zaproszenia do toalety. Dziwne, że pierwszy pocałunek od rozstania z żoną miał miejsce w łazience, podczas sprawdzania urządzeń sanitarnych. W łazience starszych pań mogłoby być nawet romantycznie; tamta w ogóle nie powinna istnieć. Ale niezbadane są drogi miłości... gdzieś to przeczytał. Może w jednej z tych książek, których w ogóle nie powinien brać do ręki.

Kiedy wyszedł, w kuchni nie było żywej duszy, a garnki i patelnie stały puste. Wytarł dobrze buty na ganku, lecz nadal wahał się przed wejściem do salonu, wyłożonego dywanami i pełnego mebli obitych pluszem.

— Nie wstydz się — odezwała się biała staruszka, nalewając lemoniadę ze srebrnego dzbanka pokrytego drobnymi kropelkami.

— Naniosę trawy.

— Całe szczęście, że umiemy sprzątać, prawda? — odparła panni Judy. Postawiła na stole wazę z gulaszem i zaczęła składać serwetkę, przez którą ją trzymała. — Pokaż ręce.

Posłusznie wyciągnął przed siebie dłonie. Prawie spodziewał się, że staruszka zechce sprawdzić czystość jego szyi i uszu, ale ona podała mu wielki ząbkowany nóż, prosząc o pokrojenie chleba.

— Krój grubo, bo jest świeży.

Okazało się, że Don ma naturalny talent do krojenia świeżego chleba. Łagodne ruchy do przodu i tyłu, bez nacisku, żeby nie przygnieść miękiszu. Nim zdążył zapytać, gdzie ma kłaść kromki, panni Judy podsunęła mu pod rękę talerz, na który zgrabnie upuścił piątkę. Po chwili na gorących kawałkach chleba rozpuszczały się grube plastry masła.

Dopiero kiedy usiedli, Don zdołał rozejrzeć się po pokoju. Porcelana w witrynie kredensu była elegancka i delikatna, podobnie jak bibeloty i serwetki, ale kolor obić i same meble nie przywodziły na myśl babcinego domku. Te plusze, czerwone aksamity i mahonie kojarzyły się z burdelem. Oczywiście zachował to spostrzeżenie dla siebie. Może był to jedyny styl, jaki podobał się białej kobiecie z akcentem prosto z Appalachów i czarnej kobiecie, w której głosie brzmiały naleciałości ze wschodnich równin.

— Zdaje się — odezwała się biała staruszka — że nie znamy twojego nazwiska.

— W ogóle nie przedstawiliśmy się sobie — dodała panni Judy. — Jestem panni Judea Crawley.

Aha. Zatem „panni Judy” to określenie zastrzeżone pomiędzy nimi. Dla niego będzie albo pannią Crawley, albo pannią Judea. Don zdecydował się wybrać bardziej bezpośredni tytuł.

— Miło mi, panni Judeo. Nazywam się Don Lark.

— A to jest panni Evelyn Tyler — dodała panni Judea.

Nie poprawiła go, więc dokonał właściwego wyboru. Uśmiechnął się do białej staruszki i powiedział:

— Miło mi, panni Evelyn.

— Don Lark* — powtórzyła panni Evelyn. — Śliczne nazwisko. Przywodzi na myśl śpiew ptaków. Lark.

Powiedziała to śpiewnie, melodyjnie. Don był zdziwiony. Jego nazwisko, niegdyś przedrzeźniane przez dzieciaki w szkole, teraz brzmiało czarująco, po prostu pięknie. Może wreszcie dorósł do własnego nazwiska.

*lark (ang.) — skowronek

— Muszę powiedzieć, drogie panie, że okazujecie mi niespotykaną życzliwość.

— A zatem żyjemy na smutnym świecie — odparła panni Evelyn — bo nic żeśmy nie zrobiły.

— Nigdy za wiele sąsiedzkiej życzliwości — dodała panni Judea.

W jego przypadku nie była to prawda. I choć zdawał sobie sprawę, że zachowuje się niegrzecznie, postanowił ustanowić pewne granice — dla dobra swojej pracy.

— Muszę powiedzieć, że nie jestem zbyt towarzyski. Jestem jakby... odludkiem.

Zerknęły na siebie.

— To dobrze — oznajmiła panni Judea. — Odludek, bardzo dobrze.

Panni Evelyn dorzuciła radośnie:

— Właśnie kogoś takiego...

— Sza! — przerwała jej przyjaciółka. — O tym potem.

Po raz pierwszy zaświtało mu, że starsze panie nie zaprosiły go wyłącznie po to, by dać lekcję sąsiedzkiej życzliwości zarozumiałemu chłystkowi z naprzeciwka.

Panni Judea podniosła pokrywę wazy, spod której buchnęły kłęby pary. Wyprostowała się nieco, zamknęła oczy.

— Czujesz? — spytała.

O tak, doskonale to czułam.

— Jaki to zapach?

Nawet nie musiał się namyślać.

— Jakbym umarł i poszedł do nieba.

— Co tam zapachy, nakładaj!

Don ledwie mógł usiedzieć z niecierpliwości. Jedzenie zwykle było dla niego tylko kolejnym obowiązkiem, nawet po dniu ciężkiej pracy. Pożerał byle co z zatłuszczonej papierowej torby. Dzisiaj niespodziewanie czekała go niezwykła przyjemność. I nawet nie mógł powiedzieć, że to przyjemność zapomniana. W jego rodzinie nie było dobrych kucharzy, a już na pewno nie było ich w rodzinie żony. Jego żona potrafiła jednocześnie dogotować i przypalić błyskawiczny makaron z serem, a raz dała mu do pracy kanapki z ziemniaczanymi chipsami i majonezem. Dopiero wtedy docenił proste potrawy swojej matki. Mamie wydawało się, że szczytem kulinarnych możliwości jest ugotowanie zupy w proszku.

Panni Judea nabrała kopsiastą chochlę gulaszu i nałożyła na talerz, nie roniąc nawet kropli. Podała go Donowi. Zaczekał, aż napełni jeszcze dwa talerze; zapach papryki, wołowiny i przypraw, których w ogóle nie znał, drażnił jego nozdrza. Wreszcie jedzenie zostało nałożone, a ponieważ staruszki nie zaczynały jeść, doszedł do wniosku, że czekają na niego. Wziął łyżkę.

Panni Judea położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie zapomnij podziękować.

Omal nie zaczął dziękować im za gościnność; dopiero po chwili uprzytomnił sobie, o co jej chodzi. Poczul się bardzo głupio, zwłaszcza że w dzieciństwie codziennie odmawiał modlitwę przed jedzeniem, a kiedy miał rodzinę, postanowił wspólnie z żoną, że ich córka będzie się modlić przed posiłkami i wieczorem. Ale przez parę ostatnich lat nie miał się z kim modlić. Zresztą nie czuł potrzeby.

Starsze panie pochyliły głowy.

— Dobry Boże, dziękujemy za twe dary — zaczęła panni Evelyn — i za tego silnego młodzieńca, który zarabia na chleb pracą własnych rąk. Daj mu rozum, żeby uciekł w cholerę, zanim ten dom pożre go żywcem.

Zaskoczyła nie tylko Dona. Panni Judea krzyknęła cicho i najwyraźniej kopnęła przyjaciółkę pod stołem, bo ta wydała równie spontaniczny okrzyk.

— Evvie! — syknęła panni Judea.

Panni Evelyn skromnie spuściła oczy i zakończyła z godnością:

— Amen.

— Amen, ty głupia starucho — powiedziała panni Judea. — Ty też powiedz „amen”, młody człowieku.

Zdumiony Don nie znalazł nic lepszego do powiedzenia.

— Amen.

— A teraz jedzmy, zanim ta głupia znowu z czymś wyskoczy — zarządziła panni Judea.

Don usłuchał z prawdziwą wdzięcznością. Jedzenie było dobre, ale obie staruszki zdradzały odrobinę szaleństwa... nie, nazwijmy to raczej dziwactwem, które zbijało go z tropu, ponieważ wcale nie wyglądały na wariatki. Robiły wrażenie ludzi jego pokroju: konkretne, ale eleganckie; wytworne, lecz naturalne. Podobały mu się. Były serdeczne. Były zabawne. Tylko kiedy chodziło o dom Bellamych, dostawały bzika.

Rozmowa przy kolacji dotyczyła bezpiecznych tematów — jak to Bestway na Walker Street jako jedyna ocalała z najazdu wielkich potentatów, którzy wykończyli drobnych przedsiębiorców; jak wszyscy się oburzali na zamianę historycznych nazw kilku ulic, tak że Market i Friendly będą miały tę samą nazwę na całej długości; jaka to ironia losu, że nie potrafią sobie przypomnieć starych nazw... Hogarth? Hobart? Hubert? Nie, to był wiceprezydent z 1952 roku, prawda? Albo ten, którego wyrzucili? Don czuł się jak na lekcji historii, tylko że nauczycielki zgubiły notatki. Pamiętały wszystko, przeżyły wszystko, a jednak istotne wydarzenia dotyczące całego państwa kompletnie wyleciały im z głowy.

W odróżnieniu od miejscowych plotek. Nadal potrafiły godzinami opowiadać o swoim dzieciństwie. Dla panni Evelyn upłynęło ono w powiecie Wilkes, właściwie nie w Appalachach, ale blisko.

— Nauczyłam się palić, kiedy skończyłam pięć lat, i nigdy mnie za to nie lali, chyba

że podkradałam im tytoń.

— Moja mama przyłapała mnie na paleniu, kiedy miałam dziesięć lat, i myślałam, że już nigdy nie usiądę — wyznała panni Judea.

— No i czy to nie szczyt wszystkiego? Jej rodzina uprawiała tytoń, a moja hodowała kury, świniaki i kiepską kukurydzę. — Panni Evelyn pokręciła głową.

— No, nie chodziło o to, że mama dbała o moje zdrowie, zapewniam cię, bo tak mnie natłukła, że skróciła mi życie bardziej niż tytoń.

— Zauważyłem, że żadna z was nie pali — wtrącił Don. Gdyby tak było, papierosowy dym dawałby się łatwo wyczuć.

— To przez Gladys — oświadczyła panni Judea.

— Nie znosi dymu. No, ale ona kisi się tam u siebie jak w puszcze. W ogóle nie wychodzi na świeże powietrze. Nie można jej dobijać dymem, prawda?

— Gladys?

— Powinnam powiedzieć „panni Gladys”, ale jest od nas młodsza, więc sam rozumiesz.

— Moja kuzynka — wyjaśniła panni Judea. — Młodsza o sześć lat.

— Mieszka tu?

— Na piętrze. Przykuta do łóżka, biedactwo.

— Ale nie mówmy o niej — przerwała panni Judea. — Nie lubi, jak się o niej rozmawia.

— Mówi, że od tego palą ją uszy — dodała panni Evelyn.

Po kolacji chcieli, żeby Don usiadł przy stole albo w salonie i zaczekał, aż przygotują tacę dla Gladys, ale Don się nie zgodził.

— Najlepsza zabawa jest zawsze w kuchni. Nie możecie mnie zostawić samego w salonie!

A więc skończyło się na tym, że dały mu ścierkę i kazały wycierać naczynia, które myła panni Judea.

— To nie w porządku, nie powinieneś nam pomagać — powiedziała.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powtórzył po raz kolejny. — Piękna porcelana.

— Niegdyś była w domu Bellamych. Część serwisu na dwadzieścia cztery osoby, po dziewięć naczyń na każde miejsce. Dostałyśmy ocalałe trzy kompletne zestawy. Miseczki na owsiankę zawsze tłuką się pierwsze.

— Nie spodziewałem się, że będę dziś jadł tak wspaniały posiłek na pięknej porcelanie.

— Robotnik wart jest płacy swojej, jak powiada Biblia. Choć nie jestem pewna, co to właściwie znaczy. Tak mi się powiedziało.

— Skoro jestem robotnikiem, za co mi zapłaciliście?

— Jeśli to ma być zapłata, to cię oszukałyśmy. Ledwie co dziobnąłeś.

— Tego gulaszu wystarczyłoby dla całej ekipy robotników! Będziecie go jeść przez tydzień.

Panni Evelyn zeszła z tacą. Don spostrzegł, że zaniósła Gladys całą wazę gulaszu, która teraz wróciła pusta. Podobnie dzbanek lemoniady. A na talerzu, na którym leżało pół bochenka, zostały same okruszki. Gladys chyba nie zjadła tego sama, co? Taki apetyt u kobiety przykutej do łóżka?

— Gladys jest dziś nie w sosie — oświadczyła panni Evelyn. Panni Judea włożyła dzbanek i wazę do zlewu.

— Wcale mnie to nie dziwi — powiedziała.

Panni Evelyn nachyliła się konfidencjonalnie ku Donowi.

— Gladys jest na diecie.

Panni Judea natychmiast rzuciła się na nią.

— On nie musi o niej wiedzieć takich prywatnych spraw! Aleś ty dzisiaj gadatliwa!

Don uznał, że to niesprawiedliwe — przecież właśnie panni Judea powiedziała mu, że Gladys nie wstaje z łóżka. Nie podobało mu się, że krzyczą na siebie. W dodatku obrzucały się wyzwiskami, których matka zabroniła mu używać w stosunku do przyjaciół, a zwłaszcza kobiet. Dlatego zmienił temat na taki, któremu nie mogły się oprzeć.

— Wspominałyście panie o czymś przez cały wieczór, ale nie mogę pojąć, co to takiego. Skoro już pozmywaliśmy, wracam do domu Bellamych. Do mojego domu.

Plan się powiódł, lecz Don nie przewidział aż takiej reakcji.

— „Mój dom”? — panni Judea przewróciła oczami. — Słyszałaś to?

— Myśmy go nie kupili.

— Kupiły!

— Aha, teraz będziesz mnie poprawiać.

— Tak, bo nie chcę, żebyś mówiła jak wioskowa dziwka.

— O co chodzi z moim domem? — spytał jeszcze raz, żeby odwrócić ich uwagę od awantury.

Nagle obie zamilkły. Panni Judea włożyła mokrą wazę do suszarki.

— Niech obcieknie — mruknęła.

— Mogę wytrzeć — zaofiarował się Don.

— Jesteś zmęczony i nie chcę, żebyś miał tę wazę w rękach, kiedy usłyszysz, co powiedziała Gladys.

Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że Don nie przejmie się tym, co padło z ust tajemniczej Gladys.

— Chodzi o zamki w drzwiach — oznajmiła panni Evelyn. — One wzmacniają ten dom.

Spojrzała na niego z lękiem, jakby powiedziała coś strasznego.

— Właśnie o to mi chodziło. Mam tam wszystkie rzeczy.

— Ale tego nie wolno robić! Dom wreszcie zaczął opadać z sił, nie widzisz? Teraz już lada chwila wdadzą się termyty i... och, panni Judy, on nie słucha.

— Słucham.

Panni Judea położyła mu rękę na ramieniu.

— Panni Evvie chce ci powiedzieć, że absolutnie nie wolno ci remontować tego domu.

— Przykro mi, drogie panie, ale za późno. Ten dom nie jest obiektem historycznym i wsadziłem w niego wszystkie pieniądze.

— Sam powiedziałaś, że jeszcze nie podpisałeś papierów. Ciągłe możesz się wycofać.

— Ale ja się nie chcę wycofać. To piękny stary dom, mocny i w lepszym stanie, niż się wydaje.

— Toteż właśnie.

— Niech umrze śmiercią naturalną.

Więc jednak były szalone.

— Uważa nas za wariatki — zauważyła panni Evelyn.

— A skąd! — zaprotestował.

— W dodatku kłamie — dodała z uśmiechem. — Ale nie jesteśmy szalone, a tobie nie wolno remontować tego domu, bo znajdziesz się w wielkim niebezpieczeństwie.

Nie miał pojęcia, jak to rozumieć. Gdyby nie miał przed sobą dwóch kruchych starsuszek z nędznej dzielnicy Greensboro w Karolinie Północnej, uznałby to za ostrzeżenie mafii.

— Grozicie mi?

— Nie! Nie my! — zawołała panni Evelyn.

— Musisz uwierzyć nam na słowo — oznajmiła panni Judea kategorycznym tonem nauczycielki z podstawówki.

— Drogie panie, dziękuję za pyszną kolację i mam nadzieję, że pozostaniemy w przyjaźni, kiedy będę remontować dom, ale utopiłem w nim wszystko, co miałem. Muszę go odnowić i sprzedać.

Spojrzały na siebie ze zgrozą.

— Sprzedać!

— O, panni Judy, on nawet w nim nie zamieszka, tylko znajdzie jakąś nieszczęsną rodzinę i...

— Tak nie wolno robić, drogi panie!

Tego nie mógł już znieść. A co gorsza był zażenowany, bo nie wierzył w ich płynące z samego serca ostrzeżenie. Przyjęły go gościnnie, a on nie zamierzał się zrewanżować tą niewielką uprzejmością, o jaką prosiły go w zamian. Niby dlaczego? Jeszcze niczego nie podpisał. Mógł się wycofać. Nie zrobi tego tylko dlatego, że nie chce, by Cindy Clay-

bourne uznała go za szaleńca.

Zaraz. Tylko dlatego? Przede wszystkim to nie ich sprawa, a dom jest dla niego idealny, ponieważ potrzeba tylko jego umiejętności, wyobraźni i wysiłku, by zmienić go w dzieło sztuki, znowu nadać mu znaczenie. Trzy wariatki z naprzeciwka to jeszcze nie powód, żeby porzucać taką okazję, a może nawet szansę na pierwszy od lat związek z kobietą. Dobra kolacja nie daje im jeszcze prawa do decydowania o takich rzeczach.

Odłożył wilgotną ścierkę.

— Przepraszam, ale mam jutro dużo pracy. Muszę iść spać.

Ruszył ku drzwiom, lecz panni Evelyn i stanęła mu na drodze.

— Chyba nie musisz tak szybko wychodzić? — Miała bardzo dziwny głos. I zaczęła delikatnie skubać jego rękaw.

Ona go uwodziła! Ta kobieta miała ze sto lat, a zachowywała się jak kokota. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy uciekać.

— Puść go, robisz z siebie idiotkę!

Panni Evelyn natychmiast cofnęła dłoń, ale nie zrezygnowała. Odwróciła się do przyjaciółki z rozjaśnioną twarzą.

— Wiem! Może pozwolimy mu sprzedać nasz dom?

— A może zastanowisz się przez chwilę? On nie sprzedaje domów, tylko je remontuje, czego ten dom nie potrzebuje. A nawet gdyby potrzebował, to co z Gladys?

— Drogie panie, nie potrzebuję waszego domu, mam własny.

— Wydaje ci się, że do ciebie należy. — Panni Evelyn nadal się z nim spierała, ale ustąpiła z drogi.

— Zamierzam własnymi rękami uczynić go moim domem — oznajmił. — A kiedy wyremontuję tę ruinę, cała okolica od razu zyska na wartości. Nie mam pojęcia, dlaczego wam się to nie podoba i przykro mi z tego powodu, ale...

W zlewie nie było już wody, a panni Judea miała suche ręce. Podeszła do niego, kręcąc głową i zaczęła delikatnie popychać go ku drzwiom. Ledwie zdążył je otworzyć.

— Nie przepraszaj — powiedziała. — Rób, co do ciebie należy. Tylko pamiętaj, jeśli ten dom zacznie ci sprawiać kłopoty, przyjdź do nas.

Don znalazł się nagle na tylnym ganku powozowni. Obie staruszki stały w drzwiach, chcąc mu jeszcze coś przekazać.

— Mieszkałyśmy tam — powiedziała panni Evelyn. — Od dwudziestego ósmego roku, aż Gladys zabrała nas stamtąd w trzydziestym piątym. Jesteśmy bardzo, bardzo stare. Wiemy, co mówimy.

— Przyjdź do nas, jeśli tylko coś się wydarzy, kiedy tylko zechcesz — mówiła panni Judea. — A teraz wracaj do siebie i śpij dobrze, jeśli możesz.

Było to ostatnie słowo. Panni Judea zamknęła drzwi; został sam na ganku, wśród ciem i komarów. Dopiero wtedy zauważył, że ciągle ma w ręku ścierkę. Zastanowił się,

czy nie zapukać do domu, ale pomyślałyby, że zmienił zdanie. Przewiesił ścierkę przez balustradę schodków i ruszył do domu. Tym razem nie przeskoczył przez płot — miał jeszcze tyle rozumu, żeby nie popisywać się w ciemnościach, kiedy był taki zmęczony. Stał przy krawężniku i przyjrzał się pograżonemu w mroku domowi Bellamych. Najbliższą latarnię zasłaniały poruszające się na wietrze liście, a na tle księżycy nieustannie przepływały chmury, więc dom wyglądał, jakby się ciągle zmieniał. Zmieniał się, lecz pozostawał niezmienny. Linie jego fasady były czyste, struktura mocna.

Don wyjął klucz, otworzył frontowe drzwi i wszedł ostrożnie do pokoju oświetlonego słabym blaskiem latarni. Namacał wiszący reflektorek, przesunął dłonią po przewodzie aż do włącznika. Światło rozbłysło tak oślepiająco, że musiał przez chwilę stać nieruchomo, by przyzwyczaić oczy. Wszystkie sprzęty wyglądały dziwnie, ponieważ reflektor wisiał nisko i w dodatku się kołysał. Zwłaszcza grupy mebli pod ścianami wyglądały wyjątkowo odpychająco.

Zamknął zasuwę na drzwiach wejściowych i schował klucz do kieszeni.

Jego prycza stała pod ścianą południową, ścianą nośną, oddzielającą pokój od schodów. W parę chwil przygotował posłanie, potem rozwinął śpiwór. Noc była na tyle ciepła, że mógł się nie przykrywać, ale jednocześnie tak chłodna, że nie powinien się rozbierać. Usiadł na pryczy, zsunął buty, opróżnił kieszenie, wykładając z nich wszystko na warsztat, zgasił światło i wyciągnął się wygodnie.

Ale nie mógł zasnąć, choć był zmęczony i najedzony. Nasłuchiwał szeleszczącego w liściach wiatru i cykania świerszczy. Co te kobiety sobie wyobrażają? Powiedziały, że były tutaj pod koniec lat dwudziestych. Jak to możliwe? Wtedy panowała tu segregacja rasowa i biała kobieta nie mogła wspólnie prowadzić gospodarstwa z czarną... jeśli mieszały razem, przynajmniej jako gospodynie własnego domu. Czy były służącymi? A może wydarzyło się tu coś złego? Może właściciel zamordował żonę lub popełniono inną zbrodnię? A one są przekonane, że to dom jest zły, a nie ludzie, dla których pracowały.

Co ja robię? Zajmuję się życiem obcych ludzi. Jak mogę to robić, skoro nie potrafię zająć się własnym życiem?

— Wariatki — mruknął.

Doprowadzają mnie do szaleństwa. Tego nie mógł powiedzieć głośno. Spał samotnie w tak wielu opuszczonych domach, a teraz dwie starsze panie pomieszały mu w głowie. No, to się zaraz skończy. Wszystko co najgorsze już mu się przytrafiło. Stracił córkę, stracił żonę i obie pochował. Nie da się przestraszyć odgłosem pustego domu. Jeśli trzaski staną się zbyt dokuczliwe, znajdzie to, co tak trzeszczy, i usunie przyczynę. Ten dom należy do niego, a raczej będzie należał, już jutro rano. Jeśli coś mu dolega, on go uzdrowi. Był lekarzem domów. Zanim skończy, obie panie będą tu przychodzić z wizytami, a ich okrzykom zachwyty nie będzie końca.

A może będą siedzieć w domu i wbijać szpilki w laleczkę z napisem „Don Lark”. Właściwie było mu wszystko jedno.

Przewrócił się na bok i zastosował niezawodne lekarstwo na sen. Wyobraził sobie pokoje i zaczął obliczać wymiary podłogi i ścian w przeliczeniu na koszt tapet i dywanu, a także boazerii i...

Nigdy nie udało mu się dojść dalej. Zasnął.

Rozdział siódmy

Dzika lokatorka

Don nie lubił swoich snów, ponieważ były jeszcze gorsze niż jawa. Były albo bezsensownymi, dzikimi fantazjami, albo wspomnieniami, również niemożliwymi do opanowania i przeładowanymi nieznośnym znaczeniem. I przychodziły co noc. Wyrwał się z nich, budził się niemal równie często jak starzec z chorą prostatą, aż wreszcie dotarł do punktu, w którym zdawał sobie sprawę, że śni, że wkrótce się obudzi, że sen jest nie-realny albo przedstawia przeszłość zbyt odległą, by można ją było zmienić. A jednak nie potrafił go przerwać, nie mógł nawet opanować strachu, wściekłości i rozpacz.

Może to oczekiwanie na podpisanie umowy sprawiło, że tym razem sen dotyczył prawników. Don ujrzał się za biurkiem, naprzeciwko Dicka Frienda, cieszącego się w Greensboro opinią prawnika, z którym lepiej nie zadzierać. Prawnika, którego chciałoby się mieć po swojej stronie, choćby ze strachu, że jeśli się go nie zatrudni, zrobi to przeciwnik. Don przyszedł do niego jako człowiek dość zamożny i szanowany. Słyszał samego siebie; opowiadał o wszystkim od początku i zakończył tak jak zawsze — chcę, żeby córka do mnie wróciła. Nie jest bezpieczna przy mojej byłej żonie.

A Friend, nasrożony i władczy, wyjaśnił mu, że skoro matka nie została oskarżona o żadne przestępstwo, sąd nie okaże zrozumienia.

— Wynajmij prywatnego detektywa, niech zdobędzie dowody przeciwko niej.

Przecież próbował. Wydał prawie dziesięć tysięcy dolarów. Fotografie niczego nie dowodzą, powiedział policjant, a oni nie będą zainteresowani tą sprawą, chyba że Don da im znać, kiedy jego żona zamierza kupić narkotyki, by mogli złapać dealera.

— Rozpoczęcie prawdziwej sprawy oznacza wezwanie rzeczoznawców. A kiedy przegrasz, apelacje będą kosztować jeszcze więcej. Możesz przegrać, Don.

— Warto zaryzykować.

— Chyba nie, jeśli koszty procesu wyniosą tyle, że nie będzie cię stać na utrzymanie dziecka, a nawet na alimenty.

— Za które ona kupuje narkotyki.

— Tego nie możesz udowodnić. Sąd zawsze bardziej ufa matce.

— Ale mam szansę.

— Istnieje także szansa, że księżyc wpadnie do morza i nie narobi plusku. Ale czy warto na to stawiać cały majątek?

— Moja córka jest warta majątku. Odbierz ją tej kobiecie, Dick.

Od strony drzwi dobiegło nagle trzaśnięcie. Drzwi otworzyły się, ale nikt za nimi nie stał. Don poczuł ciarki na plecach. Ze wspomnienia sen zaczął się zmieniać w koszmar. No, stary, dajże już spokój. Obudź się, zanim zobaczysz samochód rozbijający się o beton, dziecinne krzeselko wyrzucone przez przednią szybę i uderzające o cementową ścianę.

Otworzył oczy. Leżał na pryczy w salonie domu Bellamych. Wiatr na zewnątrz ucichł. W domu panowała cisza.

I znowu usłyszał skrzypnięcie. To nie był zwyczajny odgłos pustego domu. Ktoś szedł po schodach.

Don usiadł i namacał w ciemnościach buty. Jeśli będzie musiał biec — za intruzem albo uciekać — w butach będzie mu łatwiej. Kolejny skradający się krok. I jeszcze jeden. Don odnalazł w ukośnym świetle latarni latarkę i ulubiony młotek. Była żona nazywała go „śpiewającym mieczem”... w czasach kiedy jeszcze się lubili. Masywny, długi, mógł stanowić poręczny oręż. Dobry przeciwko wszystkiemu z wyjątkiem broni palnej.

Teraz, uzbrojony, Don postanowił dać intruzowi szansę ucieczki. Po co komu walka? Jeśli narzędzia są nietknięte, to nic się nie stało — może z wyjątkiem wybitego okna czy wyłamanych zamków. Włączył latarkę i podszedł do stóp schodów. Tak jak się spodziewał, odgłosy nie dochodziły z głównej klatki schodowej. Intruz pewnie wchodził po schodach prowadzących na strych.

Don ruszył za nim.

— Hej ty, kimkolwiek jesteś! — zawołał. — Nie mam broni i nie zamierzam cię skrzywdzić. — Okłamywać intruza w środku nocy to z pewnością nic wielkiego. W końcu młotek nie jest bronią, prawda? — Tylko wyjdź z mojego domu.

Na górze kolejno otwierał drzwi i omiatał pokoje światłem. Było tu wiele kryjówek. Musiał wchodzić do środka, zaglądać do szaf, za łóżka i toaletki. Pusto. Pokój za pokojem.

— Jeśli wyjdiesz po dobroci, nic się nie stanie. Nie wezwę glin i w ogóle.

Dźwięki ustały. Intruz przestał iść. Czeka? A może się zaczął?

Zgrzyt metalu o metal. Dopiero po chwili Don rozpoznał ten dźwięk. Metalowe kółka zasłonki od prysznicza, przesuwane się po pręcie.

Ruszył prosto do łazienki na końcu korytarza. W drzwiach była niewielka szpara. Intruz mógł mieć broń, a Don nie zamierzał zrobić z siebie łatwego celu. Stał przytulony do ściany i popchnął drzwi, by je otworzyć. Żadnej reakcji.

— Nie musisz się bać, nikomu nic się nie stanie.

Nie był pewien, czy mówi do intruza, czy do siebie. Zrobił parę kroków ku łazience

i oświetlił ją latarką. Nie zobaczył nikogo, ale zasłonka prysznicowa była zaciągnięta, a Don pamiętał, że kiedy stał tu razem z Cindy, kiedy ją tu całował, zasłonka z całą pewnością była odsunięta pod ścianę. Teraz była zaciągnięta, ale dół pozostał na zewnątrz wanny. Gdyby z prysznicowa płynęła woda, na podłodze zrobiłby się potop. Przypomniał mu się film „Psychoza”; pomyślał, że nawet nie wie, którą rolę odgrywa.

A kiedy tak stał, jego uczucia nagle uległy zmianie. Strach się rozplątał, pojawił się gniew. Jak ktoś śmiał włamać się w nocy do jego domu? A potem chować się w takim oczywistym, głupim miejscu? Oburzające! Nie będzie tego tolerować.

Właśnie tak ludzie dają się zabić, pomyślał. Zapominają o strachu, wpadają we wściekłość i zaczynają działać.

Ale przecież nie mógł stać przez całą noc przed prysznicem i czekać, aż zasłonka sama się rozsunie. Wreszcie podjął decyzję. Czterema szybkimi krokami znalazł się przy wannie i szarpnął zasłonę, trzymając młotek w pogotowiu, na wypadek gdyby musiał się bronić.

Owszem, znalazł intruza. Kobieta w nędznej sukience kuliła się w wannie i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Krzyknęła, co rozwiązało problem, kto jest bardziej przestraszony. Krzyknęła jeszcze raz i Don cofnął się o krok, opuszczając rękę z młotkiem.

— Cicho bądź, przestań. Nikt ci nie zrobi krzywdy — powiedział.

Nie odrywała oczu od młotka. Jej krzyki przeszły w słabe popiskiwanie, potem w dyszenie. Ale kiedy na niego znowu podniosła oczy, w jej spojrzeniu ciągle czaił się obłądny strach. Natychmiast tknęło go poczucie winy. Ta kobieta krzyczy ze strachu przede mną. Gdzieś popełniłem błąd. A może nie ja, tylko ona? Wygląda na bezdomną. Może weszła przez okno, może zrobiła tu sobie bezpieczne legowisko. Słyszając jego głos, przestraszyła się pewnie bardziej niż on na dźwięk jej kroków na schodach. Nie mogła wiedzieć, że dom znalazł nowego właściciela. A on nagle się pojawił, stanął przed nią z uniesionym młotkiem.

— Jak się tu dostałaś? — spytał.

Wpatrywała się w niego w osłupieniu.

— Ja tu mieszkam — wyszeptała wreszcie.

A więc miał rację. Dzika lokatorka.

— Może tak było, ale teraz już nie możesz tu mieszkać. Jak wyłamałaś zamki?

— Ależ ja byłam w środku. — Spojrzała na niego jak na idiotę.

— Więc słyszałaś, że tu chodzę. Dlaczego nie wyszłaś frontowymi drzwiami, kiedy byłem na zapleczu? Mogłaś się stąd wydostać w każdej chwili.

Zastanowiła się nad tym.

— Nie mam dokąd pójść.

— Daj spokój, są przecież przytulki dla bezdomnych.

— Nie mogę tam iść.

Kiedyś wstąpił razem z żoną do grupy ochotników, którzy podawali obiad bezdomnym w przytułku w Greensboro... żona jeszcze wtedy udawała, że wiedzie normalne życie. Wszyscy bezdomni zachowywali się najlepiej, jak mogli — podobnie jego żona — ale i tak robili wrażenie podłej zbieraniny. Dlatego nie mógł się spierać z tą kobietą, nie mógł jej zapewnić, że będzie się tam dobrze czuła. Im dłużej się zastanawiał, tym większą zyskiwał pewność, że nie zauważył tam żadnej kobiety. Może są osobne przytułki dla kobiet. Dowie się tego bez trudu.

— Pomogę ci — zaproponował. — Zawiozę cię na miejsce.

— Nie. — Potrząsnęła głową.

Ten opór obudził w nim rozdrażnienie.

— Co ty sobie wyobrażasz? Że będziesz mogła tutaj zostać? Jak długo by to potrwało? Już to widzę. Skończyłem remont, przyprowadzam klientów i mówię: „A to wasza bezdomna, która sypia w wannie na piętrze”.

Młoda kobieta roześmiała się, lecz w jej głosie dzwięczała histeryczna nutka. Don nie chciał być opryskliwy, ale nie chciał też jej zostawić w wannie.

— No chodź, bo wezwę gliny.

— Nie wyrzucaj mnie — poprosiła. — Nie dziś.

To najgorsze, co kobieta może zrobić mężczyźnie: wyglądać bezbrinnie i prosić go o litość. Jeśli on odmówi, sprzeciwi się swoim instynktom opiekuna i obrońcy. Na szczęście rozumiał ten mechanizm — nie mogło być inaczej, tyle książek o kobietach i mężczyznach przeczytał, starając się ratować swoje małżeństwo. Dlatego nie zamierzał poddać się naturalnym instynktom. Postąpi racjonalnie i rozsądnie. Choć właściwie nie wyglądała niebezpiecznie. Nie miał się czego obawiać z jej strony.

— Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz?

— Nie wyrzucaj mnie tej nocy, tylko o to mi chodzi.

Nie mówiła prawdy, o czym oboje wiedzieli. Odwróciła spojrzenie. Prosiła o tylko jedną noc. Dlaczego rano miałyby się coś zmienić?

— Nie potrzebuję towarzystwa.

— Nawet mnie nie zauważysz.

— Już cię zauważyłem. Dlatego rozmawiamy.

Wyprostowała się ostrożnie, nadal odsunięta jak najdalej, przytulona do ściany.

— Kiedyś wynajmowałam tu pokój — wyjaśniła. — Płaciłam czynsz, regularnie. W college'u. Ale od tego czasu nic mi się nie układa. Dom stał pusty, nie miałam dokąd iść. To mój dom. Proszę...

Była tak bezradna, że niemal go to zabolowało. Ale prosiła, żeby zrezygnował dla niej ze spokoju. Dla kogoś zupełnie obcego, dla dziewczyny, która kryje się w opuszczonych domach. Chociaż właściwie czy on też nie był kimś takim? Różnica polegała tylko na

tym, że on płacił za swoje kryjówki.

— Słuchaj, przykro mi. Jest ci ciężko, ale mnie też, a ten dom należy do mnie i muszę...

Co musi? Co jej powinien powiedzieć? Muszę zamknąć się tutaj i rozpaczać w samotności, więc wyrzucę cię na ulicę, gdzie będziesz żyć bez dachu nad głową, ponieważ nie mogę znaleźć wolnego pokoju w tym wielkim domu...

— Właściwie co to ma znaczyć? Dlaczego wszystkie kobiety uparły się, żeby mnie powstrzymać...

Wreszcie zdał sobie sprawę, że nie kłóci się z nią ani nawet z byłą żoną. Kłócił się z samym sobą. I prawie przegrał. Nie mógł znieść myśli o mieszkaniu z tą dziewczyną, ale nie mógł też wyrzucić jej na ulicę. Na pewno nie teraz. Która godzina? Druga, trzecia nad ranem? Był zmęczony i chciał wrócić do łóżka.

— Dobrze, możesz dziś zostać. Rozumiesz? Jedna noc. Powtórz za mną: jedna...

Zrobiła dwa kroki w jego stronę — tylko na tyle pozwalały wymiary wanny — i rzuciła mu gniewnie w twarz:

— Nie mów do mnie tym tonem!

— Jakim?

— Jak do córki!

To go zabolalo. Jego córka, jego mała dziewczynka. Mogła stać się kimś takim, bezdomna, opuszczona, skulona w czyjejs brudnej wannie. Powinien ją wychować tak, żeby była silna, wolna i niezależna.

Ale może ona także została odebrana ojcu. Może zabrała ją i wychowała jakaś nieodpowiedzialna...

Nie. Nie pozwoli, żeby w jakimś mrocznym zakątku jego psychiki zajęła miejsce córeczki.

— Skoro ci się nie podoba, możesz sobie iść.

— W takim razie mów, co chcesz.

Jej ton i zuchwała postawa świadczyły, że nie zamierza się stąd wynieść bez względu na wszystko, a on nie miał ochoty pozbawić się resztek snu i wyrzucać ją o tej nieludzkiej godzinie. Musiałby użyć siły, czego nie znosił, albo wyjść z domu, żeby sprowadzić na pomoc policję, a to także mu się nie podobało.

— Możesz zostać przez tę noc — powtórzył. — Rano ma cię tu nie być. I nie dotykaj moich narzędzi. Jeśli cokolwiek zniknie, wezwę gliny i znajdziesz nocleg w pudle. Jasne?

Ta twarda przemowa zrobiła na niej równie słabe wrażenie, jak na nim.

— Mam to powtórzyć?

— Teraz ja tutaj mieszkam i pracuję. A przywykłem do samotności.

Była to prawda. Dziewczyna chyba zrozumiała, że Don nie udaje. Tak właśnie wygląda-

dało jego życie. Nie było w nim miejsca dla nikogo, a ten dom stał się teraz jego życiem i na tym koniec. Chyba to zrozumiała, ponieważ zamilkła.

Ale nie zgodziła się z nim. Rano będzie musiał powtórzyć wszystko od początku, oczywiście jeśli przedtem ona nie zabije go w nocy młotkiem. A jeśli to zrobi, ha, wtedy w domu zrobi się miejsce dla nich obojga.

Opuścił łazienkę, ale jej naburmuszone milczenie doprowadzało go do wściekłości. Wreszcie nie mógł wytrzymać i krzyknął, idąc korytarzem:

— Skoro chcesz mieszkać w opuszczonym domu, zrób tak jak ja! Zaczynj od zera! Znajdź sobie gdzieś starą pustą przyczepę!

Wreszcie się ocknęła. Był już w połowie schodów, ale jej przeszywający rozgniewany głos dobiegł go całkiem wyraźnie, mimo głuchego pogłosu łazienki. Czyżby ciągle stała w wannie?

— Będziesz zadowolony, jeśli znajdę sobie pudło po telewizorze?

Chciał odpowiedzieć: „A może psią budę?”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Kłócił się z nią jak dziecko. Jakby byli rodzeństwem i tylko czekali, aż rodzice ich rozdzielą. Zachowywał się, jakby znajdowali się na tym samym poziomie, a tak przecież nie było. Ten dom należał do niego, na litość boską, i to nie prawem dziedziczenia czy głupiego przypadku. Kupił go za własną krwawicę.

Usiadł na pryczy i znowu zaczął zdejmować buty, wymyślając sobie od idiotów. Ta głupia dziewczyna nie musiała się nawet z nim kłócić. Powinien sam siebie zbić za to, że pozwolił jej tu zostać.

Z piętra dobiegł go jej głos:

— Przyjaciele nigdy ci nie pomogli?

Nieprzyjemne ukłucie. Wiedział, jak wiele zawdzięczał przyjaciołom, dzięki którym mógł zacząć życie na nowo.

— Nie jesteś moją przyjaciółką!

— Skąd niby masz wiedzieć, kto jest twoim przyjacielem, dopóki ci nie pomoże?

Na to nie miał odpowiedzi. Za to rzucił butem o ścianę.

— A to co? — Głos brzmiał słabiej. Gdzie była teraz? W którym pokoju spała? Żaden nie wyglądał na zamieszkały. No, wszystko jedno, rano już jej nie będzie. Rano podpisze umowę. Ciekawe, co by pomyślała Cindy, gdyby wiedziała, że tej nocy w jego domu była kobieta? Takiej komplikacji nie potrzebował.

Rzucił drugim butem.

— Co ty tam robisz! — zawołała dziewczyna.

— Co chcę! — odkrzyknął. — To mój dom! Bądź cicho i śpij!

Położył się i zamknął oczy. To niesprawiedliwe, żeby go obarczać jej nieszczęściem. Przecież na to idą podatki, może nie? Żeby biedni mieli instytucje, do których mogą się zwrócić, i żeby nie prosili o tak bezpośrednią pomoc. A ona nawet nie zachowuje się jak

żebraczka na ulicy. Nie, ona go napastuje w jego własnym domu. Który powinien być twierdzą.

Oczywiście, jej się wydawało, że dom należy do niej i jest jej twierdzą. W jej oczach to on był intruzem.

Szaleństwo, wszystko razem. To, że pocałował Cindy w łazience na piętrze, powinno wyczerpać limit szaleństw na ten dzień. A potem kolacja z szalonymi staruszkami z naprzeciwką i ich ostrzeżenia. I wreszcie ta bezdomna dziewczyna — no, może właściwie kobieta — ma czelność pytać go, czy może tu zostać. Jakby chodziło o podanie jej szklanki wody. Czy mogę uwić sobie gniazdko w twoim domu, zaglądać ci przez ramię i włączyć pod nogi? Czy mogę zniszczyć twoje odosobnienie, odebrać ci spokój i zmusić do przebywania w moim towarzystwie, choć w tej chwili chcesz tylko, żeby wszyscy zostawili cię w spokoju? Jak mógł okazać się takim gburem i nie ucieszyć się na tę propozycję?

Znowu mruknął pod nosem, jakby się modlił:

— Mieszkam i pracuję sam.

Jak wszystkie jego modlitwy, ta również nie została wysłuchana.

Rozdział ósmy

Transakcja

Don obudził się, drżąc z zimna. W pierwszej chwili chciał wpełznąć do śpiwora, żeby się rozgrzać — słaby blask zza okna zdradzał, że słońce jeszcze nie wzeszło, a w każdym razie nie rozprędziło porannej mgły. Ale wiedział, że nie rozgrzeje się na tyle, by znowu zasnąć, a poza tym musiał znaleźć toaletę. Nie wspominając już o szczoteczce do zębów i prysznicu. Pomyślał o wczorajszej ofercie Cindy. Prysznic, bez żadnych zobowiązań. Z jakiegoś powodu przypomniał sobie Ezawa, który przyjął miskę soczewicy od brata Jakuba. Nie chciał mieć długów u nikogo.

I to mówi facet, który wczoraj dał się skusić na darmową kolację u szalonych staruszek.

Wspomnienie ostatniego wieczora przywiodło mu na myśl nocne odkrycie. Czy nadal była w domu? Spojrzał na swoje rzeczy, zadowolony, że z przyzwyczajenia trzymał je w jednym pomieszczeniu. Niczego nie brakowało. Nawet „śpiewający miecz” leżał tam, gdzie go wczoraj położył.

Podobnie jak jego buty. Wytrwale grzebał w rupieciach pod ścianą, aż wreszcie znalazł je tam, gdzie upadły. Natrafił też na roboczą skórzaną kurtkę, która służyła mu wiele lat, aż nabrała faktury i sztywności bliskiej granitowi. Deszcz i słońce nie przysłużyły się starej wołowej skórze.

Dopiero przy drzwiach pomyślał: Idę podpisać umowę. Zwykle na takie okazje nie wbijał się w garnitur, lecz dziś spotka kobietę, którą wczoraj pocałował. Może wczorajsze ciuchy i kurtka z czasów, kiedy Bruce Springsteen śpiewał „Born in the USA”, nie zrobią dobrego wrażenia.

Ale w końcu całowała się z mężczyzną w roboczym ubraniu.

Tak to się zaczyna, pomyślał. Usiłujesz odgadnąć, jakie ubranie jej się spodoba, i wkrótce sprowadzasz ją do domu, gdzie może ci to sama powiedzieć, ale zawsze dopiero wtedy, kiedy już się ubierzesz, co jest dla niej sygnałem do kwestii: „Zamierzasz w tym wyjść?”. Czy naprawdę jestem na to gotowy?

A raczej czy jestem gotowy przyznać, że już tego nie chcę? Mimo rozpaczy, bólu, samotności, czy życie z byłą żoną nie było lepsze niż wszystko inne? Nie każda kobie-

ta porywa ci dziecko i ginie z nim w płomieniach. Cindy była kobietą, której powinien szukać. To nie instytucja małżeństwa jest winna niepowodzenia, to nie on zawiódł. Musi zmienić jedynie osobę, z którą się zwiąże. Więc dlaczego nie zrobić na Cindy wrażenia? Dlaczego nie ubrać się dla niej ładnie?

Znalazł garnitur zapakowany w pokrowiec. Jego sądowy strój. Nie używał go od paru lat i nawet jeśli nie trzeba go było oddać do pralni, z pewnością należało mu się prasowanie. A biała koszula? Przestał prać swoje koszule, ponieważ nie miał ich gdzie podziąć. Nawet gdyby je poskładał, i tak by ucierpiały, wepchnięte do toreb.

Zapiął pokrowiec z garniturem. Wyjął względnie czysty podkoszulek i szorty, które nie wydzielały żadnego wyraźnego zapachu. Wyszedł na dwór.

Zaczął zamykać drzwi, ale zawahał się przez chwilę. Skoro weszła, to zdoła także wyjść. Nie wiedział, jaką drogą dostała się do domu, ale z pewnością nie uda się jej zabrać co bardziej cennych narzędzi. W końcu nikt jej tu nie zapraszał, prawda?

W połowie drogi do furgonetki nawiedziły go wątpliwości. Była w środku, kiedy założył zamki, czy nie tak powiedziała? A to, że zagnieżdżyła się w jego domu, nie oznacza jeszcze, że nie jest godna ludzkiego traktowania.

Wrócił na ganek, otworzył drzwi i zawołał, przechylając się przez próg:

— Hej! Ty! Jak ci tam! Jadę do MacDonalda na siusiu i śniadanie. Zbieraj się!

Nakarmi ją, odwiezie do przytułku, a potem wstąpi do zajazdu dla ciężarówek, gdzie weźmie prysznic.

Ukazała się u szczytu schodów. Wyglądała jeszcze bardziej rozpaczliwie, ubrana w coś, co w zamierzonych czasach musiało być lekką podomką, lecz teraz było spłowiałe, wiotkie, smutne. Jak jej włosy. Jak jej zmęczona twarz. Ale pewnie już nie spała, skoro zjawiała się tak szybko.

— Jedź sam. Nic mi nie trzeba.

— Słuchaj, kiedy zamknę te drzwi, nie wydostaniesz się, chyba że wybijesz okno.

Spojrzała na niego z roztargnieniem.

— Naprawdę, nic mi nie trzeba.

Zaczął się zastanawiać, czy ona w ogóle rozumie, co do niej mówi. A może ma tu jakieś narkotyki? Czy przez nią naraża się na aresztowanie? Nonsens. Bezdomni nie ćpają, nie stać ich na to.

Wypełniony pęcherz przypomniał mu o naglącej przyczynie, dla której dziewczyna powinna opuścić dom.

— Co, siusiasz do zlewu? Woda nie jest jeszcze podłączona, toalet nie można splukiwać. Nie zauważyłaś?

Twój twarz jej pociemniała. Rumieniec gniewu? Czy zażenowania? Zniknęła z pola jego widzenia.

Wszedł parę kroków dalej, do stóp schodów. Nie powinien odzywać się tak grubiań-

sko. Czy Cindy potraktowałby w ten sposób?

— Przepraszam.

Tak go wychowano. Nie rozmawia się z damami o toalecie. Kiedy odstąpił od tej zasady? Gdy urodziło mu się dziecko, któremu musiał wyjaśnić funkcje fizjologiczne. Ciągle nie odpowiadała, ale nie słyszał jej kroków, więc nie odeszła.

— Nie chciałem ci zrobić przykrości.

Głos rozległ się dokładnie nad jego głową.

— Proszę, nie przejmuj się mną. Poradzę sobie.

Wszedł na trzeci schodek i zobaczył ją opartą o balustradę na górze.

— Nie mogę cię zamknąć. A jeśli będzie pożar?

— Więc zostaw drzwi otwarte. Niczego nie ukradnę.

Zrobiła otwartą aluzję do jego obaw, więc i on mógł odpowiedzieć równie jasno.

— Wszystko, co posiadam, zostawiłem tutaj.

— Ja też.

— Ale ty niczego nie masz.

To ją chyba uraziło.

— Aha. Ty też nie, jeśli nie liczyć tych rzeczy.

Oczy pociemniały jej z gniewu. A potem nagle odeszła. Po chwili usłyszał jej kroki na schodach prowadzących na strych. Szybkie, głośne. Już nie przypominały tych skradających się skrzypnięć z zeszłej nocy.

Przykro mi, jeśli cię obraziłem, pomyślał.

Znowu zamknął frontowe drzwi. Odruchowo wyjął klucz z kieszeni i włożył go do zamka. Nie może jej powierzyć całego swojego dobytku. W końcu od czego są zamki?

Znowu usłyszał własne słowa. Jeśli będzie pożar, a ona nie zdoła się wydostać i zginie, to zamknięcie drzwi będzie się równało morderstwu. No, prawie, choć nie byłaby to zbrodnia z premedytacją. Właściwie co się stanie, jeśli nie zamknie domu? Mogła sprowadzić jakichś bezdomnych koleśków, żeby pomogli jej ukraść wszystkie narzędzia. Nie było tam nic, czego nie mógłby sobie odkupić. A jeśli go okradnie, będzie musiała się wyprowadzić i wreszcie się jej pozbędzie. Czy nie jest to warte kilku tysięcy dolarów? Pewnie nie. Ale czy warto tyle zapłacić za to, żeby pozostać człowiekiem, który nie wyrzuca bezdomnej, nie zamyka jej w opuszczonym domu?

Wyszedł, niosąc koszulę i szorty. Po drodze do samochodu uchwycił kątem oka jakiś ruch. Panni Judea przycinała żywopłot, ale patrzyła na niego.

Właściwie nie strzygła żywopłotu, tylko powietrze nad nim.

A gdzie panni Evelyn? A, jest i ona. Wyglądała zza liści i ramienia panni Judei. Najwyraźniej poczuła się przyłapana i ze wstydu schowała się za przyjaciółką. Ale panni Judea nie była zawstydzona. Patrzyła wprost na niego, zimno i nieruchomo, i strzygła powietrze.

O co im chodziło? Nie miał żadnych sekretów, które mogłyby odkryć. Na nic im nie przyjdzie obserwowanie jego ruchów. A może ten sekret miał być ostrzeżeniem? Wy-
noś się z tego domu albo przyjdziemy do ciebie z narzędziami ogrodniczymi!

Otoczyły mnie kobiety, pomyślał. Jedna na piętrze, dwie... nie, trzy w domu naprze-
ciwko, a wszystkie spiskują, żeby zniszczyć moją samotność, wszystkie chcą, żebym so-
bie poszedł i zostawił im dom. A dokąd teraz idę?

Do kolejnej kobiety, która też pewnie zamierza odebrać mi samotność. Ale przy-
najmniej chce mi dać coś w zamian.

Wsiadł do furgonetki i pojechał prosto do zajazdu dla ciężarówek. Nie był głodny,
a bardzo chciał zmyć z siebie brud i pot z poprzedniego dnia. Chciał też wyprać masę
rzeczy — byłoby miło włożyć dziś czystą koszulę. Ale nie miał czasu na duże pranie,
płukanie i suszenie.

* * *

Przed agencją stało zaledwie kilka samochodów. Don zaparkował przy sable'u Cin-
dy. To pewnie dobry znak — gdyby wierzył w takie rzeczy. Ale kiedy wysiadł, uderzył
drzwiczkami w jej samochód. Po bliższych oględzinach okazało się, że na lakierze pozo-
stał ślad, którego nie da się zetrzeć, a na jego drzwiczkach zostało odrobinę farby. I co to
miałoby znaczyć — gdyby wierzył w takie rzeczy?

Agencja nie była jeszcze otwarta — za wcześniej — ale w środku znajdował się już je-
den z agentów. Don zapukał. Facet nie podniósł głowy. Don zapukał jeszcze raz. Agent
podniósł rękę, wskazał zegarek i znowu opuścił głowę. Cindy nie było widać. Może po-
szła do łazienki. Odczekał chwilę, zastanawiając się, czy naprawdę musi wejść już teraz.
Miał do załatwienia parę telefonów przed wyjazdem do prawnika, więc dlaczego miał-
by szukać automatu, skoro może wejść do agencji, która chyba zarobi na nim parę gro-
szy? Załomotał do drzwi otwartą dłonią.

Teraz agent się zdenerwował. Zobaczył, że Don podnosi rękę, by znowu uderzyć
w drzwi, i wstał tak szybko, że odepchnięte krzesło uderzyło w sąsiednie biurko. Runął
do drzwi, czerwony na twarzy.

— Otwieramy dopiero o dziewiątej!

Don nie był taki głupi, żeby zwracać się bezpośrednio do wściekłego mężczyzny.

— Czy jest Cindy Claybourne?

— A co, widać ją?

— Jej samochód stoi na parkingu.

— Ona chodzi do domu piechotą.

Więc w ten sposób zachowała dziewczęcą figurę. Pewnie jest dobrą agentką — domy
w pobliżu agencji były ładne, położone wśród drzew, z szerokimi alejkami. Don budo-
wał podobne dawno temu.

Agent uznał, że okazał już całą uprzejmość, jakiej można się było po nim spodziewać.

— Jestem zajęty, więc jeśli...

Ale Don znał magiczne słowo: transakcja. Przyzwoity agent, choćby nie wiadomo jak wściekły, nie będzie zniechęcać klienta koleżanki. A miał przed sobą przyzwoitego agenta.

— Jasne — powiedział facet zawistnie. — Proszę wejść. — Wyciągnął do niego rękę.
— Ryan Bagatti. Mam biurko obok Cindy.

Całkiem jak w podstawówce. Siedzę z Cindy w jednej ławce.

— Szczęściarz — skomentował Don.

Bagatti przewrócił oczami.

— Powinna tu na pana czekać.

— Może przyszedłem za wcześnie. Pan też się pospieszył.

Zauważył, że Bagatti nie siedział na swoim miejscu. W przeciwnym razie nie zobaczyłby go przez drzwi. Bagatti zatrzymał się przy biurku, które przed chwilą zajmował, ale tylko po to, żeby zamknąć jakiś program i postawić krzesło na miejsce. Potem zaprowadził Dona do biurka Cindy, posadził go na jej fotelu i usiadł na swoim, ponury pod maską profesjonalnego uśmiechu.

— Czy Cindy będzie bardzo zła, jeśli skorzystam z jej telefonu? — spytał Don.

— Cindy jest bardzo hojna, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Znany typ. Bezmózgi macho, który flirtuje z Cindy, a za jej plecami udaje, że mają romans. Don przez chwilę rozkoszował się myślą o włączeniu się do zabawy — czy to ciebie Cindy nazywa maluszkiem? — ale doszedł do wniosku, że Cindy raczej by na tym ucierpiała.

— To miejscowe rozmowy — dodał.

— Proszę się czuć jak u Cindy w domu. Wszyscy się tak czują.

Ten typ kiedyś naprawdę oberwie, pomyślał Don. Ale nie ode mnie. Niech to będzie jakiś pijak, który dostanie pół roku w zawieszeniu za czynną napaść. Gdybym kiedyś miał zacząć kogoś bić, chyba bym nie przestał.

W kieszonkowym kalendarzyku znalazł numer Micka Steubena z przedsiębiorstwa Pomocne Dłonie. Tak jak się spodziewał, Mick już siedział przy biurku.

— Mam dla ciebie dom.

— To pan, panie Lark?

— A któż by inny?

— Ile szczurów w łóżkach?

— Pięć łóżek. Kiedyś były tam mieszkania czynszowe.

— Oho, porastamy w piórka.

— Nie ma szczurów, a przynajmniej zachowują się cicho i nie srają.

- Rety, chciałbym się wżenić w taką rodzinę.
- Dziś rano podpisuję umowę, więc będzie mój dopiero po południu.
- Zbiorę chłopaków.

Firma Pomocne Dłonie oficjalnie nie zajmowała się przeprowadzkami. Teoretycznie wszystkie meble i urządzenia należało złożyć przy krawężniku. Ale Mick doszedł do wniosku, że kiedy ktoś opróżnia cały dom, nie zamierza płacić osobnej ekipie, która wszystko wyniesie, żeby inna ekipa mogła to zabrać. Dlatego zawarł niepisaną, choć znaną wszystkim umowę z ludźmi remontującymi stare domy. Zapewniał ochotników do wynoszenia mebli, pod warunkiem że dostaną hojne napiwki. W ten sposób przedsiębiorca budowlany oszczędzał na tragarzach, a Mick miał cały dom mebli i innych sprzętów, które mógł sprzedać.

- Mick, byłbyś niebezpieczny, gdybyś zaczął poważne interesy.
- Dlatego Bóg kazał mi się tu marnować. To na razie, stary.

Don wybrał następny numer. Chciał się upewnić, czy naprawdę będzie miał dziś w domu wodę. Kiedy zjawiła się Cindy, ciągle czekał na połączenie. Odłożył słuchawkę i wstał, żeby się z nią przywitać.

Ładnie wyglądała, kiedy tak szła przez całe biuro. I miała oszałamiający uśmiech. Ale zauważył jej zerknięcie na Bagattiego, dostrzegł lekkie stężenie mięśni szczęk. Był ciekaw, jak to rozegra — pocałuje go, żeby doprowadzić Bagattiego do szaleństwa, czy powita oficjalnie, jak każdego innego klienta. Właściwie nie powinien się zastanawiać. Cindy miała klasę, a Bagatti był pluskwą. Powitała go chłodnym uściskiem ręki.

— Przepraszam za spóźnienie.

— Przyszedłem za wcześnie — odpowiedział. — Ale miałem nadzieję, że będę mógł skorzystać z darmowego telefonu.

— Załatwiamy interesy na Tajwanie? — rzuciła. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej akta.

— Tak to już jest, kiedy trzeba pamiętać o strefach czasowych. Ale pan Bagatti powiedział, że mogę dzwonić.

— Cha, cha — mruknął Bagatti. — Wystukał pan tylko siedem cyfr.

— Do zobaczenia, Ryan — ucięła Cindy. — Proszę tędy.

Za drzwiami Don pozwolił sobie na cichy śmiech.

— Nigdy bym nie podejrzewał, że umie liczyć do siedmiu.

— To neandertalczyk, ale potrafi zawierać transakcje z klientami określonego rodzaju.

— Kiedy przyszedłem, siedział przy czymś biurku i pracował na komputerze.

— Lubi podglądać, ale wszyscy o tym wiemy i nikt nie zostawia tu nic ważnego. Wydaje mu się, że jest prawdziwym rekinem.

Byli już w połowie drogi do samochodów. Don objął ją w talii; czuł się trochę jak na-

stolatek na pierwszej randce. I tak jak na pierwszej randce, oberwał po łapach. Poczł, że Cindy odrobinę się odsuwa.

— Przepraszam — powiedział i cofnął rękę. Co się stało? Czy żałuje tego wczorajszego pocałunku? A może właśnie zauważyła zadrapanie na drzwiach sabl'a.

— Pojedźmy moim samochodem — powiedziała.

Tak właśnie zamierzał zrobić, ale teraz się zawahał.

— Mogę wziąć swój, żebyś nie musiała ze mną wracać po podpisaniu umowy.

Podeszła do samochodu i otworzyła drzwi od strony kierowcy. Don stanął pomiędzy oboma pojazdami, gotów wsiąść albo od strony pasażera, albo do własnej furgonetki.

— Chcesz mnie unikać? — spytała Cindy.

Co miał odczytać z tego spojrzenia? Gdyby przed chwilą nie odtrąciła jego ręki, podejrzewałby, że patrzy na niego z bólem i pożądaniem. Takie spojrzenie mają dziewczyny w liceum, ale pewnie z czasem dochodziły do wniosku, że nie powinny go używać, ponieważ mężczyźni łatwo się na nie łapiają, a później nie dają się spławić. No, Cindy, o co chodzi? Ale zamiast rozpocząć dyskusję ponad dachem samochodu, doszedł do wniosku, że dyskrecja jest tu bardziej pożądana. Wsiadł.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Cindy wybuchnęła potokiem gorączkowych słów: jak to prawnik był na tyle miły, że znalazł dla nich czas przed rozpoczęciem normalnych godzin pracy. Don przytakiwał, wyrażał swoją opinię na temat prawników i potwierdzał, że są mili, lecz nie powstrzymał się od uwagi:

— Co z tego, że znalazł czas, chyba nie robi tego za darmo?

Roześmiała się.

— Trafiony.

Byli już na Market Street i jechali w kierunku centrum czteropasmówką bez zatok do zjeżdżania. Ku jego zaskoczeniu Cindy zatrzymała samochód tuż przy krawężniku, mimo iż pojazd za nimi ryknął klaksonem, a kierowca bluznął przez okno wyzwiskami. Nie zwróciła na niego uwagi; odwróciła się ku Donowi i pocałowała go namiętnie. Potem bez słowa zdjęła stopę z hamulca i włączyli się do strumienia samochodów.

— Ja też się cieszę, że cię widzę — powiedział Don.

— Przepraszam, jeśli wcześniej cię uraziłam. Nie mogłam znieść myśli, że Bagatti... wiesz.

— Pewnie nie pozwoli ci o tym zapomnieć.

— Więc jeśli patrzył, zobaczył tylko, że klient chciał mnie poderwać, a ja go odrzuciłam. Wybacz.

— Nie ma sprawy.

Czy rzeczywiście? Mogła mu to wytłumaczyć już na parkingu. Bagatti nie mógłby ich usłyszeć. Ale ona go wyczekała, pozwoliła mu denerwować się w milczeniu, aż wreszcie uznała, że pora odpuścić. A nawet wtedy to ona zaczęła go całować. Może chciała decy-

dować o tym, co się dzieje między nimi.

A zresztą która kobieta nie chce mieć na to wpływu? Tylko większość z nich czeka aż do ołtarza, dopiero potem przejmuje dowodzenie. Cindy była na tyle uczciwa, że od samego początku pokazała mu, co się święci.

— Przez całą noc myślałam o tobie — mówiła właśnie. — Wiesz, że nie jestem taka, ale... czasami bardzo bym chciała być.

Chyba nie mogłaby powiedzieć nic lepiej obliczonego, żeby wstrząsnąć mężczyzną niegdyś żonatym, lecz od czterech lat żyjącym w celibacie. W jednej chwili zapomniał o wszystkim, ogarnięty czystą żądzą.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy komuś, kogo wiesz do prawnika.

— Co, kancelarie nie działają trzeźwiaco?

— Jak amoniak.

Parsknęła cichym śmiechem.

— I tak musimy utrzymać naszą przyjaźń na bardziej wzniosłym poziomie, skoro ty nie jesteś z tych, a ja nie jestem taka.

Doskonale wiedziała, jak na niego działa. A jednak ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że go świadomie prowokuje. Może tylko jest z nim zupełnie szczerą i nie obchodzi jej konsekwencje. Skąd można to wiedzieć, skoro zachowuje się tak, jakby była absolutnie szczerą, a jednocześnie nim cynicznie manipulowała?

Mimo tego podniecającego wstępu zamknięcie transakcji przebiegło szybko i gładko. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nużące formalności są zwykle powodowane przez bank. O wpół do dziesiątej miał dom na własność. Dziwne, że nie czuł się wspólnie. Myśli bez reszty zajmowała mu Cindy.

Powinien ją zaprowadzić do domu, opowiedzieć o swoich planach, wysłuchać historii jej życia, na czym upłynąłby im czas do obiadu. Znaleźć się w miejscu, w którym wymienili wczoraj pierwszy pocałunek... Ale przecież była tam ta bezdomna dziewczyna, a on nie miał sił wyjaśniać wszystkiego Cindy. Nie dlatego że nie uwierzyłaby; chodziło o to, za kogo go będzie uważać. Może uzna, że jest dobry, co nie będzie prawdą, ponieważ nie mógł się doczekać, kiedy wyrzuci tę dziewczynę ze swojego domu. Co bardziej prawdopodobne, pomyśli, że jest mięczakiem, facetem bez charakteru. To chyba odpowiadało rzeczywistości. Ale nie chciał, żeby Cindy tak o nim myślała.

Dlatego milczał, kiedy wracali do samochodu. Był to najgorszy z możliwych obrót sytuacji, ale jak mógł mówić, skoro nic mu nie przychodziło do głowy? Poza tym ona także się nie odzywała. I co to miało znaczyć?

Podeszli do samochodu; Cindy wystukała szyfr, który odblokował wszystkie drzwi.

— A więc ta część naszej znajomości właśnie się skończyła — powiedziała.

— Chyba tak.

Co innego mógł odpowiedzieć? Musiał jednak coś wymyślić, ponieważ Cindy przed

chwila połączyła w jednym zdaniu słowa „znajomość” i „koniec”. Wiedział, że to oznacza, iż prosi go o potwierdzenie... ale potwierdzenie czego? Nie miał pojęcia, do czego chciałaby doprowadzić. Nie był pewien nawet własnych zamiarów. Dlatego wydusił z siebie tylko to „chyba tak”, co było najgorszym rozwiązaniem, bo brzmiało, jakby się zgadzał na koniec ich znajomości.

Cindy usiadła za kierownicą. Zajął miejsce obok. Zapięła pasy bezpieczeństwa. Gdyby nie powiedział nic więcej, wszystko by się skończyło, nim się zaczęło, w dodatku przez niego. A jednak coś w nim już ustępowało, już się ugięło, już mówiło: „Miła dziewczyna, ale jesteś urodzonym samotnikiem, lepiej nie komplikuj sobie życia”.

Może coś w nim tak myślało, ale gdyby się na to zgodził, nie byłby mężczyzną, za jakiego chciał się uważać. Dlatego kiedy Cindy usiłowała trafić w zapięcie pasa, wziął ją w objęcia. Pocałunek był bardzo przekonujący.

Nie odsunęli się od siebie. Potarła mu nosem policzek i szepnęła wprost do ucha, łaskocząc go oddechem:

— Więc twierdzisz, że chcesz mnie nawet teraz, kiedy nie mam już żadnego domu na sprzedaż?

— A ty chcesz mnie, chociaż nie dostaniesz już prowizji.

Skubnęła jego ucho.

— Nie martwi cię, że nasz związek stał się zbyt seksualny?

— Zapytaj mnie, kiedy nie będę miał ucha w twoich ustach.

— Chcesz mnie zaraz zostawić?

— Nie wybiegam myślą tak daleko w przyszłość. — Znowu ją pocałował.

— Jak sądzisz, możesz to dalej robić, kiedy będę prowadzić?

— Pytanie brzmi: czy możesz prowadzić, kiedy będę to robić?

Wybuchnęli śmiechem.

— Witaj w liceum — powiedział Don.

— Tak to jest, co? Czy już jestem twoją dziewczyną?

— Lubisz mnie? Tak, nie, niepotrzebne skreślić.

— Niby co miałabym w tobie lubić? To że umiesz wyważać drzwi? Albo że ładnie wyglądasz, kiedy sprawdzasz toalety?

— Mogłabyś polubić mnie za to głodne spojrzenie.

— Jak bezdomny szczeniak.

— Masz ochotę na kawę? Śniadanie? Obiad?

— Wy, mężczyźni. Tylko jedno wam w głowie.

— Jedzenie.

— Ale ja nie gotuję.

— Więc dlaczego jestem taki napalony?

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Czy w tym związku było miejsce tylko na łóż-

ko? Czy dlatego właśnie z nią rozmawiał — bo bardzo dawno nie miał partnerki seksualnej? Przecież nawet nie zna tej kobiety. Czy chciał ją poznać?

Wreszcie puścił ją z objęć i usiadł prosto.

— Jedź.

— Tak jest.

Oparła rękę na zagłówku jego siedzenia i spojrzała do tyłu, cofając samochód. Kiedy wyjechała z parkingu, położyła tę rękę na jego karku i zaczęła się bawić jego włosami.

— Znam miejsce, w którym można dostać wspaniałą kawę.

— Świetnie — zgodził się, choć właściwie nie lubił kawy. Nie chciał pić czegoś, co roztrzęsie go jeszcze bardziej i nie pozwoli zasnąć w nocy.

Rozmawiali o niczym. O przykrych niespodziankach podczas zamykania transakcji, o wadach domów i o tym, jak właściciele starają się je ukryć przez nabywcami. Śmiali się jak starzy przyjaciele, którzy znają na pamięć wszystkie kawały. Zdał sobie sprawę, że minęła agencję i skręca w ulicę, przy której stoją same domy mieszkalne. A zatem wspaniałą kawę można było dostać z jej rąk.

Wysiadł z samochodu i poszedł za nią na ganek dużego domu z cegły. Dziewięć okien, duży wypielegnowany trawnik. Sporo jak na samotną kobietę. Otworzyła drzwi, a on wszedł za nią do środka. Salon wyglądał jak wycięty z żurnala. Odkąd wyszedł dekorator, nie stanęła w nim ludzka stopa.

— Usiądź — powiedziała. — Chyba że chcesz skorzystać z ubikacji. Tak jak ja.

Pobiegła na górę po schodach.

Usiadł, ale doszedł do wniosku, że ubikacja to całkiem dobry pomysł, więc podniósł się z krzesła i zlokalizował w korytarzu małe pomieszczenie z zasuwanymi drzwiami. Ledwie się w nim zmieścił. Nad toaletą wisiał obrazek grupki szopów i małej różowutkiej świnki w masce na oczach. Trzymała napis „Też jestem szopem”. Spuścił wodę, umył ręce i wyszedł. Ale zamiast wrócić grzecznie do salonu, powędrował do wielkiej kuchni. Była równie nieskazitelna jak salon. Cindy nie żartowała. Nikt tu nie gotował.

Otworzył lodówkę. Kartonowe opakowania z jedzeniem na wynos, puszki z sokiem i napojami. W zamrażarce znalazł dietetyczne i niskotłuszczowe desery. Usłyszał zbliżające się kroki, ale nie zamknął drzwiczek. Skoro zaczął myszkować po cudzym domu, nie będzie udawać, że tego nie robi.

— Jestem tutaj!

— Mężczyzna zawsze trafi do kuchni — zauważyła lekko.

Zamknął zamrażarkę i znowu otworzył lodówkę.

— Resztki dla pieska?

— Na drugi dzień zawsze lepiej smakują.

— Czyżbym spotkał kobietę równie samotną jak ja?

— Sama nie znaczy samotna, Sherlocku.

Przystąpiła do skomplikowanego rytuału parzenia kawy, zaczynając od zmielenia ziaren. Przebrała się z kostiumu w podomkę, w której na pierwszy rzut oka wyglądała młodziej, a potem starzej, kiedy jego spojrzenie uchwyciło lekkie zwiotczenie ramion i zmarszczki na szyi. Przyjrzał się im wnikliwie i doszedł do wniosku, że wcale go nie odstręczają. Stał za nią i przesunął dłońmi po jej nagich ramionach. Pocałował ją w szyję.

— Chcesz tej kawy czy nie? — spytała surowo.

— Nie lubię kawy.

Odwróciła się i pocałowała go, a on ją objął i przyciągnął ku sobie. Była miękka i uległa. Pod podomką nie miała nic. Wyciągała mu już koszulę ze spodni i przesunęła chłodnymi dłońmi po jego plecach, aż do ramion. Odsunęli się od siebie, lecz jedynie na parę centymetrów.

— Pieprzyć kawę — powiedziała. — To prawie jak gotowanie.

Dokąd to prowadzi? — pomyślał. Co będzie dalej? Dotąd spał tylko z jedną kobietą, a tutaj nagle znalazł się w środku erotycznej sceny w kuchni. Może gdyby był... ale nie zamierzał kończyć tej myśli. Wziął Cindy za rękę i poprowadził przez wahadłowe drzwi do salonu.

— Dokąd idziemy? — spytała. W odpowiedzi usiadł na nieskazitelnej kanapie, zrzucił poduszki na podłogę i przyciągnął ją do siebie.

— Tutaj?

Zauważył, że jest nieco rozdrażniona.

— Dla kogo zachowujesz ten pokój?

— Dla siebie. Żebym mogła tu wchodzić i widzieć, że wszystko jest w idealnym porządku i nie muszę tu sprzątać. — Teraz rozdrażnienie brzmiało już w jej głosie. Chciał ją pocałować. Odwróciła twarz.

— Przepraszam. Myślałem...

— Nie mogłeś znieść, że ten pokój jest doskonały.

— Nie był doskonały, dopóki ciebie w nim nie było. Ta kanapa nie była doskonała, skoro na niej nie siedziałaś. — Ujął dół jej podomki i odsłonił opalone uda. Wyglądała jak upozowana modelka. — Tylko ja nie pasuję do tego obrazka. — dodał. — Powiniennem stać tutaj, w drzwiach, i patrzeć na ciebie z pożądaniem. Nieosiągalna, urodziwa Cindy Claybourne.

Roześmiała się, ale odwróciła od niego twarz. Zawstydził ją? Wstał z kanapy, podszedł do drzwi i stanął, oparty o framugę. Naprawdę wyglądała słodko, młodo i ślicznie. Aż serce się do niej rwało.

— Cindy, jesteś tak smutna jak ja?

— Jesteś smutny? Teraz?

— Ten obraz jest zbyt doskonały. Nie chcę go zepsuć.

Wyciągnęła do niego ręce.

— Ale ja chcę.

Powinien znowu do niej podejść, usiąść obok niej, kochać się z nią. Tego właśnie chciała. On także. A jednak stał i starał się zrozumieć tę kobietę, ten pokój. Czy pasowała do tego domu? Dlaczego ten pokój musiał być nieskazitelny? Dlaczego prawie tu nie mieszkała, nie gotowała, niczego nie dotykała? Oczywiście na piętrze może być całkiem inaczej. Pewnie w jej pokoju leżą porozrzucane ubrania, a na półeczce nad umywalką stoją dziesiątki napoczętych tubek i flakoników. Czy to jego sprawa?

A jednak z jakiegoś powodu musiał jej zadać pytanie, choć nie zależało mu na odpowiedzi. Mimo wszystko musiał je zadać.

— Miałaś męża?

Przyglądała mu się przez chwilę. Potem opuściła ręce.

— Tak.

— Dzieci?

— Tak wygląda? — spytała z odrobiną lęku.

— Co wygląda? Twoje ciało? Nie.

— Więc o co chodzi?

— Ten pokój wygląda jak kryjówka kogoś, kto ma dość sprzątanania po innych.

Dlaczego to powiedział? Głupio zrobił, właśnie dlatego że prawdopodobnie odgadł. Odwróciła wzrok; oczy wypełniły się jej łzami. Podkuliła nogi. Podomka odsłoniła linię nagiego uda i pośladka. Wszystko w nim krzychało z pragnienia, by wziąć Cindy w ramiona, przeżyć z nią rozkosz. Ale kiedy podniosła opartą na kolanach głowę, po policzkach spływały jej łzy. Dlatego podszedł, usiadł przy niej, wziął ją w ramiona, przytulił... nie po to, by się z nią kochać, lecz pocieszyć.

— Przepraszam — wymruczał. — Nie chciałem, żebyś cierpiała.

— To nie przez ciebie.

— Chciałem cię kochać. Chciałem spróbować cię pokochać.

— To błąd. Trzeba było się tylko ze mną kochać.

— Więc masz dzieci, prawda?

— Troje. — Przywarła do niego mocno i zaniosła się rozdzierającym płaczem.

— Co się stało? — spytał z obawą, ponieważ wiedział, że jego ból znowu ożyje.

— Zostawiłam je — wyszlochała. — Psychoanalityk mi powiedział, że to dlatego, że w dzieciństwie musiałam być zbyt odpowiedzialna. Mój ojciec uciekł z sekretarką, kiedy miałam jedenaście lat. Od tego czasu byłam panią domu, bo matka pracowała. Gotowałam, zmywałam, prałam i wreszcie znienawidziłam matkę za jej lenistwo, choć wiedziałam, że wypruwa z siebie żyły, by jakoś związać koniec z końcem. Znenawidziłam też moje siostry i brata, ponieważ nosili ubrania, które trzeba było prać, i wszędzie bałaganili i narzekali, kiedy prosiłam o pomoc. I wreszcie nie mogłam już tego znieść. Gdy-

bym nie uciekła, pewnie bym kogoś zabiła albo popełniła samobójstwo, więc wyszłam za Raya. Urodziłam troje dzieci i znowu się zaczęło. Gotowanie, zmywanie, pranie. Zrozumiałam, że zamieniłam jeden dom na drugi i wydawało mi się, że teraz już naprawdę oszaleję. Kochałam moje dzieci, ale pewnego dnia stanęłam z poduszką nad maleństwem i chciałam przycisnąć mu ją do twarzy, żeby przestało krzyczeć choć na pół godziny i dało mi chwilę spokoju. Ale ja nie byłam zmęczona. Nie chciałam spać. Wyrzuciłam tę poduszkę do worka, a worek wyniosłam do garażu i cisnęłam do kubła. Chciałam udusić moją córkę, do tego doszło.

Don słuchał, przejęty bólem do szpiku kości. Ciągłe trzymał ją w objęciach, czuł jej ciepły oddech na swojej piersi, ale pożądanie zniknęło. Wiedział, że to niesprawiedliwe. Przecież się powstrzymała, prawda? Przeżyła straszliwą chwilę szaleństwa i pokonała je, ale wiedział, że nigdy już nie zapomni tego obrazu: Cindy zbliżająca się z poduszką do łóżeczka i płaczące dziecko, ale nie wyobrażał sobie niemowlęcia, tylko własną córkę, prawie dwuletnią, i nie widział Cindy, tylko swoją byłą żonę. Kolejny koszmar, który zostanie przy nim, kiedy obudzi się w środku nocy.

A jednak trzymał ją w objęciach.

— Nienawidzisz mnie? — szepnęła.

— Nie.

— Wiedziałam, że muszę uciekać. Kochałam moje dzieci, nigdy bym ich nie skrzywdziła, ale dla ich dobra, dla dobra mojego męża i mojego własnego musiałam uciec, zanim mnie odwieźli do wariatkowa. Więc odeszłam. I trafiłam do psychoanalityka. Dostałam licencję agenta handlu nieruchomościami i zarobiłam tyle pieniędzy, że mogłam sobie kupić dom, w którym jest pokój dla każdego mojego dziecka. Wiem, że nigdy mnie nie odwiedzą, nigdy ze mną nie zamieszkają, ale i tak mam dla każdego pokój. Mam łóżko, w którym nigdy nie spał żaden mężczyzna, ale jest stworzone dla męża. Ty jesteś mężem, Don. Chciałam, żebyś położył się ze mną w tym łóżku.

Jego ciało pragnęło jej; jego ręce chciały sunąć po nagiej skórze pod podomką. Ale jego serca nie było już w tym pokoju. Pożądanie nie wystarczy, żeby dzielić się ciałem z kobietą. Nie mógłby jej pokochać tak, jak chciała. Miała zbyt wiele własnych problemów, zbyt wiele lęków, zbyt długą historię. Nie mógłby zapomnieć tego, co mu opowiedziała.

— Don, musisz mi wybaczyć — odezwała się.

Nie jestem księdzem, pomyślał. Nie jestem Bogiem. Nie mogę nawet wybłagać przebaczenia dla siebie, jak mogę cię rozgrzeszyć?

— Nie zrobiłaś nic złego — powiedział. — Uciekłaś, żeby chronić swoje dzieci.

— Nigdy tego nie zrozumieją. Zostawiłam je.

— Kiedyś im to wytłumaczysz i zrozumieją.

— Nie chcesz mnie już — szepnęła.

— Na to łóżko nie powinien cię zanieść mąż. Ojciec musi cię utulić do snu.

Wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, a on wziął ją na ręce i wstał z kanapy. Wcale nie była mała ani lekka, ale on był silny i podobało mu się, że niesie ją na rękach po schodach, nie dyszy, nawet nie czuje zmęczenia. Podobało mu się, że może dać trochę swej siły komuś, kto tego potrzebuje. Zaniósł ją do największej sypialni z ogromnym łóżem. Nie był to wcale pokój kobiety. Zaprojektowano go z myślą o mężczyźnie. Bez falbanek, ostry wzór na narzucie, kolory ziemi. Posadził ją na brzegu łoża.

— Gdzie trzymasz koszule nocne?

— W drugiej szufladzie od dołu, po lewej.

— Rozbierz się — zarządził. Wziął pierwszą koszulę z wierzchu i odwrócił się do niej. Siedziała, naga i opuszczona. Podomka leżała na podłodze. Jej ciało ciągle było słodkie, lecz on go nie pożądał. Podszedł, zebrał w dłoniach koszulę, tak jak to robił z maleńkimi koszulkami swojej córeczki, i włożył jej przez głowę. Uniosła ręce, a on nasunął na nie rękawy, jakby była dzieckiem. Koszula opadła jej na piersi, na kolana. Odrzucił kapę, znowu wziął Cindy na ręce i położył w pościeli. Otulił ją ciepło. Płakała, łzy wsiąkały w poduszkę.

— Nie płacz — powiedział cicho. — Nie jesteś zła i postąpiłaś tak, jak musiałaś. — Pocałował ją w policzek, pogłaskał po ręce. — Nie idź już dzisiaj do pracy. Zasłużyłaś na odpoczynek.

— Straciłam cię, prawda, Don? Jeszcze zanim cię zdobyłam.

— Nie trzeba ci kochanka, tylko przyjaciela i masz go.

— A czego trzeba tobie?

— Każdego życzliwego człowieka.

Znowu pocałował ją w policzek. Dotknęła jego twarzy. Może zastanawiała się, czy go nie pocałować. Może chciała spróbować jeszcze raz. Przynajmniej takie miał wrażenie. Ale ujrzała coś w jego oczach, zauważyła to coś i zarzuciła myśl o pocałunku. Pogłaskała go tylko po policzku i powiedziała:

— Jesteś dla mnie zbyt dobry.

— Nie dość dobry. Ale czasami trzeba ukołysać kogoś do snu. Zamknął za sobą drzwi wejściowe. Przez chwilę stał na ganku i szukał wzrokiem swojego samochodu. Oczywiście, nie znalazł go. Nie szkodzi. Jego furgonetka stała pod agencją, niespełna półtora kilometra stąd. Ruszył podjazdem w stronę ulicy. Jakaś kobieta przyglądała mu się, siedząc w samochodzie. Spojrzał na nią wyzywająco. Nie twój interes, powiedział bezgłośnie. Kobieta uruchomiła silnik i ruszyła. Don szedł ulicą. Jeszcze nie wybiła dwunasta, a jesień chyba wreszcie odniosła zwycięstwo nad latem, bo było chłodno i zerwał się wiatr, choć słońce ciągle mocno świeciło na bezchmurnym niebie.

Rozdział dziewiąty

Pomocne dłonie

W kabinie furgonetki było gorąco, a po spacerze w słońcu zaczęło go męczyć pragnienie. W centrum handlowym powstał nowy McDonald, więc uznał, że cola nada się równie dobrze, jak wszystko inne.

Cindy Claybourne. W głębi duszy rozpaczał z żalu nad nią i prawdę mówiąc, także nad samym sobą. Pamiętał jednego ze swoich współpracowników. Zwykł powtarzać stare powiedzonko: Nigdy nie jadaj w knajpie „jak u mamy”, nigdy nie graj w pokera z facetem, który nazywa się Doc, i nigdy nie chodź do łóżka z kobietą, która ma więcej kłopotów niż ty. Aż do dziś nie sądził, żeby taka kobieta w ogóle istniała. Ale teraz już ją znał. Przynajmniej nigdy nie nawiedziła go chęć, by podnieść rękę przeciwko własnemu dziecku. Przynajmniej to nie on córkę porzucił. Zdobył się na wszystko oprócz morderstwa, żeby ją odzyskać. Więc bez względu na cały ból i tak ma lepiej niż Cindy. Chyba.

Był już tak blisko... Do czego? Oczywiście do seksu. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęskni za tą stroną życia, dopóki Cindy Claybourne znowu nie obudziła jego ciała. Ale było też coś poza seksem, a kiedy wszedł do jej domu, nie chodziło mu o zwykłe figle w sianie. Przynajmniej nie tylko o to. Okazało się, że Cindy o wiele bardziej potrzebuje przyjaciela niż kochanka. A czego on potrzebuje? Czy Cindy miała rację? Czy rzeczywiście był urodzonym mężem?

No, jego żona miałaby na ten temat inne zdanie. Ale bez względu na poglądy Cindy, bez względu na to, czego podświadomie pragnął, kiedy prowadził ją na kanapę w salonie, jedno wiedział na pewno — jeszcze nie dojrzał do tego, żeby znowu pakować się w małżeństwo. Pierwsze omal go nie zniszczyło. To się nie może powtórzyć.

W McDondaldzie przyszło mu do głowy, że bezdomna dziewczyna może także miałaby ochotę na colę, więc zamówił dwie duże. Pomyślał, że warto by też kupić coś do jedzenia, ale nie był głodny. Pewnie ciągle trawię wczorajszą ucztę, pomyślał. Ale może dziewczyna by coś zjadła. Powinien o niej pomyśleć. Więc zamówił Big Maca i frytki. W drodze do domu podjadł parę, bo zapach był zbyt silny, mimo pootwieranych okien. To pewnie jakaś sztuczka. Na pewno dodają do frytek jakiś zapachowy narkotyk, który pobudza apetyt.

Ciężarówka Pomocnych Dłoni już stała przed gankiem jego domu. Dwaj czarnoskórzy faceci wnosili do niej kanapę. Zjawili się zaledwie o parę godzin za wcześnie. Wyłonili się z ciężarówki, kiedy Don dotarł do schodów.

— Hej — powiedział jeden, który przedstawił się jako kierowca. — Pan jesteś tu właścicielem?

— Mick szybko was zebrał.

— Aha, a pańska żona powiedziała, że możemy zabierać wszystko, co nam się spodoba, tylko nie wolno ruszać narzędzi.

Żona? Dopiero po chwili Don zrozumiał, że mężczyzna nie może mieć na myśli jego nieżyjącej byłej żony. Musiała ich wpuścić bezdomna dziewczyna. Zdenerwowało go, że miała czelność podawać się za jego żonę. Ale przecież nie mógł wyjaśnić robotnikom wszystkiego.

— Aha, żona.

— Trzeba być miłym, jak się chce mieć wodę, co? Oboje powinniście się wykąpać. — Kierowca posłał mu uśmiech, szeroki i pełen zębów. Wiedział, że upokorzył Dona, i być może zrobił to umyślnie. Ale Don się nie przejął, zwłaszcza że uwaga była słuszna. Jego zemstą, jeśli w ogóle jej potrzebował, były dwa wielkie kubki coli, od których obaj robotnicy nie mogli oderwać oczu.

Ten drugi nie wytrzymał.

— Wypijesz pan oba?

— Tylko dolną połowę tego — wyjaśnił Don. — Górną już wypilem. Gdzie moja „żona”?

— W kuchni. Przy tej robocie pić się chce.

— Nie wątpię. Gdybym miał wodę, dałbym wam coś do picia.

— Ano pewnie — rzucił kierowca.

Don wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zaraz wrócę z czymś dla was, panowie. Nie przypuszczałem, że was zastanę, no i kupiłem picie tylko dla nas dwojga. Wiecie, jak to jest. Chyba że chcecie to dopić.

— Wyciągnął ku nim na wpół opróżniony kubek.

Obaj zaprotestowali.

— Nie, nie, człowieku, to były żarty.

— Zaraz wam coś przyniosę. Cokolwiek chcecie.

— Nie, żartowaliśmy tylko.

Wzruszył ramionami i wszedł do domu.

W salonie dokonał szybkiego przeglądu swojego dobytku, głównie z przyzwyczajenia. Ludzie z Pomocnych Dłoni jeszcze nigdy nie zabrali niczego, co byłoby mu potrzebne, lecz sytuację komplikowała ta jego nowa „żona”. Wszystkie narzędzia były na miejscu. Ale coś chyba zniknęło. To uczucie gnębiło go przez chwilę. Może nie chodzi-

ło o salon. Może zobaczył coś na zewnątrz? Sprawdzi to później. Zaniósł obie torebki i torbę z jedzeniem do kuchni. Tam zastał dziewczynę; zaglądała do otwartego kredensu. Na dźwięk jego kroków odwróciła się, zrobiła krok i dotknęła masywnego stołu.

— Nie wiedziałam, czy chcesz, żeby i to zabrali — powiedziała. — Wszystkie inne meble kuchenne są tanie i tandetne, ale ten stół był tu pewnie wtedy, kiedy mieszkała tu prawdziwa rodzina. Jest solidny.

Owszem, był solidny, ale na tym jego zalety się kończyły. Zwyczajna decha, ot co.

— Dom musi być pusty — oznajmił. — Chcę, żeby wszystko zniknęło.

Przesunął pełny kubek coli i torbę z jedzeniem w stronę dziewczyny. Jej myśkowanie po kredensie i „pomaganie” w podjęciu decyzji doprowadzało go do szału. Do pewnego stopnia zdawał sobie sprawę, że ta wściekłość nie ma podstaw. Przecież wiedział, że ta dziewczyna miała nieograniczony dostęp do każdego kredensu w tym domu od miesięcy, a może i od lat. Wściekał się z powodu Cindy. Ponieważ przez parę chwil naprawdę wydawało mu się, że może znowu zacznie szukać żony, ale wszystko zakończyło się fatalną klapą. A teraz ta przybłęda uzurpuje sobie ten tytuł! Jakby jego żona mogła być tak zagłodzona, tak wynędzniała.

„Chcę, żeby wszystko zniknęło” — powiedział przed chwilą, a teraz dodał twardo:

— Łącznie z tobą.

Cofnęła się o krok.

— Nie cieszysz się, że byłam tutaj, żeby ich wpuścić?

Właściwie mógł jej powiedzieć prawdę, choćby najbardziej krępującą.

— Nie, ponieważ powiedziałas im, że jesteś moją żoną. Moja żona nie żyje.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Nie powiedziałam nic podobnego. Otworzyli drzwi i zaczęli wołać pana Larka, a ja powiedziałam, żeby weszli i zaczęli, ale nie dotykali narzędzi pana Larka, które znajdują się we frontowym salonie. Gdyby było tu czyszczej, pewnie by uznali, że jestem twoją gospodynią.

Oczywiście, miała rację. To oni wyciągnęli błędne wnioski. Zawstydził się swojego wybuchu. Wydał mu się głupi. A jednak gniew nie zniknął. Chciała odebrać mu samotność. Skoro nie może mieć Cindy Claybourne, czy od razu musi się godzić na tę dziewczynę?

— Przyniosłem ci hamburgera i frytki.

— Nie jestem głodna — oznajmiła chłodno.

— I colę. Wypij i idź stąd.

Czuł do siebie niesmak za grubiaństwo, ale ta sytuacja nie mogła trwać dłużej.

— To miłe z twojej strony — powiedziała. W jej głosie nie było ani odrobiny kpiny, ale mnóstwo uszczypliwości.

— Miłe było „wypij”. „Idź stąd” oznacza, że jestem szują.

Mógł pozwolić sobie na szczerość. Wiedział, że nie zachowuje się szlachetnie.

Wzruszyła ramionami i pochyliła się nad kubkiem. W słonce powoli uniósł się ciemny płyn. Po chwili dziewczyna wyprostowała się i przełknęła z taką rozkoszą, jakby cola była eliksirem młodości.

— O, jak dobrze.

— Gorąco dziś — mruknął Don. Omijał ją wzrokiem. Patrzył w okno. Pomiedzy deskami przeświecały promienie słońca. Pomyślał o lśniących oknach domu Cindy. Nie-skazitelnego, nie zamieszkanego domu. I kto tu był naprawdę bezdomny?

Nawet on będzie tylko lokatorem, robotnikiem, sługą tego domu. To dawało mu prawo, by wyrzucić tę dziewczynę na ulicę. A nikt nie wiedział lepiej od niego, jak niesprawiedliwe i czasami z gruntu okrutne potrafi być prawo. On też chciał mieć ten dom dla siebie, ponieważ tak mu się podobało i postanowił, że wykorzysta prawo na swoją korzyść, bez względu na to, czy ktoś inny na tym ucierpi. Czy aż tak się różnił od swojej byłej żony?

Może zrozumiała jego milczenie. Może poczuła jego niezdecydowanie i zawstydzenie.

— Słuchaj — odezwała się. — To twój dom. Masz tu robotę do wykonania.

Mówiła tak, jakby go rozumiała. Dawała mu przyzwolenie na to, żeby ją wyrzucił. Ale to nie łagodziło goryczy płynącej ze świadomości, że mógłby to zrobić. Niech ją diabli! Dlaczego zmusza go, żeby dowiadywał się o sobie takich rzeczy?

— Nie masz dokąd pójść.

Wzruszyła ramionami.

Pomyślał o wielu pustych pokojach, ściana za ścianą, podłoga za podłogą. Pomyślał o tragicznej pustce domu Cindy.

- Chyba nie będę potrzebował całej przestrzeni.

Wiedział, że pokonuje go jego własną bronią, ale świadomość tego w niczym mu nie pomogła. Nie chciał być człowiekiem, który wyrzuca ludzi na ulicę. Pomyślał, co to może oznaczać dla kobiety. Bez pieniędzy, bez schronienia. Czy takie dziewczyny nie kończą jako prostytutki, bo muszą jakoś zarobić na życie? I czy nie zaczynają ćpać, żeby zapomnieć, czym się stały? Czy rzeczywiście chciał mieć ją na sumieniu? Nie potrafił wykorzystać Cindy Claybourne, kiedy była taka bezbronna, ale mógł wysłać tę dziewczynę na spotkanie gwałciciela, ponieważ nie odpowiada mu jej towarzystwo?

— Będę się plątać pod nogami — przypomniała mu dziewczyna.

— Tak, ale mogłabyś się postarać, żeby nie wchodzić mi w drogę podczas pracy.

Już kiedy to mówił, wiedział, że tak nie będzie. Jego praca wyda się jej interesująca. Będzie chciała popatrzeć. Będzie mu zaglądać przez ramię. Doprowadzi go do szaleństwa. Może powinien jej dać pieniądze, niech się umyje, kupi sobie ubranie, znajdzie mieszkanie i pracę. Ale jeśli to zrobi, będzie musiał pożyczyć pieniądze na remont.

— Mogłabym się przydać — podsunęła. — A jeśli będziesz zajęty i akurat ktoś zadzwoni do drzwi?

Już się zaczyna. Chce sobie znaleźć rolę w jego życiu.

— Nie mogę cię zatrudnić, nie mam pieniędzy.

— Sama zadbam o siebie — oznajmiła. — Tak jak przedtem.

Niby jak o sobie dbała? Wyjadając resztki ze śmietników? A może już przedtem wykorzystywała innych? Nie znał jej. W co on się pakuje?

— Tylko nie każ mi odchodzić — dokończyła. Błagalny ton.

— Musisz odejść. — I musi to zrozumieć. — Kiedy skończę remont, nie możesz tu zostać.

— Ale do tego czasu... Proszę.

Błagalna nuta drażniła go, zawstydziała. Nie mógł znieść myśli, że trzyma w rękach czyjaś przyszłość. Miał ochotę pozbyć się tej dziewczyny, jej rozpacz, służalczości.

— Nie proś mnie. Jeśli nie będziesz mnie prosić, dojdę do wniosku, że możesz zostać. Inaczej na pewno wyrzucę cię stąd.

Spojrzała na niego zdziwiona, może nawet zgorszona.

— Dlaczego ci przeszkadza, że proszę?

Ponieważ czuję się wtedy jak pan i władca, a jestem zwyczajnym facetem.

— Bądź cicho. Możesz zostać. Wybierz sobie łóżko, na którym chcesz spać, i powiedz Pomocnym Dłoniom, żeby ci je zostawili.

Ledwie to powiedział, zrobiło mu się niedobrze. Poddał się własnej słabości i powinien się czuć cholernie dobrym chrześcijaninem. A myślał tylko o tym, że ona będzie snuć się za nim przez cały dzień i oczekiwać, że będzie rozmowny albo nawet miły, co leżało poza jego możliwościami. Chciał wychodzić samotnie z domu i po prostu włączyć się bez celu. Walczył z tym od czasu, kiedy stracił ostatnią nadzieję na to, że odzyska córeczkę. Pragnął zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności, marzył o tym, żeby przestać dbać nawet o siebie i tak długo chodzić ulicami, aż padnie z wyczerpania lub wreszcie ktoś go zabije, wszystko jedno.

Ta dziewczyna czegoś pragnęła. Chciała pozostać w tym domu. Czego chciał on? Samotności. Nie mogli pogodzić tych potrzeb, a jemu wydawało się cholernie niesprawiedliwe, że to on, który pragnie o wiele mniej niż ona, nie może tego dostać. Że nawet jego własne poczucie przyzwoitości jest przeciw niemu. Ludzie bez poczucia przyzwoitości nigdy nie dają się wykorzystywać. Gdyby jego była żona albo jej prawnicy mieli choć odrobinę poczucia przyzwoitości... ale nie mieli. Tylko jego los pokarał taką ułomnością.

Ty durniu, powiedział do siebie. Teraz jęczysz, że jesteś jedynym przyzwoitym człowiekiem w całym wszechświecie. Mięczak.

Wyszedł z kuchni, przejęty niesmakiem.

Dziewczyna podążyła za nim, omal nie przyprawiając go o pomieszenie zmysłów. W wąskim korytarzyku przy salonie spytała:

— Mogę zostać?

Niewiarygodne. Nie słyszała, kiedy powiedział, żeby wybrała sobie łóżko? Zatrzymał się i odwrócił tak gwałtownie, że prawie na niego wpadła.

— Co, „tak” już ci nie wystarcza?

Myślał, że będzie górował nad nią jak wieża, ale kiedy stanęli twarzą w twarz, okazało się, że wcale nie jest niska. Sięgała mu czubkiem głowy do podbródka. Była tak drobnej budowy, że robiła wrażenie mniejszej.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nazywam się Sylvie Delaney.

Omial nie warknął: Wcale nie jestem ciekaw, jak się nazywasz. Nie chciałem cię poznać, więc nie muszę wiedzieć, jak mam się do ciebie zwracać.

Ale właściwie powinien to wiedzieć, choćby ze zwykłej ludzkiej uprzejmości.

— Don Lark — odpowiedział.

Nie zdejmowała z niego nieruchomego spojrzenia. Piwne oczy.

— Dziękuję, że pozwoliłeś mi zostać, Donie Lark.

Jej wdzięczność była prawie tak samo żenująca jak błagania.

— Tylko zostaw mnie samego, kiedy będę pracował. I nie dotykaj moich narzędzi.

W ogóle niczego nie dotykaj.

Poderwała gwałtownie rękę, jakby się sparzyła.

— Jak w sklepie z porcelaną. — Uśmiechnęła się.

Nie był rozbawiony. Poszła za nim korytarzem, wprawiła go w zakłopotanie, a teraz chciała go zmusić, żeby się do niej uśmiechnął. Był tak zdesperowany, że miał ochotę grzmotnąć w coś pięścią.

— Dlaczego nie czuję się lepiej? Miałem wyrzuty sumienia, kiedy chciałem cię wyrzucić, a teraz czuję się głupio i jestem wściekły, że pozwoliłem ci zostać. — Odwrócił się i uderzył w ścianę. — Dlaczego niby cnota ma być nagrodą sama w sobie?

Odezwała się cicho za jego plecami:

— Pozwól, że poćwiczę znikanie ci z oczu.

— Zjedz hamburgera i frytki, zanim wystygną — rzucił. Wielkimi krokami ruszył przed siebie. Czuł się jeszcze bardziej idiotycznie, ponieważ kiedy zaczęła szanować jego potrzebę odosobnienia, ta potrzeba zaczęła mu się wydawać dziecinna. Wyobraził sobie siebie jako małego chłopca, trzaskającego drzwiami i krzyczącego: Nienawidzę was, nienawidzę, zostawcie mnie!

Zatrzymał się i zerknął za siebie. Ciągle tam była; wirowała w piruetach niczym mała dziewczynka, po drodze dotykając ścian. Przez hałasy powodowane przez Pomocne Dłonie, którzy taszczyli jakiś ciężki mebel po schodach, usłyszał jej melodyjny głos, nie-

mal śpiewną litanie.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję. — Nagle zatrzymała się i przytuliła do południowej ściany, z jedną ręką wyciągniętą najwyżej, jak mogła, tak że całym ciałem przywarła do muru. — Dziękuję ci, domku.

Była tak samo stuknięta jak te staruszki z naprzeciwka.

A czego się spodziewał? Dlaczego niby jest bezdomna? Absolwentka college'u, mieszkająca w zrujnowanym domu? Oczywiście, że to wariatka. A on osobiście pozwolił jej mieszkać ze sobą pod jednym dachem.

Choć oczywiście nie była to pierwsza wariatka, z którą miał zamieszkać. Przynajmniej ta Sylvie Delaney nie patrzyła na niego pustym spojrzeniem, które mówiło: Zdaje się, że coś mówisz, ale interesuje mnie tylko, kiedy znowu dam sobie w żyłę. Tak, w kwestii szalonych kobiet miał już doświadczenie.

Wyszedł na ganek. Ciężarówka Pomocnych Dłoni była już do połowy załadowana. Usłyszał kroki tragarzy, którzy znosili z góry coś ciężkiego. Otworzył drzwi na oścież i stanął za nimi, żeby nie tarasować drogi. Czekając, aż zejda, zerknął na założony przez siebie zamek, ciągle lśniący nowością. Przeciągnął dłonią po gładkim drewnie aż do starożytnego zatrasku.

Tragarze byli u stóp schodów. Zatrzymali się, żeby złapać oddech. Opierali się o wielkie biurko, które nieśli razem z masywnymi dębowymi szufladami, by zaoszczędzić sobie dodatkowych wycieczek po schodach.

— A zatem — usłyszał głos Sylvie — mój mąż i ja postanowiliśmy, że zostawimy łóżko we frontowym narożnym mieszkaniu. — Wskazała palcem pokój bezpośrednio nad północnym salonem.

Mój mąż i ja! Krew uderzyła mu do głowy.

— A co tam — mruknął kierowca. — To badziewie.

— Dobrze by było, gdyby pan tak wyglądał na starość. Zatrzymamy także ten wielki stół z kuchni na zapleczu. Stoi na nim cola, wypijcie, jeśli macie ochotę. Możecie też zjeść hamburgera i frytki, ale pewnie już wystygły.

— O, dzięki — ucieszył się robotnik.

— Co, już myślisz, że to twoje? — zareagował kierowca. — Jazda, niesiemy.

Podnieśli biurko. Drzwi były szerokie, ale i tak pocierali sobie ręce o framugę.

Sylvie stała na pierwszym schodku, oparta o ścianę. Don zmarszczył brwi. Mrugnęła do niego, uśmiechnęła się i wbiegła po schodach.

Podjął świadomą decyzję, że nie będzie się złościć. Jeśli już teraz pozwoli jej zaleźć sobie za skórę, wspólne mieszkanie nie wyjdzie im na dobre. Oparł głowę o framugę i parę razy odetchnął głęboko. Za jego plecami tragarze Pomocnych Dłoni ładowali biurko do ciężarówki. Spojrzał na drzwi i wreszcie uprzytomnił sobie, co go zaniepokoiło, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy po podpisaniu umowy. Drzwi były gładkie.

Powinny widnieć w nich dziury po śrubach przytrzymujących skobel z kłódką. Wy-
rwał go dzień wcześniej. Ale drewno nie nosiło żadnych śladów. Przyjrzał się z bliska.
Dziury nie zostały zalepione kitem i pomalowane. Były gładkie, bez skazy. Nad i pod
zamkiem.

Przypomniał sobie, co powiedziały nawiedzone staruszki. To mocny dom. I robi się
coraz mocniejszy, kiedy się nad nim pracuje.

Zaczął sobie wmawiać, że skobel znajdował się na tylnych drzwiach albo że założył
zamek dokładnie w miejscu, w którym znajdowały się dziury po śrubach. Czy nie mo-
gło być tak?

Nie, nie mogło. Od razu zauważył, że dziury są zbyt szeroko rozstawione, by zamek
je przykrył, dlatego umieścił go nieco niżej, choć nadal znacznie powyżej starych zam-
ków. Nie, drzwi się po prostu... zagoiły.

Zerknął ku powozowni. Panni Evelyn i panni Judea klęczały na trawniku i wykopy-
wały mleczkę. Jeśli go zauważyły, nie zdradziły tego.

I co on ma teraz zrobić? Wybiec z krzykiem na ulicę? Dom był dziwny albo on zwa-
riował. Stawiał raczej na dom. Ale dziwny czy nie, stanowił jego własność. Transakcja
została zamknięta, nie było odwrotu. Poza tym jednak mógł coś pomieszać. Pamięć po-
trafi płać człowiekowi figle, wszyscy o tym wiedzą. I tyle. Po prostu ma kłopoty z pa-
mięcią. Można z tym żyć. Zaczął wmawiać sobie niestworzone rzeczy, bo nawiedzone
staruszki go nastraszyły.

Przed domem zatrzymała się furgonetka miejskich wodociągów. Don wyszedł na
spotkanie pracownika i zaprowadził go do wodomierza. Wkrótce zamontuje bojler. Bę-
dzie miał w domu ciepłą i zimną bieżącą wodę. Czynne toalety i gorące prysznice. Ko-
niec z chodzeniem do McDonalda i na zajazd dla ciężarówek. Życie nie jest takie złe.

Rozdział dziesiąty

Wyburzanie

Nie mógł jej zarzucić, że chodzi za nim po domu, ale takie miał wrażenie. Prawie zawsze kiedy zabierał się do jakiejś roboty, Sylvie znajdowała się dokładnie w tym pomieszczeniu, do którego wchodził z narzędziami. Miał ochotę odwrócić się na pięcie i zająć czymś innym, ale przecież nie mógł tak pracować. Nie mógł przed nią uciekać. Nie potrafił także na nią warknąć. Zawsze tak się cieszyła na jego widok. Pewnie była tu bardzo samotna, w pustym domu za zabitymi oknami. Może się znudzi i da mu wreszcie spokój.

Woda została podłączona. Teraz należało sprawdzić armaturę. Niektórych urządzeń sanitarnych nawet nie miał ochoty dotykać — na przykład pękniętej muszli klozetowej. Ale wanna na piętrze chyba nada się do użytku.

Przyłapał się na sformułowaniu: „Będziemy musieli używać tej wanny”. To się stało całkiem naturalnie, myślał „my” zamiast „ja”. Poza tym nie było w tym nic niestosownego. Dopóki Sylvie pozostanie w domu, będzie korzystać z tej samej wanny, umywalki i toalety co on. Więc dlaczego nie miałby używać słowa „my”?

Ponieważ tak właśnie myślałem o mojej byłej żonie i mojej... naszej córeczce. Moje dziecko, mój dom, moja wanna. Jestem tu sam, mimo obecności tego nieproszonego gościa. A przez jej obecność czuję się jeszcze bardziej samotny, ponieważ muszę mówić „my” i pamiętać, jak puste jest to słowo, jakie jest ulotne, chwilowe.

A otóż i ona. Robi przysiady w korytarzu przed sypialnią na piętrze. Na jego widok oczywiście przerwała i stanęła w drzwiach łazienki, a potem przy wannie, ponieważ przyszedł podłączyć wodę.

— Och, jak dobrze, będzie można wziąć kąpiel — odezwała się.

— Dopiero gdy kupię bojler.

— Więc zimne prysznice?

— Jeśli lubisz.

Kran zakaszłał. Strumień brązowej wody bryznął Donowi na spodnie. Dziewczyna wrzasnęła i odskoczyła.

— To tylko woda i rdza. Nie rozpuścisz się.

— Skąd wiesz, że nie jestem Złą Wiedźmą z Zachodu?

— Bo ona była zielona.

— To też jest zielone. Ohyda.

Rzeczywiście, ohyda. Ciemnobrązowy, brzydki kolor. Don odkręcił kurek z zimną wodą nad umywalką. Kran znowu zarzęził i splunął, po czym rzygnął jeszcze bardziej ohydzną mazią, która opryskała ich oboje.

— Oj, jeszcze gorzej — powiedziała Sylvie, przyglądając się swojemu ubraniu.

— Nikt cię nie prosił, żebyś tu stała.

Nie odpowiedziała, a on nie spojrzał na nią. Woda nie zrobiła się bardziej przejrzysta ani w umywalce, ani w wannie. Ta cisza mu się nie podobała. Dlaczego dziewczyna zbijała go z tropu? Co zrobić, żeby za nim nie łąziła?

Nie wyszła. Przeciwnie, zaczęła mówić.

— Jesteś pewien, że nie podłączyli rur na opak?

— Ta woda stała w rurach przez wiele lat. Niech tak popłynie przez jakiś czas, zaraz się oczyści.

— Wygląda, jakby dom miał dyzenterię — zauważyła.

— Nie używaj tej toalety. Spójrz, jest pęknięta. Nie podłączę tu wody.

— A której mam używać?

— Tej na dole w północnym mieszkaniu.

— Czy woda wciąż będzie brązowa?

— Dopóki rury się nie oczyszczą.

— Jeśli w ogóle.

— Bojler powinien być podłączony do jutra. Niech się napełni i ogrzeje, wtedy będziemy mogli się wykapać.

— Razem?! To nie przystoi.

Spojrzał na nią ostro. Pewnie żartowała, ale i tak wydało mu się odrażające, że brudna i zaniedbana kobieta zaczyna z nim flirtować. Ludzie zawsze stają się bezdomni z jakiegoś powodu. W jej przypadku był to pewnie zły gust.

Wyszedł z łazienki.

— Kiedy mam zakręcić wodę? — zawołała za nim Sylvie.

— Kiedy będzie można ją pić.

— Nigdy tego nie wezmę do ust!

Był już w połowie schodów, więc nie zamierzał odpowiadać. Nie chciał ustanawiać zwyczaju krzyków na cały dom. Już sobie wyobrażał, jak Sylvie wrzeszczy: Doon! Doon! Specjalnie tak głośno, żeby sąsiedzi usłyszeli.

Na dole podłączył wodę do toalety i umywalki, których zamierzał używać. Potrzebował tylko ich i hydrantu na zewnątrz, więc nie było sensu przeprowadzać testów, dopóki nie podłączy nowych urządzeń sanitarnych. Umywalka miała zatkany odpływ, więc

musiał rozkręcić kolanko i wylać do wiadra wodę, która się w nim zastała. Ale smród. Jakiejś myszy udało się wpaść do rury odpływowej, gdzie utonęła. Kiedy rura została przetkana, woda zaczęła spływać bez zarzutu. To dobrze, bo przy zimnej wodzie i braku mydła musiał myć ręce trzy razy. Nie wyrzucił mysiego truchła do kubła na śmieci, bo zasmrodziłoby cały dom. Poszedł na skraj wąwozu i cisnął je jak najdalej. Przeleciało dziesięć metrów i spadło dwadzieścia metrów w dół, koziółkując w powietrzu, aż wreszcie zatrzymało się w połowie zbocza.

Wrócił do domu ze świadomością, że nie sposób dłużej odwlekać decyzji. Którą część domu wyremontować w pierwszej kolejności? Oczywiście najlepiej byłoby zabrać się do całego domu. Zburzyć niepotrzebne ściany, zedrzeć tynk z pozostałych, by założyć przewody elektryczne i rury kanalizacyjne, linie telefoniczne, interkomowe, może nawet instalacje dla sieci komputerowej, jeśli starczy mu pieniędzy na takie luksusy. Łatwiej i taniej dokonywać jednej poprawki w całym domu jednocześnie. Ale wtedy nie będzie miał gdzie mieszkać. A co jeszcze ważniejsze, potrzebował tej niewielkiej satysfakcji, jakiej doznawał na widok ukończonego pokoju. To dawało mu siłę.

A zatem nie parter. Ani piętro od północnej strony, ponieważ tam znajdował się pokój Sylvie. Natomiast piętro od południa mogło dać mu sporo zabawy. Zburzyć przepierzenia, tworzące dwie obrzydliwe sypialnie, salono-jadalnię i kuchnię, zrobić z tego dwie okazałe sypialnie. Oczywiście to niemożliwe, ponieważ byłyby za duże i niepraktyczne. Więc zbuduje tam łazienkę i dwie szerokie, głębokie garderoby. A z tylnej sypialni, która nie ma takiego ładnego okna z dużym parapetem do siedzenia, jak ta pierwsza, poprowadzi schody na strych, na którym także zrobi pokój mieszkalny. W takim domu każde pomieszczenie powinno mieć własny charakter. Nie, więcej — powinno mieć fantazję.

Ruszył na górę, uzbrojony w łom i masywny nóż do cięcia dywanów. Zabrał się do pracy. Wykładzina była wytrzymała, ale została położona przed wielu laty, a pod nią zebrało się mnóstwo brudu. Martwe owady zasłały podłogę niczym drugi dywan.

— Jak one się tam dostały? Sylvie stała w drzwiach.

Don zastygł w trakcie zwijania wykładziny.

— Czego chcesz?

— Jestem tylko ciekawa. Chodziłam po tych robalach. Chciałabym wiedzieć, jak się tam dostały.

Nie prowadził lekcji biologii, tylko wykonywał ciężką i brudną pracę. Zadanie było znośne jedynie wtedy, gdy udało mu się wpaść w rodzaj transu, kiedy pracowały wyłącznie jego ręce, nie umysł. Wyrwała go z tego transu i dlaczego? Ile razy ją prosił, żeby nie wchodziła mu w drogę?

— Pracuję sam — powiedział dobitnie.

Wzruszyła niewinnie ramionami, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

— No co, wcale ci nie pomagam.

— Otóż to.

— Chciałam tylko spytać, skąd się tu wzięły te robale.

— Pełzaki wpełzły, wkrętaki się wkręciły. Teraz już wiesz, więc idź sobie.

Naburmuszyła się, ale zeszła mu z oczu. Ani przez chwilę nie żywił złudzeń, że walka została zakończona. Ta dziewczyna lubiła gadać. Będzie musiał ciągle na nią warczeć, żeby zdobyć odrobinę spokoju, a nie lubił zachowywać się niegrzecznie. Ale ona po prostu nie dotrzymywała obietnic i nie wykonywała jego poleceń. Nic dziwnego. Gdyby ludzie jej pokroju byli zdolni do kulturalnego zachowania, na pewno nie byłiby bezdomni.

Zwinął wykładzinę i spróbował zarzucić ją sobie na ramię. Dźwigał już większe ciężary, ale tego zwoju nie mógł dobrze złapać, więc w końcu go pociągnął. W drzwiach zaczęły się problemy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawołać Sylvie na pomoc, lecz w porę się powstrzymał. Łaziłaby za nim po całym domu aż do końca remontu.

Wolał kursować w milczeniu od krańca do środka i znowu do krańca zwoju, zginając go, ciągnąc, jeszcze bardziej zginając, jeszcze mocniej ciągnąc, aż wreszcie wywlókł go na korytarz i ruszył po schodach. Teraz już z łatwością wyniósł wykładzinę na ganek i złożył ją na stercie śmieci przy krawężniku.

Wracając zerknął na powozownię. Na ganku panni Evelyn i panni Judea zjadały trójkątne kanapeczki z ogórkiem, z samego miększu kromki. Wyobraził sobie, że wielką michę skórek chleba i obierek z ogórka zaniósł Gladys, która według wszelkich znaków na ziemi i niebie była wszystkożerną krokodylicą albo wielką tłustą maciorą, nie gardzącą żadnymi pomyjami. Obie staruszki pomachały do niego życzliwie. Odmachał, bez życzliwości.

Rozmontowywania kuchennych szafek nigdy nie lubił. Oczywiście najlepiej byłoby wynieść je razem, ale nie zawsze jest to możliwe. Kuchnia w południowym mieszkaniu na piętrze była ciemna i wąska, a szafki zostały przyśrubowane tak, jakby miały wytrzymać atak huraganu. Musiał do nich wpełzać, w pocie czoła odkręcać każdą śrubkę i wyrwać każdy z osobna gwóźdź, łączący szafki ze ścianą i ze sobą nawzajem, a mimo to ciągle nie chciały drgnąć. Wreszcie uciekł się do pomocy łomu, a nawet wtedy nie było łatwo. Ktoś usunął gipsową ściankę i zastąpił ją grubymi dechami, do których przykleił cholerne szafki, oprócz tego jeszcze je przykręcił i przybił. Kiedy Don oderwał wreszcie od ściany ostatnią szafkę, kuchnia wyglądała, jakby rzeczywiście przeszedł przez nią huragan. Połamane deski były najeżone ostrymi szczapami, które szczyrzyły się jak wyszczerbione kły. Mniejsza o to. I tak je wyrzuci. Zburzy całą dobudowaną ścianę pomiędzy kuchnią a salonem i zrobi tu jedno pomieszczenie, tak jak kiedyś. Deski pomiędzy słupami zastąpi innymi, dwunastocalowymi. Miał jeszcze większe zamiłowanie do solidnych materiałów niż gość, który zainstalował szafki.

Nigdy dotąd nie rozmontowywał szafek w kuchni na piętrze; najgorsze okazało się zniesienie ich po schodach. Żałował, że nie ma silnego pomocnika, ale przecież pracował sam, niech to szlag.

Zatrzymał się przy stercie śmieci, która teraz wyglądała jak kuchnia szaleńca. Miał ochotę wrócić do domu i iść spać. Czy nie wykonał już dziennej normy? Czy nie napracował się wystarczająco?

Ale była dopiero trzecia po południu. Nie mógł poddać się pokusie, pozwolić sobie na drzemkę albo na spacer. Zawsze było coś do zrobienia. Musiał odpracować osiem godzin, choćby był nie wiadomo jak zmęczony. Taką miał zasadę. Przeważnie usiłował pracować dziesięć godzin dziennie. Dzięki temu mógł skończyć dom, chociaż pracował sam.

Właśnie dlatego tak dobrze mieć pomocnika. Wprawdzie zwykle trzeba wszystko po nim poprawiać albo tak go pilnować, że właściwie można by wykonać zadanie własnoręcznie, ale obecność drugiej osoby była wystarczającym bodźcem do nieustannej pracy. Nie chciał wyglądać w niczyich oczach na fajtlapę. Nie znosił myśli, że mógłby pracować tylko na pokaz, tylko po to, żeby wyrobić sobie dobrą opinię. Pracował dla samej pracy i żeby dobrze o sobie myśleć. Dlatego nigdy nie robił sobie przerw ani wolnych dni, nawet jeśli chorował. Był najsurowszym pracodawcą w okolicy — nie dawał sobie urlopów.

Zauważył panną Evelyn, stojącą przy płocie z metalowym dzbankiem w dłoni. Na jego ściankach zebrały się krople wody; ściekały cienkimi strużkami, skapywały na ziemię... Zawartość dzbanka musiała być lodowata. A dzień był upalny, trzydzieści stopni — Don zapragnął tego dzbanka z całego serca i duszy. I zgodziłby się go przyjąć z rąk wariatki.

— Proszę pana! — zawołała.

Począpał do płotu, starając się nie patrzeć pożądliwie na dzbanek. Staruszka podała mu wysoki metalowy kubek, też pokryty gęstymi kropelkami.

— Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak ciężko pracował.

— Dzięki temu dobrze sypiam. — Wypił jednym haustem. Lemoniada, odrobinę kwaśna, nie za bardzo, i odrobinę słodka, ale nie zanadto. Dobrze, że żadna z tych staruszek nie jest jego babcią. Już dawno by się do nich wprowadził.

— Możesz wypić cały dzbanek, młodzieńcze.

Chciał.

— Dzięki — powiedział i uniósł dzbanek do ust. Jego ciało wchłonęło lemoniadę tak szybko, że już teraz zaczął się pocić. Wypił wszystko i wytarł usta rękawem, odrobinę czystszy niż ręce.

— Przepraszam. Mam maniery robotnika.

— Nie wspominając już o apetycie.

Poklepał się po brzuchu, w którym przelewała się teraz chłodna lemoniada.

— Dziękuję za życzliwość.

— Cieszymy się, że nas posłuchałeś.

Oho.

— Ależ nie posłuchałem. Wskazała stertę śmieci.

— Wygląda to tak, jakbyś go burzył.

— Usuwam tylko niepotrzebne rzeczy. — Posmutniała. — I zburzę dobudowane ściany. Ale nie ruszę samego domu. Zamierzam go odremontować.

— Och!

— Więc chyba ta lemoniada mi się nie należała.

— Dostałeś ją, bo jej potrzebowałeś, a my jesteśmy chrześcijankami.

— Dziękuję. Naprawdę była mi potrzebna. — Zawsze należy się rewanżować; była to lekcja, którą Don otrzymał w dzieciństwie. Więc: — Skoro tu jestem... jeśli będę mógł paniom pomóc, proszę mi dać znać.

— Pomożesz nam, jeśli zburzysz ten dom.

— Więc to panie powinny go kupić i wynająć ekipę rozbiórkową. — Oddał dzbanek.

— Bardzo dziękuję.

Dotknął palcami nieistniejącego runda kapelusza, tak jak to robił jego ojciec, odwrócił się i pomaszerował z powrotem.

— Zrobilibyśmy to, gdybyśmy mogli! — zawołała za nim. Dlaczego na takich domach nie ma znaków ostrzegawczych?

UWAGA: DZIWNE STARUSZKI I ZNIKAJĄCE DZIURY. STRZEŻ SIĘ NIEBEZPIECZNIE STUKNIĘTEJ BEZDOMNEJ KOBIETY. Aha, nie zapominajmy: POCAŁUNKI W NIECZYNNYCH TOALETACH SUROWO WZBRONIONE.

Teraz musiał zdecydować, co dalej. Zerwać resztę tynków? Zburzyć ścianę między kuchnią na piętrze a pokojem? Nie miał ochoty na ciężką pracę, choć lemoniada go odświeżyła.

Może nawet za bardzo. Ruszył do łazienki na tyłach domu.

Nadal w niej był, kiedy ktoś zapukał do frontowych drzwi, głośno i natarczywie. Chwileczkę, jak rany. Przekornie zaczął myć ręce, zamiast rzucić się do drzwi. Musi pamiętać, żeby kupić mydło i parę ręczników. Wyszedł, wycierając ręce o spodnie; zanim zdołał dotrzeć do drzwi, usłyszał, że Sylvie wita gościa. Wszedł do salonu, w którym trzymał wszystkie narzędzia, i stanął twarzą w twarz z kolegą Cindy.

— Witani pana — powiedział facet. Jak on się nazywa? — Ryan Bagatti — pomógł mu gość, całkiem jakby słyszał jego myśli. — Pamięta pan?

— Jakżebym mógł zapomnieć? — Don przeszedł obok niego i wyjrzał przez drzwi. Sylvie stała na trzecim schodku, gotowa do ucieczki. — Dzięki, że wpuściłaś do domu obcego.

— Nieźle się panu powodzi — zauważył Bagatti. — Ma pan gospozię, choć na trawniku zrobił się śmietnik.

— Nie jestem gospodynią — oznajmiła Sylvie.

— Jest niczym — warknął Don. — Kupiłem ją razem z domem. Ale ma własne zajęcia.

— Cindy o niej wie? — spytał Bagatti, wcielenie niewinności.

— Pewnie się dowie za jakieś piętnaście minut.

— O rety, ależ pan ostry. Przyszedłem tu, bo jestem przyjacielem Cindy.

— Innymi słowy, ona nie wie, że pan tu jest?

— Ktoś telefonował do agencji, a jej nie było. Jest chora. Od czasu jak podpisaliście umowę.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Aha, może pan jej wyśle kartkę albo co.

— Ktoś dzwonił do agencji — przypomniał Don. Wiedział, że to coś paskudnego, i chciał, żeby Bagatti wreszcie to powiedział.

— Ten facet, co tu mieszkał. Właściwie jego prawnik. Zdaje się, że nabrał podejrzeń, gdy się dowiedział, w jaki sposób Cindy to załatwiła i jak zbijała cenę. Powiedział, że chce osiemdziesiąt.

— Dom nie jest tyle wart.

— No, o tym zdecyduje sąd. Przynajmniej tak to ujął ten prawnik. Nasłał na nią detektywa. Ma zdjęcia, jak pan z nią wchodzi do domu. I wychodzi. Jak się całujecie w samochodzie. To chyba dowodzi, że można mówić o zмовie.

— Widziałeś te zdjęcia, Bagatti?

— Dlaczego miałbym je widzieć?

Don chwycił go za ramiona i popchnął. Bagatti walnął głową o ścianę. Natychmiast stracił ten głupi uśmieszek.

— Chyba nie wyraziłem się jasno — powiedział Don. — Czy to ty zrobiłeś te zdjęcia, Bagatti?

— Prywatny detektyw, przecież mówię. To jest napaść!

— Masz te zdjęcia?

— Ten facet tylko do mnie zadzwonił.

— Więc czemu mówisz to mnie, a nie Cindy?

— On pozwie was oboje. Ale powiedział, że może jakoś dojdziecie do porozumienia.

— Tak powiedział? A może ty tak powiedziałaś?

— Jak to? O co chodzi?

— O szantaż. I wymuszenie.

— To nie ja. Ale może on...

— Może?

— Chce dwadzieścia tysięcy. I tak będzie pan do przodu o dziesięć. To chyba w porządku?

— Ale pewnie ten facet nie chce zmieniać ceny na umowie, co?

— Po co psuć sobie zeznanie podatkowe? I tak pan zarobił na tym domu.

— I przyszedłeś do mnie?

— Cindy nie ma pieniędzy.

— Skąd wiesz? Nie powiedziałaaby ci nawet, gdzie jest wychodek.

— Już mówiłem, facet miał prywatnego detektywa. Człowieku, to boli!

Don go puścił. Ale kiedy Bagatti chciał ruszyć do drzwi, znowu rzucił nim o ścianę. I znowu, i jeszcze raz, aż głowa agenta odłupała trochę tynku.

— Uważaj — powiedział. — To ściana nośna. Nie chcę jej wymieniać tylko dlatego, że zrobisz w niej dziurę.

— Panie, ja tylko przekazuję wiadomość!

— Jak się nazywa ten prawnik?

— Nie powiedział. Mówił, że się z wami skontaktuje.

— Nie chcę tutaj żadnych prawników. Pójdę do jego kancelarii i porozmawiamy albo niech od razu podaje nas do sądu, bo nie złamaliśmy prawa.

— Powiem mu.

— Nie, ja mu powiem. Daj mi jego numer.

— Mówił, że jeszcze zadzwoni. Niech się pan...

Tym razem jego głowa nie odbiła się tak ładnie od tynku.

— Nie usztywniaj szyi — poradził Don — bo później będzie bolało gorzej.

— Już boli!

— Dawaj numer.

— Puść mnie, to go napiszę.

Don cofnął się, stając pomiędzy Bagattim i drzwiami. Agent drżącymi rękami wyciągnął wizytówkę i zaczął bazgrać na niej numer telefoniczny.

— Znasz na pamięć, co? — rzucił Don. — Tyle się nadzwoniłeś...

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że jesteś donosicielem. Powiedziałeś mu, że Cindy i ja mogliśmy się polubić. A on pewnie kazał ci wynająć detektywa. Szybka robota, zrobił te zdjęcia parę godzin później.

— I co z tego? Królewna zaczęła się przymilać do klienta, coś mnie tknęło i okazało się, że miałem rację, może nie? Zaniżyliście cenę domu o trzydzieści tysięcy. Więc mnie nie wyzywaj, bo sam jesteś złodziejem.

W tym momencie, dokładnie wtedy Don mógłby przekroczyć granicę. Po tylu latach panowania nad sobą. Po długich miesiącach, kiedy chciał porwać córeczkę i ukryć

jaw Mongolii albo Bułgarii, ale nie zrobił tego. Długie miesiące, długie lata potem, kiedy miał ochotę odszukać prawnika swojej byłej żony i rozbić mu ten gadzi łeb, ale nie zrobił tego. Tak bardzo chciał wyrazić gniew... i nie zrobił tego.

Bagatti nie spuszczał z niego oczu. A kiedy Don wreszcie odstąpił o krok, agent śmignął ku drzwiom jak wiewiórka.

Don został z wizytówką. Kolejny prawnik. Kolejna próba, by go zniszczyć. Kiedy chcesz mordować, wybierz odpowiednią ofiarę. Całe życie w pudle za zabicie agenta handlu nieruchomościami? Da j że spokój. Jeden martwy prawnik jest wart dziesięciu takich jak on.

Zamknął drzwi, wszedł do furgonetki. Początkowo zamierzał jechać do Cindy. Ale co by osiągnął? Albo wiedziała już o tych groźbach, albo nie. Albo będzie zawstydzona ich nieudanym romansem, albo nie. To spotkanie po prostu nie może się udać.

Pojechał do nowego osiedla wokół jezior na północny zachód od centrum. Domy dla lekarzy i prawników, dyrektorów i sprzedawców samochodów. Wielkie posiadłości na ogromnych zadrzewionych połaciach ziemi, z pięknym widokiem z okien. Same także stanowiły piękny widok. Z jezdni przeznaczony dla zwykłych śmiertelników jeden dom wyglądał jak posiadłość na plantacji z czasów niewolnictwa, drugi jak willa hollywoodzkiej gwiazdy, a ostatni jak niedobitek najbrzydszego stylu z lat pięćdziesiątych. Dobry gust nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Ani umiar. Ani nawet zwykła przyzwoitość. Niegdyś budowałem dla nich domy, pomyślał. Tak bardzo się starałem ich zadowolić. Wspaniałość, której nie rozumieli i za którą nie chcieli płacić. Budowałem ich domy z taką starannością, z jaką oni powinni przeprowadzać operacje albo sprawy sądowe. Czy tylko mnie zależało? Tylko ja się starałem, nie robiłem na pokaz?

Skreślił w Lakę Brandt Road, a potem w lewo na Lawndale. Zatrzymał się pod knajpą Sama, wysiadł i zadzwonił z automatu na numer z wizytówki. Recepcjonistka wypowiedziała nazwę firmy; znał ją. Nie mieli najlepszej reputacji, ale za wymuszenia dotąd się nie brali.

— Ma klienta — oznajmiła.

— Rusz się i mu powiedz, że albo porozmawia ze mną przez telefon, albo za dziesięć minut będę tam osobiście.

— Nie odpowiadamy na groźby.

— A zatem musicie się często z nimi spotykać; to wiele mi mówi o charakterze waszej kancelarii. Nie chcę marnować czasu, dzwonię z automatu.

Po chwili prawnik podniósł słuchawkę.

— Klienci przeważnie umawiają się na spotkania.

— To, co robicie razem z waszym klientem, to wymuszenie.

— Nie całkiem. To uczciwe ostrzeżenie.

— Ale jeśli dam wam dwadzieścia tysięcy, problem zniknie.

— Dzięki temu oszczędzimy sobie wielu zbędnych kosztów. To się nazywa ugoda poza sądem.

— A zatem w zamian otrzymam zrzeczenie się roszczeń z wyszczególnioną sumą, jaką zapłaciłem.

— Nie.

— Więc mnie pozwijcie, a zeznam, że nie zawarliśmy ugody tylko przez waszą niechęć do podpisywania dokumentu z wyraźnie zaznaczoną sumą pieniędzy.

— To kwestia przywileju.

— Nie ma tu żadnego przywileju, ponieważ nie jest pan moim prawnikiem. Będę w kancelarii o wpół do dziewiątej rano. Czekać będzie wypisany na pańskiego klienta.

— To ma być gotówka.

— Będę o wpół do dziewiątej z czekiem bankowym. Pan będzie miał gotowe zrzeczenie się roszczeń z określoną sumą pieniędzy i bez żadnych uwag na temat związku pomiędzy mną i panią Claybourne. Jeśli nie, możecie mnie pozywać do uśmiechniętej śmierci.

— Najwyraźniej nie zdaje pan sobie sprawy, co znaczy postępowanie sądowe. W przeciwnym razie nie okazywałby pan takiej beztroski.

— Wydałem ćwierć miliona dolarów na podobnych panu palantów, żeby odzyskać moje dziecko. A inni, jeszcze gorsi, przeszkodzili mi w tym, po czym moja była żona zginęła razem z córką. Jak się panu wydaje, czego niby mogę się jeszcze bać?

— Boi się pan, że Cindy Claybourne straci pracę.

— Raczej nie.

— Więc koniec z galanterią?

— Nie, po prostu się nie boję, że straci pracę. Wybraliście sobie niewłaściwy cel. Pani Claybourne i ja straciliśmy już wszystko, co mieliśmy. Nie macie szans nam nic odebrać.

— Więc dlaczego zgadza się pan na dwadzieścia tysięcy?

— Ponieważ jeśli tego zaraz nie załatwię, pewnie kogoś zabiję.

— I kto tu komu grozi?

— No właśnie, zastraszam pana, żeby przyjął pan te dwadzieścia patoli. Wpół do dziewiątej rano. Czekać na pańskiego klienta. Zrzeczenie się roszczeń. Żadnych uwag o Cindy Claybourne lub jakichkolwiek kontrowersyjnych tematach.

— Przyjmę wyłącznie gotówkę.

— Świetnie. Może być gotówka. Albo czek. Jak pan woli. Do zobaczenia.

Odwiesił słuchawkę. Dygotał co najmniej jak Ryan Bagatti. Niedobrze jest stawiać się prawnikowi. Takie typy tylko się uśmiechają i obmyślają sposoby, dzięki którym zmienią ci życie w piekło. Ale jego życie już było piekłem. Prawnicy wreszcie stracili nad nim władzę.

Poszedł do banku, w którym znajdowały się pieniądze na remont, i pobrał dwadzieścia tysięcy w postaci czeku bankowego. Na dole napisał: „za zrzeczenie się roszczeń do domu Bellamych i innych związanych z nim spraw”. Potem wsunął go, złożony, do kieszeni koszuli i wrócił do domu.

Drzwi frontowe były zamknięte, tak jak je zostawił. Oczywiście, Sylvie nie miała klucza.

Sylvie nie miała klucza, a jednak wpuściła Pomocne Dłonie.

Nie. Pewnie zapomniał zamknąć dom. W końcu właśnie wtedy podpisał transakcję. Zostawił dom otwarty.

Dobrze, więc może jednak zamknął drzwi. Otworzyła drzwi wytrychem i tyle. Przecież nie kupił u Lowe’a pancernego zamka. Pewnie była włamywaczką, w ten sposób zdobywa pieniądze na narkotyki. Których nie bierze.

Pomyślał o znikających dziurach w drzwiach. Ten dom wkrótce go wykończy.

Wyjął z kieszeni czek, włożył go pod śrubokręt, a potem, z łomem w rękę, udał się na piętro i dopóty zrywał tynk, aż cały był w białym pyłe i pocie.

Wciąż panował upał. Woda nie będzie aż tak zimna. Don poszedł do łazienki, rozebrał się, strząsnął z siebie pył nad wanną i wszedł pod prysznic. Woda była już czysta, a przez to tym bardziej czuł się jak w górskim potoku. Wytrzymał, ile mógł, potem zakręcił kran i stał, dygocząc i otrząsając się jak pies, aż wreszcie uznał, że może wyjść.

Cóż, nie był w domu sam. Nie widział Sylvie od powrotu z banku, więc zupełnie o niej zapomniał. Ale przecież nie mógł paradować po domu goły jak święty turecki. Niestety, nie mógł także ubrać się w to zapyłone ubranie. Poszedł na kompromis. Włożył szorty, a resztę zaniósł na dół.

Oczywiście stała u stóp schodów.

— Woda zimna, co? — spytała.

Minął ją bez słowa. Po spotkaniu z Bagattim i rozmowie z prawnikiem znowu zaczęła w nim narastać furia. Miał ochotę potrząsnąć dziewczyną i wrzasnąć, żeby dała mu wreszcie spokój. Ale poszedł tylko w milczeniu do walizki po coś w miarę czystego do włożenia. Zdecydowanie musi zrobić pranie.

— Czego chciał ten facet? — zagadnęła znowu. — Wyszedł, ale ty też, zaraz potem.

Nie musi się jej tłumaczyć. Zwłaszcza teraz, kiedy stara się stłumić furie. Odwrócił się do niej plecami, zatknął kciuki za gumkę szortów i powiadomił ją:

— Muszę się przebrać. Wolę to zrobić na osobności, ale przecież w tym domu nie mogę ani przez chwilę znaleźć być sam.

Potem zdjął szorty i odwrócił się do niej. Zniknęła. Wreszcie.

Przebrał się w rzeczy, które były naprawdę nieświeże, nawet jak na niego. Dochodziła już siódma. Choć ciągle jeszcze obowiązywał czas letni, wkrótce miało się zrobić ciemno. Zebrał brudne ubrania i wyszedł. Tym razem nie zamykał drzwi na klucz. Dzień-

ki temu nie będzie się musiał dziwić, jak się otworzyły, gdyby Sylvie wpuściła pod jego nieobecność kolejnego gościa.

Pojechał do pralni samoobsługowej. Kiedy jedna partia ubrań była już wyprana i wysuszona, przebrał się w ubikacji. Potem wrzucił do pralki brudne rzeczy, które miał na sobie.

Jedyną osobą w pralni poza nim była jakaś zmęczona kobieta w średnim wieku. Najwyraźniej nie mogła znieść widoku mężczyzny, który wkłada do bębna slipy i skarpetki razem z niebieskimi dżinsami i czerwoną koszulką.

— Czy nikt panu nie mówił, że nie wolno łączyć białych i kolorowych? — spytała z wyrzutem.

— Owszem, ale ten etap Ameryka ma już za sobą — odparł.

Kiedy wreszcie zrozumiała, że tylko udawał, iż jej nie rozumie, parsknęła i zostawiła go w spokoju. Gdybyż takie rzeczy działały na Sylvie.

O dziesiątej wszystko było już czyste i suche. Po drodze wstąpił do restauracji, kupił pizzę na wynos. Było dość późno i nawet nie wiedział, czy jest głodny, ale musiał coś zjeść, żeby móc jutro zabrać się do roboty. Wszedł do domu, włączył reflektor w salonie i chciał postawić pizzę na warsztacie, ale zatrzymał się w pół ruchu. Kiedy wychodził, złożony czek był przyciśnięty śrubokrętem. Teraz leżał rozłożony, bez śrubokręta. Sylvie wścibia nos w cudze sprawy. I nawet nie ma dość przyzwoitości, żeby zatrzeć ślady po sobie.

Dwadzieścia tysięcy dolarów. Będzie musiał podreperować budżet. Ale choćby stawał na głowie, nie zdobędzie odpowiedniej sumy. Więc jednak będzie zmuszony zaciągnąć pożyczkę, ale dopiero pod koniec remontu. Na zakup blatów kuchennych, krzeseł, wykładzin i zasłon. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Pierwszy raz słyszał o takim kosztownym romansie, w którym nie było seksu.

Dlaczego to robię?

Nie dla Cindy. To nie rycerskie zapędy. Wykupuję się tylko z celi śmierci. Naprawdę jestem gotów kogoś zabić. Płacę im, żeby nie popełnić morderstwa.

Siedział na pryczy i żuł pizzę, tak mechanicznie, jak wbijał gwoździe. Na schodach rozległy się złowieszcze kroki. Kolejny atak na jego terytorium. Ta dziewczucha uparła się, żeby go dręczyć.

Ale nie warknął na nią. Zamknął pudełko pizzy i pchnął po podłodze. Zatrzymało się dokładnie na progu. Dziewczyna stanęła za nim i spojrzała na niego poważnie.

— Nic nadzwyczajnego, z papryką i kielbasą — powiedział. — Już się najadłem.

— Dziękuję.

— Jasne, jasne.

— Dlaczego nie możesz na podziękowanie odpowiedzieć „proszę”, jak normalny człowiek?

- Dlaczego... — Chciał powiedzieć: Dlaczego kiedy ci mówię „zostaw mnie w spokoju”, nie możesz odejść jak normalny człowiek?
- Dlaczego co?
- Zjedz pizzę, jeszcze ciepła.
- Dziękuję, nie. Nie jestem głodna.
- No to nie jedz.
- Przyszłam cię przeprosić.
- Za co?
- Za to, że ciągle chcę zobaczyć, co robisz. Nie mogę się powstrzymać. W tym domu tak długo nic się nie działo.
- Powinienem sprzedawać bilety.
- To dość niebezpieczne, prawda? Rozwalasz ściany...
- Nic mi się nie stanie. — Zwłaszcza jeśli nie będziesz za mną chodzić.
- Nie, miałam na myśli bezpieczeństwo domu. On się czuje jak koń prowadzony do rzeźni, wiesz? Zabiją go, zrobią z niego klej i nawóz.
- Wiem, co się dzieje z końmi w rzeźni.
- Nie robisz mu krzywdy?
- Zrywam tylko tynki. Muszę się ich pozbyć. Wstawię nowe deski w ściany, żeby można było wbijać w nie gwoździe, do powieszenia obrazów czy czego tam. I zamontuję gniazdko i wyłączniki. Potem przykryję to płytą pilśniową i będzie jak nowe. Nawet lepiej.
- Nie wiem, czy mógłby być lepszy niż wtedy, gdy był nowy. Wyglądał przepięknie.
- Nie widziałas tego.
- A ty nie czujesz? Jak ją kochał? — Kto?
- Doktor Bellamy. Zbudował ten dom dla narzeczonej. Przeczytałam to w bibliotece, kiedy jeszcze studiowałam. Specjalizowałam się w bibliotekoznawstwie. Miałam dostać pracę w Providence na Rhode Island. Zamierzałam zdać egzamin magisterski.
- I...?
- Och, znalazłam mnóstwo cudownych informacji o Bellamych. Byli w sobie bardzo zakochani i stanowili centrum życia towarzyskiego Greensboro. Wieczorki tańcujące, przyjęcia, zabawy. W lokalnej gazecie pisali o nich co miesiąc.
- Widziałas zdjęcia?
- Parę. Śliczne. Z czasów ich młodości. A także kiedy byli już w średnim wieku. Ale żadnych, na których byli starzy. Kiedy umarli, gazety publikowały ich zdjęcia z młodości. Chyba tak właśnie o nich myślano. Wiecznie młodzi.
- Chodziło mi o zdjęcia domu. Pomogłyby mi przy remoncie.
- Nie. Tylko zewnętrzna fasada, a ona nie zmieniła się tak bardzo.
- Chyba nie. Nie zauważyłem żadnych dobudówek.

— Przykro mi, że nie mogę ci pomóc.

— Nic się nie stało. I tak zrobię tu remont. Tylko myślałem, że może było tu coś wyjątkowego albo... nieważne.

— W tym domu jest mnóstwo cudownych rzeczy, ale on trzyma je w tajemnicy. — Spowaźniała. — Przepraszam, znowu ci zawracani głowę. Wiem, że to cię doprowadza do szału, ale jakoś nie mogę się pohamować. Lissy, moja współlokatorka, też mi to robiła. Wkradała się do pokoju, kiedy się uczyłam albo byłam czymś tam zajęta. Nagle docierało do mnie, że ona stoi tuż obok, i omal nie dostawałam zawału.

— No, tego mi nigdy nie zrobiłaś.

— Nie, naturalnie, ale wiesz... Dostajesz szału, kiedy ktoś ci patrzy przez ramię.

Machnął ręką lekceważąco i natychmiast zaklął w duchu. Wystarczy urodzić się na Południu i po prostu nie można być niegrzecznym, nawet jeśli się postanowiło inaczej.

— Tak, to zawsze doprowadza do szału — powtórzyła Sylvie. — Lissy była... kłopotliwa.

Chciała użyć innego słowa. Gorszego.

— Więc dlaczego z nią mieszkałaś?

— Była młodsza. Wzięłam ją pod swoje skrzydła. Była na ostatnim roku, ale nie sądzę, żeby mogła skończyć studia.

— A nie skończyła?

— Wyjechała. Nigdy nie traktowała szkoły poważnie.

— A ty skończyłaś?

Pokręciła głową.

— Więc jednak byliście ze sobą blisko? Skoro po jej wyjeździe nie mogłaś ukończyć szkoły i podjąć pracy?

Znowu potrząsnęła głową.

— Moja historia jest zbyt nudna, żeby się nad nią rozwodzić. — Uśmiechnęła się słabo. — Wtedy nienawidziłam Lissy, ale nie wiesz, ile razy chciałam ją znowu spotkać. Nie chodzi o to, że nie jestem już na nią zła. Trochę mi jej brak. Była taka... pełna życia. Uparta. To ona znalazła ten dom. Właściciel nie chciał już wynajmować mieszkań, ale go przekonała, żeby pozwolił nam tu zostać, dopóki nie skończymy szkoły.

— Co zrobiła twoja rodzina, kiedy nie zdałaś egzaminu?

— To co zawsze. Byli martwi.

Najpierw wydawało mu się, że to żart. Potem już nie.

— Naprawdę? Nie żyją?

— Jestem sierotą. Sama się utrzymywałam. Miałam stypendium, ale płaciłam za dom, książki i jedzenie. W liceum też pracowałam. I nie zadłużyłam się, zawsze płaciłam za siebie.

Aż do teraz, pomyślał niechętnie.

— Doktor Bellamy mieszkał tu razem z żoną aż do śmierci ich obojga podczas epidemii grypy w 1918 roku. Ale byli już tak starzy, że właściwie to nawet nie jest smutne, tylko piękne, że odeszli razem. Żałoba została im oszczędzona.

Nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Ile razy żałował, że nie zginął razem ze swoim dzieckiem?

— Jejku, co ja mówię. Zapomniałam. Twoja żona i córeczka...

— Skąd o nich wiesz? — warknął. Potem poczuł skruchę. — Przepraszam. Zwykle o nich nie opowiadani.

— Nie, ja... twój przyjaciel, ten inżynier, opowiedział o tym tej pani, z którą tu przyszliście. Powiedział, że twoja była żona zabrała córkę i że zginęły w wypadku samochodowym.

— Gazety nie napisały tylko, że moja żona była pijana i tak zaćpana, że nawet nie przypięła fotelika córeczki pasami.

— Pisali o tym w gazetach? Nie dostaję tu gazet.

Ciągle nie docierało do niego, w jakim odosobnieniu musiała żyć.

— Ile lat tu mieszkasz? — spytał.

— Nie wiem. Długo.

— Co się z tobą stało? Przecież studiowałaś, miałaś przyszłość przed sobą. Praca na ciebie czekała.

— Miejska biblioteka rozbudowywała sekcję książek dla dzieci i rozpoczynała nowy program nauczania w klasach podstawowych. To był temat mojej pracy magisterskiej, mniej więcej. Wpływ programów nauczania opartych na współzawodnictwie i współpracy w bibliotekach publicznych.

— Ale dlaczego nie skończyłaś, czemu nie zaczęłaś pracować?

— Jak na człowieka, który pracuje i żyje sam, zadajesz masę pytań.

— Daj spokój, to ty zaczęłaś tę rozmowę.

Spiorunowała go wzrokiem i poszła po schodach na górę. Don spojrzął na pudełko z pizzą. Tylko spokojnie, choć jesteś otoczony przez nadwrażliwych szaleńców. Wstał, przyniósł sobie pizzę i ugryzł kawałek. Już wystygła, smakowała paskudnie.

Dlaczego ma wyrzuty sumienia? Przecież to ona ciągle grała mu na nerwach.

Jasne, to zawsze wina innych, no nie, Don?

Chwycił największy ocalały kawałek pizzy i rzucił nim o ścianę. Trójkąt ciasta odbił się, nie zostawiając nawet śladu, i wylądował pomiędzy narzędziami.

Muszę przestać rzucać wszystkim o ścianę.

Podniósł kawałek pizzy, schował do pudełka i wyniósł do kubła ze śmieciami. Zrobiło się późno. Rano musi wyjechać do miasta i zapłacić szantażyście.

Rozdział jedenasty

Gorąca woda

Ostatecznie okazało się, że nie było to nic wielkiego. Prawnik wystąpił w garniturze — młody facet z taką miną, jakby całe jego życie było pasmem niepowodzeń. Jakby jego uśmiech był niegdyś pełen nadziei, teraz stał się gorzki, a za jakiś czas miał się zmienić w cyniczny grymas. Życie tego faceta chyba nie przypominało kolorowych seriali o adwokatach. On spotykał się z robotnikami na parkingach i wydierał grosz jako poręczanie, że tajemniczy palant z Florydy nie pozwie ich do sądu. Wątpliwa kariera.

Prawnik przyniósł zrzeczenie się roszczeń. Wyglądało jak należy. Żadnych podstępów, przynajmniej o ile zdołał się zorientować. I nie wspomniał o gotówce. Szantażyści unikają kłopotów. Nikt nie wie lepiej niż prawnik, jak może uprzykrzyć życie jeden proces sądowy. Dwadzieścia tysięcy bez walki w sądzie to coś o wiele lepszego niż sto tysięcy po walce. Tak właśnie myślał Don, podając prawnikowi czek bankowy. Był do tego stopnia zadowolony, że zrzeczenie się roszczeń ma postać legalnego dokumentu, aż powiedział „bardzo dziękuję”, zanim zdążył się powstrzymać.

No tak, to dlatego mamusia nauczyła mnie mówić proszę i dziękuję. Żebym potrafił wyrazić wdzięczność facetowi, który pomaga komuś mnie okraść.

W furgonetce poczuł ściskanie w gardle, a do oczu napłynęły mu łzy. Musiał zatrzymać się na parkingu pod restauracją i odczekać.

Przecież to bez sensu. Miałby płakać? Niby dlaczego, przez dwadzieścia tysięcy dolarów? Stracił o wiele więcej. Płakał po śmierci córki, całymi dniami, aż mu łez zabrakło. Przepona bolała go od łkania. Nie mógł wyjść na słońce, bo oczy nie znosiły jasnego światła. Był wtedy święcie przekonany, że nigdy więcej nie uroni już ani jednej łzy, że nie będzie już miał powodów do płaczu. A teraz proszę, rozpacza przez dwadzieścia tysięcy dolarów.

Nie. To płacz za wolnością. Wydawało mu się, że już przekroczył jakąś granicę. Ten dom miał być jego powrotem do życia. Bez długów. Co stracił teraz? Na pewno nie wszystko. No więc zaciągnie pożyczkę na hipotekę. Te dwadzieścia tysięcy jest niczym w porównaniu z ceną, za jaką sprzeda dom. Pożyczkę weźmie, dopiero gdy dom będzie niemal gotowy do sprzedaży. Poradzi sobie.

Więc dlaczego tak go to zabolalo? Poniewaz zostal pobity. A w jaki sposob? Poniewaz popuscil sobie cugli. Poniewaz prawie zaczal kochac kobiete. Nie chciala mu zaszkodzic i wlasciwie to nawet nie ona zaczela. Ale ciagnelo go do niej, a ja do niego i dlatego dzisiaj poniosl klaskę. Chociaz przestal juz o Cindy marzyc, nadal chcial jej broniec, a oni to wykorzystali. Tak to juz jest na tym swiecie, przyzwoici ludzie musza zyc honorowo, a sukinsyny gryza ich w tyłek, kiedy tylko moga. A jednak na sama mysł, ze moze stac sie jednym z nich, prawdziwym sukinsynem, robilo mu sie niedobrze. Wszystko sprowadzalo sie do jednego: jesli jego córka nadal gdzieś jest, moze w niebie, i jesli sie z nia kiedyś spotka, chcial, zeby byla z niego dumna. Ta kobieta potrzebowala jego opieki. Przyzwoita kobieta zostala napadnietą, poniewaz odwazyla sie wyciagnac rękę po miłosc. Potrzebowala pieniedzy, a on je mial, wiec sie z nia podzielił. Jesli jego córka mieszka z Jezusem, tak jak mu mowiono, moze wie, co zrobil, i jest z niego dumna.

Więc zrobil to dla swojej córeczki. Skoro sie tego dowiedzial, a przynajmniej zdołal to sobie wmowic, wszystko znowu bylo w porzadku. Juz mu sie nie chcialo plakac.

Przed domem zastal furgonetkę firmy Hydrauliczna i Ogrzewanie Carville. Ale tym razem Sylvie nie otworzyla drzwi. Młody Jim Carville — młody jedynie w porownaniu ze swoim siedemdziesięcioletnim ojcem — siedzial w szoferce i palil. Na widok Dona rzucil papierosa i powoli wysiadł.

— Jesteś jednym z niewielu klientów, na których czekam — oznajmil.

— Przykro mi, ze czekales. Przyjechales wczesniej?

— Aha. Robota mi uciekla.

— A mnie nie. Jesli masz czas, sprawdz rury i powiedz, co mam wymienic.

— Mam masę czasu. Pomozesz mi zamontowac bojler?

Don otworzyl drzwi i razem wniesli bojler do domu. Wlasciwie Candle mógł to zrobic sam, ale dlaczego mu nie pomoc?

— Ta dziewczyna, co to jej pozwoliles zostac... cholernie sie boi, ze cos moze zrobic nie tak.

— Hm?

— Powiedzialem, kim jestem, ale nie chciala mnie wpuscic bez twojej zgody. Następnym razem powiedz jej, ze sie spodziewasz fachowca.

— Myslam, ze przyjdiesz dwie godziny po mnie.

— Jak zamawiasz Supermana, musisz byc przygotowany, ze przylecisz wczesniej.

W piwnicy Candle obejrzal stare instalacje i oznajmil, ze przy rurach nie potrzebuje pomocy. Natomiast pomoc przyda sie przy wynoszeniu starego bojlera.

— Lepiej zawolaj jeszcze trzech chlopaków, z podnośnikiem i lancuchem.

— Jest az tak stary?

— Aha, i wewnatrz obrosniety kamieniem. Bylbym zdziwiony, gdyby zmiescila sie

w nim szklanka wody. W środku musi wyglądać jak monolit.

Don wrócił po schodach na parter. Znowu czekała go ciężka robota, ale tym razem uświadomił sobie, że po jej zakończeniu będzie mógł się wykąpać w ciepłej wodzie. Więc zanim się uświni, pójdzie do miasta i kupi parę drobiazgów, na przykład mydło i ręczniki, a skoro miał towarzystwo, czynny prysznic zaś znajdował się na piętrze — także szlafrok.

W centrum handlowym Friendly znajdowało się wszystko, czego szukał. Potem wstąpił jeszcze do innego sklepu, gdzie kupił parę mydelniczek, końcówkę prysznica i dorobił klucz. Wrócił do domu, zaopatrzył obie łazienki w mydło i wyłożył ręczniki, jeden komplet dla niej, jeden dla niego. Zawiesił nową zasłonkę do prysznica, położył antypoślizgową matę. Bardzo przytulnie. Potem ruszył na poszukiwanie Sylvie, żeby dać jej klucz.

Nie znalazł jej ani na parterze, ani na piętrze, ani w piwnicy. Zajrzał na strych i także jej nie zastał. Oczywiście nie było tu specjalnie jasno; światło ledwie się przebijało przez brudne okna.

— Sylvie? — odezwał się. — Jesteś tu?

Cisza. Znowu zawołał. Znowu nic. Odeszła? Akurat kiedy do niej dotarło, że nie wolno wpuszczać obcych ludzi? Akurat teraz, kiedy pojechał do sklepu? Nie powinien się przejąć, ale — niech to! — kupił szlafrok i ręczniki, których nie potrzebował, jeśli Sylvie z nim nie mieszkała. No nie, ludzie powinni być konsekwentni, nawet jeśli mieli go konsekwentnie wkurzać.

Już chciał zawrócić, kiedy usłyszał jej głos dochodzący z najciemniejszego skrzydła strychu, tego bez okna. Nie spoglądał tam, ponieważ nie sądził, żeby mogła siedzieć w takim miejscu. Zaczęła się przedzierać przez sterty rupieci — nawet firma Pomocne Dłonie ich nie chciała — tak szybko i sprawnie, jakby widziała w ciemnościach. Ale właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, miała mnóstwo czasu, żeby nauczyć się na pamięć, gdzie co leży.

— Szukałeś mnie? — spytała. Nawet nie mógł się dziwić, że jest zdumiona.

— Chciałem ci powiedzieć, że już mamy bojler. Kiedy woda się ogrzeje, będziesz mogła wziąć prawdziwy prysznic.

— Na pewno mi się przyda.

— Przyda czy nie, na pewno poczujesz się po nim lepiej. — Jakby nie miała na sobie zaskorupiałego wieloletniego potu i brudu. — Jest mydło, ale będziemy musieli używać go wspólnie, jeśli ci to nie przeszkadza.

— Nie ma sprawy.

— I możesz sobie wybrać ręczniki. Ja będę używać drugiego kompletu.

— Kupiłeś mi ręcznik?

— A co, wolisz chodzić mokra?

— Chciałam tylko powiedzieć: dzięki. — Znowu ton zaskoczenia.

— Ponadto — dodał i wyciągnął z kieszeni dorobiony klucz — powinnaś mieć własny klucz, skoro będę zamykać drzwi. A jeśli wyjdiesz, nie będziesz musiała pukać ani czekać, aż wrócę do domu.

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiała.

— To nie jest mój dom, tylko twój.

— Mam do niego prawo własności. Ale mógłbym je stracić w jednej chwili, gdyby jakiś prawnik naprawdę chciał się mi dobrać do skóry. Więc według mnie oboje jesteśmy tu dzikimi lokatorami. Dom nadal należy do doktora Bellamy'ego.

— O, on na pewno już o nim zapomniał.

— Mam taką nadzieję, skoro nie żyje i w ogóle.

— Śmieszne. Zbudował taki silny dom z miłości do swojej żony, ale właśnie w tym rzecz, dom go nigdy nie opanował, nigdy, ponieważ on kochał tylko ją. To bardzo romantyczne.

— Bierzesz ten klucz czy nie?

— Nie wiem. Nie wiem, czy powinnam go mieć.

— Ja twierdzę, że powinnaś. — Ledwie to powiedział, poczuł, że naprawdę w to wierzy. — Skoro przestrzegasz zasad. Nie wpuszczasz obcych.

— Czy mógłbyś położyć ten klucz przy drzwiach do mojego pokoju?

Wytrzeszczył oczy. W co ona gra? Nie dotarło do niej, że odniosła zwycięstwo? Musiała jeszcze go zmusić, żeby sam zaniósł klucz?

— Naprawdę — dodała. — Nie wiem, czy zdołam go utrzymać. Trzęsę się cała. Proszę, żebyś zechciał zanieść klucz do mojego pokoju, ponieważ nie chcę przy tobie płakać, to mnie krępuje.

— Nie chciałem doprowadzić cię do łez.

Pokręciła głową i odwróciła się do niego plecami. Zszedł po schodach i położył klucz przed jej drzwiami. Potem zajrzał do piwnicy, by sprawdzić, jak radzi sobie Carville.

Ale kiedy znalazł się w korytarzu na parterze, dostrzegł, że za oszklonymi drzwiami wejściowymi ktoś nerwowo chodzi po ganku. Na strychu nie było słyhać pukania. Otworzył drzwi. Cindy.

— Cześć — powiedziała.

— Aha. Wejdz. — Doznał nieprzyjemnego uczucia, że dowiedziała się o dwudziestu tysiącach i przyszła mu podziękować, a on nie miał na to ochoty. Choć wolał taką scenę niż tamtą w jej domu, kiedy usiłowała go uwieść.

— Uspokój się — rzuciła, wchodząc. — Wiem, że między nami nic nie będzie.

— Tak mi się wydaje.

— Nie masz pojęcia, ile razy o tym myślałam i żałowałam...

— To bez sensu, Cindy.

— A teraz jeszcze musiałeś za mnie zapłacić.

— I po cholere ci o tym mówili?

— Ryan nie usiedzi spokojnie, jeśli coś wie. Nie rozumie, że właśnie dlatego nie zostanie znakomitym szpiegiem. Nie ma się przewagi nad przeciwnikiem, jeśli się chłapie jęzorem na prawo i lewo.

— Ktoś musi mu wsadzić łeb do kibla.

— On i tak zagłada do cudzych wychodków — powiedziała z bladym uśmiechem. Z tym nie mógł się spierać.

— Mniejsza o to — ciągnęła. — Oddam ci te pieniądze. Musisz się zgodzić.

— Przydadzą ci się na coś innego.

— Ale wiem, co dla ciebie znaczy zaciągnięcie pożyczki.

— Nie ma sprawy. Muszę tylko pożyczyć pieniądze na parę miesięcy, to wszystko. A całowałem cię tak samo, jak ty całowałaś mnie.

— Ale nie wiedziałeś, że zmusiłam go do spuszczenia z ceny.

— No właśnie, w tym rzecz. Zrobiłaś to, bo mnie polubiłaś. Więc skoro o to chodzi, właściciel miał rację. Skorzystałem ze specjalnych przywilejów. I tak bym kupił ten dom, nawet za siedemdziesiąt patoli. Zastanawiałbym się przez parę dni, ale bym go kupił. Więc w pewnym sensie tylko ty na tym straciłaś, ponieważ nie dostaniesz pełnej prowizji.

— Nawet nie myśl, żeby mi dopła...

— Pocałowała mnie piękna pani. Zrozumiałem, że mogę czuć coś, czego się już nie spodziewałem. Nie chodzi o pieniądze.

— Właśnie. Mnie się też tak wydaje. I proszę, nie myśl, że jestem zła, bo masz tu tę dziewczynę.

— Jest tu dziewczyna, ale jej nie mam. Dostałem ją razem z domem.

— Nie, nie, nie musisz się tłumaczyć. Wiem, że jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem. To na pewno taka sama nieszczęśliwa kobieta jak ja. Może po prostu przyciągasz kłopoty.

— A może nie ma na świecie osoby bez problemów. Więc miałem szczęście, że cię spotkałem.

Pokręciła głową, wstrzymując łzy.

— Wiesz o mnie zbyt dużo, żebym w to uwierzyła.

Podszedł i znowu wziął ją w ramiona. Przywarła do niego mocno, a jej ciało znowu obudziło w nim pożądanie.

— Nie czujesz do mnie wstrętu, choć wiesz, co zrobiłam? — szepnęła.

— Co prawie zrobiłaś. I przed czym się powstrzymałaś. Tylko to się liczy. Czyny, nie myśli.

— Ale widzisz, ja cię okłamałam. Naprawdę przycisnęłam poduszkę do jej twarzy.

Kolana się pod nim ugięły.

Odsunęła się od niego, mierząc go baczny spojrzeniem. Po policzkach płynęły jej strumienie łez.

— Czy... zrobiłaś jej krzywdę?

Pokręciła głową.

— To trwało tylko minutę. I tym razem mówię prawdę. Teraz, kiedy już wiem, że masz kogoś innego, mogę się odważyć ci o tym opowiedzieć. Ja to zrobiłam.

— Ale się powstrzymałaś.

Skinęła głową.

— A dziecku nic się nie stało.

— Płakała, bo się przestraszyła, ale nie, nic się jej nie stało. To naprawdę trwało tylko minutę. Może mniej. Ale byłam tak blisko... To straszne, mogłam zbliżyć się tak bardzo...

— Wszyscy możemy zbliżyć się do czegoś brzydkiego.

— Ale nie aż tak. Ty nigdy byś tego nie zrobił. I dlatego nie możesz mnie pokochać.

— Wiesz, Cindy... to niesprawiedliwe. Nie porównuj się do mnie. Straciłem moją córeczkę. Ja też mam blizny. To wszystko.

— Nie, ja wiem lepiej. Mężczyzna taki jak ty, warty miłości, nigdy nie zdoła mnie pokochać, jeśli mu o tym opowiem.

— Tego nie wiesz.

— Czy mógłbyś mi zaufać? Czy mógłbyś zostawić mnie z dziećmi? Będziesz chciał mieć dzieci. Jesteś urodzonym mężem i ojcem.

— Nie wiem, Cindy. Na pewno coś dla siebie znaczy. To coś lepszego, niż miałem przez ostatnie lata.

— Ja też.

— No widzisz. To też jest miłość. Nie ma w tym seksu, i szkoda, ale wiesz, kiedy dwoje ludzi znaczy coś dla siebie, niekoniecznie muszą zaraz ze sobą sypiać czy razem mieszkać.

Skinęła głową i zerknęła z półuśmiechem ku schodom.

Nie zamierzał jej odpowiadać, zapewniać, że między nim a Sylvie nic nie ma. Skąd miał wiedzieć? Może jednak coś między nimi było? Może wreszcie wrócił do tego stanu, kiedy mógł znaczyć coś dla innych, a oni mogli znaczyć coś dla niego. Nie musiał się tłumaczyć przed Cindy. Zresztą ona nie żądała od niego wyjaśnień.

— W każdym razie — odezwała się — zamierzam założyć nowe konto. Powoli będę je wypełniać pieniędzmi, aż uzbieram dwadzieścia tysięcy dolarów. Jeśli nie przyjmiesz ich ode mnie, nazwę je funduszem Dona Larka i postaram się spożytkować je tak szlachetnie, jak ty.

— Dzięki nim ja też uniknąłem kłopotów, nie tylko ty.

— Akurat. — Roześmiała się. — Ty byś nie stracił licencji.

— Niech ci się nie wydaje, że jestem taki szlachetny. Muszę ci powiedzieć, że w tej chwili mam straszną ochotę cię pocałować.

— Ja też.

— Człowiek szlachetny nie dopuściłby do czegoś takiego.

Podeszła, oparła mu dłonie na piersi, pozwoliła się znowu otoczyć ramionami i oddała mu słodki, ciepły pocałunek. Nie taki jak w łazience czy samochodzie, nie było w nim tamtej pożądlivosti. To było pożegnanie. A także miłość, której potrzebował i którą mu dała, i której także potrzebowała od niego, więc może dzięki temu zbliżyli się nieco bardziej ku życiu i szczęściu. Dlatego pocałunek trwał długo. Ale kiedy się skończył, Cindy bardzo szybko ruszyła do drzwi.

Na dworze, oparty o jej samochód, stał Ryan Bagatti. Uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Smakowite danie w przerwie obiadowej — powiedział. — Ale to chyba fast food?

Patrzył na Cindy. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, że Don także tu jest. Nieważne. Tym razem przeholował. Don zbiegł po schodkach.

— Żartowałem! Żartowałem! — zawołał Bagatti.

— Don, nie! — krzyknęła Cindy.

Nie musiała go ostrzegać. Pragnął zrobić krzywdę Bagattiemu, ale nie zamierzał przekroczyć granicy. Stał przy nim, najbliżej jak mógł. Bagatti powoli rozprostował skulone ramiona, lecz okazało się, że musi się oprzeć o samochód, jeśli nie chce się przitulić do szerokiej piersi Dona.

— No, cofnij się, na żartach się nie znasz?

Don stał bez ruchu. Czekał, co zrobi Bagatti.

Nie musiał czekać długo. Takie typy zaczynają się czuć bezkarnie, kiedy się im nie odda. Dlatego Bagatti znowu zaczął podskakiwać.

— Trzeba mieć poczucie humoru — oznajmił. A potem lekko popchnął Dona. — Odsuń no się trochę.

Don tylko na to czekał. Chwytał obie dłonie Bagattiego i zgniótł je w stalowych palcach. Mocno. Bagatti kwiknął. Don rozkrzyżował mu ręce, tak że agent stanął z nosem przy jego piersi. Szarpnął się, ale im bardziej się opierał, tym mocniej ścisnął Don.

— Zabijesz mnie!

— Nie tym razem — odparł Don. Pochylił się nisko i szepnął prosto w jego ucho: — Słuchaj uważnie, bo drugi raz ci tego nie powiem. Koniec z kawałami, koniec z dowcipami, koniec z chodzeniem za Cindy. W pracy masz ją traktować grzecznie. Nigdy jej nie krytykuj ani nawet nie gadaj o niej z innymi. Koniec brzydkich numerów, koniec plotek, koniec szpiegowania. Chwytasz?

— Tak — przyświadczył gorliwie Bagatti.

— Jesteś bydlakiem, bo prześladujesz bezbronnych. Dobrze się poznałeś na Cindy. Rzeczywiście była bezbronna. Do teraz. Nie jesteśmy i nie byliśmy kochankami, co w ogóle nie powinno cię obchodzić. Ale jesteśmy przyjaciółmi. A ja dbam o moich przyjaciół, panie Bagatti.

— Tak, jasne — wybełkotał Bagatti. — Zrozumiałem. Absolutnie.

— Nie jestem pewien. Chyba się powoli uczysz.

— Nie, uczę się szybko.

— Ale kiedy tylko cię puszczę, o wszystkim zapomnisz.

— Nie, nie zapomnę.

— Kiedy tylko cię puszczę, zaczniesz wrzeszczeć, że ci groziłem i na ciebie napadłem, a jeśli usłyszę coś takiego...

— Nie, nic nie powiem.

— Więc mogę cię puścić?

— Zdecydowanie. Tak. Jak najbardziej.

Don puścił ręce Bagattiego. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że ściska go tak mocno. Ten głupek będzie miał siniaki. Rzeczywiście, Bagatti oparł się bezwładnie o samochód i złapał się za jedną dłoń, a potem za drugą, aż wreszcie wyprostował je niezdarne, jakby stracił w nich czucie.

— Widzisz, co mi zrobiłeś? — jęknął.

— Według mnie — powiedział Don — sam to sobie zrobiłeś. Gdybyś nie przylazł tutaj nękać Cindy, ręce by cię nie bolały.

— Popełniłeś przestępstwo, bracie — syknął Bagatti.

Don natychmiast chwycił go za ręce; agent wrzasnął przeraźliwie i usiłował się wyszarpnąć.

— Obiecałeś — szepnął Don.

— Tak. Tak, obiecałem. Obiecuję. Nie było przestępstwa, wszystko w porządku.

— Przede wszystkim musisz zapamiętać, że jestem wariatem. Cokolwiek ci zrobię, ujdzie mi na sucho.

— Tak, zapamiętam. Już nic nie powiem. Naprawdę!

Teraz Don nie ściskał już jego dłoni. Bagatti mógłby je cofnąć, ale nawet nie próbował. Poddał się. To powinno sprawić Donowi przyjemność. I sprawiło, niewielką. Pewnie teraz Bagatti rzeczywiście zostawi Cindy w spokoju. Więc może postąpił słusznie.

Ale nie czuł przyjemności na myśl, jak go cieszyło, że robi temu facetowi krzywdę. Ścisnął go mocniej, niż zamierzał. Rękami, które operowały kluczami i młotami, rękami o stalowym uścisku ścisnął miękkie dłonie agenta, wbił w nie palce jak gwoździe i poczuł, że sprawia mu to przyjemność.

A Cindy się temu przyglądała. Patrzyła, jak się pastwi nad drugim człowiekiem. Co

o nim teraz sądziła? Nie śmiała spojrzeć jej w oczy.

Bagatti pomknął do samochodu i odjechał. Cichutko. Nie zostało w nim ani odrobiny agresji. Przynajmniej na razie. Kierownicę poruszał krawędziami dłoni. Przez jakiś czas będą go bolały.

Cindy stała przy swoim samochodzie. Patrzyła na Dona.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałaś, żebym mu coś zrobił, ale nie posłuchałem.

Zrobiła ku niemu parę kroków. Wyszedł na jej spotkanie.

— Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ktoś wystąpił w mojej obronie — odezwała się cicho. Ujęła jego dłonie i pocałowała je, jedną po drugiej.

— Powiedz mi, jeśli będzie ci sprawiać kłopoty.

— Nie będzie. Potrafisz być bardzo groźny.

— Słyszałaś?

— Nie musiałam. Przyglądałam się jego twarzy, kiedy szeptałeś mu do ucha.

— Nie jestem miły. Nie wiedziałaś tego aż do teraz.

— Powstrzymałeś łobuza, który chciał się pastwić nad kimś bezbronnym. Według mnie to bardzo miłe.

— Ale nie wiesz, jak bardzo mnie kusilo, żeby rozbić mu głowę o samochód. Żeby tłuc tak długo, aż zniszczę karoserię tym jego głupim łbem.

— Wiem, że nie chcesz takiej kobiety jak ja. Ale muszę ci powiedzieć: jesteś wszystkim, czego pragnę. To dobrze. Skoro już wiem, że mogę spróbować jeszcze raz, znajdę sobie kogoś innego. Mogę się zgodzić na kogoś niezupełnie doskonałego. Namawiam do tego moich klientów. Wszyscy marzą o idealnych domach, ale czasami mogą sobie pozwolić tylko na małą chatkę.

— Masa facetów nada się dla ciebie lepiej niż ja.

— Hm, dobrze wiedzieć. Może kiedyś dopisze mi szczęście i spotkam jednego z nich.

— Uśmiechnęła się. Nawet parsknęła śmiechem. — Akurat!

Wsiadła do samochodu, pomachała mu na pożegnanie i odjechała.

Patrzył za nią, dopóki nie znikła mu z oczu. A kiedy tak stał, poczuł w nogach i rękach jakieś mrowienie. Nie drżenie, nie swędzenie, nie skurcz, nawet nie to uczucie, kiedy noga zdrętwieje i krew znowu zaczyna w niej krążyć. To sięgało głębiej, aż do szpiku kości. Był to głód jakiegoś działania. Może przez wściekłość na właściciela domu i jego sługusa, tego prawnika. Albo na Bagattiego. Albo na śmierć córki i wszystko, co poszło nie tak, i na wszystkich, którzy go zawiedli. Musiał kogoś zabić, rozedrzeć na strzępy. Tylko kogo?

Popędził do domu, wziął piłę mechaniczną i dwa najdłuższe przedłużacze. Pora na tę dobudowaną ściankę. Zaczął odrywać płyty tynku z obu stron przepierzenia, obnażając słupy i płataninę przewodów elektrycznych prowadzących do lodówki i kuchenki. Już

dawno powinien tu być pożar.

Kiedy odłonił słupy, nadeszła pora na piłę. Włączył ją; ocknęła się z rykiem. Zaczął ciąć słup na wysokości piersi, a do ryku piły dołączyło się zawodzenie mordowanego drewna.

* * *

Sylvie siedziała na pryczy Dona. Często to robiła, a kiedy słyszała jego kroki, chowała się w sąsiednim pokoju, żeby nie oskarżał ją o wścibstwo. Nie zamierzała grzebać w jego rzeczach. Po prostu lubiła tu przebywać. Całkiem jakby cząsteczki jego ciepła, jego życia przywierały do pryczy i trwały tu przez cały dzień, powoli blednąc. Potem Don wracał i uzupełniał je swoim mrocznym gorącym snem. Dziwnie sypiał ten Don Lark. Oczywiście nie widziała zbyt wielu uśpionych mężczyzn, ale jeszcze nigdy nie czuła w nikim tak intensywnych emocji — podczas snu! Stawała w nocy w drzwiach jego pokoju i przyglądała mu się, starając się zachowywać absolutną ciszę, żeby go nie zbudzić.

Odkąd zjawił się w domu, wszystko zrobiło się strasznie dziwne. Czasami znowu potrafiła poruszać się bezszelestnie, a czasami każdy jej krok niósł się po całym domu. Ale kiedy przyglądała się pogrążonemu we śnie Donowi, była cicha. Słyszała, jak jęczy. Złe sny. Znała się na tym. Sama miewała koszmary. Żyła w jednym z nich. Ale nie potrafiła spać jak ten mężczyzna. Wyglądał tak, jakby atakował, rzucał się snom do gardła i wydierał im wypoczynek, którego potrzebował. Wypoczynek, ale nie spokój.

A zatem grzała się w jego ciepłe, tak jak ludzie grzeją się w słońcu, kiedy nagle z piętra dobiegł ją ryk, a potem cienkie zawodzenie, jakby dom krzyczał. Poczowała, że wszystko wokół niej nagle się wzdrygnęło. On nie rozumie. Nie może tego robić. To jak operacja bez znieczulenia. Wszystkie te zabiegi, zrywanie szafek, dodatkowych desek, sklejek i gipsu... Cały dom skręcał się z bólu. Cierpiał.

Skrzynka z narzędziami przesunęła się po podłodze i zatrzymała gwałtownie; ulubiony młotek Dona wypadł na podłogę.

— Przestań — odezwała się.

Młotek zadrżał i zawirował. Wiedziała, czego chce dom. W końcu robiła to już przedtem, prawda?

— Ale on wszystko naprawia, nie rozumiesz? Musisz mu zaufać.

Młotek podskoczył i upadł na podłogę. Za jej plecami warsztat drgnął, a potem rzucił się ku niej jednym skokiem. Zatrzymał się dopiero przy brzegu pryczy.

— Dość! — zawołała. — Zobaczę, co tam robi. Przypilnuję, żeby nic nie zepsuł.

Młotek wskoczył jej w rękę. Chwyciła go i ostrożnie upuściła do skrzynki.

— I już się nie ruszaj — rozkazała. Potem pobiegła ku schodom.

Don przepiłował już większość słupów, kiedy Sylvie wpadła jak burza do pokoju, tak przerażona, jakby dom stał w ogniu. Zdjął palec ze spustu piły. Ostrze zawyło i umilkło z jękiem.

— Co robisz?! — krzyknęła Sylvie.

Miał się jej tłumaczyć ze wszystkiego?

— Pracuję.

— A mnie się zdaje, że burzysz dom.

Miał ochotę na nią wrzasnąć, ale wyglądała, jakby się czegoś naprawdę przestraszyła.

— Słuchaj, ta ściana jest dobudowana. Postawił ją właściciel, żeby zrobić dwa pokoje z jednego i wycisnąć z lokatorów więcej kasy. Widzisz? Jest zamocowana do sufitu. Prawdziwa ściana powinna być połączona z legarami, a ta jest po prostu przepierzeniem.

— Aha.

— Przywracam temu domowi pierwotną formę.

— Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Mogę zostać?

— Nie, chyba że chcesz oberwać jakąś belką.

— Będę cicho. Tylko popatrzę.

Nie chciał jej towarzystwa. To niszczenie miało być terapią. Gdyby patrzyła, musiałyby się zachowywać profesjonalnie i spokojnie. Ale co miał powiedzieć? Jasne, mógł wrzasnąć, żeby się wynosiła, bo pracuje sam. Niestety, ten etap mieli już za sobą. Dał jej klucz. Poza tym ta robota nie wymaga koncentracji.

— A proszę cię bardzo.

Znowu włączył piłę. Kiedy przeciął wszystkie słupy, zmieniły się w stalaktyty zwisające z sufitu i stalagmity wyrastające z podłogi. Odłożył piłę i ujął młot. Stał, jakby zamierzał grać w golfa, wziął zamach i uderzył nisko, przy podłodze. Gwoździe puściły, słup wyprysnął w powietrze, uderzył o ścianę kuchni i upadł. Don uderzył w następny, i jeszcze raz, i znowu, schylając się pod zwisającymi stalaktytami. Przy paru ostatnich musiał się odwrócić w drugą stronę.

— Teraz wyjdź — odezwał się — albo naprawdę oberwiesz kawałem drewna.

— Jestem zwinna — zaprotestowała. — Uskoczę w porę.

— Nikt nie jest tak zwinny. Nie rozśmieszaj mnie. — Znowu wzbierał w nim gniew.

Ona to chyba poczuła, bo cofnęła się aż na próg. Tu było już względnie bezpiecznie. Don wyłamał dwa ostatnie stalagmity. Potem zajął się stalaktytami. Uderzał wysoko, jak kiepski baseballista. Resztki słupów spadały z łoskotem na podłogę. Teraz pozostały jeszcze dwie długie listwy przyśrubowane do podłogi i przybite do sufitu, najeżone powyginanymi gwoździami. Podważył je łomem, oderwał dwa ostatnie słupy przy ścianie

i oto pokój znowu stał się całością.

Don znieruchomiał, zdyszany i spocony. Spojrzał na Sylvie. Uśmiechnęła się.

— Superbohater ocalił pokój.

— Na świecie — dodał.

Stała na środku pomieszczenia i zawirowała z rozłożonymi ramionami.

— Jaki duży!

— Taki właśnie pokój zbudował Bellamy. — Don powiódł spojrzeniem po ścianach odartych z listew i tynku. — Oczywiście był wtedy nieco bardziej dopracowany, ale miał takie rozmiary.

— Więc od tej chwili będziesz dodawać, zamiast burzyć?

— Jeszcze trochę. Trzeba wyburzyć to i owo, zedrzeć tynki. Usunąć gzymsy, położyć płyty okładzinowe. Ale kiedy skończę, pokój będzie wyglądać tak jak wtedy, kiedy doktor Bellamy przeniósł swoją panią przez próg.

— Widzisz? — zawołała Sylvie. — Mówiłam!

No tak, wariatką być nie przestała.

Zebrał połamane słupy i listwy, zaniósł je na stertę śmieci. Wyciągnął z nich gwoździe, na ile to było możliwe, a pozostałe przyklepał młotkiem do drewna. Po co mają go nachodzić rodzice dzieciaków, które nie mogły się oprzeć urokowi sterty.

Kiedy zszedł z kolejnym, teraz już prawie na pewno ostatnim naręczem drewna, zauważył Carville'a siedzącego na ostatnim schodku.

— Teraz możemy wynieść ten stary bojler — odezwał się Carville. — Byłem gotowy już od pewnego czasu, ale sprawdziłem przy okazji resztę rur kanalizacyjnych i CO. Chciałem dać ci czas na uspokojenie.

— Uspokojenie?

— Kiedy stanąłem w drzwiach, byłeś zajęty jakimś facetem w garniturze. Przyznaj, popisywałeś się przed tą babką.

A zatem nie tylko Cindy była świadkiem awantury.

— Hm. Tak się zachowuję, kiedy nie mogę zabić.

— Wyglądało, jakby w pewnym momencie gościu się przestraszył, że to zrobisz.

— Nie wiedziałem, że jestem taki silny.

— Ale jesteś, i dobrze, bo miałem rację co do tego bojlera. Jest tak obrośnięty kamieniem, że trzeba by podnośnika.

— Nie ma podnośnika. Jest człowiek z żelaza.

Stary bojler leżał w piwnicy na podłodze jak martwe ciało. Carville powiódł promieniem latarki po rurach pod sufitem.

— Są solidne. Możesz ich używać, bo demontaż byłby cholernie uciążliwy.

— Więc są mocne? Nie przerdzewiały?

— Gdyby na miasto spadła bomba nuklearna, pewnie ocalałyby tylko te rury.

— No, kiedyś umieli budować.

— Co do nowych rur, niektóre w kuchniach i łazienkach zostały dołożone w ostatnich latach. Te są tandetne.

— Tak, ale ich nie potrzebuję.

— I nie potrzebujesz moich pouczeń.

— Chciałem się upewnić, czy miałem rację. Poza tym nie znam się na kotłach CO.

— Aha. Tego gazowego w ogóle nie włączaj, wyleciałbyś w powietrze pierwszej nocy.

— Taki kiepski?

— Zamknąłem przewody. Niech tak zostanie, dopóki nie kupisz nowego. — Carville popukał latarką w staroświecki kocioł na węgiel. Musiał zostać zamontowany przy budowie domu, bo w żaden sposób nie dałoby się go znieść po schodach. — A ten... Rany, można by nim ogrzać cały akademik.

— Pomyślałem, że go zostawię.

— Dobrze pomyślałeś. Wiesz co, założę się, że nadal świetnie działa. Jeśli masz ochotę dorzucić do niego węgla.

— Albo znaleźć węglarza — dodał Don.

— Ciągłe istnieją, zapewniam cię. Zostało jeszcze paru na świecie. — Candle zajął za kocioł. — Ale nie mogę dojść, do czego to służyło.

— Co?

Don poszedł w ślad za Carville'em; za kotłem znajdowała się dziura w fundamentach. Była zasypana gruzem, ale nie chaotycznie. Zostawiono otwór. Nie, nie otwór. Wejście.

— Jeszcze nigdy tu nie zaglądałem. Po co ktoś miałby robić dziurę w fundamentach?

— To pewnie piwnica na kartofle — wysunął przypuszczenie Carville.

Ale Don wiedział, że nie robi się piwnicy za rozpalonym do czerwoności piecem.

— A może trzymali tu węgiel.

— Nie, zsypano jest tutaj. Czasami ludzie robią takie dziwactwa, że w głowie się nie mieści.

— Czy to nie osłabia fundamentów?

— Nie, popatrz na tę belkę nad dziurą. Coś mi się zdaje, że jest tu od początku. Nie dodano jej później.

— No, kiedy poczuję się na siłach, wygrzebię ten gruz i zobaczę, co tam jest.

— Coś ci powiem. Nie wołaj mnie na pomoc.

— Nigdy bym nie śmiała na to liczyć. Zresztą pewnie tu się odbywały spotkania mafii.

— Miło się z tobą pracuje, Geraldo. Łap za ten koniec, wyniesiemy rupieć.

Obaj byli silni, ale musieli zrobić dwa przystanki, zanim zdołali wytaszczyć stary bojler z domu. Kiedy dowlekli go do sterty śmieci, obaj ociekali potem i dyszeli jak grubasy na pierwszym treningu.

— Kiedyś byłem młody — zipnął Carville.

— Tak, ale i głupi.

— Ale nie wiedziałem, że jestem głupi. Chociaż wiedziałem, że ty jesteś.

— Wracaj do domu, siedzisz tu już pół dnia. Nie stać mnie na więcej.

— Gorąca woda będzie za jakąś godzinę.

— Przewody elektryczne też zrobiłeś?

— Jestem wykwalifikowanym specjalistą od ogrzewania, hydrauliki i klimatyzacji, nie myśl sobie.

— To dlatego dziewczyny tak na ciebie lecą.

— E, nie. Im chodzi o mój podnośnik hydrauliczny.

— Zabieraj swój podnośnik i zjeżdżaj stąd.

Jeszcze parę głupich dowcipasów i Candle odjechał. Ich przyjaźń datowała się od czasów liceum i nigdy nie wyszła poza ten poziom. I w porządku. Tylko tego potrzebował od mężczyzny.

* * *

Prysznic nie zawiódł jego nadziei. Nowa słuchawka dawała równy, mocny strumień wody, aż prawie bolało. Tak było dobrze. Dobrze było mieć własny prysznic i wannę, i nie musieć korzystać z łazienki w zajeździe dla ciężarówek, która zawsze wydawała się mu oślizła i zagrzybiona.

A potem dobrze jest odsunąć zasłonkę, wytrzeć się własnym czystym ręcznikiem, włożyć nowy szlafrok i kapcie. Całkiem jak w domu. Od tej pory nie będzie się już czuł jak włóczęga.

Stał w salonie i właśnie kończył zapinać koszulę, kiedy w korytarzu rozległ się głos Sylvie.

— Puk, puk?

— Jestem w przyzwoitym stanie.

Weszła. Usiadł na pryczy i zaczął wkładać skarpetki.

— Czyste ubranie — powiedział. — Powinnaś kiedyś spróbować.

— Ta sukienka nie jest aż tak brudna, jak wygląda. Brud ją zaimpregnował, stała się nieprzepuszczalna jak ortalion.

— Może to opatentujemy? To będzie przebój. Uśmiechnęła się słabo.

— Zostawiłem pod prysznicem mydło i szampon. Uważaj, bo woda jest gorąca.

— Już się nie mogę doczekać. Ładnie się myjesz.

Nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

— Dzięki. — I żeby zmienić temat: — Skoro jestem już umyty, złożę wizytę starszym paniom z naprzeciwka.

— Chyba mówiłeś, że to wariatki?

— Tak, ale umięją gotować jak nikt. Chcesz iść ze mną?

Pokręciła głową.

— Zostanę tutaj.

— Powiedziały, że mogę ich zapytać, jeśli będę miał jakieś problemy z domem. Kiedyś tu mieszkały. Przed tobą.

— O co chcesz je spytać?

— W fundamentach za starym kotłem jest dziura. Może to jakaś piwniczka?

— Nic tam nie ma.

— Ludzie nie robią dziur w fundamentach ot, tak sobie. — Zawiązał sznurowadła, wstał i ruszył do drzwi. — Zamknę za sobą. Masz klucz?

Wyjęła go ze zmiętej kieszonki nędznej niebieskiej sukieneczki i pokazała na wyciągniętej dłoni.

— Dziękuję.

Wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

* * *

Sylvie słuchała zgrzytu zamka. Nie potrzebowała klucza. Dom otwierał przed nią wszystko, czego chciała. Ale klucz wiele dla niej znaczył. Don przyznał jej prawo do mieszkania tutaj.

Jednak to, że ona miała lepszy nastrój, nie oznaczało jeszcze, że dom też czuł się dobrze. Przez całe popołudnie starała się go uspokoić, lecz zburzenie ściany okazało się wstrząsem.

— To poprawka kosmetyczna — tłumaczyła. — Ta ściana była jak polip. Teraz cię boli, ale będziesz zadowolony, że jej nie ma. Pokój ma śliczne proporcje, a okna są na właściwych miejscach.

Usłyszała jakieś szuranie. Odwróciła się; łom sunął po podłodze w stronę korytarza.

— Przestań! — zawołała. — On i tak go znajdzie. Pomyśli, że to ja go schowałam.

Łom znieruchomiał.

— Muszę iść pod prysznic — powiedziała. — Przypominam sobie, że czystość jest miła bogom. Ale czy to znaczy, że moja fryzura straci charakter?

Wyszła z pokoju.

Kiedy tylko zniknęła za progiem, łom znowu drgnął i zaczął sunąć korytarzem. A warsztat przysunął się jeszcze bliżej pryczy. Potem w pokoju zapanowała cisza.

Rozdział dwunasty

Czosnek

Nawiedzone staruszki zachowywały się tak, jakby Don był członkiem rodziny królewskiej, który zaszczyił ich wizytą. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że książę Karol usiadzie przy ich kuchennym stole nad filiżanką herbaty i będzie się przyglądał, jak przygotowują chleb i grochówkę z wędzonką na kolację. Ale nie mogłyby Donowi bardziej nadskakiwać, gdyby był koronowaną głową. Ciągłe nie rozumiał, o co im chodzi, choć wiedział z całą pewnością, że jeszcze mają nadzieję wyperswadować mu remont domu Bellamych.

— Cała tajemnica tkwi w tym — mówiła panni Evelyn — żeby dodawać tylko ociupinkę przypraw, ciut-ciut, bo inaczej się zabije naturalny zapach bulionu i warzyw.

— Zechciej być tak miła — odezwała się panni Judea, tkwiąca po łokcie w chlebowym cieście — i zabierz puszki z mąką i cukrem, żebym miała gdzie położyć bochenki.

Panni Evelyn odwróciła się od kuchni i zdjęła ze stołu oba pojemniki. W drodze do spiżarki kontynuowała swój wywód:

— Gdybym pozwoliła panni Judy zrobić zupę, nafaszerowałyby ją czosnkiem i papryką.

Ledwie zniknęła w drzwiach spiżarki, panni Judea rzuciła się ku półce z przyprawami, chwyciła słoik ze sproszkowanym czosnkiem i wsypała do zupy jedną trzecią zawartości. Odstawiła słoik na miejsce i wróciła do ciasta, zanim panni Evelyn wyłoniła się ze spiżarni.

— Panni Judy wspaniale gotuje — ciągnęła panni Evelyn — ale nie zna się na subtelnościach.

Zamieszała zupę, nabrała odrobinę na drewnianą łyżkę i spróbowała.

— No właśnie — oznajmiła z satysfakcją. — Dokładnie tyle czosnku, ile trzeba. Ledwie czuć.

— Właśnie dlatego Gladys tak lubi, kiedy to panni Evelyn gotuje zupę — wyjaśniła panni Judea. — Po czosnku pierdzi, biedactwo.

Wbiła w Dona nieruchome spojrzenie. Nawet nie mrugnęła.

Te zawikłane sieci, które obie przędą, nigdy się nie rozwikłają, pomyślał. Pora przejść do konkretów.

— Mówiłyście panie, że jeśli będę miał jakieś pytania na temat domu...

— Och, znamy odpowiedź — zapewniła go panni Judea. — A już na pewno Gladys.

— Zszedłem z monterem do piwnicy i zauważyliśmy, że w fundamentach za starym kotłem jest dziura. Pełno w niej gruzu, ale jestem ciekaw, czy to stara piwniczka na kartofle albo...

— Znalazł! — wykrzyknęła panni Evelyn z zachwytem.

— Długo kazaleś nam czekać — zauważyła panni Judea surowo.

— Ja tego nie szukałem. Co to jest?

Panni Evelyn konspiracyjnie zniżyła głos.

— Tunel bimbrowników.

— Ten dom był meliną za czasów prohibicji — dodała panni Judea. — Przemycali wodę tunelem z wąwozu na tyłach.

— A kiedy policjanci robili nalot, cała rada miejska uciekała nim z lokalu.

Obie parsknęły śmiechem.

— Ach, to były czasy, to były czasy! — westchnęła panni Judea.

— Mieszkałyście tam?

— Obie przybyłyśmy tu w dwudziestym ósmym — wyjaśniła panni Evelyn.

— Mieszkałyśmy w jednym pokoju na piętrze.

— W tym, który rozwalileś. To dobrze.

— Mieszkałyście w melinie?

— Ta część nie należała do meliny.

— Tylko do burdelu.

Zabrakło mu słów. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć, choć jego milczenie było równie wymowne. Panni Judea ryknęła rubasznym śmiechem, panni Evelyn cmoknęła i pokręciła głową.

— Co cię tak dziwi? — spytała wreszcie panni Judea. — Byłyśmy królowymi nocy. Dzięki temu wydostałam się z chałupy wyrobników, a panni Evvie uciekła z gór.

— Przepraszam — wymamrotał. — Tylko... nie wyglądacie jak...

— Nie wyobraża sobie, że mogliśmy być młode i ładne — zauważyła panni Evelyn.

Judea uformowała zgrabnymi klepnięciami kolejny bochenek i rzuciła go na natłuszczonej blachę. I znowu — klap, klap, klap, chlap! Odepchnęła blachę i przysunęła następną.

— Najpierw było zabawnie — powiedziała. — Przygoda. Bogaci mężczyźni, pachnący, czyści. Nie zapominaj, skąd pochodziłyśmy. Ale potem, kiedy miałyśmy już tego dość, po dziurki w nosie, dom nie chciał nas wypuścić. Znieśli prohibicję i dom zmienił się w stary burdel, przychodzili coraz gorsi mężczyźni, a myśmy utknęły. Potem przyje-

chała po nas moja kuzynka Gladys.

— To ona nas wydostała — dodała panni Evelyn.

— Ale dom ciągle nas mocno trzyma. Nie udało nam się dojść dalej niż do tej starej powozowni.

— Niedaleko.

— Kiedy mocny dom cię złapie, trzeba prawdziwej siły, żeby się uwolnić. Na przykład Gladys...

Don odstawił filiżankę.

— Przepraszam, nie chcę być niegrzeczny, ale... naprawdę mieszkaliście tu przez tyle lat, bo wierzyacie, że dom ma nad wami jakąś magiczną władzę?

— Oho, on jest wykształcony — rzuciła panni Evelyn takim tonem, jakby to był dobrze znany dowcip.

— Wiem, wiem — mruknęła panni Judea. — Młody niedowiarek.

Więc znowu zaczęły się czary i gusła. No, ale on już się dowiedział tego, o co mu chodziło — że dziura w ścianie piwnicy stanowiła wejście do sekretnego tunelu prowadzącego do wąwozu. Kiedyś wygrzebie z niego gruz i zajrzy do środka, ale najprawdopodobniej ściany już dawno się zapadły, więc tak naprawdę powinien po prostu zamurować otwór, żeby nie zniechęcać co bardziej nerwowych nabywców. Odsunął krzesło od stołu.

— Dziękuję za informacje. I za herbatę.

Panni Evelyn spojrzała na niego, jakby zadał jej cios w samo serce.

— I nie zostaniesz na zupę?

— Nie, dziękuję. Za dużo czosnku. Po czosnku pierdę.

Panni Evelyn była wstrząśnięta i obrażona. Kątem oka uchwycił płonące spojrzenie panni Judei — bez wątpienia mogłaby nim zestrzelić gęś w locie, i w dodatku ją wypatroszyć. Uśmiechnął się do panni Evelyn.

— Tylko żartowałem. Bez wątpienia zupa będzie tak smaczna, że zjadłbym ją całą i nie zostawił ani odrobiny dla was obu.

— Dla nas trzech — poprawiła go panni Judea z odrobiną jadu w głosie.

— Och, ależ z ciebie żartowniś — zawołała panni Evelyn.

Don dotknął runda niewidzialnego kapelusza.

— Drogie panie, rozmowa z wami to przyjemność. Cieszę się, że jesteście moimi sąsiadkami, nawet jeśli będę tu tylko rok.

Panni Evelyn zachichotała. Don usłyszał jeszcze, jak mówi:

— On to dopiero umie mówić do kobiety, prawda?

Odpowiedź panni Judy już do niego nie dotarła.

Był głodny i domyślał się, że Sylvie także. Może przez lata zadowalała się resztkami, ale już pora, by zaczęła się przyzwocić odżywiać. Dopóki będzie jego lokatorką, nie

może jej pozwolić umrzeć z głodu czy po zatruciu jakimś paskudztwem. Dlatego pojechał do nowej smażalni drobiu przy Wendover, gdzie kupił tuzin udek. Oczywiście nie będą tak smakowite jak zupa nawiedzonych staruszek, ale dzięki temu nie będzie się czuł do niczego zobowiązany, co wydawało mu się równie ważne.

Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że te dwie staruszki były prostytutkami. Co za perwersyjny umysł zdecydował, żeby w czasach ostrej segregacji rasowej biała dziwka mieszkała z czarną w jednym pokoju? Nie mógł przestać się zastanawiać, czy klienci płacili, by mieć obie jednocześnie. A może pokój był podzielony przepierzeniem? Ale sama myśl o tych starszych paniach, zupełnie nagich, albo gorzej, płasających w peniuarach, był przykry. Don odsunął od siebie te wyobrażenia.

Przynajmniej próbował. Dlaczego zawsze mówiły mu to, czego nie chciał wiedzieć? Choć czas burdelowej prosperity domu Bellamych już minął, obie staruszki pozostały przyjaciółkami. Ewentualne ukryte konflikty, jak na przykład ten czosnek, w żadnym razie nie oddalały ich od siebie. A Gladys w jakiś sposób zdołała je uwolnić. Tego nie rozumiał. Obie staruszki były dość rozgarnięte. Właściwie nawet całkiem bystre. A jednak wierzyły w czary, domy mające władzę nad ludźmi i...

I przypomniał sobie dziury po śrubach, które zniknęły z drzwi. I jak Sylvie, która wcale nie wydawała się szalona, uznała, że musi pozostać w domu, zamiast wyjść i stawić czoło światu. Może to one były rozsądne, a on dał się zaślepić przesądom nauki i nie chciał zauważyć rzeczy oczywistych. Te staruszki wydawały się przywiązane do domu, a Sylvie nie mogła się z niego wydostać. Kiedy wpadła do pokoju, w którym rozwalał ścianę... czy to dom ją wysłał, żeby dowiedziała się, co mu robi?

Czy to samo przytrafi się jemu? Czy dom uwięzi także jego?

Jestem otoczony przez wariatki i ich szaleństwo zaczyna mi się wydawać normalne. Domy nie zastawiają pułapek na ludzi, a ja przykryłem dziury zamkiem, tylko tego nie pamiętam.

Wszedł do domu z torbą udek — z których uszczknął zaledwie odrobinę — i zaczął wołać Sylvie, chodząc po pokojach. Nie odpowiedziała. Nie było jej nawet na strychu. Po raz pierwszy został w domu sam. Więc usiadł i zjadł udka sam. Był tak głodny, że zjadł wszystkie, i frytki, i wypił obie lemoniady. Potem, ponieważ jeszcze nie wykonał dziennej normy, zaczął zdzierać wykładzinę w kolejnych pomieszczeniach. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby usunąć ją ze wszystkich pokoi. Wywiezie ją z pierwszym ładunkiem. Kiedy zrywał wykładzinę w pokoju zajmowanym przez Sylvie, zorientował się, że łóżko było jedynym posiadaniem przez nią przedmiotem. Nie miała żadnych innych mebli. Nawet jednej książki.

Skończył już po zapadnięciu zmroku. Był spocony, zakurzony i wykończony. Nie miał siły na następną kąpiel pod prysznicem. Poza tym ręcznik jeszcze nie wysechł.

Gdy wyrzucił ostatnie kawałki wykładziny na stertę śmieci i wrócił do domu, usły-

szał szum płynącej wody. A więc Sylvie wróciła, kiedy był na dworze. Pewnie przez tylne drzwi. A może... przez tunel? Czy jest w nim tyle miejsca, żeby się przecisnąć ponad gruzem?

Był zmęczony, owszem, lecz ciekawość zwyciężyła. Zszedł do piwnicy. Zostawił tu lampę, ale nawet kiedy ją podłączył do prądu, musiałyby mieć latarkę, żeby coś zobaczyć w ciemnościach za kotłem. Gruz chyba nie dosięgał górnej krawędzi dziury. Może Sylvie zdołałaby się przez nią przecisnąć. To zależy, jak bardzo jest szczupła. Ale gruz nie nosił żadnych śladów. Tylko niby jak miałyby wyglądać takie ślady? Odcisk stopy? Raczej nie. Osunięte kamienie? Skąd miał wiedzieć, które z nich się osunęły? Więc czego się dowiedział? Może przeszła przez tunel, może nie. Czy to ważne?

Zrobiło się ciemno. Musiał położyć się, żeby wstać o świcie. Wstąpił do łazienki przy schodach do piwnicy. Umył twarz i ręce, potem wsadził głowę pod kran i spłukał większość kurzu. Wytarł włosy ręcznikiem, żeby nie przemoczyć poduszki. Nadal czuł się brudny, ale przynajmniej nie czuł na twarzy skorupy. Z piętra wciąż dobiegał szum wody. Zastanowił się, czy przypadkiem nie zabrał Sylvie całej ciepłej wody, kiedy się mył, albo zimnej, kiedy spłukiwał toaletę. W ogóle o tym nie pomyślał; powinien zacząć, aż Sylvie wyjdzie spod prysznica. Ale myła się bardzo długo, a on musiał iść do łóżka. Spyta ją rano.

Wrócił do salonu, nie zapalając światła — latarnia z zewnątrz oświetlała pokój wystarczająco, by mógł zdjąć buty i położyć się na pryczy. Zgodnie z rytuałem, ściągnął każdy but palcami drugiej stopy, a potem usiadł, żeby pozbyć się skarpetek.

Ale kiedy się odchylił, mocno uderzył głową w coś twardego. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Musiał się położyć i odczekać, dopóki nie odzyskał wzroku. Poduszka zrobiła się wilgotna. Pewnie ją zakrwawił. Oczywiście od razu wiedział, o co się uderzył. Wyraźnie widział mającący nad nim warsztat.

Chciał usiąść, ale zakręciło mu się w głowie. Włączył reflektor. Położenie warsztatu nie mogło być przypadkowe — tuż przy pryczy, w miejscu gdzie codziennie siadał, żeby zdjąć buty. Dlaczego Sylvie go przesunęła? I dlaczego akurat tutaj? Nie mógł sobie wyobrazić, że chciała zrobić mu krzywdę, a jednak nie mogłaby wybrać lepszego miejsca.

Powoli oprzytomniał. Na poduszce nie było aż tak wiele krwi, zaledwie plamka. Poczł wilgoć, ale przecież zmoczył włosy. Na potylicy pulsował mu rosnący guz.

Odepchnął warsztat od łóżka. Od wysiłku rozboleła go głowa. Co ta Sylvie wyrabia? Niech to diabli, dlaczego dotykała jego rzeczy? Czy nie zawarli umowy? To jej nie ujdzie na sucho. Nie zamierzał zachowywać się spokojnie i rozsądnie. Jak rany, to się mogło źle skończyć.

Wyszedł z pokoju i ruszył na piętro, przeskakując po trzy schodki naraz. Głowa natychmiast zareagowała bolesnym pulsowaniem. Doszedł na górę po jednym schodku i zbliżył się do drzwi łazienki.

Były uchylone; wewnątrz kotłowały się kłęby pary. Uniósł rękę — żeby zapukać czy popchnąć drzwi? Co mu chodziło po głowie? Przecież ona tam bierze prysznic, więc jest naga. To, że się walnął w głowę, jeszcze nie daje mu prawa do zawstydzania jej. Rano będzie miał dość czasu na poważną rozmowę.

Zaczął schodzić — chwiejnie, ponieważ każdy krok odzywał się bólem w jego głowie. Jutro będzie pracował wolniej. Wygrzebał z walizki ekstramocny tylenol, poszedł do łazienki i połknął cztery pastylki, popijając je wodą prosto z kranu. Musi kupić papierowe kubki.

Wrócił do salonu i wyłączył światło. Pomacał się po głowie, by sprawdzić, czy ciągle krwawi. Miał wrażenie, że rana już się pokryła strupem. Niezbyt poważne obrażenie, choć guz wydawał się spory. A jeśli ma wstrząs mózgu? Powinien pojechać do szpitala. Ale co mu tam powiedzą? Żeby wziął tylenol i się położył. Tyle sam może zrobić, nie musi w tym celu płacić za poradę i czekać trzy godziny na pogotowiu.

Może umrze tej nocy we śnie. I co z tego? Niech się Sylvie martwi, co zrobić z ciałem. Niech nawiedzone staruszki posypią go czosnkiem i zakopią na podwórku. Był zbyt chory i zmęczony, żeby go to obchodziło. Tak to się zaczyna, pomagasz komuś i proszę, co się dzieje. Stracił dwadzieścia tysięcy dolarów przez Cindy, a teraz ma wstrząs mózgu i może umrzeć przez Sylvie.

Nie bądź dzieckiem, pomyślał. Nic ci nie będzie.

Położył się na boku. Głowa pulsowała mu boleśnie. No, tylenol, nie zawieź mnie.

Woda przestała szumieć. Jak miło. Sylvie najwyraźniej opróżniła cały bojler i teraz idzie sobie zadowolona do łóżka, czysta po raz pierwszy od lat. A on przez nią cierpi w samotności.

Na schodach rozległy się ciche kroki. Przyszła sprawdzić, co sobie zrobił? Nie, nie wolno mu jej z góry osądzać. Na pewno miała swoje powody, dla których przesunęła warsztat i zapomniała go odstawić na miejsce. Powinien być sprawiedliwy i ją wysłuchać.

Jak dobry ojciec.

Ta myśl jeszcze spotęgowała ból. Nie jest jej ojcem. Nie jest dla niej nikim, nawet gospodarzem, ponieważ nie bierze od niej czynszu. A jednak traktuje ją jak córkę, prawda? Ponieważ kiedy brała prysznic, a on stał u drzwi, myślał tylko o jej skromności, tylko tego chciał bronić. Nie czuł pożądania. Nie zaliczała się do tej samej kategorii co Cindy Claybourne. Kiedy pocałował Cindy, pożądanieomal nie zbiło go z nóg. Oboje byli sobie równi. Sylvie była bezpiecznym zwierzątkiem. Wziął ją pod opiekę. Tak jak Cindy. Bez stawiania żadnych warunków.

Ale musiał się zdobyć na wysiłek — niezbyt wielki, lecz jednak — żeby nie otworzyć tych drzwi.

Nieważne. Sylvie była coraz bliżej, a on musiał się z nią rozmówić, bez względu na

to, czy jego podświadomość uznała ją za córkę, czy nie. Powoli, z wysiłkiem, podniósł się i usiadł.

Wyłoniła się z mroku i weszła w plamę światła latarni. Mokra włosy zwisały jej wokół twarzy, ciężkie i proste, odrobinę falujące w miejscach, gdzie przeszły. Chyba nie spodobał się jej szlafrok, który dla niej kupił, bo była w swojej spłowiałej błękitnej sukieneczynie. Ale w tym świetle i wreszcie czysta wydawała się niemal ładna — w pewien smutny, senny sposób.

— Jeszcze nie śpisz? — spytała cicho.

— Chcesz powiedzieć: jeszcze żyjesz?

— Słucham? Usłyszałam, że wszedłeś na piętro, kiedy brałam prysznic. Chciałeś czegoś?

— Nie było cię, gdy wróciłem z kolacją. Kurze udka. Wołałem, ale nie odpowiedziałas, więc co miałem zrobić? Nie mamy kuchenki mikrofalowej, a kiedy wystygną, są niesmaczne. No to je zjadłem.

— To dobrze.

Nie, nie było dobrze. Wcale nie chciał jej powiedzieć tego, co mówił. Miał ją zrugać. To przez tę głowę. Nie mógł zebrać myśli.

Pokazał jej poduszkę. Jakby mogła coś zobaczyć w tych ciemnościach.

— Co to? — spytała.

— Nic wielkiego. Tylko moja krew.

— Skaleczyłeś się?

— Tak. Przez ciebie. Bo przysunęłaś mój warsztat do pryczy.

— Nie — mruknęła.

— Walnąłem się o niego, kiedy usiadłem, żeby zdjąć skarpetki. Omal nie zemdlełem.

— Powinieneś pojechać do szpitala.

— Nie, postanowiłem umrzeć w domu — warknął.

— To może być wstrząs mózgu.

— Więc dlaczego o tym nie pomyślałaś, kiedy zaczęłaś tu wszystko ruszać? Chyba cię prosiłem, żebyś nie dotykała moich narzędzi.

— Nie dotykałam niczego.

— Więc kto tu był, święty Mikołaj? Da j że spokój, nie można przesunąć warsztatu przez pół pokoju i zapomnieć o tym. Jest ciężki.

— Nie ruszałam twojego warsztatu — powtórzyła. — Przykro mi, że się skaleczyłeś. Odwróciła się i pobiegła po schodach.

Nie miał dla niej współczucia. Jeszcze się wypiera! Uważa go za idiotę?

Teraz nic nie mógł zrobić. Był zbyt rozgniewany, a przez to głowa bolała go jeszcze bardziej. Musiał się przespać, żeby rano mieć siły do pracy.

* * *

Na piętrze Sylvie uderzyła słupek schodów. Zaczęła wypowiadać bezgłośnie słowa.

— Ty głupi, niedobry... Co ty wyprawiasz? Co ty sobie myślisz?

Otworzyła drzwi pokoju, nad którym pracował Don.

— Ile razy mam ci powtarzać, że on ci nie zrobi krzywdy?

Podeszła do nagiego, grubego pionowego słupa, jednej ze starych kości domu i przycisnęła do niego głowę.

— Masz z tym skończyć. Nie wolno ci go krzywdzić. Nigdy.

Dom był jak dziecko u doktora. Wariował ze strachu przed zastrzykiem. Nie można się złościć, trzeba mu wytłumaczyć.

— Nie rozumiesz, że on cię leczy? Teraz boli, ale wkrótce będziesz mocniejszy. Musisz mi zaufać.

Rozdział trzynasty

Córki

Burzenie ścian, zrywanie wykładzin i tynków to dramatyczne zmiany, do których trzeba dużo sił i mało umiejętności. Ale po pewnym czasie ta praca została ukończona — na razie, w pierwszym remontowanym pokoju na piętrze. Don wynajął ludzi, którzy zabrali stertę śmieci. Potem wziął się do przekształcania pomieszczenia we wdzięczny, przytulny pokój, którym niegdyś było.

Wahał się, czy dodać jeszcze jedną łazienkę. Musiał zdecydować już teraz i zacząć ją robić, a przynajmniej zostawić na nią miejsce pomiędzy tylną a frontową sypialnią. Tyle że doprowadzenie wody będzie trudne i kosztowne, skoro w tej części domu nigdy nie było kanalizacji. Poza tym zniszczyłby proporcje któregoś z pokoi — albo obu, gdyby chciał zrobić wielką łazienkę z dwoma oknami. Dlatego najchętniej nie wprowadzałby żadnych zmian.

Z drugiej strony wyglądało na to, że Amerykanie są do szaleństwa zakochani w łazienkach. Nie tylko robiły się coraz większe i liczniejsze, ale zniknęły z nich nawet szyby z mrożonego szkła i zasłony. Każdy przechodzień mógł swobodnie zajrzeć do środka. Don tego nie rozumiał. Niektóre łazienki wyglądały jak świątynie wody. Jedna, w północnej Wirginii, była duża jak główna sypialnia. Wszystkie normalne sprzęty stały pod ścianami, a na środku znajdowała się ogromna jacuzzi. Wyglądała jak ołtarz pogańskiego bóstwa. Niemal widziało się przy niej kapłana w szacie ze złotej lamy, składającego w ofierze dziewicę albo baranka.

Czy dla ludzi lubujących się w takich świątyniach wystarczyłaby jedna mała łazienka na całe piętro? Już słyszał uwagi klientów: „Dzieci będą ciągle się kłócić o łazienkę. A goście? Dzieci nie zechcą utrzymywać łazienki w takim stanie, żeby można ją było komuś pokazać”.

Nawet kwestia kosztów nie rozstrzygała jego wątpliwości. Więcej łazienek oznacza szybsze znalezienie kupca, a oryginalne sypialnie są tak wielkie, że można by upchnąć sporą łazienkę w kącie każdej. Ale jeśli zdecyduje się nie dobudowywać łazienek, zaoszczędzi dużo pieniędzy, których nie będzie musiał pożyczać z banku, a to pozwoli mu zażądać nieco niższej ceny za dom, co z kolei ułatwi sprzedaż. Tak czy siak, wyjdzie z tego

z tarczą. Albo na tarczy, zależy jak na to spojrzeć.

W końcu postanowił kierować się własnym gustem i zachować czyste proporcje pierwotnego rozkładu domu. Innymi słowy, oszczędził sobie mnóstwo kłopotów i kosztów. Mógł wykroić z przestrzeni sypialni piękną garderobę, która będzie wyglądać bardziej jak zbytkowny mebel niż pomieszczenie. Nie zajmie więcej niż metr szerokości, więc proporcje pokoju pozostaną widoczne i będą wywierać odpowiedni wpływ na tych, którzy w nim zamieszkają. Co do kosztów, zbudowanie eleganckiej garderoby to zadanie dla cieśli, więc wykona ją własnymi rękami.

Decyzja została podjęta. Zabrał się do pracy.

Szkielet zawsze powstawał szybko, nawet jeśli Don pracował sam. Potem instalacje elektryczne, zgodnie z przepisami bezpieczeństwa — to trwało dłużej, ale natychmiast widać było efekty, ponieważ można było się pozbyć przedłużaczy wijących się po schodach i korytarzach, i włączać wszystko bezpośrednio do gniazdek. Położenie płyt zawsze wydawało się zbliżać pracę niemal do końca; ściany wyglądały jak gotowe.

Ale dopiero wtedy zaczynała się prawdziwa praca. Każdy robotnik mógł wznieść ścianę z płyt okładzinowych, potem ją zagruntować i pomalować. Każdy kompetentny elektryk potrafiłby zainstalować gniazdko i wyłączniki. Ale niewiele osób w Ameryce wie, jak wykonać wyrafinowaną opaskę okienną z doskonałego gatunku drewna, bejcowanego, a nie malowanego, na którym widać rysunek słoików i nie ma sęków ani innych wad. Listwy okapowe, listwy pod obrazy, boazeria, listwy przypodłogowe — to wszystko mogło wyjść tylko spod ręki Dona.

A Sylvie przyglądała się wszystkiemu.

Nie mógł przed nią uciec i przestał już nawet próbować. Głównie dlatego że starał się zachowywać przyzwoicie, ale naprawdę nie przeszkadzała. Ludzie, którzy dotąd chcieli mu się przyglądać, byli w większości ekstrawertykami. Nudziło im się, zadawali masę pytań, wyrażali swoje opinie albo, co najgorsze, usiłowali prowadzić rozmowę na tematy nie związane z jego pracą. Sylvie tylko siedziała i była naprawdę niezauważalna. Kiedy już się odzywała, zadawała pytania, które — ku zaskoczeniu Dona — okazywały się całkiem sensowne. W jaki sposób cieśle robili gzymsy przed wynalezieniem świdra centrującego? Dlaczego nie kładzie się najpierw tapety, żeby gzymsy i listwy przykryły jej krańce i zabezpieczyły przed odrywaniem? Te pytania zdarzały się rzadko, więc odpowiadał na nie z przyjemnością.

Od czasu do czasu także Don zadawał pytanie. Zaczął układać sobie obraz życia Sylvie. Jedyńca, osierocona w dzieciństwie, znalazła przyjazny dom zastępczy u przyjaciółki, ale stanowił on coś bliższego internatowi niż prawdziwej rodzinie. Po skończeniu liceum dostała stypendium na uniwersytecie w Greensboro i ciężko pracowała, żeby zarobić na życie. Nie miała pieniędzy — ani odziedziczonych, ani z ubezpieczenia. Wiodła samotne życie; pomiędzy pracą i szkołą nie miała czasu ani ochoty na

randki. „Kiedy spotykałam chłopaka, który robiłby wrażenie równie dobrego mężczyzny jak mój ojciec, natychmiast zaczynałam się porównywać z matką i dochodziłam do wniosku, że nie jestem go warta”. Śmiała się, ale Don słyszał w jej głosie ból. Koczowanie w opuszczonym domu nie wprowadziło wielkiej zmiany w jej życiu, jeśli nie liczyć kwestii higieny.

Wszystko to odmieniło pojawienie się Felicity Yont. Lissy była ekstrawertyczką, w przeciwieństwie do Sylvie. Miały mniej więcej taką samą figurę, więc mogły się zamieniać ciuchami, ale przeważnie to Lissy wmuszała w Sylvie swoje eleganckie stroje, żeby przestała wyglądać myszowato. Lissy zmieniała jej fryzurę, zaczęła ją wyciągać na podwójne randki, nawet nauczyła ją wkładać do snu podkoszulki zamiast ponurych flanelowych koszul. I choć podkoszulki Sylvie zawsze były bezkształtne i rozciągnięte, podczas gdy pod obcisłymi T-shirtami Lissy rysowała się każda wypukłość, dla Sylvie i tak była to rewolucyjna zmiana.

Ale nie dotyczyła wszystkiego. Sylvie była starsza i miała większe poczucie odpowiedzialności. Wiedziała, że musi mieć dobre stopnie, by dostać propozycje interesującej pracy. Więc mimo wielu zmian w jej poglądach i nawykach, Lissy nie mogła wpłynąć na najważniejsze: Sylvie musiała pracować. Lissy uważała, że jej życie nie ma sensu, jeśli bawiła się tylko w weekendy. Sylvie była zdania, że zabawa raz na miesiąc to wielkie wydarzenie. „Byłyśmy jak ogień i woda, ale nasze życie było ciekawe”, opowiadała. „Przynajmniej moje stało się zdecydowanie bardziej interesujące niż egzystencja przyszłej bibliotekarki”.

Więc po pierwszym roku przyjaźni, kiedy Lissy zaproponowała, żeby zamieszkały w dużym lokalu na parterze rozpadającego się, ale wspaniałego starego domu, Sylvie nie wahała się ani chwili. Co mogło się nie udać?

— I co się nie udało?

— Będziesz się śmiał, ale ona zaczęła śledzić wszystkie moje ruchy. Przez całe studia to ona była tą niezależną, a ja kurą domową. W ostatnim semestrze przestała się widywać tak często z Lannym, swoim chłopakiem, i zaczęła się plątać po mieszkaniu. Zaglądała mi przez ramię, czytała z moich podręczników. Całkiem jakby nagle zdała sobie sprawę, że skończy studia z nędznymi wynikami i nikt nie zaproponuje jej dobrej pracy. A ja miałam już parę ofert, w tym z Providence. Chyba chciała się dowiedzieć, jak trzeba się uczyć, ale było już za późno.

— Tęsknisz za nią.

Odwróciła wzrok.

— Nie była miła. Ale nie gorsza ode mnie.

Od tej pory Don nie mógł myśleć o niej jak o bezdomnym zwierzątku. Miała swoją historię, straconych przyjaciół, wspomnienia, które ożywiały dawne emocje.

Takie rozmowy zdarzały się dość rzadko. Przeważnie Don pracował, a Sylvie tylko

przyglądała mu się z drugiego końca pokoju. Na ogół zapominał o jej obecności.

Z czasem wykształcili rodzaj porozumienia. Don lubił słuchać przy pracy swojego taniego radyjka. Muzyka nadawała jego ruchom pewien rytm, wydawało mu się, że w ten sposób godziny mijają szybciej. Nastroił radio na 98,7, gdzie niegdyś znajdowała się rozgłośnia nadająca hard rock, a teraz grano piosenki country. Za pierwszym razem Sylvie wyszła, co go nieco rozdrażniło. Nie podobała mu się tak wyraźna krytyka jego gustu. Ale Sylvie stopniowo się przyzwyczaiła. Nigdy nie rozmawiała, kiedy radio grało, dopiero kiedy Don się znudził i je wyłączał, zwykle miała coś do powiedzenia. Często chciała rozmawiać o muzyce country.

— Z czasem można się przyzwyczaić do tego miauczenia.

— Niektórzy z nas nie nazywają tego miauczeniem.

— Nie powiesz mi, że głos Johna Andersena brzmi naturalnie.

Roześmiał się.

Stopniowo zorientował się, jaką muzykę lubi Sylvie. Pewnego wieczora po pracy wybrał się do Borders i wrócił z garścią płyt kompaktowych. Garth Brooks był dla niej sztuczny, Lyle Lowett zbyt dziwaczny. Ale Martinę McBride, Lorrie Morgan, Trishę Yearwood i Ronnę Reeves bardzo polubiła, chociaż one także miauczały i były sztuczne... Sylvie nie potrafiła tego ująć w słowa.

— To tak jakby ich życie było pełne nieszczęść, a one mimo wszystko potrafiły o tym śpiewać z niesamowitą energią, zamiast się załamać. Nie wpadły w depresję, tylko zmieniły swoją tragedię w muzykę.

— Ty też wpadłaś w depresję?

— Nie. Ja jestem tylko zwyczajnie smutna.

Wstała i poszła sobie. Nigdy nie wiedział, kiedy wyjdzie albo dlaczego. Chyba nie było na to reguły. Czasami odpowiadała na najbardziej intymne pytania — oczywiście nigdy nie były aż tak intymne. A innym razem po niewinnej, ogólnikowej uwadze wstawała i wychodziła. Od czasu do czasu Don czuł rozdrażnienie wobec tych humorów, ale potem przypominał sobie, że on także miewa zachcianki, na przykład kiedy włącza radio albo nie ma ochoty rozmawiać i ucieka, bo chce być sam.

Coraz bardziej się oswajała. Wreszcie zaczęła przyjmować od niego niewielkie poczęstunki. Nigdy nie jadła więcej niż parę kęsów. Przeżuwała je jak najwspanialsze potrawy. Ale resztę zostawiała.

— Umrzesz, jeśli będziesz jeść jak anorektyczka.

— Nie można jeść jak anorektyczka. Najwyżej można nie jeść.

— Proszę o wybaczenie, pójde zwymiotować jak bulimik.

— Właśnie takiego pomieszczenia brakuje w tym domu. Vomitorium. — Potem, ponieważ nie miał pojęcia o rzymskiej kulturze, wyjaśniła mu, że Rzymianie mieli zwyczaj ucztować bez końca, a potem wpadali do vomitorium, żeby zwymiotować.

- Skąd szef kuchni wiedział, kiedy to komplement, a kiedy krytyka?
- Wiedział, że komplement, jeśli gość wracał po dokładkę.
- Bywało i tak, że żartowali sobie, zanosząc się śmiechem. Takie rozmowy nie przeszkadzały Donowi w pracy.
- Pewnego razu, kiedy wysłuchali „Man from Wichita” Ronny Reeves, Sylvie zaczęła opowiadać o swoich rodzicach.
- Nie wiem, dlaczego ta piosenka mi o nich przypominała. Nie ma z nimi nic wspólnego.
- Ale mówi o tęsknocie tak silnej, że miałyby się ochotę umrzeć. Moi rodzice nie umarli, kiedy byłem mały, ale i tak mnie to boli.
- Wiem. Walczyłam z nimi, bo ograniczali mi swobodę. Chciałam się od nich uwolnić. A potem... Byłam wolna. I myślałam: dlaczego to mnie nie cieszy? Czy nie tego zawsze pragnęłam?
- Pewnie że nie.
- Nie chodzi mi o to, że życzyłam im śmierci, tylko o wolność. Pragnęłam wolności. Ale potem okazało się, że to... pustka.
- Ze mną było tak samo. To tak jakby nic się naprawdę nie działo, jeśli rodzice nie patrzą.
- Dzieci nie powinny tracić rodziców.
- Dawniej to się zdarzało bez przerwy. Przy urodzeniu. Choroby. Wypadki. Za każdym razem kiedy się czymś skaleczę, myślę, że gdyby nie środki antyseptyczne i nowoczesna higiena, pewnie już bym nie żył. Gangrena.
- Połowa moich znajomych ze szkoły straciła któreś z rodziców.
- Tak, ale z powodu rozwodów, tak?
- Moi rodzice czasami się kłócili. Ale chyba by się nie rozwiedli, nawet gdyby nadal żyli.
- Moi też byli godni zaufania.
- Musiałam sobie wyobrażać, że mama mnie pilnuje. Kiedy pracowałam, żeby zarobić na chesne i resztę, wydawało mi się, że jest przy mnie i przygląda mi się. — Roześmiała się drwiąco. — Ale okazało się, że to tylko Lissy.
- Może mama naprawdę przygląda ci się z... miejsca, w którym teraz jest.
- Z nieba, chciałeś powiedzieć.
- Nie wiedziałem, czy wierzysz. — W co?
- W życie po śmierci.
- Może słowo „wiera” jest zbyt mocne. Mam nadzieję.
- Ja też.
- Lecz ty nie tęsknisz za rodzicami, Donie Lark.
- Uważaj, zaczynasz mówić tekstami z piosenek. Za dużo country. Wiedziałem, że

tak się to skończy.

Zignorowała tę próbę zmiany tematu.

— Usiłuję sobie wyobrazić, co to znaczy stracić dziecko.

— Nie straciłem jej. Została mi skradziona.

— Próbuję, ale nie potrafię.

— Mieć dziecko to najlepsza rzecz na świecie. Stracić je to najgorsze, co może cię spotkać. Jak się to stanie, jesteś człowiekiem, który zna obie te rzeczy.

— Więc niczego się już nie boisz?

— Wyglądam na takiego idiotę?

— Tylko kiedy trzymasz płytę i napierasz całym ciałem, żeby wcisnąć ją na miejsce.

Wyglądasz wtedy, jakbyś się modlił do ściany.

— Albo się do niej zalecał.

— To, co robisz, to już nie zaloty.

— I zdecydowanie nie modlitwa.

— Wiesz, Don, chcę ci coś powiedzieć. Nawet jeśli się na mnie wściekniesz. Twoja córeczka... dostała od ciebie coś, co jest cenniejsze od pieniędzy czy czegokolwiek innego. Wiedziała, że na nią patrzysz, znasz ją, podziwiasz, kochasz i... szanujesz, wiedziała o tym, prawda?

— Nie wiem. Była malutka.

— Wiedziała. Myślisz, że dzieci zaczynają mówić, zanim coś zrozumieją?

Potem zaczęli mówić o czymś innym, a wreszcie zamilkli i ta wyjątkowa chwila umknęła. Coś takiego nie zdarzało się często, ale tak się jakoś stało, że kiedy Don skończył remontować pokój, nie czuł satysfakcji z zakończonego dzieła, dopóki Sylvie nie przysłała na oficjalną inspekcję i zwiedzanie.

— Jesteś moimi zastępczymi rodzicami — powiedział Don. — Musisz popatrzeć, żeby moje dzieło stało się prawdziwe.

— Czary-mary, jesteś prawdziwym chłopcem.

— Myślisz o Pinokiu czy Kopciuszkowi?

— Myślę o dalszych przygodach Pinokia. Pinokio chce przymierzyć Kopciuszkowi bucik i wbija jej drzazgi w stopę. Pokaż mi ten pokój, a ja sprawię, że będzie prawdziwy.

Zaprowadził ją na miejsce i otworzył drzwi. Czuł się głupio. Czy nie przychodziła tutaj przez wszystkie te dni, kiedy pracował? Ale ona weszła i zaczęła się obracać w kółko, w kółko, jak tańczące dziecko, jakby widziała wszystko po raz pierwszy.

— Och, Don! Jak tu pięknie!

— Przede wszystkim to dobrze zaprojektowany pokój. Ja musiałem tylko wyrzucić to, co ktoś napsuł.

— Teraz reszta domu wydaje się brzydka.

— Dlatego robię jeden pokój naraz. Lubię widzieć kontrast.

Podbiegła do garderoby i otworzyła drzwi. Pomieszczenie wyglądało z zewnątrz jak szafa, ale było tak głębokie, że człowiek mógł do niego wejść, a przy otwarciu drzwi zapalało się łagodne światło. Sylvie chwyciła drzwi i zamknęła się w środku. Don stał i czekał, aż znowu wyjdzie. Czekał i czekał.

— Sylvie?

Podszedł do garderoby, zastanawiając się, co ona tam robi tak długo. Nie wiedziała, że wystarczy popchnąć drzwi, by je otworzyć?

Właśnie sięgał ku klamkom, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, a Sylvie wyskoczyła i wrzasnęła:

— HUUU!

Chwycił się teatralnie za serce, ale przesadą pokrywał fakt, że naprawdę go przestraszyła. Omal nie przewróciła się ze śmiechu, a on mimo woli roześmiał się razem z nią. Podbiegła do okna i dotknęła framugi z naturalnego drewna, żaluzji, tapety o fakturze materiału.

— Prawie czuję, że dom odmłodził!

Potem, ponieważ nalegała, oprowadził ją po pokoju wyjaśniając, jakich napraw dokonał — i co zrobiliby inni, lecz na co on się nie zdecydował, żeby pokój zachował lepsze proporcje, był bliższy pierwotnemu zamysłowi architekta albo stał się bardziej funkcjonalny. Zakulisowa historia. A Sylvie go słuchała. Tak mogłaby słuchać jego córka, gdyby żyła na tyle długo, by stać się bezdomną studentką bibliotekoznawstwa, mieszkającą w opuszczonym domu.

Na tę myśl zamilkł w pół słowa. W głowie mu zawirowało.

— Co? — spytała Sylvie, przyglądając się mu z troską.

— Co „co”? — wymamrotał. Zdał sobie sprawę, że przed chwilą urwał w środku zdania. — Nie przejmuj się, kiedy będę miał atak serca, złapię się za pierś, jęknę i upadnę.

— Myślałam, że to raczej udar. Nagły paraliż. Że zmieniłeś się w kamień.

— W słupek trocin.

— O czym myślałeś?

Zawahał się. Instynkt podpowiadał mu, żeby ją zbyć żartem. Ale nagle poczuł, że chce z nią porozmawiać szczerze. Bez dowcipów.

— Zastanawiałem się, jak by to było... no... że mógłbym tak pokazywać ten pokój mojej... córce, gdyby żyła. Pokazywać jej moją pracę.

Cofnęła się o krok.

— Nie jestem twoją córką.

Więc jednak ta szczerłość była błędem. Jak zwykle.

— Chciałem powiedzieć, że wyobrażałem sobie, jak by to mogło wyglądać.

— Nie jestem niczyją córką.

Ostatnie słowo powiedziała z taką zawziętością, że zaczął się zastanawiać, czy w jej kontaktach z rodzicami nie było czegoś, co wołała przemilczeć.

Omam jej nie przeprosił, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Niby co jej zrobił?

— Dlaczego ci to przeszkadza?

— Nie potrzebuję ojca — powiedziała zimno.

— A ja nie potrzebuję lokatorki. W moim życiu nie ma miejsca na kogoś takiego jak ty, ale mam ogromną pustą przestrzeń dla córki. Dlaczego miałoby ci przeszkadzać, że właśnie tam cię umieszczę?

— Ojciec zostawił mnie, i mama też, a ja poradziłam sobie bez nich.

— No pewnie, spójrz na siebie, jak świetnie sobie radzisz.

Natychmiast pożałował, że to powiedział. Ale nie zamierzał przeproszać. To ona postanowiła zmienić tę chwilę zadumy w kłótnię.

— To, co mi się przydarzyło w college'u, nie ma nic wspólnego ze stratą rodziców — oznajmiła.

— Aha. Ale to, że ci pozwoliłem zostać, ma bardzo wiele wspólnego z moją córką, więc lepiej się do tego przyzwyczaj, mała.

— O co ci chodzi? Mam dwadzieścia cztery lata, nie cztery. Nie możesz być moim ojcem.

— Dajże spokój, dwadzieścia cztery? Ile miałaś lat, kiedy zrobiłaś dyplom?

— Nie zrobiłam go, pamiętasz? — warknęła, ale potem dotarło do niej, o co ją pyta.

— No... mam... miałam dwadzieścia cztery lata, kiedy zdawałam egzaminy. A teraz... jestem starsza.

— O ile? Nie wiesz?

— Rozejrzyj się, widzisz tu jakieś kalendarze?

— Jest takie zjawisko jak pory roku. Wyglądasz na zewnątrz, jeśli widzisz śnieg albo lód, to jest zima. Jeśli w tym domu z zabitymi oknami robi się gorąco jak w piecu, możesz się domyślić, że mamy lato.

— Zdawałam egzaminy końcowe w osiemdziesiątym siódmym. — Odwróciła wzrok; zrozumiał, że obawia się tego, co miała usłyszeć.

— Dziesięć lat — powiedział. — Mieszkasz tu od dziesięciu lat.

— Już jest dziewięćdziesiąty siódmy? — Usiłowała nadać głosowi nonszalancki ton. — Jak ten czas leci.

— Nawet nie wiesz, kto jest prezydentem, co?

— I tak mnie nie zapraszają do Białego Domu, więc dlaczego miałabym się tym interesować?

— To cię nie niepokoi?

Ale widział, że się boi, jest przerażona tym, co się jej stało. Utraciła dziesięć lat.

— Nie mam pojęcia — szepnęła.

Krzyknęła cicho — może był to szloch? — a potem zacisnęła usta i spróbowała się uspokoić.

Don położył jej lekko rękę na ramieniu. Uprzytomnił sobie, że dotknął jej po raz pierwszy, odkąd się poznali. Nie powinien jej dotykać, ale Sylvie potrzebowała pociechy, nie besztania. Co ze mnie za ojciec, pomyślał.

Ale ona cofnęła się, jakby był jakimś obrzydliwym płazem.

— Mówiłam! — krzyknęła przeraźliwie. — Nie jestem twoją córką!

— Pewnie! — warknął. — Moja córka nigdy by tak nie skończyła, uwięziona w opuszczonym domu, nie wiedząc, jak długo marnuje tu życie!

— A ile ty masz lat, panie wszystkowiedzący, panie złota rączka?

— Jestem młodszy od ciebie. I o wiele starszy.

— Więc nie krzycz na mnie, tatusiu.

Rzuciła to słowo jak obelgę.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Myślałam, że chciałeś, żebym była twoją córką. Co cię znowu ugryzło?

— Ona mówiła do mnie „tato” zupełnie innym tonem.

I wtedy usłyszał w pamięci jej głos, głos małej dziewczynki, liczącej sobie zaledwie rok, ledwie chodzącej, potrafiącej powiedzieć tylko „mama” i „tata”. Tamy puściły. Zatrząsał się jak w konwulsjach; upadł, usiłując się odwrócić od Sylvie, żeby nie widziała łez, które spadały prosto na lśniące lustro lekko wybielonej podłogi.

Ale ona i tak je zobaczyła. Usłyszał, że podchodzi do niego. Poczul na głowie jej dłoń. Gładziła go. Delikatnie, prawie jak dziecko. Jej dotyk sparzył go jak uderzenie pioruna.

— Nie dotykaj mnie tak! — krzyknął.

— Przepraszam — wyszeptała.

— Nie jesteś moją córką, rozumiesz? — Nie potrafił się opanować. Nie mógł na nią patrzeć, nie mógł jej pokazać wykrzywionej, zalanej łzami twarzy. — Ona nie żyje i nigdy jej nie zobaczę, a ty nie jesteś nią, więc się wynoś! Precz!

Wyszła. Jeśli wzięła to dosłownie i opuściła dom, też dobrze. Nie powinien jej pozwolić zostać. Nie powinien nikogo dopuścić tak blisko siebie. Skulił się na podłodze, zwinął się w kłębek jak dziecko, płacząc, powtarzając w kółko jej imię. Od lat nie pozwalał sobie o nim myśleć, a teraz nawet mógł je powiedzieć na głos, bez końca, jak modlitwę, jak refren smutnej, prawie zapomnianej piosenki:

— Nellie, Nellie, Nellie, Nell...

* * *

Nie trwało to długo, naprawdę, biorąc pod uwagę fakt, przez ile lat dusił w sobie uczucia. Leżał skulony przez jakiś czas, potem przewrócił się na plecy i spojrzał czerwonymi, wypłakanymi oczami na sufit, który skończył zaledwie przed paroma dniami.

Przyjazny gzymys z naturalnego drewna. Garderoba, bardziej przypominająca wbudowaną szafę. Spojrzał na okna. Drewniane żaluzje cięły słoneczne światło na grube żółte pasy. Pokój do zabawy, marzeń, odpoczynku... do życia.

Po tych wszystkich pokojach, które tworzył z niczego, ze śmieci, wreszcie zrozumiał, po co to robi. Bezpieczne przestrzenie. Miejsca ucieczki. Robił pokoje dla Nellie.

Ale Nellie nie miała w nich nigdy postawić stopy. Nigdy. Więc po co to wszystko?

Wstał, trochę obolały po leżeniu na podłodze. Wyszedł na korytarz, zszedł na dół, otworzył wejściowe drzwi. Nigdzie nie widział Sylvie. Może się wyniosła. Dobrze.

Nie, niedobrze. Niedobrze, że stworzył takie wnętrza i wyrzucił ją z niego. Na pewno nie o to mu chodziło. Na pewno zbudował ten pokój dla niej. Kiedy jej go pokazywał, chciał powiedzieć, że należy do niej — w każdym razie aż do dnia, w którym dom zostanie sprzedany. To miał być jej pokój, jasny i bezpieczny, po tylu latach w mrocznym, brudnym, rozpalonym albo lodowatym domu. Nie przyznał się przed samym sobą, ale do tego właśnie zmierzał, zanim wdali się w tę głupią kłótnię pełną emocji.

Liście nabrały już prawdziwie jesiennych barw, lecz jeszcze trzymały się gałęzi, tylko parę zdobiło trawnik. Ale zrywał się wiatr, a chmury sunęły nisko. Liście opadną dziś w nocy, sfruną z drzew i zaścielą ziemię, będą mokły w deszczu. Wyszedł na dwór i zapatrzył się w płonący kolorami świat. Zbyt długo siedział w domu pochłonięty pracą.

To pokój Sylvie. Dla niej go zrobił. Wiedział, że Nellie nie żyje i nigdy by tu nie zamieszkała. Wiedział, że Sylvie nie jest jego córką. Ale potrzebowała jego opieki. Nie chciał jej, ale z nią mieszkała, a pokój należał do niej od lat. Dla Sylvie go zrobił, nie dla jakiejś wymyślonej dublerki jego córki.

Nie będzie miał do niego żadnych praw. Będzie pukać do drzwi, jeśli zechce z nią porozmawiać. Jeśli Sylvie go zaprosi, wejdzie do środka, ale jako gość. Tak to wygląda w przypadku takich budowniczych jak Don. Tworzą piękne domy, wkładają w nie całe serce, a potem zapraszają kogoś innego, dają mu klucze i wychodzą na zawsze. Ale jednocześnie tam pozostają, w tym cały sekret. Don nadal znajdował się w każdym zbudowanym przez siebie domu; strzegł mieszkańców, otaczał opieką. Nadal tam był, pieścił ich wzrok, tłumiał dźwięki dochodzące z zewnątrz, dawał ramy życiu tych ludzi i marzeniom, ku którym wystarczyło tylko sięgnąć, by znowu ożyły.

Wrócił do domu. Wrócił biegiem; w kieszeniach brzęczały mu taśma miernicza, portfel i klucze. Frontowe drzwi były otwarte. Wpadł przez nie i krzyknął:

— Sylvie!

Jego głos odbił się echem od ścian domu. Wszystko wydawało się takie... opustoszałe.

— Sylvie, jesteś tam?

Wbiegł na piętro, zaglądając za wszystkie drzwi. I na strych.

Nie było jej. Nie mógł jej znaleźć.

Wróci. Już się ukrywała, uciekała przed nim. Ale wróci. Była tu uwięziona przez dziesięć lat, chyba jedna sprzeczka jej nie wypłoszy? Usiłował dodać sobie otuchy, idąc w dół po schodach. Może zeszła do piwnicy.

Nie. Była w salonie. Leżała na jego pryczy. Spała na jego pryczy. Nie słyszała jego głosu? Wrzeszczał na całe gardło. Nellie też taka była. Jak już spała, to spała.

Chciał ją przeprosić i powiedzieć, co sobie właśnie uświadomił — że robił ten pokój dla niej, że prosi, by w nim zamieszkała, dopóki ten dom będzie należał do niego. Ale nie odważył się jej obudzić.

Poszedł na górę do sypialni, którą zajmowała, do jedyne go nędznego łóżka, jakie pozostało w całym domu. Zabrał materac i koce do nowego pokoju; za drugim razem zabrał sprężyny. Potem rozłożył ramę łóżka na cztery części, przeniósł je i złożył na powrót. Zgrabnie posłał łóżko. Wydawało się takie malutkie w wielkiej przestrzeni, całkiem jak dziecinne łóżeczko, choć było zaprojektowane na dwie osoby. Jakże nędznie wyglądało na tle lśniącej doskonałości pokoju. Może powinien kupić nowe, z baldachimem albo mosiężne... Nie, to zbyt wiele. Strata pieniędzy, skoro za rok sprzeda ten dom komuś innemu. To stare wyrko będzie musiało wystarczyć. Liczy się otoczenie. Sylvie będzie je widzieć każdego ranka, kiedy otworzy oczy. Smugi słońca przesiane przez żaluzje. Garderoba, w której już się bawiła niczym dziecko. Nie miała nic, co mogłaby tu postawić. Więc w zamian dostanie cały pokój na własność.

W korytarzu za drzwiami coś zaszeleściło. Usłyszał cichy krok.

— Moje łóżko — powiedziała Sylvie.

Nagle zawstydził się tego, co zrobił.

— Musiałem wynieść twoje rzeczy z tamtego pokoju, zanim się za niego zabiorę.

— Mam tu spać?

Skinął głową.

— Jeszcze nigdy nie miałam takiego pokoju. — Roześmiała się, cicho, ze szczerą radością. — Wiem, to nie na zawsze, ale... dziękuję.

Od tej chwili pokój przestał należeć do niego. Don oddał go w inne ręce. Uśmiechnął się, dotknął niewidzialnego kapelusza i zszedł na parter.

Rozdział czternasty

Łom

Don położył się w tak dobrym nastroju, jaki nie zdarzył mu się od dawna. Był zawstydzony swoim wybuchem przed Sylvie, ale wiedział, że wydarzyło się coś dobrego. Zburzył mur, który w sobie zbudował. Znowu mógł wymawiać imię Nellie. Coś zostało mu zwrócone. A ponieważ Sylvie miała w tym swój udział, coś ich połączyło. Więzy straty, jeśli strata może łączyć. Będzie mieszkać z tą dziewczyną w jednym domu jeszcze przez wiele miesięcy, ponieważ nie byli już sobie obcy.

Ale rano, kiedy emocje poprzedniego dnia zbladły, zaczął myśleć o innych rzeczach. Mniej krzepiących. Czy ośmieszył się w oczach Sylvie, kiedy zaczął płakać? Pamiętał, jak Cindy rozpląkała się w jego obecności. Głaskał ją po głowie, jak głaskała go Sylvie. Oczywiście te sytuacje nie były podobne. Pomiędzy nim i Cindy była kończąca się namiętność. Nic podobnego nigdy nie powstało między nim i Sylvie. Przeciwnie, czuli do siebie wrogość, podejrzliwość i niechęć. To mogło zmienić się tylko na lepsze.

A jednak kiedy wchodził po schodach, zmierzając do łazienki, czuł narastającą nieufność. Zerknął na drzwi jej nowego pokoju. Zamknięte.

Dostała własny pokój — oto zwycięstwo, które jej po prostu dał. Jak miał ją teraz wyprosić? Dlaczego zrobił coś tak głupiego? Wczoraj dał się ponieść chwili, poczuł się opiekunem, obrońcą, był jej wdzięczny za to, że okazała mu życzliwość. Dzisiaj, kiedy emocje już opadły, pojmował tylko, że wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Ta dziewczyna nadal była obca. Ale teraz pozwolił jej myśleć, że ma do niego jakieś prawo. Przez tę samotność wyczynia najgorsze głupoty, a teraz musi ponieść konsekwencje.

Wcześniej niż się spodziewał. Wziął prysznic i gotów na następny dzień pracy, zaczął szukać łomu. Nie używał go od czasu, kiedy zrywał ściany w pokoju, który teraz należał do Sylvie. A to znaczyło, że powinien go znaleźć tam, gdzie było jego miejsce, w długim zielonym pudełku na narzędzia. Nie znalazł.

Najpierw pomyślał, że położył łom gdzieś indziej. Ale wkrótce wyeliminował wszystkie możliwości. Zawsze był drobiazgowo dokładny przy odkładaniu narzędzi. Nie miał powodu sądzić, że zrobił inaczej niż zazwyczaj.

Nie chciał rzucać podejrzeń na Sylvie, lecz może schowała gdzieś łom jeszcze przed

ich pojednaniem? Owszem, takie postępowanie byłoby irytujące, ale przynajmniej nie oznaczało, że poprawa stosunków była pozorna. Nie zamierzał się na nią gniewać. Pod warunkiem że odda mu łom.

Wszedł na piętro i zapukał.

— Tak?

Jej głos z trudem przedostał się przez zaporę drzwi.

— Nie widziałaś mojego łomu?

— Chwileczkę.

Zaczekał. Otworzyła po paru sekundach. Miała na sobie sukienkę, jak zwykle. Zastanowił się, czy w niej sypia. Chyba nie; sukienka była spłowiała, ale nie wymięta. A więc musiała sypiać w bieliźnie albo nago — w pościeli, która była pewnie prana wtedy, kiedy i jej sukienka.

— Dzisiaj idę do pralni — powiedział. — Może zabiorę twoją pościel?

Rozpromieniła się.

— Jasne. Dzięki.

— I mógłbym... wiesz... Jeśli zgodzisz się chodzić w szlafroku, dopóki nie wrócę, mógłbym zabrać i sukienkę.

Pokręciła głową.

— Dziękuję, ale nie. Naprawdę. Wszystko w porządku.

— To żaden kłopot. Albo mógłbym zanieść ją do pralni chemicznej.

— Nie wiem... to miłe, ale... nie jest brudna.

Nie miał zamiaru się kłócić.

— Jak wolisz. Aha, przyszedłem spytać, czy nie wiesz, gdzie jest łom.

— Łom?

— Ten czarny metalowy drąg, którym rozwalalam ściany. Wieloczynnościowy praktyczny przyrząd do burzenia i podważania.

— Nie pamiętam.

Narysował palcem kształt w powietrzu.

— Taki.

— A, tak, przypominam sobie. I co z tym łodem?

— Gdzie jest?

— A gdzie go zostawiłeś?

— Zawsze kładę go w długim zielonym pudełku na narzędzia.

Spojrzała mu prosto w oczy. Dopiero potem odpowiedziała:

— Don, zabroniłeś mi dotykać swoich narzędzi, więc ich nie dotykam.

Tyle na temat ocieplenia kontaktów.

— Więc co, krasnoludki go rąbnęły? Elfy?

Westchnęła i oparła głowę o framugę.

— Proszę cię... Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Ja też tak myślałem. Ale muszę odzyskać łom. Zaczynam następny pokój. Będę rozwaliał ściany działowe, zrywał tynk i stare listwy.

— Chętnie pomogę ci szukać, jeśli nie założysz od samego początku, że wiem, gdzie jest ten łom, tylko nie chcę powiedzieć. Bo nie wiem. Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci.

Don odwrócił się zdesperowany. Potem znowu na nią spojrzął.

— Dobrze, rozegramy to tak, jak zechcesz. Pomóż mi go poszukać. I pamiętaj, że naprawdę jest mi potrzebny. To nie jest jedyny pokój, który muszę skończyć.

— Skoro mój jest gotowy, co mnie obchodzi reszta? — parsknęła. A ponieważ spojrzął na nią z prawdziwym gniewem, dotknęła lekko jego ramienia. — To żart, tylko żart.

— Proszę... pomóż mi go znaleźć.

— Dobrze. Niech zgadnę. Najpierw chcesz poszukać w moim pokoju.

— Czemu nie? Skoro i tak tu jesteśmy...

Zaczęła szukać w najdziwniejszych miejscach, na przykład w gniazdkach elektrycznych i za żaluzjami.

— Tu nie. I tu nie. I tu nie.

— No dobrze, jesteś obrażona — powiedział wreszcie. — Ale łom nie mógł odejść o własnych siłach. Ktoś musiał go zabrać.

— Dlaczego? Czemu jesteś tego taki pewny?

— Pewny czego? — Przez chwilę nie rozumiał, o co jej chodzi.

— Że ktoś musiał zabrać to twoje narzędzie.

— Ponieważ przedmioty z kutego żelaza nie ruszają się same, chyba że coś je poruszy.

— Właśnie, coś...

Teraz dopiero do niego dotarło.

— Jakaś nadnaturalna moc, tak? To dom go porwał!

Poczuła się urażona jego sarkazmem.

— Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Dlaczego miałabym ci pomagać? Jeśli ja go znajdę, od razu uznasz, że to ja go schowałam.

— Gdzie?

— Tam gdzie go znajdę. Jeśli go znajdę. Obiecuj, że mnie o to nie oskarżysz.

— Obiecuję.

— Nie wierzę ci. — Nie żartowała. Ale on też nie.

— Chcę znaleźć mój łom!

— A ja chcę, żebyś mi zaufała.

Przyszło mu do głowy parę replik, po których poczułby się znacznie lepiej, choć sy-

tuacja by się pogorszyła. Przemilczał je więc i powiedział spokojnie:

— Proszę, pomóż mi znaleźć łom.

— Jeśli go znajdę, to dlatego że mieszkam w tym domu na tyle długo, by wiedzieć, gdzie zbierają się w nim różne rzeczy.

— Zbierają się?

— Gdzie spływają. Bardzo często.

— To nie jest jezioro. Rzeczy nie pływają.

— Więc nie będziemy szukać twojego łomu w żadnym z tych miejsc. — Mówiła żartobliwie, ale oczy jej płonęły.

— Trudno. Sam go poszukam.

— Chcesz, żebym ci pomogła, czy nie?

— Chcę odzyskać łom. Jeśli możesz mi pomóc, proszę cię bardzo. Jeśli nie, zostań w świecie marzeń. Jak wolisz.

Wyszedł z pokoju.

— Może lepiej sprawdź, czym naprawdę jest rzeczywistość, zanim zaczniesz się wyśmiewać z moich marzeń! — zawołała za nim.

Nie odpowiedział. Szedł w stronę schodów.

— Skąd możesz wiedzieć, że go gdzieś nie zostawiłeś, a potem zapomniałeś?

Tego było już za wiele.

— Bo zawsze odkładam narzędzia na miejsce.

— Zawsze? — Przechyliła się przez balustradę.

— Zawsze.

— Pewnie nie sprawiałeś mamie kłopotów. Wszystkie zabawki na miejscu. Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu.

— Otóż to.

Ruszył do salonu i znowu zaczął wywracać skrzynki z narzędziami. Usłyszał jej kroki na schodach. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby, jak Sylvie opiera się o framugę, wyciągając rękę wysoko, niczym baletnica, niczym postać z lat dwudziestych. Nie, zaraz, to nawiedzone staruszki były młode w latach dwudziestych. Nie wolno mi pomylić moich pomylonych kobiet.

Czuł, że musi się odwrócić. I rzeczywiście, stała oparta o framugę, z ręką nad głową, przytulona do malowanego na biało drewna. Potem zgięła rękę w łuk nad głową, naprawdę jak baletnica albo łyżwiarka. Wcielenie wdzięku.

— Mówiłeś, zdaje się, że łomu nie ma w skrzynkach?

— Już tu szukałem. Ale poszukam jeszcze raz.

— Niewiarygodne. — Co?

— Że do tego stopnia sam sobie nie wierzysz. Myślałam, że jesteś ponad takie słabości.

— Co ja ci właściwie zrobiłem, że tak ze mnie kpisz? Myślałaś, że oskarżę cię, zanim sprawdzę swoje rzeczy? Na głowie ciągle mam guz po warsztacie, który przesunęłaś, ale mam wątpić, że ruszasz moje narzędzia?

Spochmurniała. Cofnęła się w głąb korytarza. Postąpił ku niej parę kroków.

— Jasne, chowaj się, to bardzo rozsądne. Żadnej odpowiedzialności. Czy nie tak wygląda całe twoje życie? Ukrywasz się!

Znalazł ją przed innym progiem, progiem pokoju po drugiej stronie schodów. Ale tym razem jej poza nie była wdzięczna i niedbała. Sylvie klęczała przy ścianie, z opuszczoną głową, ciemieniem wpartym w drewno i wygiętym ciałem. Jak szarżujący kozioł. Jakby chciała wepchnąć głowę w ścianę.

— Może coś jest w kuchni — powiedziała. — Na prawo, wysoko, pod ścianą. W szafce nad lodówką.

— W której kuchni?

— Mojej i Lissy. Tej z dużym stołem.

Poszedł wąskim korytarzykiem do kuchni na tyłach domu. Szafka wisiała wysoko, a ponieważ niegdyś stała pod nią lodówka, nie było pod nią blatu. Don musiał stanąć na szafce obok i wyciągnąć mocno rękę, trzymając się półek, a nawet wtedy trudno mu było dosięgnąć. Skąd wiedziała, gdzie szukać? A właściwie jak tu wlała?

Zszedł i z głośnym hurkotem przyciągnął masywny stół. Stanął na nim.

Nie znalazł łomu. Ale było tam parę pudełek z gwoździami i śrubkami. Jeszcze z ceną od Lowe'a. Zdjął je, postawił na stole i otworzył. W każdej znajdowało się mnóstwo żelastwa, w tym także stare gwoździe i śruby, które wyciągnął ze ścian. Ale tak naprawdę do wściekłości doprowadził go dopiero widok lśniących śrubek i gwoździ, najwyraźniej podwędzonych z salonu.

— Sylvie! — ryknął.

Jej cichy głos odezwał się tuż za jego plecami.

— Nie znalazłeś?

— Co to tu robi? Co to jest?

Podeszła i spojrzała.

— Kolekcja śrub i gwoździ?

Miał ochotę na nią wrzasnąć, ale opanował się z wysiłkiem.

— To żart?

— Nie wiem. A jest śmieszny?

Wyjął zgięty gwóźdź z fragmentem oderwanego tynku.

— Co zamierzałaś z tym zrobić?

— Myślałam, że wszystkie wyrzuciłaś.

— Dlaczego to pozbierałaś i ukryłaś?

— Dlaczego w ogóle mnie pytasz, skoro i tak znasz odpowiedź i nie zamierzasz w nią

uwierzyć? — Spojrzała na niego naburmuszona. Zawiedziona.

On też był zawiedziony.

— Sylvie, gdzie jest mój łom?

Wydobyła z siebie tylko słaby szept.

— Nie wiem. Są miejsca, których nie widzę.

— Więc powiedz, które to, a ja w nie zajrzę.

Odwróciła twarz, żeby nie patrzeć na jego gniew. Dotknęła czołem ściany.

— Stary kocioł — wyszeptwała.

— Mam do niego zajrzeć?

— Za niego.

— Dlaczego od tego nie zaczęliśmy?

Nie odpowiedziała. Była przygnębiona. I bardzo dobrze. Choć prawdę mówiąc, nadal nie rozumiał, co się tu dzieje.

Zszedł hałaśliwie po schodach do piwnicy.

— Nie lubię się bawić w chowanego — powiedział, niegłęboko, ponieważ wyglądała tak żałośnie, że nie mógłby się nad nią pastwić. Ale i nie cicho, bo nadal był zły.

Nie miał ze sobą latarki, a światło reflektora rzucało za piec nieprzenikniony cień. Musiał pójść po latarkę. Kiedy się odwrócił, zobaczył Sylvie. Stała na ostatnim schodku i trzymała się balustrady tak mocno, jakby tylko to mogło ją uratować przed zgubą. Nie chciał się teraz do niej zbliżyć. Jeśli łom znajduje się za kotłem, zdoła go odnaleźć na ślepo. Wkroczył w ciemności. I oczywiście, kiedy tylko poruszył gruz, usłyszał brzęk metalu o kamień. Albo kamienia o metal. Pogrzebał w gruzie i po chwili trzymał łom w rękach.

Teraz był cały brudny od lepkiego pyłu. Ten, kto zasypał tunel gruzem, nieźle się uświł. Otwór musiał być szerszy na górze, choć ciemności nie pozwalały tego zobaczyć. Jedno było pewne: nie można ignorować istnienia tunelu. Trzeba go oczyścić z gruzu i zamurować.

Ale jeszcze nie dzisiaj. Odzyskał łom, będzie mógł zburzyć ścianę. I kurczę, miał dziś wielką ochotę na zrywanie listew i tynku. O tak.

Kiedy Sylvie zobaczyła łom w jego rękach, odprężyła się wyraźnie.

— Och, dobrze. Znalazłeś.

— Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach.

— Wiedziałaś, że zaczniesz mnie oskarżać, jeśli ci pomogę.

— A właściwie dlaczego w ogóle go ruszałaś?

Zatrzymała się na schodach; sufit zasłaniał jej głowę.

— Nie zabrałam go. A gdybym to zrobiła, nie schowałabym tutaj.

— Masz lepsze kryjówki?

Usiadła na podeście. Znowu widział jej twarz. Była naprawdę wytrącona z równowagi.

— Nigdy tu nie wchodzię.

— Dlaczego? Nic tu nie ma. Starsze panie z naprzeciwka powiedziały, że to tunel przemytników alkoholu. A w tym domu był burdel. — Uderzył łomem o otwartą dłoń. Dobrze było czuć go w rękach.

— Jakie to interesujące. — W głosie Sylvie nie było słycać zainteresowania. — Tunel. Kto by pomyślał.

— Sylvie, co się z tobą dzieje? Dlaczego nie możesz przeprosić, że ukryłaś łom i nigdy więcej tego nie robić?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Przepraszam, kiedy mam za co.

Don minął ją pełen niesmaku. Zatrzymał się o parę schodków od niej.

— Nie jesteś za duża na zabawy w małą przekorną siostrzyczkę?

— Nie jestem niczyją siostrą!

Ruszył dalej. Usłyszał za plecami jej wołanie:

— Nie jestem twoją córką! Ani siostrą! W ogóle nie jestem dla ciebie nikim!

Nadeszła pora, by pozbyć się ściany oddzielającej schody od południowego salonu. Została zbudowana wcześniej niż pozostałe przepierzenia. Pewnie w latach dwudziestych, w czasach burdelu. A więc nie była to ściana ryglowa; wydawała się grubsza niż ściana po przeciwnej stronie, choć miała taki sam gzyms. I nie była pokryta płytami okładzinowymi. A zatem tynk i listwy. Brudna robota, ale i tak już był umazany po wizycie za kotłem.

Zamachnął się łomem i wbił go głęboko w ścianę. Wyszarpnął; listwy pękły i posypały się jak połamane żebra. W twarz uderzył mu pył. Powinien włożyć okulary ochronne, ale był zbyt wściekły i miał zbyt wielką ochotę, żeby coś zniszczyć. Zamachnął się znowu, celując w miejsce około pół metra nad podłogą, ale tym razem łom natrafił na lite drewno. Dziwne. Słup zaledwie metr od końca ściany? Nikt nie stawia ich tak blisko, nawet w ścianach nośnych. Zamachnął się znowu. Tym razem wielki kawał tynku oderwał się i rozprysnął na podłodze. Listwy znajdujące się za nim dały się z łatwością oderwać. Wyglądało to tak, jakby masywne słupy stały co metr. Idiotyzm. Po co ich tu tyle?

— Co robisz! — krzyknęła Sylvie. Stała w drzwiach z twarzą wykrzywioną okropnym strachem.

— A jak ci się wydaje?

— Nie możesz zburzyć tej ściany! To... to kręgosłup tego domu!

— Słuchaj no, Sylvie, ta ściana nic nie znaczy. Zauważyłaś, że wejście nie jest usytuowane w osi symetrii frontu? To dlatego żeby ściana nośna mogła przebiec dokładnie przez środek domu i podtrzymać belki podłogi na piętrze. Ta ściana niczego nie pod-

trzymuje, dodano ją tylko po to, żeby umieścić drzwi pomiędzy wejściem a tym apartamentem. Pewnie klienci mogli wtedy chodzić do prostytutek tak, żeby nie widział ich nikt w salonie.

— Mylisz się, ona podtrzymuje wszystko! Jeśli ją rozwalisz, dom... dom będzie sparaliżowany, będzie...

— Powinnaś dawać lekcje tym wariatkom z naprzeciwka — warknął. Jego cierpliwość się wyczerpała. — To jest dom, nie człowiek. — Wydarł kolejną listwę.

Sylvie podbiegła i chwyciła jeden z grubych słupów.

— Dotknij tego! Nie czujesz napięcia? One podtrzymują cały dom. Aż drżą pod jego ciężarem.

— Inżynier powiedział, że ta ściana jest...

— On nie patrzył, ocenił to z góry. Tak jak ty. — Dotykała kolejno czterech odsłoniętych słupów. — Nie widzisz, ile ich tu jest? Po co mieliby dawać aż tyle? Jak maszty statku. Dlaczego mieliby je stawiać, jeśli nie po to, żeby podtrzymywały cały dom?

Miała rację. To by nie miało sensu. A Jay Placer nie dokonał prawdziwej inspekcji. Po prostu uznał, że ściana północna musi być ścianą nośną i na tym się skończyło.

No, istniał tylko jeden sposób, żeby się upewnić. Don minął dziewczynę, chwycił latarkę i po raz kolejny zszedł do piwnicy. Ale tym razem skoncentrował uwagę na wschodniej ścianie. Piwnica znajdowała się pod tylną połową domu; na froncie pozostawiono tylko tyle miejsca, że dorosły człowiek zdołałby się przeczołgać. Nie było łatwo znaleźć miejsce, w którym Don mógł przejść do połowy frontowej. Kiedy już mu się udało, bardzo tego pożałował. Było to królestwo pajęczyn, a wszystkie pełzające stworzenia, które straciły mieszkanie pod wykładzinami, najwyraźniej przeprowadziły się właśnie tutaj. Będzie musiał wziąć bardzo długi prysznic, zanim znowu poczuje się czysty. Ale to także należało do jego obowiązków. Nie można odbudować domu i się nie ubrudzić.

Gdy znalazł się na miejscu, wszystko stało się jasne. Ciężkie słupy ze ściany południowej stały na fundamencie z wielkich ociosanych głazów — rząd masztów, jak powiedziała Sylvie. Kamienna sztolnia, jak jądro ziemi. Ten, kto zbudował ten dom, dobrze wiedział, na jakie straszliwe obciążenie będzie narażona ta położona z dala od środka domu ściana, i znalazł dla niej odpowiednie fundamenty. Osiem słupów, ale nie były rozmieszczone regularnie. Pierwszy został cofnięty na tyle, by można było umieścić drzwi. Następnie szły cztery filary, nadzwyczaj blisko siebie. Potem, tuż przy ścianie piwnicy, fundamenty ściany nośnej przenosiły się na sam środek domu. Zdecydowanie z dala od schodów, pomyślał Don. Ale widać nie było potrzeby umieszczania tu długich i ciężkich legarów.

Popęzł z powrotem. W piwnicy usiłował zdjąć z siebie pajęczyny, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś po nim łązi. Spływające strużki potu łaskotały go jak nóżki in-

sektów. Weź się w garść, rozkazał sobie.

W drodze powrotnej zdał sobie sprawę, że omal nie rozwalił ściany, która była kręgosłupem domu. Gdyby przepiłował te słupy, wszystko by się zawaliło. Powinien to zrozumieć, kiedy zobaczył, jak blisko siebie się znajdują. Gdyby nie był taki wściekły, gdyby nie miał takiej ochoty, by zatopić to czarne żelazne ostrze w domu, pewnie miałby czas się nad tym zastanowić.

Choć może w końcu by to do niego dotarło. Gdyby wziął piłę, natychmiast poczułby napięcie drewna. Prawda? Wyczułby, że te słupy podtrzymują strop.

A może nie. Wiedział jedynie, że ona to wyczuła.

Wrócił do północnego salonu. Nadal tam siedziała, ale w kącie najbardziej wysuniętym na południe, przytulona plecami do ścian. Nie odezwał się do niej. A ona nie odezwała się do niego. Wyniósł łom z pokoju. Była to wystarczająco wyraźna wiadomość, czego się dowiedział.

Zabrał narzędzia spod ściany, którą uważał za nośną, i odsunął pryczę. Nie potrzebował gipsowego pyłu w miejscu, w którym sypiał. Uderzył w ścianę. Spodziewał się, że znajdzie listwy i tynk. Ale nie, łom wbił się w płytę okładzinową. A kiedy ją odchylił, przekonał się, że ta ściana została zbudowana o dobre dwadzieścia centymetrów od schodów. Właśnie to zmyliło ich obu, Jaya i jego — wyglądała na równie grubą jak ściana nośna po drugiej stronie schodów. Nie, była jeszcze grubsza. Dlaczego? Skoro biegła wzdłuż schodów, trzeba było na nią zużyć dwa razy więcej materiałów. Dlaczego była pusta?

Widocznie coś w sobie kryła. Jeszcze raz przyniósł latarkę i zaświecił do środka. I krzyknął cicho. Teraz zobaczył całe schody. Zostały zrobione z polerowanego orzechowego drewna, głęboko i delikatnie rzeźbionego. Filary miały siedemdziesiąt centymetrów wysokości i sięgały policzków schodowych, a za nimi, w głębokich niszach, znajdowały się piękne klasyczne rzeźby, nawiązujące do renesansowych obrazów. Narodziny Wenus. Adam wyciągający rękę ku palcu Boga. Don przypomniał sobie dowcipy z lekcji historii sztuki. Ale to nie był żart. To była klatka schodowa warta milion dolarów. Skarb tego domu. I choć jakiś gospodarz był na tyle głupi, żeby ją zakryć, przynajmniej nie okazał się barbarzyńcą i nie przybił ściany bezpośrednio do tego arcydzieła. Zamknął je, obronił przez zniszczeniem. Chyba wiedział, że pewnego dnia ten budynek przestanie być wynajmowany przypadkowym mieszkańcom. Pewnego dnia miał się na powrót stać prawdziwym domem, a jego schody — orzechowym klejnotem w koronie.

Don pracował teraz z największą ostrożnością, odrywając deski, wyciągając gwoździe. Tym razem łom, piła i młot leżały nietknięte; wyjmował kołki z fałszywej ściany powoli, jeden po drugim, potem zaczął przesuwac się w górę schodów, usuwając ścianę z drugiej strony. Była osadzona na stopniach. Powinien to zauważyć, a także to, że balu-

strada nie może być oryginalna, obudowa wokół schodów zwęża się u góry, tani gzyms zaś musi być dobudowany. Dlaczego tego nie dostrzegali?

Bo mistyfikacja była doskonała. A on nie wiedział, na co zwracać uwagę. Tu powinna się znajdować ściana nośna, więc widział ją tam, gdzie chciał zobaczyć.

Ale Sylvie wiedziała lepiej.

— Sylvie! — zawołał. — Sylvie!

Stała w drzwiach. Weszła do północnego salonu. Wskazał cudownie rzeźbiony policzek schodowy, ławę z polerowanego drewna biegnącą wzdłuż ścian alkowy pod schodami. Sylvie dotknęła filarów, przyjrzała się rzeźbom.

— To ty — mówiła do każdej. — To ty.

Zobaczyła wszystko, co mogła dojrzeć z podłogi.

— Podsadzić cię? — spytał.

Skinęła głową. Ukląkł, posadził ją sobie na ramieniu i wstał. Jakaż była lekka. Jaka mała. Jak dziecko.

— To ty — szepnęła. — Chowales się tu przez cały czas.

Żeby mogła zobaczyć ostatnie rzeźby, chwycił ją za uda i postawił sobie na ramionach, jak akrobatkę. Nie było to niebezpieczne, bo trzymała się schodów. Kiedy mówiła, żeby się przesunął, robił kolejny krok, aż wreszcie obejrzała wszystko. Sufit na wysokości pięciu metrów. Co za ekstrawagancja w pokoju tych rozmiarów, pomyślał Don. Ale kiedy Sylvie dała mu znak, że chce zejść, zaczął się zastanawiać nad resztą pomieszczenia. Tak wysoki sufit nie miał tu racji bytu. Te schody zdominowały cały pokój. Były piękne, ale zbyt wielkie we wnętrzu o takich wymiarach, tak jak sufit znajdował się zbyt wysoko. W tym domu wszystko miało dobre proporcje. O co chodziło budowniczemu?

Sylvie nie mogła oderwać dłoni od drewna. Obeszła schody i wkroczyła do alkowy. Usiadła na drewnianej ławie. Potem podciągnęła nogi i objęła kolana.

W takiej samej pozie siedziała Cindy, na tej nietkniętej kanapie w salonie.

— Marzyłam o tym miejscu — odezwała się Sylvie cicho. — Wszędzie świece.

Dotknęła sklepionego wnętrza alkowy. Don stanął obok i dostrzegł obraz osadzony w szerokiej orzechowej płycie, widoczny jedynie dla tego, kto siedział na ławie. Portret mężczyzny i kobiety. W kwiecie wieku, lecz już niemłodych. Maniera przywodziła na myśli czasy Gainsborougha. A przynajmniej jego naśladownictwo. Sentymentalizm. Ale patrząc w oczy kobiety wiedziało się, że właśnie dla niej powstał ten dom. A mężczyzna to jego twórca.

— Doktor Bellamy, prawda?

— Zostawili ich tutaj — szepnęła. — Nawet w czasach burdelu. To okropne. Kazali im patrzeć na to, co się stało z ich domem.

— Ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby ich stąd wydarli.

— Chyba tak.

— Poza tym burdel był na górze. Na dole był tylko tajny bar.
— Chciałabym wiedzieć, czy mój ojciec kochał tak moją matkę.
— Nikt nigdy nie pozna prawdy o swoich rodzicach. Co naprawdę czuli. Łatwiej spotać Elvisa, niż poznać serca własnych rodziców.

Zachichotała. Lubił ten jej cichy chichot.

Roześmiała się — kaskada radości, jak woda omywająca omszały kamień. To też mu się podobało.

— Skąd wiedziałas? — spytał.

— O czym?

— Że to ściana nośna.

— Mieszkam tu od tak dawna. Chyba zaczęłam wyczuwać dom.

Nie była to prawda. Teraz już wiedział. Nawiedzone staruszki miały rację. Ten dom potrafi uwięzić. Zniewolić. Dlatego Sylvie tu mieszkała. Dom ją złapał i nie mogła mu uciec. Ale w zamian przemawiał do niej. Odślaniał się przed nią. Wiedziała, gdzie znaleźć wszystko, czego chciała. To nie ona ukradła łom, ona go tylko zobaczyła.

Zaczynam wpadać w szaleństwo, pomyślał. Daję się opętać, ale nie domowi.

Roześmiał się z samego siebie.

— Dlaczego jestem taki pewien własnych wątpliwości?

— Co?

— Dlaczego nigdy nie wątpimy jedynie we własne wątpliwości? Potrafimy zakwestionować przekonania innych, a im bardziej ludzie są pewni swego, tym bardziej wątpimy. Ale nigdy nie przychodzi nam do głowy, żeby podać w wątpliwość własne wątpliwości. Wydaje nam się, że wystarczy coś zakwestionować, żeby odkryć prawdę.

— Nam?

— Mnie. Ja tak postępuję. Przepraszam.

— Za co?

— Za to, że uważałem cię za wariatkę.

— Za to nie musisz przeproszać. — Uśmiechnęła się krzywo.

— A za co?

— Za to, że uważałeś, iż kłamię.

— Przepraszam.

— Bardzo proszę. — Zachichotała. — Co się na to odpowiada?

Usiadł obok niej na ławie. Pod spojrzeniami postaci z obrazu nagle zapragnął, żeby Sylvie się do niego przytuliła.

Ale ona spuściła nogi na ziemię i odwróciła się do niego.

— Wydaje mi się, że jestem wariatką, Don. Naprawdę.

Pokręcił głową.

— Jakby to cię odróżniało od nas wszystkich.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Polubiłeś mnie, prawda?

— Tak.

— Ponieważ nie pozwoliłam ci zniszczyć domu.

— Nie. Lubiłem cię już przedtem. Ale dopiero teraz to przyznałem.

— Nie powinienes mnie lubić.

— No, jak wolisz.

Roześmiała się. A może to nie był śmiech.

— Gdybyś tylko wiedział, co zrobiłam... nigdy byś mnie nie polubił.

Poczuł, że ta chwila nadchodzi. Kolejne wyznanie. Jak z Cindy.

— Więc mi nie mów — mruknął. — Nie chcę wiedzieć.

— A ja nie chcę ci powiedzieć.

— No to nie mów! Dlaczego ludzie ciągle muszą się zwierzać? Nie jestem księdzem! Jestem facetem z nieprawdopodobnie spieprzonym życiem, który próbuje je jakoś naprawić, a gdzie się obróć, wszyscy zwierzają mi się z własnych katastrof, o których nie chcę słyszeć!

Zaczęła płakać. Niech to, nie chciał jej doprowadzić do łez.

— Słuchaj, przepraszam. Przepraszam, że ci nie wierzyłem. Przykro mi, że siedziałaś tu zamknięta przez dziesięć lat. Dlaczego tu zostałaś? Miałaś wszystko przed sobą. Skończyłaś studia. Dostałaś pracę. W Providence, tak? Taką, jakiej pragnęłaś, zgadza się?

Kiwnęła głową.

— A jesteś tutaj. Więc co to ma być? Kara? Jaką zbrodnię popełniłaś, że zamknęłaś się na dziesięć lat? W tej samotni... to prawdziwy cud, że naprawdę nie zwariowałaś. Snułaś się po tym domu, a on cię przenikał. Co takiego zrobiłaś, by sobie na to zasłużyć?

Zgięła się w pół, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła histerycznym płaczem.

— Kolej na ciebie — szepnął. — Najpierw ja, teraz ty.

Rodzina, która razem płacze... co dalej? Razem skacze? Gdacze? Kracze? Bzdura, pomyślał. Nie jesteśmy rodziną. Jesteśmy jej przeciwieństwem. Jesteśmy ludźmi tak samotnymi, że kiedy jesteśmy razem, tworzymy czarną dziurę samotności. Wszystko inne w niej ginie i już nigdy nie wraca.

Czarna dziura.

Przypomniał sobie o tunelu pod domem. To jedyne miejsce, którego Sylvie nie zna. Jedyne miejsce, którego nie widzi.

Rozdział piętnasty

Tunel

— No dobrze. Teraz już ci wierzę — powiedział cicho. — Zdaje się, że ten dom wyprawia jakieś dziwne rzeczy. Zgadza się? A ty go czujesz, tak? Na przykład... no, jakby był częścią ciebie. Albo ty częścią jego.

Skinęła głową.

— Ale naprawdę nie wiedziałaś, gdzie jest mój łom.

Pokręciła głową.

— Wiedziałaś o tych rzeczach z szafki nad lodówką. Tak jakby... je tam wyrzuciło. Tak jak morze wyrzuca na brzeg różne przedmioty.

Znowu przytaknęła.

— Więc dlaczego nie wiedziałaś, co jest za kotłem?

Cisza. Bezruch.

Spróbował z innej strony.

— Dlaczego nie przyjęłaś tej pracy na Rhode Island? Dlaczego nie wyjechałaś? Byłaś już tak blisko.

Żadnej odpowiedzi.

— I nie zrobiłaś dyplomu. Choć tak długo na niego pracowałaś.

— Niektórzy z nas nie znają lęku przed zamknięciem jakiegoś etapu.

Dobrze. Odezwała się. Nawet zaczęła żartować.

— Co cię tu trzyma? Zanim właściciel zamknął dom, byli tu inni ludzie. Na pewno niektórzy mieszkali dłużej niż ty. Oni mogli stąd odejść. Dom ich nie zatrzymywał. Twoja koleżanka Lissy wyjechała, tak? Zrobiła dyplom?

Sylvie wzruszyła ramionami.

— Ale ty zostałaś.

— Powiedzmy, że się zadomowiłam. — Już nie płakała. To też dobrze.

— Ten dom... czujesz go. Jego kształt, mocne i słabe punkty. Wszystkie... nastroje. Humory domu.

— Może. Na pewno czuję to i owo. Nikt nie wie wszystkiego.

— Dlaczego nie widzisz tunelu w piwnicy?

— Nie lubię piwnic. Muszę?

— W tym jest coś więcej, Sylvie.

— Dom chce być znowu piękny. Tunel nie ma z nim nic wspólnego.

Nie mówiła prawdy. Wiedział o tym. To, co ją tu trzymało, miało wiele wspólnego z tunelem. Sylvie nie mogła się do niego zbliżyć, ale nie mogła też się od niego oddalać. Przypomniawszy sobie, w jaki sposób tunel został zamknięty. Kamieniami, owszem, ale bez zaprawy. Nie stanowiły mocnej zapory, nikogo by nie zatrzymały. Tyle że nie można było spojrzeć w głąb tunelu. I nic z tunelu nie mogło zajrzeć do domu.

— Przez jakiś czas wydawało mi się, że wchodzisz i wychodzisz z domu właśnie przez ten tunel.

Pokręciła głową.

— Proszę, zapomnij o nim. To nic ważnego.

Ale nie mógł zapomnieć. Był cały umazany tynkiem i pyłem z gruzu. Właściwie mógł to zrobić już teraz. I tak planował, że to zrobi.

— Zostań tutaj, dobrze? Tu nic ci się nie stanie.

Wstał i zaczął szperać pomiędzy narzędziami. Wreszcie znalazł kilof.

— Co robisz? — spytała.

— Jak powiedziałaś, to nie ma nic wspólnego z tobą. Przejdę się tym tunelem, sprawdzę, w jakim jest stanie. Czy się nie zapadł. Jeśli tak, zamknę go naprawdę.

— On się nie zapadł.

— Nie przejmuj się. To nic ważnego, tak jak powiedziałaś.

Chwycił latarkę i ruszył ku schodom do piwnicy.

Pobiegła za nim.

— Proszę! Nie wchodź tam!

Nie zatrzymał się.

— Mam wrażenie, że ten tunel jest najbardziej interesującym miejscem w całym domu.

— Nie, nie jest! Jest bardzo wilgotny i brudny.

— Więc jednak w nim byłaś?

Zbiegł po schodach.

— Tak. Ale przestałam przychodzić, bo zrobiło się tam niebezpiecznie, w każdej chwili wszystko może się zapisać.

Zapalił reflektor.

— Przyznaj się, co tam chowasz? Prochy?

To miał być żart, ale ona się nie roześmiała.

— Nie ma tam nic, co należy do mnie.

— Więc cofnij się i patrz.

W świetle latarki zobaczył, że sterta kamieni rozsypała się podczas jego poszukiwań.

Luka u góry się powiększyła; teraz i on mógłby w nią wpełznąć. Ale nie chciał. Zamierzał odgarnąć cały gruz, otworzyć wejście do tunelu. I tak trzeba to było kiedyś zrobić.

Zabrał się do roboty. Przeważnie używał kilofa do wygarniania kamieni, które odsuwał daleko poza kocioł. Stopniowo same zaczęły wypadać.

— Tylko spójrz — powiedział. — To łatwe. Żadna przeszkoda.

Odwrócił się do niej. Wyglądała zza kotła.

— Tandeta — dodał. — To zrobił ktoś niewielki i niezbyt silny.

Wreszcie sterta kamieni upadła z grzechotem na podłogę. Nastąpiła nudna i żmudna część zadania; trzeba było wybierać wszystkie kawałki gruzu i odsunąć je z drogi. Sylvie zniknęła mu z oczu. Miał wrażenie, że chyba wycofała się w pobliże schodów.

Kiedy skończył, plecy bolały go od niewygodnej pozycji. Ale wejście do tunelu stało otworem. Wziął latarkę i zrobił parę kroków w głąb.

— Czeka! — krzyknęła za nim Sylvie.

Odwrócił się; stała pomiędzy kotłem a fundamentem.

— Błagani cię, nie idź tam. — Wyglądała na rozgorączkowaną, ale nie podniosła głosu.

— Dlaczego?

— Bo cię lubię.

— Jest tam coś strasznego? — Tak.

— Jakiś potwór? — rzucił kpiąco. — Nie boję się potwora, który nie potrafi przejść przez taką barykadę.

— Tam nie ma już potwora.

Zaczynał się niecierpliwić.

— Daj spokój tym zagadkom i powiedz!

Sylvie się rozplakała.

No i znowu, pomyślał, zbyt zmęczony, żeby zdobyć się na współczucie.

— Idę, słyszysz? Nic mi nie będzie.

— Wiem — wykrztusiła, usiłując opanować szlochanie. — Tam jest moja koleżanka. Lissy tam jest.

Tego się jednak nie spodziewał. Ale wszystko pasowało. Dlatego nie mogła wyjechać. Dlatego tak nienawidziła tego tunelu.

— Chyba nie chodzi o to, że tam mieszka?

— Ona ode mnie ściągała — jęknęła. — Cały czas włóczyła się z tym swoim głupim chłopakiem, musieli jaw końcu wyrzucić! Więc zaczęła kraść moje prace i zanosila je jako swoje! Gdyby wpadła, obie byśmy wyleciały! Nikt by nie uwierzył, że jej nie pomagałam.

— Zabiłaś ją, bo od ciebie ściągała?

— Nie chciałam! — odwróciła się do niego. — Myślisz, że zrobiłam to z premedyta-

cją? Zawsze siedziała w tym tunelu. Tylko z naszego mieszkania można było zejść do piwnicy. Więc trzymała tu prochy, to były jej prochy, ja nigdy nie brałam. Miała tu marychę, a czasami kokę. Schodziła tu ze swoim chłopakiem, żeby odlecieć i... więc wiedziałam, gdzie jej szukać. Chciałam z nią poważnie porozmawiać. Postawić jej ultimatum. Gdyby nie przestała, poszłabym do dziekana.

* * *

Sylvie nie lubiła schodzić do tunelu, kiedy spodziewała się w nim zastać Lissy, głównie dlatego że nigdy nie wiedziała, czy nie zastanie także Lanny'ego. Często wchodził do tunelu od drugiej strony, żeby się spotkać z Lissy, więc Sylvie nigdy nie miała pewności, czy nie znajdzie ich razem. Nie miała ochoty być świadkiem takich scen. Często słyszała Lanny'ego i Lissy w sąsiedniej sypialni. Lissy kwiczała, a Lanny chrząkał. Kojarzyło się jej to z chlewem, od czego dostawała mdłości. Nie mogła zapomnieć chlewu dziadka — wspomnienie z czasów, kiedy jeszcze miała rodzinę. Stała na drugiej poprzeczce ogrodzenia, a tatuś ją trzymał, żeby nie spadła. Miała pewnie jakieś cztery lata. Świnie były od niej większe. Wydawały się ogromne jak słonie. Wielkie, tłuste, różowe i zabłoczone, czochrające się i taplające w kałużach. Wydawały obrzydliwe dźwięki — kwiknięcia i sieknięcia. A tatuś droczył się z nią i straszył, że świnie zjadłyby ją bez trudu. Teraz wiedziała, że nie miał złych intencji. Zapomniał o lękach dzieciństwa, o dziecięcej łatwowierności. Wtedy wierzyła mu bez zastrzeżeń. Przez wiele tygodni miała koszmary, w których świnie zbliżały się do niej, ogromne i chrząkające. Więc dźwięki z sypialni Lissy nie wydawały się jej podniecające, tylko obrzydliwe i — musiała to przyznać — przerażające.

Ale dziś jej cierpliwość się wyczerpała. Lissy nie zadała sobie nawet trudu, żeby przerobić pracę Sylvie. Analizę wypełniania dokumentów w czasach drugiej wojny światowej — pracę na zakończenie roku, na miłość boską! — złożyła jako swoje wypracowanie z historii. Pewnie wydawało się jej, że nic się nie stanie, bo była na historii, a nie na bibliotekoznawstwie, ale profesor historii zasiadał w komisji, a tak ekscentryczny temat mógł mu utkwic w pamięci. Sylvie musiała się dowiedzieć, czy Lissy już oddała pracę. Jeśli tak, niech ją wycofa. Jeśli nie, niech napisze inną. I tyle. Nie będzie kompromisu, nie będzie ustępstw, nie będzie łez zdolnych zmiękczyć najtwardsze serce. Zresztą to nie moje serce jest twarde, pomyślała. Jej nie obchodzi, jak się to może skończyć, nie interesuje jej ryzyko, na które mnie naraża. Cała moja przyszłość spuszczone w wychodku. Ona może wyjść za Lanny'ego, a ja mam tylko pracę. Wykształcenie i pracę.

W połowie tunelu paliły się cztery świece, ustawione na kamiennych ścianach. Lissy była sama. Leżała na starym brudnym materacu. Miała na sobie tylko podkoszulek. Nie włożyła nic więcej? Ale nigdzie nie było widać innych ubrań. Czego to Lissy nie robiła, kiedy sobie dała w żyłę.

— Przepadła ci imprezka — odezwała się. I zaczęła się śmiać.

* * *

Don słuchał, czując coraz mniej sympatii do Lissy. Choć... czy Sylvie mogła opowiedzieć tę historię inaczej? Przedstawić tę dziewczynę jak świętą? Mimo to wierzył jej. Wierzył jej, ale słuchał z niechęcią. Miał dość mrocznych opowieści, wydobytych z głębi czyjegoś rozgorączkowanego sumienia.

— Przedstawiłam jej całą sprawę — ciągnęła Sylvie. — Powiedziałam, że nie ma prawa narażać mnie na takie ryzyko, rzucać na szalę wszystko, co osiągnęłam... Dałam się ponieść uczuciom. To nigdy na nią nie działało, ale nie mogłam się opanować.

— Daj spokój — powiedziała Lissy leniwie. — Bierzesz wszystko zbyt poważnie.

Opadła na materac, jakby miała zasnąć.

Zawsze była egoistką. Na tym między innymi polegał jej wdzięk. Beztroska, dziecinna niewinność, obojętność wobec skomplikowanych kwestii moralnych, które dręczą bardziej odpowiedzialnych ludzi... Sylvie podziwiała te cechy, jeszcze zanim poznała Lissy. Razem śmiały się z drażliwych nauczycieli albo odrzuconych chłopaków.

- Dlaczego oni się zawsze tak denerwują? — pytała Lissy.

Teraz Sylvie już wiedziała. Denerwowali się, ponieważ Lissy niosła ze sobą zniszczenie. Nie była dziecinna, tylko demoniczna. Ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, co robi. Rozkoszowała się tym. Teraz Sylvie zrozumiała. Lissy wykorzystała pracę Sylvie z rozmysłem. Lubiła niebezpieczeństwo. Podobało jej się, że wciągnie w to Sylvie.

— Musisz nauczyć się żyć na krawędzi — mawiała. Sama także żyła w ten sposób. Ale przede wszystkim lubiła doprowadzać do krawędzi innych ludzi. A kiedy spadali, upajała się widokiem ich lotu w dół.

Sylvie dostała szału. Przez całe życie była cicha i dobrze wychowana. Musiała, skoro nikt jej nie bronił. Gdyby narażała się ludziom, zniszczyliby ją. Nie rzucała się w oczy i cierpliwie znosiła wszystko, więc ludzie ją wykorzystywali, ale i tolerowali. Nie odrzucali jej. Ta strategia służyła Sylvie dobrze przez wiele lat... aż do teraz. Teraz cierpliwość się wyczerpała.

* * *

Usiadła na podłodze, przyciskając stopy do ściany piwnicy. Nie patrzyła na Dona.

— Krzyknęłam na nią i wreszcie oprzytomniała na tyle, żeby też zacząć wrzeszczeć. I od słowa do słowa, zaczęłyśmy się strasznie kłócić.

— Zawsze tak jest — mruknął Don. Co nie było całą prawdą. Zastanawiał się, dlaczego on nigdy nie dotarł do kresu swojej wytrzymałości? Oczywiście wczoraj załamał się i zaczął płakać, ale dlaczego nigdy nie wpadł w szal i nie zaczął wrzeszczeć? Może gdyby potrafił odrobinę zwariować, pokonałby bariery... a wtedy wszedłby w konflikt z pra-

wem.

— Oskarżyła mnie o najstraszniejsze rzeczy — opowiadała Sylvie. — Obrzucała mnie wyzwiskami, powiedziała, że nie dziwi się, że moi rodzice umarli, wszystko jest lepsze niż życie ze mną. Nie była już moją przyjaciółką, rozumiesz? Nie była nawet człowiekiem. Z wykrzywioną twarzą, otwartymi ustami, zębami jak... wyglądała jak małpa w zoo. Jak zwierzę. Nie usprawiedliwiała się, nie zaprzeczała, po prostu zaczęła krzyczeć, że jestem głupia i nudna, i nikt mnie nie lubił, dopóki się mną nie zajęła w ramach eksperymentu, bo chciała udowodnić, że potrafi wyprowadzić na ludzi i stworzyć nowe życie najbardziej nieudanej i beznadziejnej istocie. Usiłowałam także krzyczeć, że wcale mi nie tworzy nowego życia, tylko odbiera mi to, które mam, ale mnie nie słuchała. Po prostu nie była w stanie zamknąć się i mnie wysłuchać, a przyznaję, że ja też zmieniłam się w zwierzę. Obie przestałyśmy być istotami ludzkimi. I był tam kamień. Mnóstwo kamieni. Chciałam już tylko ją uciszyć, zrobić jej krzywdę. Ale jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłam. Nigdy w życiu, Don. Nigdy nikogo nie tknęłam. I nie jestem silna. Więc nie wiedziałam, jak mocny powinien być cios. Zamachnęłam się z całej siły. A kamień trafił ją w skroń.

— No, to ją na pewno uciszyło.

— Przecież tyle się tego widzi w telewizji. Ludzie dostają w głowę, tracą przytomność, a potem wstają i w następnej scenie nawet nie chwieją się na nogach.

— Zakładam, że ona nie wstała.

— Trzęsłam nią i trzęsłam, a ona się nie ocknęła. To było straszne... to, co mi zrobiła i co mówiła, ale przecież nie zasługiwała na śmierć.

— Jesteś pewna, że ją zabiłaś?

— Było tyle krwi...

— Zawsze tak jest przy ranach głowy. Ale zwykle krew płynie z naczyń leżących płytko pod skórą.

— Myślisz, że nie próbowałam sprawdzić, czy oddycha? Wyczuć puls? Krzyczałam, biłam ją, cała umazałam się jej krwią i nic. Aż wreszcie dotarło do mnie, co zrobiłam. Moje życie także się skończyło. Nie mogłam z tym żyć. Rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem. Dlaczego nie było dochodzenia po jej zniknięciu? Dlaczego nie zostałaś aresztowana?

— Nikt o niczym nie wiedział. Ona także nie miała rodziny. Tak jak ja. A jej chłopak... już nie przyszedł. Masz pojęcie? Co za palant. Lissy zniknęła, a on jej nie szukał. Nawet o nią nie pytał.

— A ty już stąd nie wyjechałaś.

— Gospodarz wymówił nam mieszkanie w lecie. Dom stał pusty. Co miałam robić? Wyjechać i żyć, jakbym nie popełniła zbrodni? Przyjąć pracę? Straciłam do niej serce. Nie mogłam nawet odebrać dyplomu. Już obroniłam pracę magisterską. Osiągnęłam

coś. Ale nie mogłam znieść myśli, że wyjdę i... będę żyć. Skoro ją zabiłam.

— Więc zostałam przy jej zwłokach? Doglądałaś jej? Pogrzebałaś ją w tunelu?

Spojrzała na niego ze zgrozą.

— Ależ skąd! Kiedy zrozumiałam, że Lissy nie żyje, wybiegłam z tunelu. I wzniosłam tę barykadę. Z kamieni, które leżały w pobliżu wejścia. Płakałam przez cały czas, kamienie się osuwały, ciągle zaczynałam od nowa. I nagle zaczęły nieruchomieć tam, gdzie je kładłam. Same chwytaly równowagę. Dom mi pomagał, rozumiesz. Bo teraz do niego należałam. Miałam w nim pozostać na zawsze.

— Więc skąd wiesz, że Lissy nie ocknęła się po dwóch godzinach i nie wyszła drugim końcem tunelu?

— Ja ją zabiłam!

— To by tłumaczyło, dlaczego jej chłopak nie wrócił. Poszła do niego, powiedziała, że zamierzasz na nią donieść za oszukiwanie, i się rozstali.

— Ale tak nie było. Szkoda.

— Skąd wiesz?

Patrzyła na niego z lękiem, przejęta zgrozą wobec tej nowej możliwości, która nigdy nie przyszła jej do głowy.

— Musiała umrzeć. Uderzyłam ją tak mocno...

— Jak powiedziałaś, jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłaś. Nie jesteś silna. Łatwo zranić kogoś do krwi. Zabić jest trudniej. — Don ukląkł przed dziewczyną. — Jej nie ma w tym tunelu. Żyje gdzieś sobie, cała i zdrowa. Od dziesięciu lat używa życia, a ty pokutujesz tutaj za morderstwo, którego nie popełniłaś.

— Ona nie żyje! Jak możesz tak mówić! Nie było cię tutaj!

— Ale teraz jestem. Zamierzam przejść tym tunelem i przekonać się, co w nim jest. Znowu zaczęła płakać.

— Ona mnie nawiedza, nie rozumiesz? Przychodzi do mnie we śnie, wlecze mnie tym tunelem, dusi mnie... Budzę się i nie mogę odetchnąć, ponieważ wróciła, żeby mi wymierzyć sprawiedliwość.

— Sama sobie wymierzasz sprawiedliwość. Ona cię nie nawiedza. Wszystko to twoje dzieło.

Wziął latarkę i ruszył w głąb tunelu.

Wilgoć, chłód. Nie, zimno. Tunel był solidnie zbudowany. Kamienie po obu stronach nie podtrzymywały sufitu, lecz działały na zasadzie muru wsporczego, chroniąc ściany przed działaniem wody. Prawdziwą strukturę stanowiło drewno twarde jak podkłady szyn, pionowe słupy rozstawione co metr, połączone grubymi deskami. Na suficie znajdowały się równie masywne belki. Taki tunel to marzenie przemytników alkoholu, pomyślał Don. Podobnie jak dom, został zbudowany, żeby dotrzeć do końca świata. Ale do czego doktor Bellamy potrzebował takiego przejścia?

Za plecami słyszał kroki Sylvie. Więc jednak się odważyła. To dobrze. Powinna to zobaczyć na własne oczy. Gdyby Lissy naprawdę umarła, zaczęłoby się dochodzenie. Policjanci przyszliby do domu i zaczęli wypytywać Sylvie. Tak więc należy przyjąć, że Lissy nie zginęła. To Sylvie zniknęła z powierzchni ziemi. Kryła się przez tyle lat... Ale nikt jej nie szukał, ponieważ dyplom nie był aż tak ważny. Pewnie przesłali go pocztą. Myśleli, że wyjechała do Providence i podjęła nową pracę. Może jakiś profesor poczuł się urażony, że do niego nie napisała. Może na jakiejś konferencji, wiele lat później, ktoś z uniwersytetu spotkał kogoś z Providence, zapytał, jak Sylvie sobie radzi, i wtedy się okazało, że nie zgłosiła się do pracy. Czy zaczęliby jej szukać? Dom, w którym mieszkała, stał opuszczony. Nie miała rodziny, do której mogliby się zwrócić z prośbą o informacje. I wreszcie — nikt nie miał powodu jej szukać.

Poświęciła życie w imię niczego.

Tunel przez jakiś czas schodził w dół dość stromo, ale teraz droga zaczęła prowadzić prosto.

— Don, proszę! — zawołała Sylvie za jego plecami.

Zatrzymał się i zaczekał, aż go dogoni.

— Chodź ze mną, jeśli chcesz — powiedział. — Albo nie. Ale uważam, że pora, żebyś spojrzała na to, co zrobiłaś. Lub czego nie zrobiłaś.

Teraz ją zobaczył; szła, potykając się w ciemnościach.

— Nie przypisuj mi własnych problemów. To ty się zadręczasz poczuciem winy za to, czego nie zrobiłaś. Nie zdołałaś odebrać córki zgodnie z prawem i nie porwałaś jej w porę.

Nie tylko Lissy prosiła się o lanie.

— Przestań mówić o tym, czego nie rozumiesz.

— To ty musisz sobie uświadomić, że nie mogłaś nic na to poradzić, że nie zrobiłaś nic złego. Nie ja! Ja ją zabiłam.

— Na razie nigdzie nie widziałem żadnych zwłok. — Odwrócił się i ruszył dalej. Cztery świece na kamiennych ścianach, tak? Właśnie tego szukał.

Były tam. Promień światła odnalazł jeden ogarek; po chwili z ciemności wyłoniły się trzy inne. Przez chwilę Don nie potrafił się zmusić, by skierować światło niżej. Mimo całej brawury wcale nie był pewien, co zobaczy.

Potem się odważył. I już wiedział. Na ubitej ziemi leżał materac, a na materacu znajdowało się zmumifikowane ciało; skóra jak pergamin, zastygły uśmiech rozwartych ust.

— Oho — mruknął.

Sylvie zbliżała się do niego. Odwrócił promień latarki od zwłok.

— Słuchaj, nie miałem racji — powiedział. — Ona tu jest. Nie patrz na to.

— Po tylu latach doszłam aż tutaj. Już pora. Chcę ją zobaczyć.

Jak mógł wątpić w jej słowa? Twierdziła, że wie, jak wygląda śmierć. I miała rację. To on nigdy nie widział jej z bliska. Co najwyżej na ekranie telewizora. Sylvie trzymała śmierć we własnych rękach. Nawet w ciemnościach wiedziała, gdzie ma patrzeć. Odwrócił się i skierował na ciało promień latarki.

— Sylvie, cokolwiek zrobiłaś, już za to zapłaciłaś, nie rozumiesz? Zamknęłaś się w tym domu. To nie było morderstwo pierwszego stopnia. Popełniłaś je w afekcie. Nie jestem prawnikiem, ale na pewno do tej pory już byś wyszła z więzienia.

Nie odpowiedziała; dyszała ciężko. Potem jęknęła przeciągle. Był to dźwięk wydarty z głębi duszy. Czy coś się jej stało? Oświetlił ją promieniem latarki. Na jej twarzy nie widać było żalu ani skruchy, tylko najczystsze, dzikie przerażenie.

— O co chodzi? — spytał. — Ona cię już nie skrzywdzi.

— Ubranie — wykrztusiła. — Patrz, co to za ubranie.

Skierował światło na zwłoki. Tym razem przyjrzał się im dokładniej. Ubranie zmarłej było ubrudzone ziemią, ale kiedy zbliżył się o krok, zauważył, że nie jest to podkoszulek, o którym mówiła Sylvie. Martwa dziewczyna miała na sobie sukienkę. Spłowiała niebieską sukienkę. Znowu oświetlił Sylvie. Niczym mała dziewczynka skubała rąbek sukienki. Identycznej sukienki.

— Taka sama — wymamrotał ogłupiały, usiłując cokolwiek zrozumieć.

— To nie Lissy — powiedziała Sylvie.

Osunęła się wzdłuż kamiennego muru.

— To ja — szepnęła.

Rozdział szesnasty

Sala balowa

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego znaczenie słów Sylvie.

— Jak to możliwe? — spytał niezręcznie.

— Myślałam, że to był sen — powiedziała. Drżała na całym ciele, oparta o kamienną ścianę tunelu. Snop światła z latarki obejmował ją kręgiem blasku niczym reflektor na scenie. — Śniło mi się, że wróciłam do tunelu i znowu nią potrząsnęłam... chciałam ją obudzić, choć wiedziałam, że nie żyje, a wtedy... chwyciła mnie za gardło. Chciałam przeprosić, powtarzałam: przepraszam, nie chciałam, przepraszam, ale nagle zabrakło mi tchu i poczułam ból, i myślałam, że zaraz się obudzę, lada chwila...

— Udusiła cię.

— Ta jej twarz. Pełna nienawiści. Myślałam, że na to zasłużyłam. Że przyszedł do mnie jej duch. Śniło mi się to tysiące razy. Zapadła ciemność, a potem się obudziłam i było ciemno, bo świece się wypaliły, a ja potknęłam się o ciało, które leżało na materacu, tu gdzie ją zostawiłam, potknęłam się o moje ciało. — Odwróciła się i spojrzała na zwłoki. — Pokaż mi — szepnęła. Skierował światło na materac. Podpełzła bliżej. Dotknęła pergaminowej skóry nagiej nogi. Dotknęła wilgotnej, gnijącej sukienki. Potem dotknęła własnej sukienki, tej samej, lecz suchej.

— Jak to możliwe, żeby... — Nie potrafił tego wyrazić.

Opuściła głowę.

— Jak to możliwe, żeby duch potknął się o zwłoki?

— Nie jesteś duchem. Dotykałem cię. — Wyciągnął rękę, żeby potwierdzić własne słowa.

— Nie! — krzyknęła i cofnęła się pod ścianę.

— Jesteś prawdziwa.

Znowu krzyknęła.

Wyciągnął rękę i tym razem nie uciekła. I rzeczywiście, poczuł opór, dotyk jej skóry. A potem już nie.

Palec zagłębił się w jej ciało. Don krzyknął i cofnął rękę. Sylvie zwróciła ku niemu twarz.

— Do domu — szepnęła. — Muszę wrócić do domu.

— Nie, musisz z niego uciec.

— Nie jesteśmy w domu. Poświęć mi, muszę wrócić.

Skierował światło w głąb korytarza. Sylvie podniosła się z ziemi. Zbyt wysoko — uniosła się w powietrzu i zawisła. Pisnęła ze strachu.

— Weź mnie za rękę — rzucił pospiesznie.

— Mnie tu nie ma! Nie jestem prawdziwa, nie mogę...

— Jesteś prawdziwa. Jesteś Sylvie Delaney i mieszkasz w starym domu Bellamych. W tym nowym pokoju. Dotykałaś jego ścian. Schowałaś się w garderobie i...

I poczuł jej dłoń w swojej ręce. Nie obejrzał się. Po prostu zaczął ją prowadzić. Nie chciał widzieć, czy idzie, czy też unosi się w powietrzu i czy zostało z niej coś więcej niż ta ręka. Ta żywa ręka.

Znaleźli się w zasypanej gruzem piwnicy i wreszcie usłyszał jej kroki. Dopiero wtedy spojrzał na nią.

— Nic ci się nie stało — oznajmił.

— Znowu jestem w domu.

— On cię wzmacnia.

— Im jest silniejszy, tym bardziej jestem prawdziwa.

— Więc skoro to wiesz, jak mogłaś nie pamiętać, że w tunelu leży twoje ciało? Że to ty nie żyjesz? Jak mogłaś nie wiedzieć?

— Ciągłe tu byłam. Dlatego nie wiedziałam. Dom dawał mi siły. — Podeszła do schodów. — Ale czasami czułam się taka... wiotka. Nierealna. Nietrwała. — Zaczęła wchodzić po schodach. Jej dłoń wydawała się zupełnie prawdziwa. Nie mógł się powstrzymać, musiał znowu jej dotknąć. Sylvie się zatrzymała. Zatrzymała się i znieruchomiła.

— Przepraszam — powiedział, sądząc, że ją obraził.

— Och, nie... proszę. Proszę, jesteś taki ciepły. Nie odchodź. — Znowu wybuchnęła płaczem i wpadła mu w ramiona. Jej łzy przemoczyły mu koszulę. Jak to możliwe, że jej nie ma? Wziął ją na ręce i zaniósł na górę.

— Zabierz mnie do alkowy pod schodami — poprosiła. — To serce domu.

Więc znowu usiedli na ławeczce pod portretem Bellamych. Sylvie nie wypuszczała jego ręki.

— Zostawiła mnie tam.

— To wyjaśnia, dlaczego nie było dochodzenia w jej sprawie.

— A co z moją sprawą?

— Pewnie coś im powiedziała. Że wyjechałaś. Wróciłaś do domu. Albo do Providence.

— Świadomość, że ją zabiłam, zniszczyła mnie.

— Może ją także zabiła.

— Teraz już wiem, dlaczego nie mogłam opuścić domu. Z początku próbowałam. Kiedy go zamykali. Kryłam się przed nimi, ale kiedy wyszli, chciałam odejść. Wyszłam na ganek. I poczułam się... słabo.

— Słabo?

— Jakbym miała zemdleć. Kręciło mi się w głowie. To mnie przestraszyło. Myślałam, że trzyma mnie tu poczucie winy. Że nie mogę stawić czoła światu. I nie mam prawa po nim chodzić, skoro Lissy nie żyje. Ale to nie była prawda, więc miałam prawo.

— A dom cię zatrzymał.

— Tak, ale również utrzymał mnie przy życiu. Bez niego pewnie bym... odeszła. Myślałam, że i tak powoli odchodziłam. Z biegiem lat dom tracił siłę, ja także słabłam. Aż przyszedłeś. Dźwięk twoich kroków. Jakbym się obudziła z długiego snu. Byłam na strychu i słuchałam, jak rozmawiasz z tym facetem i kobietą. Mówiliście, że dom jest silny. I że możesz go wyremontować. Nie wiesz, jakiej... jakiej nadziei nabrał dom. I ja.

— Więc tu byłaś.

— Ale może... nie było mnie widać? Może... czasami miałam wrażenie, że to ja jestem domem. Jakby belki były moimi kośćmi, mury — skórą, a to miejsce, to niewidzialne miejsce było moim sercem, bijącym, żywym. Nie czujesz tego pulsu?

Położył palce na jej gardle. Puls był tutaj.

— Duchy nie mają krwi.

— Imitacja życia. Mimetyzm. Tym właśnie jestem. Platon powiedział, że wszyscy jesteśmy cieniami. Ja bardziej niż inni.

— Nie, jeśli zostaniesz tutaj.

— A co będzie, kiedy sprzedasz dom? — Parsknęła śmiechem, który wkrótce zmienił się w szloch. Don znowu ją objął i przytulił do piersi. — Tym razem naprawdę wszystko zepsułam. Nie sprzedasz nawiedzonego domu.

— Myślisz, że mnie to obchodzi?

— Tak.

— No, owszem. Ale nie tak bardzo jak fakt, że twoje ciało tam leży. A jej się upiekło.

— Chyba zawsze wiedziałam. Że nie żyję. Moje życie się skończyło. Nie byłam już głodna. Myślałam od czasu do czasu, że powinnam coś zjeść, bo umrę z głodu, ale nigdy... nawet nie chciało mi się pić. Myślisz, że mnie to nie dziwiło? Ale potem mówiłam sobie: nie myśl o tym, to nie prowadzi do niczego dobrego. Więc nie myślałam. Spałam. W kościach domu. Uciekałam od tej wiedzy. Bo gdybym poznała prawdę, pewnie bym się rozwiązała. Gdybym wiedziała, że jestem duchem, zaczęłabym się zachowywać jak duch. Niewidzialna. Przenikająca przez ściany.

— I tak to robiłaś.

— Ale o tym nie wiedziałam. Mogłam wierzyć. A teraz już nie.

— Owszem, możesz. Jesteś prawdziwa. Jak mógłbym cię poznać, gdybyś nie była

prawdziwa?

Spojrzała mu w oczy.

— To prawda. Nie jesteś przypadkiem martwy?

— Nie, mimo najszczerzej ochoty.

— Może dom mnie zatrzymał, bo chciał być zamieszkany. Może utrzymuje mnie przy życiu, żebym nie dała mu umrzeć.

Don wyciągnął rękę i dotknął twarzy doktora Bellamy'ego.

— No, bracie, coś wsadził w ten dom? O co ci chodziło?

— Dom nie odpowie. On nie mówi. Nie myśli. Po prostu jest.

— Trzymał cię przez tyle lat, więził z jakiegoś powodu. Nie twierdzą, że dom rozumie racjonalnie, ale gdybyśmy się zorientowali, czego chce, może by cię wypuścił.

— On nie wypuszcza.

— Więc wolisz tu zostać? A jeśli masz się znaleźć w niebie?

— Nie bądź niemądry. Bóg o mnie zapomniał, jeśli w ogóle wiedział, że jestem.

— Może jesteś zagubioną owieczką, a On cię szuka.

— Może wysłał ciebie, żebyś mnie znalazł. — Zachichotała.

— Ta cała praca... remont pokoju na piętrze... Dom nie chciał, żebym to robił. Ale kiedy skończyłem, stał się mocniejszy, prawda? A ty poczułaś się bardziej prawdziwa i namacalna, tak?

Wstała i zrobiła parę kroków.

— Wzięłam prysznic! Czułam dotyk wody na skórze! Obmyłam się. A ta cola, którą mi przyniosłeś... poczułam jej smak! Och, Don, bąbelki szczypały mnie w język! Poczułam pościel na łóżku, które przyniosłeś. I zjadłam pizzę. No, kawałek. Przeżułam ją. Ser się ciągnął. Czy mogłabym to poczuć, gdybym nie była żywa?

Obróciła się powoli wokół własnej osi.

— Czy mogłabym tu tańczyć? — Zamknęła oczy, wirując sennie z uniesioną ku górze twarzą. — O, domu, wielki stary domu, dlaczego trzymasz mnie przy życiu? Dlaczego nie pozwoliłeś mi odejść?

Don wyobraził ją sobie w świetle świec odbitym w lustrach pomiędzy oknami. Bardzo wyraźny obraz. Dlaczego tak to sobie wyobraził? Potem nagle zrozumiał, czemu ten dom ma tak dziwny kształt.

— To sala balowa — odezwał się.

— Co?

— Ten pokój. To nie salon. Nigdy nim nie był.

— Przecież jest za mały.

— Nie. — Don podszedł do tylnej ściany pokoju i uderzył w nią otwartą dłonią. — To tynk. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. W czasach kiedy była tu tajna knajpa, nikt nie potrzebował sali balowej. Chcieli mieć osobne pokoje. Te dwie sypialnie i wą-

ski korytarzyk to część sali balowej.

Stała u jego boku. Dotknęła ściany.

— Kiedy czytałam o Bellamych, jeszcze w college'u, ciągle znajdowałam wzmianki o zabawach. Wyprawiali bal za balem.

Oczywiście. Kochali taniec. Dla tańca zbudowali ten dom.

— Ta ściana została dobudowana, prawda? Niczego nie podtrzymuje.

Przytuliła do niej głowę.

— Masz rację — powiedziała. — Ta ściana tylko zawadza.

— A następna? Między sypialniami?

Ruszyli korytarzem. Ściana południowa okazała się oryginalna, podobnie jak ta pomiędzy kuchnią a tylną sypialnią.

— To był ogromny pokój — odezwał się Don.

— Zbudował go dla niej — dodała Sylvie. — Nie czujesz? Kochała taniec, więc dał jej salę balową.

— Teraz już wiadomo... dlaczego dom ma taki niesymetryczny plan. Rany boskie, nie wiem, dlaczego o tym teraz mówię. Co to ma za znaczenie? Po tym, co się z tobą stało?

— Ale przecież ja jestem przywiązana do domu. Teraz, kiedy już znam prawdę, mogę się zacząć rozwiewać. Więc dom musi być silniejszy.

— Jeśli chcesz zostać. Te nawiedzone staruszki z naprzeciwka ciągle mówią, żeby zostawić dom w spokoju. Albo go zburzyć. A jeśli chcą cię uwolnić?

— Uwolnić? Ja nie chcę wolności, Don, ja chcę żyć!

— Tego nie mogę ci dać.

— Możesz! Im silniejszy jest dom, tym bardziej stają się prawdziwa. Wyburz te ściany, Don. Proszę...

Spojrzał na nią. Niewiarygodne, że to tylko duch. Musnął jej policzek. Ujęła jego dłoń.

— Pozwól mi zatańczyć w tym pokoju — szepnęła. — Uczyń mnie prawdziwą.

Poszedł po łom.

Pracował jeszcze długo po północy, aż do świtu. Odłupywał ogromne kawały tynku, potem wrywał podtrzymujące go listwy. Wreszcie przeciął słupy piłą mechaniczną — w niczym nie przypominały potężnych masztów ściany nośnej zza schodów. Ciosy młota czuł aż w kręgosłupie, ale wreszcie oderwał wszystkie podpory z sufitu i podłogi i wywlókł je na stertę śmieci przy krawężniku.

A jednak praca nie była jeszcze skończona. Zebrał wszystkie narzędzia, skrzynki, walizki, pryczę i przeniósł je do południowego salonu. Prawdziwego salonu. Na podłodze pozostały jedynie kawałki tynku i parę gwoździ.

I ciągle jeszcze nie był to koniec. Odszukał szczotkę i dokładnie zamiótł całą podłogę, która wydawała się teraz ogromna.

Jeszcze tylko jedno. Wypełnił kitem wszystkie dziury po gwoździach w miejscach, gdzie dobudowane ściany zostały przybite do podłogi, i wyszlifował papierem ściernym. Była trzecia nad ranem. Czuł straszne zmęczenie. Poszedł po Sylvie do alkowy, gdzie siedziała przez cały czas z oczami błyszczącymi jak gwiazdy.

— I jak? — spytał.

Uśmiechnęła się do niego.

— Nie poprosisz mnie do tańca?

Parsknął śmiechem.

— Jestem cały spocony. I utyłany jak nieboskie stworzenie.

— Dzięki temu wydajesz się bardziej prawdziwy.

— To nie ja czułem się nieprawdziwy — zaprotestował. Ale ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Czy rzeczywiście był prawdziwy, zanim znalazł ten dom?

Wyciągnął brudną rękę.

— Panno Sylvie Delaney, czy mogę prosić do tańca?

— To chyba walc — odparła.

— Pragnę go z tobą zatańczyć.

Podniósł Sylvie z ławki, objął jej dziewczęcą talię. Prowadził, a ona poddawała się mu bez oporu. Raz, dwa, trzy...

— Nie ma muzyki — zauważyła.

— Więc śpiewaj.

Zaczęła nucić; rozpoznał „Nad pięknym modrym Dunajem” i „Walca cesarskiego”. Inne melodie słyszał po raz pierwszy. Tańczyli w koło, w koło. Powinien być zbyt zmęczony, żeby tańczyć. A może był właśnie na tyle zmęczony, żeby zapomnieć o wszystkim i tańczyć, tańczyć.

I w tym zmęczeniu nagle zaczął słyszeć nie głos Sylvie, lecz całą orkiestrę. A widział nie światło reflektora, lecz setki świec w lichtarzach i trzech wielkich kandelabrach pod sufitem. W koło, w koło, posuwistymi ruchami, sukienka Sylvie falowała niczym morze, podkreślając każdy jej krok. Tak samo jak sukienki innych tancerek wirujących z mężczyznami we frakach... Nie miały twarzy, Don ich nie dostrzegął, ponieważ wszyscy poruszali się zbyt szybko; nie widział też muzyków, choć kiedy mijali łożę pod ścianą, dzielącą salę balową od kuchni, od czasu do czasu kątem oka wychwytywał ruch smyczka lub błysk puzonu. Służący krążyli z kieliszkami na tacach i przekąskami na półmiskach. Widzowie uśmiechali się i chichotali, a Don wiedział, że to dzieje się naprawdę, bo podnosili wzrok, kiedy mijali ich z Sylvie w objęciach. Dziękujemy ci za ten bal, przekazywali mu bez słów. Dziękujemy, że nas zaprosiłeś. Dziękujemy za światła, jedzenie, szampana, muzykę, za tancerzy wirujących na parkiecie lekko jak suche jesienne liście schwyte w wir wiatru, tworzące wir, porywające za sobą cały świat...

Znieruchomieli, trzymając się w objęciach. Pokój nadal wirował wokół nich, ale powoli się uspokajał. Muzyka ucichła. Orkiestra zniknęła, nie było już widzów i innych tancerzy. Pozostali tylko oni, tulący się do siebie na środku pokoju. Don spojrział na okna, przez które sączyło się szare światło.

— Tańczyliśmy aż do świtu — powiedział.

Sylvie milczała. Miała łzy w oczach.

— Dziś znowu tańczyli w swoim domu — szepnęła.

— A dom jest silny.

Przytaknęła.

— To znowu dom Bellamych. Teraz zasługuje na swoje imię.

— A ty... ty także jesteś silna.

Wyglądała tak eterycznie, czysta, przezroczysta... Na ustach pozostało jej wspomnienie uśmiechu. Schylił się i pocałował ją lekko. Roześmiała się cicho, gardłowo.

— Poczułam!

Pocałował ją jeszcze raz.

— Całą sobą — dodała szeptem.

Objął ją i zawirował razem z nią; poderwał ją z podłogi, okręcał w powietrzu jak dziecko. Potem zaniósł ją na próg drzwi wejściowych. Otworzył je.

— Don...

— Tylko ten sprawdzian się liczy.

— Nie, właśnie ten się nie liczy.

— Jeśli możesz wyjść, jesteś żywa.

— Czy nie wystarczy, że jestem żywa w domu?

— Nie. Mnie by to wystarczyło, ale nie tobie. Muszę ci oddać to, co Lissy zabrała.

— To niemożliwe. Postaw mnie.

— Z krwi i kości. Ciało i dusza.

— Och, Don... czy to możliwe?

Wyszedł na ganek. Właściwie jeszcze nie świtało. Na niebie pojawiły się zaledwie pierwsze jaśniejsze smugi. Okna sąsiednich domów były ciemne, świeciły tylko latarnie, a i one stały w oparach porannej mgły. Don zrobił jeden krok, drugi, trzeci. Zszedł na skoszone chwasty na trawniku. Ruszył ku stercie śmieci, na ulicę. Sylvie przywarła mocno do niego.

I nagle poczuł, że nie trzyma jej już w ramionach.

Były puste.

— Sylvie! — krzyknął.

Omal nie opuścił rąk, ponieważ jej nie widział. Ale jeśli gdzieś jeszcze była, leżała tutaj, w jego ramionach. Muszą wrócić do domu.

— Trzymaj się mnie, Sylvie, trzymaj się!

Ruszył biegiem ku gankowi.

— Don!

To był jej głos. Jakby dochodzący z bardzo daleka.

Nigdzie jej nie widział.

Wracał jak ślepiec. Wreszcie coś musnęło jego palce. Nadal niczego nie widział, ale coś czuł.

— Trzymaj się mnie — powiedział.

— Powoli — szepnęła. Miał wrażenie, że słyszy jej głos w głębi swojego ucha. — Powoli.

Usiłował ją przytrzymać, choć miał wrażenie, że niesie naręcze wiatru. Lecz im bardziej zbliżał się do ganku, tym wyraźniej ją czuł. Jej dłonie ściskające go kurczowo, jej wlokące się po ziemi nogi. Teraz mógł już ją objąć. Znowu wziął ją na ręce, przez próg i zamknął za sobą drzwi. Razem upadli na podłogę, wyczerpani. Ciągłe trzymali się nawzajem kurczowo, płacząc i śmiejąc się z ulgi.

— Myślałem, że cię zgubiłem — powiedział.

— Myślałam, że jestem zgubiona.

— Jesteś prawdziwa tylko wewnątrz tego domu.

— To mi wystarczy.

— Ale nie mnie. Nie, dopóki ona żyje.

— Kto, Lissy?

— Zabiła cię gołymi rękami. To nie był jeden cios, zadany w gniewie. Trzeba dużo czasu, żeby kogoś udusić. To trwa co najmniej pięć minut. Mogła cię puścić w każdej chwili. Nie zrobiła tego. Trzymała cię za gardło nawet wtedy, gdy straciłaś przytomność. Aż wreszcie zyskała pewność, że nie żyjesz.

— I co mogę na to poradzić? Mamy ten dom.

— Chcę, żebyś odzyskała życie. — Jak?

— Nie wiem. Ale wiem, kto może wiedzieć coś na ten temat.

Wstał i ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz?! — zawołała.

— Naprzeciwno. Do nawiedzonych.

Za progiem zatrzymał się i zajrzał do środka.

— Proszę, bądź tutaj, kiedy wrócę — powiedział.

— Będę. Obiecuję.

Rozdział siedemnasty

Pytania

Don obszedł płot i poczłapał ku domowi po mokrym dywanie opadłych liści na trawniku. Jesień przypuściła atak na świat. Trochę się zdziwił, kiedy drzwi nie otwarły się przed nim, zanim wszedł na ganek. Co jest, nawiedzone staruszki przestały go podglądać?

Zadzwoił. Cisza. Zapukał. Nadal cisza.

Odczekał chwilę, zapukał, zadzwonił, znowu zapukał. Nic.

Z tyłu było tak samo. Zaciągnięte zasłony. W środku ani śladu życia. Czyżby coś się stało? Te kobiety miały ze sto lat. Nacisnął klamkę, tylko żeby zajrzeć do środka. Drzwi były zamknięte na klucz.

Więc znowu na frontowy ganek. Tu drzwi także stawiały opór. Zapukał jeszcze raz, głośniej. Zabębnił do okien.

— Panni Judeo! — krzyknął. — Panni Evelyn!

Dopiero potem przypomniał sobie, że zaledwie świta. Starzy ludzie nie potrzebują wiele snu, ale pewnie nie budzą się przed wschodem słońca. Nie mógł dalej krzyczeć, obudziłby sąsiadów. Nie powinien tu stać. A jednak musiał z nimi pomówić. Co wiedzą? Może cokolwiek mu wyjaśnią na temat domu. Może wiedzą, czy Sylvie zdoła się z niego wyrwać.

Zadzwoił po raz ostatni i już miał wracać. Oczywiście właśnie wtedy usłyszał zgrzyt zasuw.

Drzwi uchyliły się zaledwie odrobinę. W powstałej szparze nie dostrzegł nikogo.

— Idź stąd — powiedział stary, zmęczony głos. Don nie potrafił określić, do której staruszki należał. Nie wydawał się znajomy.

— Powiedziały mi panie, że jeśli będę miał jakieś pytania...

Cisza.

— Chodzi o uwolnienie się od tego domu. Muszę z wami porozmawiać.

— Mów — rzucił głos urągliwie. Teraz go poznał. Panni Evelyn. Chyba. Być może.

— Czy coś się stało?

— Czy to cię obchodzi?

— Oczywiście, że tak. Mogę w czymś paniom pomóc?

— Naprawdę jesteś aż tak głupi?

Nie. To na pewno panni Judea.

Głos odezwał się znowu, pełen wściekłości, lecz jakby złamany.

— Nie rozumiesz, że przez ciebie umieramy? Drzwi się zatrzasnęły. Zgrzytnęła zasuwka.

Don spojrzął na trawnik. Zasłany dywanem liści. Staruszki przez cały dzień przygotowywały jedzenie dla Gladys albo pracowały w ogródku. A jednak trawnik wyglądał tak, jakby nikt o niego nie dbał.

Dlaczego? Odpowiedź nasuwała się sama. Teraz, kiedy wierzył już w moc domu, musiał także przyjąć do wiadomości to, o czym mówiły mu te kobiety. Wszystko, co robił dla domu, odbierało im siłę. Błagały, żeby go zburzył, dla ich dobra. Ale on zrobił coś odwrotnego; stopniowo przywracał dom do pierwotnego stanu. Co będzie, kiedy skończy? Czy przywloką się do drzwi i zaczną błagać, żeby pozwolił im wrócić do więzienia? Czy uparcie pozostaną w powozowni, aż tak osłabną, że nie będą mogły jeść?

I kto wtedy będzie mordercą?

A jednak jeśli teraz odbierze domowi nieco siły, co się stanie z Sylvie? Musieli liczyć na to, że dom zatrzyma ją w sobie, uczyni bardziej realną, aż...

Aż co?

Nie mógł myśleć. Był zbyt zmęczony. Nie spał przez całą noc, odwalił dwie dniówki i nie miał już sił na nic.

Odwrócił się i krzyknął ku domowi staruszek:

— Czy mogę w czymś pomóc?!

Nikt mu nie odpowiedział.

Wrócił do domu Bellamych. Ku swemu zdziwieniu znalazł pryczę na powrót przeniesioną do sali balowej. Wydawała się bardzo mała, niemal żalosna w tej ogromnej przestrzeni. Pamiętał, że kiedy tańczył z Sylvie, to pomieszczenie skrzyło się od wspomnień ludzi, którzy się tu kiedyś bawili. Czy dom zatrzymał ich wspomnienia? Czy wyzwoliło je zburzenie dobudowanych ścian? Dlaczego ten dom miał taką moc? Jakie czary nad nim odprawiono? I jak można je odwrócić, nie krzywdząc Sylvie?

A może nie powinna tu zostać. Może gdyby odeszła, byłaby szczęśliwsza. Wyzwoliłaby się. Może powinien rozebrać dom do fundamentów lub spalić, wypuścić ją i uwolnić staruszki.

Sama myśl o zniszczeniu domu przejęła go niewypowiedzianym smutkiem. Nie mógł stracić Sylvie.

Czy o to tylko mi chodzi? O moje potrzeby? Czy są ważniejsze niż potrzeby staruszek? A czego potrzebuje sama Sylvie?

Z radością zrobiłby wszystko, by wyprostować sytuację. Ale jak powinna wyglądać?

Zwyczajnie: Sylvie żywa, staruszki wolne. Nic z tego. Sylvie była martwa, żyła jedynie dzięki mocy domu. A staruszki zostały tu uwięzione również ze względu na moc domu. Nie mógł uratować jednej, nie krzywdząc drugich.

A gdzieś tam żyła sobie Lissy, wolna jak ptak. Wiedział to, choć nie miał dowodów. Czy dręczyło ją poczucie winy? Żyła w piekle, które sama sobie stworzyła? Wiedział, że nic jej nie jest, ponieważ tak to właśnie wygląda na tym świecie. Przyzwoita osoba, taka jak Cindy, żyje w piekle za zbrodnię, której omal nie popełniła. A Lissy — egoistka, kłamczucha, morderczyni — ma się świetnie.

Czy mógł coś zrobić? Czy istnieje jakieś wyjście, które nie prowadzi do zniszczenia?

Nie miał kogo zapytać. Położył się na łóżku, które Sylvie dla niego przygotowała, i wreszcie zapadł w sen.

* * *

Śniło mu się, że jest domem. Czuł jego kości, kiedy poruszał dłońmi, ramionami. Ukląkł, by zbudować fundamenty, mocne i niewzruszone, a wtedy w piersi zaczęło mu bić serce i była to jego córka. Znajdowała się w najpiękniejszej alkowie jego ciała. Bawiła się, śmiała. I potem... cisza. Odeszła, nie czuł już bicia serca.

Robiło mu się coraz zimniej. Śnieg zbierał się na nim białą zaspą, wiatr nim szarpał. Pochylił się pod naporem wichury. Był pusty. Nie rozumiał, dlaczego ciągle klęczy, dlaczego nie przestał istnieć. Dlaczego nie umarł, skoro nie bije w nim serce.

A potem poczuł je znowu. Jego serce ożyło, ale kiedy zajrzał w głąb siebie, nie zobaczył nic, absolutnie nic — a przecież życie powoli do niego wracało. Dlaczego żyje, skoro nie ma serca? Gdzie jest jego serce?

Otworzył gwałtownie oczy i zobaczył ją, siedzącą w alkowie. Sylvie.

Dlaczego nie mógł jej znaleźć w swoim śnie?

Ponieważ jej tam nie było.

Nie zdawała sobie sprawy, że się obudził. Siedziała, obejmując kolana, z odchyłoną do tyłu głową i luźno spływającymi włosami. Wpatrywała się w najwyższy punkt sufitu alkowy. Czy była tam jakaś płaskorzeźba? Co tam widziała?

A co właściwie on widział? Czego konkretnie od niej chce? W przypadku Cindy nie było wątpliwości, skąd bierze się ich namiętność. Ale jaka namiętność trzymała go przy Sylvie? Z pewnością wziął ją pod swoje skrzydła — z początku niechętnie, ale bez żadnych warunków. A zatem w grę wchodził pierwiastek ojcowskiej opiekuńczości. Lecz Sylvie nie była jego córką. Była od niego starsza pewnie o jakieś dwa lata. Ale czas, który spędziła w domu, nie mógł się liczyć, więc jednak była młodsza. Och, w końcu co miał tu do rzeczy ich wiek? Mężczyzna opiekuje się dziećmi, a także żoną i rodzicami — tak właśnie brzmi definicja mężczyzny: opiekun i żywiciel. Tak trzeba postępować, kiedy się dorośnie.

W pewnym stopniu chodziło o urodę Sylvie. Nie była to uroda konwencjonalna, lansowana przez ślicznotki z telewizji. Sylvie miała twarz o zmiennej mimice, a jej niesforne włosy falowały swobodnie — co podkreślało jej nieuchwytność. Właściwie w czym wyrażała się jej uroda? W czystej linii smukłej szyi? A może w jej, nie kryjmy tego, chudości? Czy to piękno zniknie, jeśli Sylvie się zaokrągli? Nie, to niemożliwe.

Wreszcie poczuła na sobie jego spojrzenie. Odwróciła się i uśmiechnęła.

— Na co tak patrzysz?

— Na piękno.

— Bardzo śmieszne. — Ale się nie roześmiała.

— Sam tego nie rozumiem.

— Dzięki.

— Przyjmę, że to piękno, i będę się zastanawiał dalej.

— Prawda jest piękna.

— Naprawdę?

— Ja tylko cytuję Keatsa.

— Czy jesteś prawdą? To dość trudne. Prawda jest martwa, ale piękna, objawia się, ale zawsze jest nieuchwytna.

Wstała lekko i uklękła przy jego pryczy. Pocałowała go w policzek. Dotknął jej twarzy i pocałował ją w usta, ciepło, słodko i powoli.

— Nie jestem nieuchwytna — szepnęła.

— Sylvie, nie wiesz, jak mnie kusi, żeby zamieszkać tu z tobą na zawsze. Zatrzymać ten dom, wychodzić tylko po to, żeby zarobić trochę pieniędzy i wracać do ciebie.

— Och, tak... Niech tak będzie, proszę.

Położył się na wznak i spojrzał w sufit.

— I jak długo? Aż skończę sześćdziesiąt lat, a ty nadal będziesz w tym samym wieku?

— To mi nie przeszkadza.

— Ale mnie tak.

— Potem umrzesz i znowu będziemy razem.

— I to ma być dobry pomysł?

— „Duch i pani Muir”. Nie oglądałeś?

— Naprzeciwno mieszkają starsze panie, które umierają przez ten dom.

— Tylko dlatego że się mu opierają.

Odwrócił się do niej.

— Więc powinny tu przyjść i zamieszkać z nami? O to ci chodzi?

— Nie wiem, dlaczego ten dom jest taki silny. To nie moja wina. One utkwily w nim na długo przed moim urodzeniem.

— Chcę, żeby wszystko było dobrze.

— Dobrze dla kogo?
— Dobrze.
— Największe dobro dla największych mas? Chodziłeś na wykłady z etyki?
— Sylvie, zrozum. Nie mam wyjścia. Tkwią w martwym punkcie. Cokolwiek zrobię, zniszczę czyjeś życie.
Pocałowała go.
— Wiem.
— A jeśli niczego nie zrobię, też zniszczę czyjeś życie.
— Włącznie z twoim.
— Może...
— Ponieważ chcesz mieć dzieci.
Zadrżał.
— Prawda? — spytała.
— Nie wiem, czybym to zniósł. Skoro wiem, co się czuje po ich stracie.
— Czy to gorsze niż śmierć rodzica? — Tak.
— Gorsze niż zgubienie siebie?
— Nie zgubiłem się, Sylvie. Ty też nie.
— Chyba jednak tak, bo teraz odnalazłam się na nowo i czuję się wspaniale.
— Myślisz, że ponieważ razem tańczyliśmy, że się całowaliśmy, że się kochamy... bo chyba się kochamy, prawda?
Znowu go pocałowała.
— Myślisz, że ponieważ się kochamy, nasze kłopoty się skończyły. Ale to nieprawda.
Usiadła po turecku na podłodze.
— Coś ciągle jest nie tak.
— Właśnie. Ale co? Co trzeba naprawić, żeby wszystko było w doskonałym porządku?
— To nie dom. On nie ma świadomości. Jest silny, ale niczego nie rozumie. Tylko... zatrzymuje przy sobie ludzi. Sprawia, że za nim tęsknią. To prawdziwy dom.
— I nie ma w tym nic złego.
— Nie ma nic złego, jeśli chce się tu być. Chodzi mi o to, że dom nie jest zły. Po prostu jest.
— Sąsiadki z naprzeciwka nie widzą tego w taki sposób.
— Wiesz, na czym polega problem? Ona ciągle tam jest.
Don myślał właśnie o panni Evelyn, panni Judei i tajemniczej Gladys z pokoju na piętrze.
— Kto?
— Lissy. Moja koleżanka z pokoju. Moja morderczyni.
— Wiem o tym.

— A ja wiem, że nie mogę tu tkwić wiecznie.
Uściskał jej dłoń. Uśmiechnęła się do niego.
— Jeśli naprawdę masz być szczęśliwy, musisz pokochać żyjącą kobietę.
— Już pokochałem. Ciebie.
— Wiem, że gdybym opuściła ten dom, odeszłabym na zawsze. Zastanów się nad tym. Kogo ten dom przy sobie zatrzymuje? Nie Bellamych. Odeszli stąd po śmierci.
— To prawda. I dlaczego ich dzieci nie utkwily tu, tak jak te staruszki z naprzeciwka? Przecież tu dorosły, a jednak mogły wyjechać, mogły nawet sprzedać swój dom.
— To właśnie jest naprawdę dziwne. Dlaczego tylko dwie prostytutki nie mogą się stąd wydostać? Dlaczego ja, a nie wszyscy inni, którzy tu umarli?
— Może dlatego że coś tu straciłaś. Może wszystkie coś straciłyście.
— Ja straciłam życie. A one?
— Nie wiem. Niewinność? Ufność?
— Godność?
— Nie znam ich aż tak dobrze. Ale coś straciły i nie mogą opuścić domu, dopóki tego nie odzyskają.
— Może wcale nie chodzi o coś konkretnego. Może kluczem jest strata.
— Inni ludzie na pewno coś tu stracili.
— Więc może to pragnienie.
— Czego pragniesz?
— Życia. Nie żyłam naprawdę, nawet zanim mnie zabiła. Straciłam rodziców. Nie miałam komu pokazywać moich osiągnięć. Rozumiesz? Nikt nie patrzył, jak tańczyłam, śpiewałam czy co tam jeszcze, nikt mnie nie oklaskiwał, kiedy skończyłam i nie popełniłam żadnego błędu.
Skinął głową.
— Znam to.
— Więc uwierzyłam w te historie o robieniu sobie przyjemności. — Roześmiała się.
— To niemożliwe. Nie można sprawiać sobie przyjemności robiąc to, czego się chce. Ponieważ to wszystko nic nie znaczy, jeśli nie ma przy tobie drugiej osoby. Tak naprawdę tylko ona się liczy. Sądzę... sądzą, że w głębi serca pragnęłam, by tą osobą była Lissy. Chciałam, żeby zależało jej na mnie.
— A jej nie zależało do tego stopnia, że była gotowa złamać ci życie, żeby dostać dobrego stopień.
Skinęła głową.
— Więc trzyma mnie tutaj moje pragnienie.
— Może.
Przez chwilę siedzieli w milczeniu.
— A może... — odezwał się Don.

— Co?

— Może pragniesz sprawiedliwości.

— Jakiej sprawiedliwości? Rzuciłam w Lissy kamieniem. Mogłam ją zabić. Według mnie to, że nie żyję i nie mogę się stąd wydostać, to właśnie sprawiedliwość. Może jestem w piekle?

— Piekło to świadomość, że ona gdzieś tam jest i dobrze się miewa. I że uszło jej to bezkarnie.

— Na pewno jej uszło.

— Chcę ją odnaleźć.

— Nie.

— Chcę... no, nie wiem. Posłać jej list. W jakiś sposób ją zawiadomić, że ktoś wie, co zrobiła.

— A potem?

— Nie powinna być szczęśliwa.

— Czy to ożywi moje ciało?

Pomyślał o zwłokach na materacu w tunelu. Pomyślał o martwej Nellie... i swojej byłej żonie. Ona przynajmniej poniosła karę za grzechy. A Lissy nie.

— Musi odpowiedzieć za swoje czyny.

Sylvie parsknęła śmiechem.

— I myślisz, że odpowie, jeśli wyślesz jej pocztówkę?

— Więc jak?

— Sprowadź ją tutaj. Do mnie.

Don spojrział na Sylvie w milczeniu. O co jej chodziło? Co zamierzała?

— Może teraz, kiedy dom Bellamych znowu stał się sobą, powinien mieć własnego ducha.

Przypomniał sobie filmy o nawiedzonych domach. Wyobraził sobie Lissy, jak wchodzi do domu i staje twarzą w twarz z kobietą, którą zamordowała. A dom...

— O rany — westchnął. — I co wtedy?

— Nie wiem. Ale jedno jest pewne: drugi raz już mnie nie skrzywdzi.

— No więc załóżmy, że przyjdzie. Znajdziemy ją jakoś, przyjdzie, zobaczy cię i, powiedzmy, ucieknie z krzykiem i nigdy więcej nie będzie spała spokojnie. Albo pójdzie na policję i przyzna się do winy. Albo cię wyśmieje i spali dom. Albo umrze na atak serca. Wszystko jedno. I co wtedy?

— Nic. Będziemy wiedzieć, to wszystko. Dowiemy się, co się stanie i oboje będziemy to wiedzieć.

Zastanowił się.

— Czy we wszechświecie naprawdę istnieje jakaś równowaga? Jakaś sprawiedliwość, która ją tu ściągnie i znajdzie jakiś sposób na to, żeby wszystko odkręcić?

— Ona jest brakującym elementem. Sam to mówiłeś, że gdzieś tam sobie mieszka. A nie powinna. Popełniła morderstwo w tym domu. Jeśli ktokolwiek ma być w nim uwięziony, to tylko ona.

— Myślisz, że dom jej chce?

— Dom chce kogoś. Jeśli Lissy przyjdzie, pewnie mógłby jej zapragnąć.

— I może cię wtedy wypuści.

— Może.

— Wypuści, ale jak? Czy znikniesz? Jak dzisiaj na podwórku?

— Czy to by było takie straszne?

— Nie chcę cię stracić.

— Don, proszę, zastanów się. Nie należę do ciebie. To niemożliwe. A ty nie możesz należeć do mnie. Więc może najlepszym wyjściem, tym, co naprawdę dobre... pamiętasz, sam tego chciałeś?... będzie się stąd uwolnić. I może to się stanie, jeśli Lissy tu przyjdzie. Może wtedy...

— Pójdiesz do nieba — mruknął.

— Albo gdziekolwiek.

Don usiadł na pryczy i wstał.

— Muszę skorzystać z klopa. — Roześmiał się. — I pomyśleć, że się martwiłem, czy nie siusiasz gdzieś do zlewu.

— Brrr.

Przeszedł przez salę balową, zamiast przeciskać się wąskim korytarzem. Z przyzwyczajenia zamknął drzwi łazienki. Dobrze było ulżyć pęcherzowi. Rozładować to ciśnienie.

Pomyślał o staruszkach z naprzeciwka. Jakie ciśnienie odczuwają one i co by się stało, gdyby zniknęło? Czy Sylvie miała rację? Czy wszystko zależy od powrotu Lissy?

W drodze powrotnej poczuł przeciąg. Zimny wiatr wpadał przez otwarte drzwi frontowe. Chyba Sylvie nie wyszła?

Nie. Siedziała na najniższym schodku i patrzyła na świat.

Przysiadł obok niej.

— Wiesz, nie jestem takim twardzielem, co mści się za zamordowane dziewczyny.

— Wiem. Tym właśnie się zadrezczasz. Że nie jesteś facetem, który własnymi rękami wymierza sprawiedliwość. Zostawiłeś to innym, a oni cię cholernie skrzywdzili.

— Mówiłem o tobie, nie o...

— Nie o córeczce. Ale między innymi o nią chodzi. To twój głód. Musisz uratować jakąkolwiek nieszczęśliwą dziewczynę, zanim wszystko się powtórzy.

— Aha, rozgryzłaś mnie?

— Jesteś duchem tego domu tak samo jak ja.

— Nie jestem martwy.

— Żyjesz w martwych domach.

— Przywracam im życie.

— A wtedy przenosisz się do następnego martwego domu.

Westchnął.

— Wszystko jedno. Nawet bym nie wiedział, gdzie jej szukać. Może mieszkać daleko. Pod dowolnym nazwiskiem.

— Nie, bo nikt jej nie szuka. Bo sądzi, że nikt nie odnalazł mojego ciała. A jeśli ktoś odnalazł, nie można jej z tym powiązać.

— Więc przeczytam od deski do deski każdą książkę telefoniczną w Ameryce, szukając Lissy... jak się nazywała?

— Felicity Yont. Ale daję głowę, że jednak zmieniła nazwisko. Na McCoy.

— Dlaczego?

— Ponieważ tak się nazywał jej chłopak. Lanny McCoy.

— Więc będę szukać Yont i McCoy.

— Lissy pochodziła z Asheboro, ale nie miała rodziny. To nas łączyło. Obie byłyśmy samotne. A Lanny był miejscowy. Nawet mieszkał z rodzicami. Lissy śmiała się z tego. Nigdy nie sądziła, że będzie z chłopakiem, który mieszka u rodziców. Twierdziła, że teraz zostaje jej już tylko przyczepić sobie uszy Spocka i pojechać na zjazd miłośników „Star Trek”.

— Myślisz, że mogą nadal tu mieszkać?

— Nie. Lissy za wszelką cenę chciała się wydostać z Karoliny Północnej. Strasznie mi zazdrościła, że dostałam pracę w innym stanie. Śmiałyśmy się z tego, że ona chce wyjechać i nie może, a na mnie, której jest wszystko jedno, czeka fajna posadka w Providence.

— Więc mam zacząć dzwonić na informację? To dobry sposób, żeby do reszty opróżnić konto.

— Nie, głuptasie. Nigdy nie prowadziłeś poszukiwań?

— W ostatnich czasach jakoś nie.

— A kiedy ostatnio? — rzuciła przekornie. Oboje wiedzieli, że nigdy. — W bibliotece jest mnóstwo książek telefonicznych z innych stanów. Ale nie zaczniesz od biblioteki. Jeśli rodzice Lanny’ego nadal mieszkają w Greensboro, musisz ich tylko odnaleźć i dowiedzieć się, gdzie mieszka teraz Lanny. Razem z Lissy, swoją żoną, mogę się założyć.

— To by było zbyt łatwe.

— I może jest.

Rozdział osiemnasty

Rodzice

W książce telefonicznej Greensboro figurowało wielu McCoyów. Telefonowanie do nich po kolei z automatu w sklepie spożywczym było zajęciem nużącym i nudnym.

Taka sama wymiana zdań, ciągle od nowa.

— Szukam rodziny Lanny'ego McCoya... Skończył uniwersytet w osiemdziesiątym piątym... Nie, nie znam go, był kolegą mojej żony... Przepraszam, że przeszkodziłem ... Dziękuję za uprzejmość... Przepraszam... Rodzina Lanny'ego McCoya, który studiował...

Po czterech godzinach snu z trudem powstrzymywał się przed zapadaniem w drzemkę pomiędzy rozmowami. Z trudem słuchał tego, co mówili do niego ludzie. Jakiś chłopczek przeszedł obok niego, tłumacząc dziewczynie:

— „Z Archiwum X” to bujda. Rząd nie mógłby mieć tajnych eksponatów UFO, ponieważ rząd niczego nie potrafi utrzymać w tajemnicy, kropka!

Ledwo dosłyszał cichy głos w słuchawce:

— Pan go znał?

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło.

— Moja żona się z nim przyjaźniła. Z nim i tą jego dziewczyną, jak się ona nazywała, Missy? Lissy?

— O, tak, kochana Lissy, biedactwo.

— Biedactwo?

— To jej złamało serce. Ach, pan nie wie, prawda? Oczywiście, że nie. Lanny odszedł. Tyle lat...

— Odszedł?

— Pan... pan go nie spotkał, prawda?

— Nie, bardzo mi przykro.

— Ciągle się łudzę. To głupie, nie sądzi pan? Mam nadzieję, że niespodziewanie zadzwoni telefon...

Strzał w dziesiątkę. Ale telefonicznie niczego nie załatwi.

— Pani McCoy, nie chciałbym się narzucać, ale czy mogę państwa odwiedzić?

— Bardzo proszę.

Ledwie podyktowała mu adres, poznał połowę historii tej rodziny. Ten dom był ciasną puszką na ulicy pełnej innych takich puszek, w dzielnicy wybudowanej dla robotników z fabryki tekstyliów. Strategia mająca utrzymać związki zawodowe w ryzach. Ojcowski pracodawca daje robotnikom domy, a oni są wdzięczni; agitatorzy zostają wyeksmitowani, nie wyrzuceni, i znajdują się z rodzinami na bruku. Bardzo skuteczne działanie. Ale kiedy czasy się zmieniły, fabryka sprzedała robotnikom domy za bardzo przystępną cenę i teraz ich rodziny, dzieci lub wnuki, utrzymywały nieskazitelne trawniczki wokół tych maleńkich budyneków, usiłując dowieść swoim wysiłkiem, że rozmiar domu nie świadczy o klasie jego mieszkańców. Byli to dobrzy ludzie, pracowici, sól tej ziemi. Dla nich wysłanie dziecka do college'u nadal było wielkim przedsięwzięciem, nawet w czasach pożyczek dla studentów i pomocy finansowej rządu. Lanny był pewnie spadkobiercą honoru rodziny McCoy, ich nadziei i ambicji.

Państwo McCoy okazali się białymi ludźmi około sześćdziesiątki. Ona miała siwe włosy, on szpakowate. Wprowadzili gościa do mikroskopijnego saloniku, pełnego mebli w pokrowcach. Na kominku stało mnóstwo bibelotów, a pomiędzy nimi, na honorowym miejscu, duża fotografia w ramkach. Przedstawiała młodzieńca z przydługimi włosami i szerokim uśmiechem. Pan McCoy podał ją Donowi, prawie nie czekając, aż ten usiądzie.

— To nasz Lanny — wyjaśnił. — Zdjęcie z ostatniej klasy.

— Sympatyczny.

— On pierwszy z naszej rodziny poszedł do college'u — powiedziała pani McCoy. — I miał miłą dziewczynę. Byliśmy pewni, że wezmą ślub.

— Jak to nigdy nie wiadomo — dodał pan McCoy, kręcąc głową.

— A co to za miła dziewczyna?

— Wspomniał pan o niej przez telefon. Felicity Yont. Lissy.

— Więc nie są małżeństwem? Wszyscy sądziliśmy, że do tego dojdzie.

— Źle się z nią obszedł — wyznała pani McCoy. — Przybiegła tutaj, zalewając się łzami, aż się serce krajało, i powiedziała, że Lanny uciekł z jej koleżanką.

— Uciekł z... — Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

— Podstępna zmija — rzucił pan McCoy. — Żeby bibliotekarka ukradła komuś chłopaka? To już kpiny.

— I nie wiedzą państwo, gdzie teraz mieszkają?

— Od tamtej pory nie mieliśmy od niego ani słowa. — Pani McCoy zaczęła płakać.

Po taktownej pauzie dla okazania szacunku wobec rozpaczliwej żony, pan McCoy dodał cicho:

— Nie sądzę, żeby nadal byli ze sobą. Takie kobiety nie wiedzą, co to lojalność. Na

pewno go porzuciła.

Co można było powiedzieć? Czy zyskałby coś informując ich, że tak naprawdę to Lissy zamordowała wspomnianą koleżankę, która z pewnością z nikim nie uciekła, bo stała się duchem w domu, gdzie kiedyś mieszkali?

W pokoju słychać było tylko chlipanie pani McCoy. Mąż podał jej chusteczkę.

— Przepraszam, że przypomniałem państwu o tym nieszczęściu — powiedział Don.

— O, młody człowieku, myślimy o Lannym każdego dnia — szepnęła pani McCoy.

Jej mąż pokiwał głową. Prawdopodobnie nosił przy sobie chusteczki tylko po to, by przychodzić żonie z pomocą w chwilach smutku.

Don nie chciał oszukiwać tych ludzi, ale kłamstwo było bardziej miłosierne niż prawda.

— Moja żona sądziła, że Lissy i Lanny są sobie pisani.

— Może nasz syn żyje, a może nie — odparł pan McCoy. — Nie wiemy, czym sobie zasłużyliśmy na to, że opuścił nas bez słowa. — Wstał gwałtownie, usiłując opanować łzy. Może chusteczki nie były przeznaczone tylko dla niej. — Chyba się pan rozczarował.

Don zrozumiał aluzję. Zresztą więcej niczego się już tu nie dowie.

— Dziękuję za wszystko. Przykro mi, że... przykro mi.

Wstał, uściśnął dłoń pana McCoy i zrobił jeden krok, jaki dzielił go od drzwi.

Pani McCoy podniosła się z fotela.

— Nie mów tak, młodzieńcze. Dobrze jest pamiętać dziecko, które się kochało, nawet jeśli go już nie ma.

Don pomyślał o własnych łzach, latach ukrywania się w starych domach, w których szukał ucieczki przed sobą samym i resztą świata. Ten ból... a jednak pani McCoy miała rację.

— Wiem — westchnął. Omal nie opowiedział im o Nellie. Ale nie mógł. W tym domu było miejsce na pamięć tylko o jednym dziecku. Po dziesięciu latach nadal opłakiwali syna. Mijający czas nie stępił ich bólu. A jednak... to cierpienie miało pewną szlachetność. Gdyby Lanny z nimi mieszkał, nie czuliby rozpacz, ale i nie mieliby złudzeń. Tak jak Don nigdy nie usłyszy nastoletniej Nellie wrzeszczącej, że ojciec chce jej zniszczyć życie. Nellie nigdy nie rozbije mu samochodu, nigdy nie będzie się z nim kłócić o strój, w jakim miałyby pójść na randkę. Stracone dziecko pozostanie marzeniem o dziecku. Ukochanym duchem nawiedzającym wspomnienia. Łzy tych ludzi nie były gorzkie. Ich smutek wydawał się niemal słodki. Stracili Lanny'ego, a jednak go mieli, takiego dobrego chłopca, nadawał sens ich życiu.

Dowiedział się bardzo wiele.

Pani McCoy stanęła, wzięła go za rękę.

— Ufam, że wiesz.

W drodze powrotnej Don utknął w tłumie nastolatków z liceum Page. Pędzili do Weave Center na specjalne lekcje, na które nie mogłoby sobie pozwolić żadne liceum. Dzieciaki nazywały je „Weaver 500” i pruły jak stado szaleńców. Don także się nie włókł, ale oni śmigali wokół niego, jakby stał w miejscu. Przecież to dzielnica mieszkalna. Cud, że nikogo nie przejechali.

Wyobrażał sobie, jak by pouczał Nellie, gdyby dostała prawo jazdy.

— Nie obchodzi mnie, czy wrócisz późno — powiedziałyby. — Jak myślisz, ile czasu zaoszczędzisz, jeśli przez trzy przecznice będziesz jechać z nadmierną szybkością? Nic. Ale narazisz na niebezpieczeństwo życie swoje i jeszcze czyjeś. Lepiej się spóźnij. Nigdy nie będę zły, jeśli się spóźnisz. Tylko się nie narażaj. Nigdy się nie narażaj.

Prawie nic nie widział przez łzy, które stanęły mu w oczach, gdy wyobraził sobie, jakim ojcem mógłby się stać. Ojcem, którym nie będzie. Nawet jeśli ożeni się z jakąś kobietą i będzie miał z nią dzieci, nie odzyska Nellie. Ten ból nigdy nie minie. Poza tym zastanówmy się, kogo sobie ostatnio wybierał. Najpierw kobietę, która była niebezpieczna dla własnych dzieci. A potem ducha. Nie, chyba nie szukał kobiety matki. Przez Nellie. Bo wiedział, ile kosztuje strata dziecka. Nie mógł się narazić na takie ryzyko.

Nie miał żadnych wątpliwości, że Lanny nie żyje. Lissy opowiedziała państwu McCoy o ucieczce ich syna z Sylvie — co za absurd, nawet gdyby Sylvie żyła — a to mogło oznaczać tylko jedno. Lissy wiedziała, że żadne z nich nie obroni się przed tymi zarzutami. Jak do tego doszło? Czy powiedziała Lanny'emu, co się stało, a on zaczął głądzić jakieś głupoty o zgłoszeniu się na policję i dobrowolnym przyznaniu się do winy? Prawie słyszał jego poważny głos: „Uderzyła cię kamieniem, musiałaś się bronić”. Ale Lissy zdawała sobie sprawę, że w śledztwie wszystko wyjdzie na jaw. Trzymała Sylvie za gardło tak długo, by ją udusić. Nikt nigdy nie udusił swojej ofiary w afekcie. Była to zbrodnia zrodzona z lodowatej nienawiści. Więc co robi Lissy? Ściąga gdzieś Lanny'ego, może nawet mówi, że chce mu pokazać zwłoki, ale kiedy są w wąwozie, sięga po kamień i uderza.

A może w ogóle z nim nie rozmawiała. Wiedziała już, że nie może zachować przy życiu nikogo, kto wiedziałby o tym tunelu. Zwłoki musiały pozostać w ukryciu, dopóki ona nie znajdzie się daleko. Lanny nie miał szans. Ponieważ kobieta taka jak Lissy nie kocha nikogo. Lanny był dobry do seksu i narkotyków. Ale wymagał zbyt wiele. Więc poszła do kuchni, wzięła nóż i czekała na jego przyjście. Najprawdopodobniej jego ciało znajduje się nadal w tunelu.

Potem pobiegła do jego rodziców i opowiedziała im bajeczkę, która miała wystarczyć na jakiś czas. Parę dni. Tyle, by Lissy mogła uciec. Ale okazało się, że bajeczka została na dłużej. Lanny nie opowiedział rodzicom o tunelu. A ponieważ dom został zamknięty, dlaczego mieliby zacząć szukać swego syna w piwnicy? Tajemnica Lissy pozo-

stała bezpieczna. Aż do teraz.

Prawie się roześmiał, słysząc to buńczuczne stwierdzenie. Aż do teraz? Wolne żarty. Tajemnica nadal pozostała nie rozwikłana. Oczywiście mógłby pójść na policję i oznajmić, że znalazł zwłoki w tunelu. Ale czy mógł powiedzieć coś więcej? Wszystkiego dowiedział się od ducha. Martwa kobieta nie zostanie zaakceptowana w roli świadka. Nikt nie wysłucha jej zeznania. Policja na pewno nawet nie zidentyfikuje zwłok. I na tym się skończy. Nikt nigdy nie zgłosił zaginięcia Sylvie; wiedzieli o tym tylko McCoyowie, a i oni uważali, że Sylvie uciekła z ich synem. Gazety — pewnie i dzienniki telewizyjne, zawsze spragnione wiadomości o morderstwach — zajmowałyby się tą informacją przez jeden dzień, ale nikt by nie połączył tego odkrycia z osobą Lissy. A nawet gdyby, pewnie nic by z tego nie wyszło. To się wydarzyło zbyt dawno temu.

Lissy naprawdę poszła do rodziców Lanny'ego i płakała, opowiadając im kłamstwa. Płakała, jakby serce jej pękło, choć tak naprawdę zamordowała dwoje ludzi. Don czuł, że zaczyna wzbierać w nim głucha wściekłość. Lissy Yont przebiła nawet jego byłą żonę, która zeznała w sądzie, że Don nie może być ojcem dziecka, ponieważ uprawia seks jedynie z sekretarkami w firmie.

Skręcił we Friendly Avenue i ruszył na zachód, ale zamiast skierować się ku College Hill i okolicy, w której znajdował się dom Bellamych, pojechał do delikatesów, gdzie znajdował się jego ulubiony automat. Wszedł i kupił ogromne ilości prostego pożywienia. Zupa w puszcze, pojemność pięć litrów. I pudło sałatki ziemniaczanej, i drugie z sałatką owocową. Dobrze pamiętał, ile jedzenia trzeba było nosić dla Gladys. Musiał porozmawiać z nawiedzonymi staruszkami, więc powinien im zanieść coś na przeprosiny. Wstąpił do piekarni i dokupił jeszcze sernik. Jedzenie nie było aż tak dobre jak to, które same gotowały, ale jeśli naprawdę czuły się tak chore i zmęczone, jak mu się wydawało, pewnie się ucieszą, że nie muszą stać przy kuchni.

Zatrzymał się bezpośrednio przed powozownią. Wyniósł torby z jedzeniem i postawił je na ganku.

Tym razem czekał jeszcze dłużej, nim ktoś zareagował na jego pukanie. Drzemka? Obie są u Gladys, a tak osłabły, że schodzenie po schodach zajmie im wieczność? Nie zamierzał dać za wygraną. Nieustępliwie łomotał do drzwi i naciskał dzwonek. Wreszcie w drzwiach stanęła panni Evelyn, wynędzniała, przygięta do ziemi, z przekrwionymi oczami i takim spojrzeniem, że Don powinien paść trupem na miejscu.

— Za kogo się uważasz, do ciężkiej cholery! — skrzeknęła.

— Za dostawcę obiadu. To tylko jedzenie z delikatesów, ale jest jadalne, a panie nie muszą gotować.

— Po tym, co zrobiłeś...

— Nie wierzyłem wam. Teraz tego żałuję, ale wtedy po prostu nie mogłem w to uwierzyć.

Jej mina wyrażała jadowitą pogardę.

— Bardzo łatwo nie wierzyć, jeśli inni za to płacą.

— Proszę to zjeść. I odpocząć. Czy mogę przyjść później i porozmawiać?

— Niby dlaczego? Bo uwierzyłeś nam dopiero po dwóch miesiącach?

Ale jedzenie wzięła. Zaproponował, że zanieś je do kuchni, lecz spojrzała na niego ze wstrętem. Chyba nie był już mile widziany w tym domu.

— Czy mogę przyjść później? — spytał ponownie.

— Jeśli o mnie chodzi, możesz się powiesić. W szopie jest sznur. Dajemy ci go w prezencie. — Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Nie mógł nawet mieć do niej pretensji. Ale mimo wszystko wzięła jedzenie. I wiedziała, że im uwierzył. Wcześniej czy później pozwolą mu przyjść i zadać parę pytań.

Dopiero kiedy stanął przed drzwiami domu, zdał sobie sprawę, że nie kupił jedzenia dla nich obojga.

Bardzo głupio. Sylvie nie potrzebowała pożywienia, ale on konał z głodu, zwłaszcza że nie jadł kolacji i pracował w nocy. Trudno, przekąsi coś później. Najpierw usiadł z Sylvie w alkwie i opowiedział jej o rozmowie z McCoyami. Doszła do tego samego wniosku co on.

— Lissy go zabiła.

— Prawdziwy potwór. Jeśli miałaś wątpliwości co do moralnych różnic między wami...

— Tak. Ona zabija, żeby zatuszować swoje zbrodnie. Ja się chowam.

— Ukryłaś się, żeby zatuszować jej zbrodnię.

— Biedny Lanny. Głupi, ale mógł z tego wyrosnąć.

— Zdałem sobie z czegoś sprawę. Tego zwykle się nie zauważa. Zawsze umiera czyjeś dziecko.

— Nie ja. Ja nie jestem niczym dzieckiem.

Wzjął ją za rękę. Teraz jesteś moja, chciał powiedzieć. Nie jesteś moim dzieckiem, ale jesteś moja. Będę za tobą tęsknić, kiedy odejdziesz, szukać cię, mieć nadzieję, że będziesz na siebie uważać.

— Ale teraz nie wiem, co robić. Nie wiem, jak mam ją znaleźć. Nie mogę sobie wyobrazić, że Lissy ciągle żyje pod własnym nazwiskiem. Naopowiadała kłamstw McCoyom i uciekła. Może być wszędzie. W dowolnym kraju.

— Tak. Więc jej nie odnajdziemy.

— Musimy. Nie wiem, czy bez niej moglibyśmy doprowadzić wszystko do porządku.

Pogładziła drewnianą ławę.

— Więc popracuj przez jakiś czas. Może coś ci przyjdzie na myśl.

Pokręcił głową.

— Nie mogę już pracować w tym domu. Najpierw muszę wiedzieć, co należy zrobić.

Wzdrygnęła się.

— Ten dom sprawia, że jestem prawdziwa. On utrzymuje mnie przy życiu.

— Ale odbiera je staruszkom z naprzeciwka. Przyjrzała się mu uważnie.

— Don?

— Nie prosź mnie o to. Zastanów się, czego żądasz. Te staruszki może i są dziwaczne i rozkapryszone, ale nie mogę o nich zapomnieć, nie mogę wyremontować domu, który je zupełnie zniewoli albo... teraz jesteś już silna.

Skinęła głową.

— Wiem, nie chciałam... nie chciałam, żebyś o nich zapomniał, tylko... czuję głód tego domu.

— One też.

— On chce, żebyś dalej pracował. Nie czujesz? Potrząsnął głową przecząco.

— To dobrze. Więc jeszcze jesteś wolny.

— Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby wszystko naprostować. Nie chcę wybierać między zmarłą kobietą, którą kocham, i dziwnymi staruszkami, które bardzo lubię.

Zachichotała.

— Uwierzyłbyś, że kiedyś powiesz „zmarła kobieta, którą kocham”?

Pogłaskał ją po karku i ramieniu.

— I nigdy bym nie przypuszczał, że najpiękniejsza kobieta, jaką znałem, zniknie, jeśli wyjdzie z domu.

— Żyjemy w dziwnych czasach.

— Dziwnych, ale dobrych.

— Dobrych?

— To absolutny egoizm, ale gdybyś nie została zamordowana i uwięziona w tym domu... sądzisz, że dyplomowana bibliotekarka zechciałaby choćby spojrzeć na mnie?

Pokręciła głową.

— Ale pomyśl, co się musiało stać, żebyś się tu zjawił.

— Muszę się zastanowić. Skoro w efekcie spotkaliśmy się i pokochali... Bo chyba się kochamy, prawda?

Przytaknęła w milczeniu.

— Jeśli to ma być kosmiczny plan, to muszę powiedzieć, że ułożył go jakiś idiota. Powinien wylecieć z roboty.

— Nie oszukuj. Gdybyśmy mogli odwrócić całe zło... ja bym żyła, ty nie straciłbyś Nellie, a ceną byłoby to, że nigdy byśmy się nie spotkali...

Nie musiał odpowiadać. Oboje wiedzieli, że nie wahaliby się ani przez chwilę.

— Nie chcę twierdzić, że to, co do siebie czujemy, nie jest prawdziwe, ale nasze dro-

gi mogłyby wyglądać inaczej. Lepiej. To nie znaczy, że teraz się nie kochamy. Po prostu jest, jak jest, a my nie mamy wyboru, dlatego...

Jakoś nie mogła skończyć, więc pocałował ją i rozwiązał przynajmniej ten niewielki problem. Niestety, lista drobnych problemów była bardzo krótka.

— Gladys na pewno wie — mruknął w zamyśleniu. — Jeśli ktoś może nam pomóc, to tylko ona. Zdołała wyprowadzić stąd te staruszki. Musi być jakiś sposób, żeby utrzymać cię przy życiu, ale poza domem...

— To niemożliwe. Nawet jej nie udało się wyprowadzić ich dalej niż do powozowni. Jak mogłaby mi pomóc?

— Zaraz, to tylko gusła i zabobony. Ale wszystko, co mi mówiły, okazało się prawdą. Nie popełnię kolejnego błędu i nie będę ich lekceważył.

— Myślisz, że już zjadły to, co im przyniosłeś?

— Musiałaś przypomnieć mi o jedzeniu?

— Więc idź na kolację. A kiedy wrócisz, spytaj, czy zechcą cię wpuścić. Nawet jeśli ci odpowiedzą, że nie możesz nic dla mnie zrobić, przynajmniej będziemy mieć pewność.

Zatrzymał się w drzwiach.

— Myślisz, że Bóg ma z tym wszystkim coś wspólnego?

Wzruszyła ramionami.

— W Biblii dużo się mówi o życiu po śmierci i dobrych i złych uczynkach, prawda?

— Zdaje się, że w życie po śmierci już możemy uwierzyć — powiedziała.

— Ale mnie chodzi o boże zamysły i tak dalej. Nie rozumiem, co Bóg może mieć wspólnego z tą sytuacją.

— Nie wiem, Don. Nigdy nie byłam wierząca.

— Ja wychowałem się w religijnej rodzinie, ale po śmierci Nellie doszedłem do wniosku, że to jest dowód na to, że Bóg nie istnieje, a jeśli istnieje, nic Go nie obchodzimy.

— Nawet teraz na wspomnienie Nellie łzy napłynęły mu do oczu, a gardło się ścisnęło.

— Aż nagle spotkałem ciebie. Właśnie ciebie. Dusza żyjąca po śmierci ciała. Więc może jest Bóg? Może rzeczywiście istnieje i układa wszystko tak, że na długą metę wszystko się wyrównuje?

— Nie sądzę. Może gdzieś tam jest. — Podeszła do niego i dotknęła jego piersi tuż nad mostkiem, w miejscu gdzie biło serce. — A może jest tutaj. I stara się, żeby wszystko było dobrze.

Pokręcił głową.

— Nie sądzę, żeby tam był. — Pocałował jej rękę. — Ale ty jesteś.

Kiedy szedł do samochodu, poczuł, że nogi się pod nim uginają. I trochę kręciło mu się w głowie. Albo osłabł z głodu, albo się zakochał. Bochenek chleba z serem wyjaśni tę kwestię.

Rozdział dziewiętnasty

Odpowiedzi

W kwestii pojednania z nawiedzonymi staruszkami pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Na początek Don zdecydował się uprzętać zasypany liśćmi trawnik.

W garażu zamiast samochodu stały najczystsze ogrodnicze narzędzia świata. W życiu nie widział czegoś takiego. Co te kobiety robią, zawsze myją je po użyciu? Każde narzędzie miało własną półeczkę albo hak w ścianie. Nic nie dotykało ziemi. Jedyną oznaką normalności było parę pajęczyn, ale Don uznał, że są dość nowe, jako że nie znajdowały się w nich ani kokony, ani zbyt wiele martwych owadów. Gdyby staruszki mieszkały w domu Bellamych, z pewnością uchroniłyby go przed upadkiem.

Grabie wisiały na haku. Don zarzucił je sobie na ramię i wymaszerował z szopy. Jego ciało protestowało przeciwko grabieniu, nie dziś, nie po całonocnej robocie, ale po chwili dolegliwości stały się mniej dotkliwe, a Don wpadł w trans pracy. Na dłoniach i tak miał odciski. Praca ukształtowała jego ciało. Kiedy prowadził firmę budowlaną, praca fizyczna była dla niego jedynie hobby. Wtedy nie miał odcisków. Przez ostatnie lata przed odejściem żony zaczął mu nawet rosnać niewielki brzuszek, który teraz zniknął bez śladu. Nie był zbudowany jak kulturysta. Jego ciało świadczyło o uczciwej fizycznej pracy; zaczął dostrzegać podobne sylwetki u innych mężczyzn. To budziło w nim szacunek. Także dla siebie. Czuł się dobrze we własnej skórze.

Praca została wykonana. Zgarnięte liście piętrzyły się przy krawężniku. Oparł się na chwilę na grabiach. Wtedy drzwi się otworzyły. Nie tylko odrobinę i nie po to, żeby się mu zaraz zatrzasnąć przed nosem. Panni Judea i panni Evelyn stały w progu, czekały na niego. Pomachał do nich ręką.

— Muszę odstawić grabie.

Zamknęły drzwi, a on wrócił do garażu na tyłach domu.

Ponieważ nie wiedział, w jaki sposób staruszki utrzymują narzędzia w takiej czystości, zadowolił się wyjęciem liści spomiędzy zębów grabi. Garścią liści zmiótł pajęczyny i wyrzucił je za wysoki żywopłot na własne podwórze. Tam jest mnóstwo miejsca dla pajaków. Nie będą musiały kłaść doskonałości garażu nawiedzonych staruszek.

Tyłne drzwi domu były uchylone. Dla niego.

Wszedł do środka. Straszliwie zmęczona panni Judea powoli myła plastikowy pojemnik po jedzeniu ze sklepu.

— Smakowało? — spytał.

Spojrzała na niego ze smutkiem i wróciła do zmywania.

Panni Evelyn nadeszła od strony salonu z talerzem ciasteczek.

— Postawiłam to dla ciebie w salonie, ale przypomniałam sobie, że nie lubisz tam wchodzić, kiedy jesteś brudny po pracy.

Serce mu się łamało, kiedy widział jej starcze ruchy, powolne krocзки, drżenie talerza.

— O, drogie panie — powiedział. — Tak mi przykro. Przepraszam, że was na to naraziłem.

Panni Evelyn pokręciła głową.

— Wszystko zaczęło się jeszcze przed twoim urodzeniem.

Panni Judea zaczęła nucić melodię, której nie znał. Najpierw tylko się zdziwił, dlaczego staruszka śpiewa w tym momencie rozmowy; potem zdał sobie sprawę, że ona w ogóle nie zwraca na nich uwagi. Śpiewała, bo taką miała ochotę.

— Bardzo ci dziękujemy, że zechciałeś zagrabić nasz trawnik — ciągnęła panni Evelyn.

— Miałem swoje powody.

— Ach, i za obiad też ci dziękujemy. Gladys była bardzo zadowolona. Brakuje jej kupnego jedzenia. Uwierzyłybyś w coś takiego?

— Wszystko za kwaśne — rzuciła panni Judea. Więc jednak słuchała.

— Może dzięki temu nie psuje się na wystawie — podsunął Don.

— Raczej nie potrafią gotować. Gladys nie poznałaby się na dobrym posiłku, nawet gdyby ugryzł ją w tyłek.

— Panni Judy, nie wolno tak mówić o własnej kuzynce — wtrąciła panni Evelyn.

— Żarłoczna suka — dodała panni Judea.

— To dom jest żarłoczny i dobrze o tym wiesz.

Panni Judea skinęła głową.

— Jestem zmęczona.

— Dom jest teraz bardzo silny — wyjaśniła panni Evelyn.

— Śnił mi się dzisiaj — mruknęła panni Judea. — Pięć razy. Śniło mi się, że był tam bal. Widziałam ciebie, młodzieńcze. Tańczyłeś z czapłą.

— Z czym?

— Z czapłą. To taki długonogi ptak.

— To nie była czapła.

— Czyj to sen, mój czy twój?

— To nie był sen, bo naprawdę tej nocy tańczyłem. Aż do świtu.

— Zbyt długo przebywałeś w samotności, chłopcze — zawyrokowała panni Judea.

— Przyjmuję, że nie tańczyłeś sam — odezwała się panni Evelyn.

— Nie, nie byłem sam.

— Więc kogo tam sprowadziłeś?

— Ona tam już była. Dziewczyna. Kobieta.

Panni Judea zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem.

— Gladys nie mówiła, że tam jest kobieta.

— Ona nie jest... jej zwłoki leżą w tunelu. Od dziesięciu lat.

— Dobry Boże! — westchnęła panni Evelyn. — Chcesz powiedzieć, że to duch? Skinął głową.

— Staje się coraz prawdziwsza, w miarę jak dom rośnie w siłę. Nie rozumiałem ani w żąb tego, co mi mówiłyście. Ale kiedy remontowałem dom, ona stawała się coraz bardziej rzeczywista. Aż wreszcie poczułem ją w ramionach i zaczęliśmy tańczyć. Niestety, nie może istnieć poza domem.

— Spodziewasz się, że uwierzymy w te brednie? — parsknęła panni Judea.

— Cicho, ty stara głupia babo — skarciła ją panni Evelyn i zwróciła się do Dona:

— Ona tylko chce się na tobie odegrać za to, że wcześniej nam nie wierzyłeś.

— Wcale jej za to nie winie.

— A niby czemu miałbyś winić? Może jesteśmy stare i niedołążne, w dodatku ostatnio kiepsko się czujemy, ale śmiem stwierdzić, że ciągle jesteśmy odpowiedzialne za własne słowa!

— Drogie panie, potrzebuję waszej pomocy.

Panni Judea odwróciła się gwałtownie od zlewu, rozpryskując mydliny.

— Niby jak to sobie wyobrażasz? Powiemy ci, co masz zrobić, a ty zrobisz coś dokładnie na opak? Tak ma to wyglądać?

— Dajże już spokój — wtrąciła uspokajająco panni Evelyn. — Nie widzisz, że jest mu przykro?

— Spójrz no na moje ręce — warknęła panni Judea. Dłonie drżały jej tak mocno, że talerze nie wypadały z nich tylko cudem. — Potrafisz to cofnąć?

— Chcę tylko znaleźć jakiś sposób, żeby wszystko było dobrze. Przestałem remontować dom.

— Kiedy? Przez całe popołudnie i pół nocy rozwalając te dobudowane ściany. Gladys wyplakiwała sobie oczy i powtarzała: „Czy on nie musi spać? Kiedyś ten chłopiec zaśnie!”. Wszystkie byłyśmy takie zmęczone, żeśmy się omal nie poddały. Niewiele brakowało, a byśmy tam wróciły i oddały się domowi.

— Nieprawda, tylko o tym rozmawiałyśmy. Nikt nie zamierzał tam iść.

— Bo Gladys nie może. Tylko dlatego nie poszłyśmy. Jej czary nie zdadzą się na wiele teraz, kiedy dom jest taki silny. Wyczerpały się, dzień po dniu, rok za rokiem. Jak ci się

wydaje, co ta biedna kobieta może jeszcze zrobić?

— To nie przez tego chłopca. To wina domu. Wszystko ci się pomieszało.

— Musi być jakiś sposób — odezwał się Don — żeby was uwolnić, nie niszcząc Sylvie.

— Tak się nazywa ten twój duch? — spytała panni Evelyn.

— Nie przyszło ci do głowy, że jeśli zburzysz dom, ją także uwolnisz? — rzuciła panni Judea.

— Jeśli to będzie najlepsze rozwiązanie, a ona się zgodzi, to właśnie zrobię. Ale żadne z nas tego nie chce.

Przez chwilę przyglądały mu się w milczeniu.

— Słyszał kto coś podobnego — mruknęła panni Evelyn.

— On się zakochał w duchu! — obwieściła panni Judea.

— Dopiero potem się o tym dowiedziałem.

— Po czym?

— Kiedy już zaczęło mi na niej zależeć.

— Zaczęło mu zależeć! Czy to nie słodkie? W tych czasach już się tak nie mówi.

— Cicho bądź, ty głupia! — ucięła panni Judea. — Nie ma nic staroświeckiego w dobrej starej miłości. Cieszę się, że on też cierpi.

— Pan Jezus płacze, kiedy wygadujesz takie rzeczy. Ona nie życzy ci źle — zwróciła się przeproszająco do Dona.

— Ale ma rację. W tej chwili sprawy tak się potoczyły, że cierpimy wszyscy... z wyjątkiem jednej osoby.

— Kto to jest?! — krzyknęła gniewnie panni Judea. Całkiem jakby miała zamiar zła-pać tę osobę i dobrze natrzeć jej uszu.

— Kobieta, która zabiła Sylvie.

Panni Judea uśmiechnęła się niespodziewanie.

— A, wreszcie się coś dzieje. To dlatego przyszedłeś, co? Żeby dopaść morderczynię. Ciekawe, co też chodziło jej po głowie. Voodoo? Trujące mikstury?

— Nie wiem, dlaczego przyszedłem. Słyszałem, jak mówicie o Gladys, i pomyślałem, że mogłaby mi coś poradzić.

Panni Evelyn podniosła na niego zdumione oczy.

— Chcesz porozmawiać z Gladys? Osobiście?

— Nie mam telefonu.

Obie staruszki wycofały się na tyły kuchni i przez chwilę naradzały się przyciszonymi głosami. Don zjadł ciasteczko, czekając na zakończenie tej konferencji. Było bardzo smaczne. Kiedy zdołały je upiec? A ile takich ciasteczek Gladys pożera za jednym posiedzeniem?

— Musimy ją spytać — zdecydowała panni Judea, kiedy znowu do niego podeszły.

— Ale tak trudno nam teraz chodzić po schodach — dodała panni Evelyn. — Czy zechciałbyś pójść razem z nami? Będziesz musiał poczekać przed pokojem Gladys. I lepiej mów do niej „panni Gladys”, chociaż my tego nie robimy. Jesteśmy od niej starsze, a ty nie.

— Obiecuj, że nie wejdiesz, dopóki Gladys cię nie zaprosi — dodała panni Judea.

Zgodził się bez oporów. Wziął je pod ręce i wprowadził na schody, które były szerokie, ale nie aż tak, żeby cała trójka mogła się zmieścić bez niejakich problemów. Obie starszki zwisały bezwładnie, uwieszone jego ramion. Były takie słabe i kruche... Serce mu pękało. To moja wina, pomyślał.

Nie, to wina starości. I domu. Ja tylko pogorszyłem sytuację.

Panni Judea zniknęła w sypialni na lewo od schodów. Był to ten pokój, którego zasłony często się rozchyłały, kiedy starszki miały jeszcze dość sił, żeby go podglądać. Gdy tylko drzwi się zamknęły, panni Evelyn pochyliła się ku Donowi.

— Musisz być miły dla tej dziewczyny — szepnęła.

— Dla panni Judei?

— Nie, ty głuptasie, dla Gladys. Nie wytrzeszczaj na nią oczu jak na widowisko, ponieważ stała się taka dla naszego dobra. Musi dużo jeść, żeby mieć siłę do walki z tym domem. Ale na to nie zużywa się kalorii.

— Jest gruba — domyślił się.

— Jest o wiele więcej niż gruba, mój biedny chłopcze. Gruba? Też mi coś. — Panni Evelyn pokręciła głową. — Pamiętaj, że zawdzięczamy jej wszystko. Zwłaszcza ja. Nie musiała mnie zabierać. Przyjechała po pannią Judy, swoją kuzynkę. Była wtedy chuda jak patyk. I miała czternaście lat. Wsiadła do pociągu w Wilmington, samiuteńka, a czarne dziewczyny nie mogły wtedy podróżować bezpiecznie, zapewniam cię. Ale przyjechała i zaraz zaczęła egzorcyzmować ten dom jak jakiś ksiądz. Potem zawołała nasze imiona i krzyknęła: „Wyjdźcie!”, całkiem jak Jezus do Łazarza. I obie poczułyśmy, że ogromny ciężar spada nam z pleców, jakbyśmy były wolne po raz pierwszy od urodzenia. Taka chudzina...

— Jak mogła dokonać tego, czego wy nie potrafiliście?

— O, znała stare sposoby. Czarni ludzie przywieźli ze sobą z Afryki różne tajemnice. Przekazywali je z matki na córkę, z ciotki na siostrzenicę. Gladys je znała i znalazła jeszcze parę nowych. Ja powiedziałam: „Jesteśmy wolne!”, panni Judy zaczęła się tak śmiać, że aż się popłakała z radości, a Gladys nas zrugowała i mówi: „To zaklęcie jest najlepsze, jakie znam, ale trwa tylko godzinę, muszę je ciągle rzucać od nowa, bo inaczej ten dom znowu was w siebie wessie”. A ja zobaczyłam, że zwraca się do panni Judy, nie do mnie i zrozumiałam wszystko. Nawet nie poprosiłam, żeby i mnie wzięła. Pożegnałam się z pannią Judy i oczywiście się rozpłakałam, ale nie prosiłam o nic. A panni Judy, która też zaczęła płakać, nawet nie pomyślała, że Gladys będzie sobie zaprzętała głowę

taką białą nędzą jak ja, więc też jej nie prosiła. Ale Gladys mówi: „Co, chcesz tu siedzieć przez całe życie?”, a ja jej na to: „Każdego ranka i wieczora modłę się, żeby się stąd wy dostać”. A ona: „Dziś twoje modlitwy zostały wysłuchane”. Słowo daję, powiedziała to, całkiem jakby czytała z Pisma Świętego. „Musicie tylko być blisko mnie, a ja was obro nię przed tym domem”. I dotrzymała słowa. Więc okazał szacunek tej dziewczynie, Do nie Lark, słyszysz?

— Słyszę, proszę pani, i zrobię tak, jak pani mówi.

— W samą porę — powiedziała bez śladu uśmiechu.

Drzwi się otworzyły. Panni Judea wyszła, szurając stopami po podłodze.

— Mówi, żeby wszedł.

W pokoju okno było zasłonięte, świeciła tylko lampka przy łóżku. Don dopiero po chwili zrozumiał, że sterta poduszek na ogromnym łożu wcale nie jest stertą poduszek. Było to potężne ciało czarnej kobiety z twarzą nalaną tłuszczem i ramionami sterczący mi sztywno na boki, podtrzymywanymi przez fałdy sadła.

Starał się nie patrzeć na to ciało. Spójrz jej w oczy, tylko w oczy.

Miała dobre oczy. Ciepłe. Zmęczone, ale życzliwe. I spoglądała na niego.

— Długo potrwało, zanim nam uwierzyłeś — odezwała się. Miała głęboki, ochryply głos. Głos kobiety wyrwanej ze zbyt krótkiego snu.

— Teraz wierzę — odparł. — Ale nie wiem, co mam robić.

— Zburz ten przeklęty dom. Mówiliśmy ci od samego początku.

— On trzyma Sylvie przy życiu!

— A mnie się wydaje, że ta dziewczyna już nie żyje.

— Ale powinna żyć.

— Bardzo wiele rzeczy nie dzieje się tak, jak powinno. Powinam wyjść za mąż i mieć czterdzieścioro wnucząt. Twoja córeczka powinna mieć cztery i pół roczku. Ja sne, że ta dziewczyna powinna żyć. Tak to już Bóg urządził na tym świecie.

— Bóg chce, żebyśmy czynili dobro, kiedy możemy.

— A skąd ty tak dobrze wiesz, czego chce Bóg?

— Wiem tyle co i pani. Ale nie wiem, o co chodzi z tym domem.

Za jego plecami nawiedzone staruszki kuliły się lękliwie i rzucały szeptem porady: „Nie złość jej”, „Uważaj, co do niej mówisz”...

Na twarzy Gladys rozlał się powolny uśmiech.

— Myślę, że słowo „zarozumialec” zostało wynalezione specjalnie dla ciebie.

Don nie zamierzał reagować. Liczyło się tylko to, że zwróciła na niego uwagę.

— Pani Gladys, co takiego jest w tym domu? Dlaczego jest taki silny?

— Ty mnie o to pytasz? Ty, budowniczy domów?

— Zbudowałem mnóstwo mocnych domów, ale żaden nie miał takiej mocy.

— Dajże spokój, drogi panie. Nie opowiadaj takich kłamstw. Wiesz, które domy mają

moc, a które są martwe. W tych potężnych czujesz się jak u siebie, ledwie przekroczysz próg. One cię... zadamawiają. Wydaje ci się, że już w nich mieszkałeś. W martwych czujesz tylko ściany, sufit i podłogę, sam budulec.

Teraz, kiedy ubrała to w słowa, uświadomił sobie, że to prawda. Niektóre domy witały go z radością, do innych czuł wstręt.

— Więc skąd ta różnica? Chodzi o dobry projekt? Wykonanie?

— O to też. Od tego się zaczyna. Tandeta nigdy nie ożyje. Dom musi być jedyny w swoim rodzaju. Kiedy się buduje masę identycznych domów, trzeba wybrać jeden, który zasługuje na życie, i go powielić.

Tyle na temat zabudowy szeregowej. Nic dziwnego, że nie znosił budowania domów na podstawie wyeksploatowanych projektów. Były martwe jeszcze przed położeniem fundamentów.

— Dom jedyny w swoim rodzaju, stworzony dla ludzi, którzy będą w nim mieszkać. A ci pierwsi mieszkańcy... o, oni liczą się przede wszystkim. Dzięki nim dom poznaje miłość, oczekiwanie dziecka, radosne witanie gości... ludzie bez końca po nim krążą. Z tego tworzy się serce domu, dom dostaje duszę, imię, ich imię. Kości domu to dzieło cieśli, ale dusza i życie pochodzą od pierwszych mieszkańców. Weźmy na przykład tandetną chałupę, brzydką i lichą, podobną do dziesięciu tysięcy innych. Jeśli pierwsi mieszkańcy wypełnią ją dobrym życiem, nawet takie coś może mieć siłę.

— Więc ten dom nadal należy do Bellamych. Choć oni od dawna nie żyją.

— Ma ich nazwisko, ich serce. Poczułam ich miłość, kiedy tylko do niego weszłam. Ale niestety siła tej miłości została wykoślawiona, bo wiele zła wyprawiali ludzie, kiedy moja kuzynka Judea się w nim puszczała. Oni ukradli ten dom, zmienili jego imię w kłamstwo. Nie było tu miłości ani radości. To już nie był dom Bellamych.

— Więc dlaczego obie w nim utknęły?

— Nie dom się nich uczepił, tylko one domu.

— Więc to zależy od człowieka? Ale dlaczego one?

— Myślisz, że sama się nad tym nie zastanawiałam? Powiem ci, do czego doszłam. Oczywiście to tylko domysły. W silnym domu zostają przede wszystkim ludzie, którzy go potrzebują. Sami chcą się zadamowić. Ból i strata sprowadzają cię do takiego miejsca. Wstyd i wyrzuty sumienia cię zatrzymują. Moja kuzynka Judea zaszła w ciążę ze swoim wujem Maćkiem. Odebrali jej dziecko, zanim zdążyło zapłakać. Nigdy go nie zobaczyła. Uciekła z domu, bo rodzice nazywali ją tanią dziwką, i przybyła tutaj, gdzie ich słowa się sprawdziły. Wszystko tu jest: ból i strata, wstyd i wyrzuty sumienia. Dziecko nie zostało adoptowane. Utopili je jak kociaka. Jeszcze zanim się urodziło, kuzynka Judea mówiła mi: „Gładys, chyba muszę uciec, bo oni chcą skrzywdzić moje dziecko”. Ale nie uciekła. Prawda, kuzynko?

— Nie uciekłam — szepnęła Judea.

— Więc utknęła w tym domu. Mocne pragnienie, mocny dom. Jak dwa magnesy.
Don spojrzał na pannię Evelyn.

— A pani?

— To moja sprawa — mruknęła ponuro panni Evelyn.

— Przecież chcemy, żeby nas uwolnił — upomniała ją Gladys.

— Nie musi wiedzieć o wszystkim.

— Powiedzmy tylko, że panni Evelyn wiedziała, gdzie szukać strzelby i gdzie szukać swojego męża, i z kim go znajdzie. Tylko tyle. Musiała uciekać z gór, zanim szeryf odnalazł zwłoki. Były jeszcze ciepłe, kiedy się tu zjawiała i ukryła się w domu. Ból i strata, wstyd i wyrzuty sumienia.

— Więc dlaczego ja nie dałem się schwytać?

— Czuleś ból, doznałeś straty. Ale czego się wstydzisz? Czy masz wyrzuty sumienia?

— Nie uratowałem córki, choć mogłem.

— Ach, chłopcze, dobrze wiesz, że nie mogłeś. I wiesz, że zrobiłeś wszystko, na co Bóg ci pozwolił. Może ci się wydaje, że czujesz wstyd, ale w głębi serca wiesz, że zrobiłeś wszystko.

— Skąd pani wie, co ja czuję?

— Wiem, że gdybyś czuł się winny, dom by cię wessał.
Musiał się nad tym zastanowić. I nad tym, co to znaczyło dla Sylvie. Rozsunął zasłony w oknie wychodzącym na jego dom.

— Nie, proszę — zaprotestowała panni Judea.

— Pozwól mu — odezwała się Gladys. — Ale ty nie patrz.
A Sylvie? Na pewno czuła ból, miała poczucie straty. Wstyd? Wyrzuty sumienia? Wydawało się jej, że zabiła Lissy. Więc dom ją zatrzymał. Ale teraz, skoro wiedziała, że jest niewinna...

— Ta dziewczyna — powiedział. — Sylvie Delaney. Sądziła, że popełniła morderstwo, więc czuła wstyd i wyrzuty sumienia. Teraz już wie, że nic złego nie zrobiła. Że to ona została zamordowana.

— Niezbyt bystra, co? — zauważyła Gladys z pewnym rozbawieniem.

— Jest niewinna. A teraz o tym wie, więc czy dom straci nad nią władzę?

— Może czegoś ci nie powiedziała. Ten dom już ją wypuszcza, odrobina po odrobieniu. Ta dziewczyna się rozwiewa. Więc możesz już teraz zacząć go rozwalać. Jej już właściwie nie ma.

— Odnalazłem ją i zaraz straciłem.

— Czemu cię to tak smuci? Będzie wolna. Może odejść do Pana Boga.

— Może jestem samolubny, ale chciałem, żeby została ze mną.

— Pokaż mi, gdzie jest napisane, że Bóg pozwala mężczyźnie żenić się z martwą kobietą. Bardzo jestem ciekawa.

— A ja bym chciał wiedzieć, gdzie jest napisane, że jeśli ludzie się kochają, nie mogą wziąć ślubu tylko dlatego, że jedno z nich nie żyje.

— Powiem ci, gdzie to jest napisane. W Dobrej Księżce stoi wyraźnie, że w niebie nie będzie małżeństw.

— I co z tego? Sylvie nie jest w niebie. — Podszedł do łóżka. Spojrzał prosto w małe oczka Gladys. — Coś się tutaj nie zgadza. Ten dom jest piękny i pełen miłości, więc dlaczego przyciąga ludzi, których życie jest brzydkie?

— Nic nie potrzebuje piękna tak bardzo jak brzydota.

— Ale on nie jest dla nich piękny. Dla panni Judei i panni Evelyn. Gdyby był, nie chciałyby go opuścić i byłyby w nim szczęśliwe.

— Ten dom się zmienił. Człowiek, który z niego zrobił burdel, miał po stokroć brzydkie serce. Mówiłam ci, że siła pochodzi z miłości pierwszej rodziny, która zajmowała ten dom. Ale potem przejął duszę następnego właściciela.

— Teraz ja jestem właścicielem!

— Za późno. Przynajmniej dla nas. Może za dziesięć lat ten dom znowu stałby się przyzwoity, skoro jesteś taki dobry. My nie dożyjemy tego czasu. Poza tym to zbyt ryzykowne. Czy jesteś na tyle dobry, żeby uratować dom, czy on jest na tyle zły, żeby ciebie zgubić?

— Nie chcę go burzyć. Jest zbyt piękny.

— Piękny z wyglądu, lecz robi brzydkie rzeczy, więc jego uroda jest kłamstwem.

— Nie, on nie robi nic brzydkiego. Proszę mnie posłuchać. Ten dom stał się zły, kiedy sądził, że go zburzę. Do dziś mam guza. Ale potem ukradł mi łom; odnalazłem go za starym kotłem w piwnicy, gdzie znajduje się wejście do tunelu. Tak jakby dom chciał, żebym tam wszedł. W ten sposób znalazłem ciało Sylvie i dowiedziałem się wszystkiego. Nie możecie powiedzieć, że dom jest złośliwy, skoro zrobił coś takiego!

Gladys pokręciła głową; ruch zatrzęsł całym jej ciałem i łóżkiem.

— Biedaku, jak ty się starasz.

— Proszę się ze mnie nie śmiać. Chcę tylko wiedzieć, co mam zrobić.

— Przez długie lata ten dom należał do Sylvie. I jest złośliwy, o tak. Robi to, czego chce Sylvie. Nie rozmyślnie chce, ale pragnie w najczarniejszych zakątkach serca. Ona chce być ukarana za swoje zbrodnie. Więc... dom cię zaprowadził. Zdradził ją.

— Przecież nie popełniła żadnej zbrodni! A jeśli dom wie aż tyle, musi sobie z tego zdawać sprawę!

— Tunel nie należy do domu. Jest od niego starszy. To dobre miejsce. Wolne. Tunel pokazał ci prawdę. Ale dom wie tylko tyle co Sylvie. Więc usiłuje sprawić, żebyś ją znienawidził. Sądziła, że znienawidzisz ją, jeśli zobaczysz, co jest w tunelu. Dom jest zdradziecki i złośliwy. Te cechy otrzymał od owego złego człowieka i jego złych synów, swoich właścicieli.

Don przypomniał sobie, jak musiał zapłacić haracz poprzedniemu właścicielowi domu.

— Chyba żaden z właścicieli nie był specjalnie miły... oprócz Bellamych.

— No i ta martwa dziewczyna jest miła. Złagodziła tę złośliwość. Dzięki niej jest mi odrobinę łatwiej. Dlatego panni Evelyn i panni Judea mogą wychodzić i pracować w ogródku. Mogły, dopóki się nie wmieszałeś.

— Bardzo dziękuję za wszystkie wyjaśnienia, panni Gladys, ale pozostaje jeszcze jedno ważne pytanie. Co mam zrobić, żeby wszystko wyprostować?

— Moja odpowiedź ciągle jest taka sama. Zburzyć ten dom.

Don poczuł, że Sylvie wymyka mu się z rąk.

— Nie. Dopóki... dopóki czegoś nie zrobię.

— Czego?

— Muszę sprawić, żeby wszystko było dobrze.

— To niemożliwe.

— Jeśli Sylvie ma się rozwiać, musi wiedzieć, że nie odejdzie samotnie!

— Skoro zamierzasz się zabić, bądź tak uprzejmy i najpierw zburz ten dom, dobrze?

— Nikogo nie zamierzam zabić.

— Kiedy właśnie to robisz. Zabijasz mnie i te kobiety. Spójrz, nie mogą oderwać oczu od tamtego domu.

Rzeczywiście, obie starszki podeszły do okna i stanęły przy nim, przyciskając nosy do szyby jak małe dzieci.

— Zasłoń okno — rozkazała Gladys.

Don usłuchał. Panni Evelyn płakała cicho, a panni Judea wyglądała tak, jakby straciła ostatnią nadzieję. Gladys miała rację. Dłużej tak być nie mogło.

— Dziękuję za pomoc — powiedział. Wiedział już o wiele więcej. Wiedza jest lepsza niż brak wiedzy.

Ale co dalej?

Rozdział dwudziesty

Lissy

Wracał z ciężkim sercem. Gladys powiedziała, że Sylvie już zaczęła się rozwiewać. Teraz, gdy nie miała już w sercu bolesnej rany wstydu i poczucia winy, dom stracił nad nią władzę. A jeśli już zniknęła? Chyba tego by nie zniósł. Nie, na pewno tam jest, pomyślał. Nie chciałem wpaść w to bagno, ona też nie, ale odnaleźliśmy się nawzajem i to nie byłoby w porządku, gdybym ją stracił.

Drzwi nie czekały na niego uchylone. Sylvie nie siedziała w alkwie pod schodami. Zawołał ją; wbiegł po schodach, głośno powtarzając jej imię. Przeszukał piętro. Potem sprawdził strych, ale i tam jej nie znalazł. Czy to się mogło wydarzyć tak szybko?

Piwnica? Nigdy tam nie wchodziła.

Ale raz weszła — gdy sądziła, że to ona jest morderczynią. Popędził po schodach jak uczeń, przemierzył całą salę balową aż do schodów do piwnicy.

— Sylvie! — wołał. — Sylvie!

Ciągle nie odpowiadała, ale to nie miało już znaczenia, bo znalazł ją, przytuloną do ściany, niemal ukrytą za kotłem. Stała w pobliżu wejścia do tunelu.

— Sylvie, co robisz?

Uśmiechnęła się blado.

— Nie wiem.

— Dlaczego tu przyszłaś?

— Chyba... chciałam jeszcze raz spojrzeć na siebie.

Czy widok własnych zwłok jest odrażający?

— I spojrzałaś?

— Nie. Coś mnie tam pcha. Do tego tunelu. Ale dom nie chce, żebym tam poszła. Nie wiem, co powinnam zrobić.

— Wiem na pewno tylko to, że tunel nie jest częścią domu. Gladys powiedziała, że jest od niego starszy.

— Wiesz, jakie mam wrażenie? Że gdybym tam poszła, byłabym wolna.

— To zależy, co się przez to rozumie. — Przekazał jej, co Gladys mówiła o znikającym wpływie domu na Sylvie. — Jeśli chcesz się uwolnić, idź. Nie mogę cię prosić, że-

byś została.

— Owszem, możesz.

— Więc zostań. Proszę cię, nie odchodź.

Podbiegła, objęła go.

Przytulił ją, gładził po włosach i poczuł, że jego palce przez nie przechodzą. Nie mógł powstrzymać łez.

— Odchodzisz — powiedział.

Odsunęła się, przerażona. Pokazał, co się dzieje z jej włosami. Przywarła do niego z całej siły.

Podniósł ją — była teraz lżejsza, a może tak się bał, że wydawała się mu lekka jak piórko? — i zaniósł na górę, do alkowy.

— Powiem ci coś — szepnął jej do ucha. — Jeśli cię stracę, możesz być pewna, że znajdę Lissy, gdziekolwiek się ukrywa. Znajdę ją i...

— I co? Patrz, moje palce także przechodzą ci przez włosy. — Wzdrygnęła się. — Które z nas znika?

— Nie wiesz, ile razy żałowałem, że nie mogę zniknąć.

— Ja też. A teraz życzenie się spełnia, choć ja już tego nie chcę. — Pocałowała go lekko. — Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— A o co pytałaś?

— Co zrobisz, kiedy znajdziesz Lissy?

Zabiję ją, pomyślał. Ale potem zrozumiał, że tego nie zrobi. Nie mógłby.

— Opowiem o wszystkim policji.

— Strata czasu. Nawet nie marnuj czasu na poszukiwania. Policja nic nie zrobi, bo nie ma dowodów, żaden ślad nie prowadzi do Lissy, a wszystkie informacje zawdzięczasz duchowi ofiary. Spytają: Gdzie jest teraz ten duch? A ty odpowiesz: Przykro mi, ale się rozplynęła.

— Więc ma to jej ujść na sucho?

— Już jej uszło. Nie masz na to wpływu.

— Tak zawsze jest, kiedy coś się naprawdę dla mnie liczy. Nie mam na to wpływu.

Odsunęła się lekko.

— Dziś chyba nie zasnę — powiedziała. — Nie chcę się obudzić niewidzialna. Więc nie będę spać. Będę ci się przyglądać przez całą noc. I trzymać cię za rękę. A kiedy twoja dłoń przejdzie na wylot przez moją, będę wiedziała, że odeszłam.

Znowu po policzkach popłynęły mu łzy. To go złościło; nie chciał ponownie kogoś oplakiwać. Zacisnął pięści.

— Co się ze mną dzieje? Kiedyś byłem silniejszy.

— I na co ci się to przydało? Cieszę się, że mnie oplakujesz. Jestem martwa od dziecięciu lat, a ty pierwszy uroniłeś nade mną łzę.

— To dopiero początek, mała.

— Chcesz usłyszeć coś żalnego? Pocałowałeś mnie więcej razy, niż wszyscy chłopcy w moim życiu razem wzięci.

Pocałował ją znowu.

— A to po co? Już ustanowiłeś rekord.

— Zbieram punkty.

Oddała mu pocałunek.

— Zastanawiam się nad Lissy — odezwała się po chwili. — Może nie jest taka zaradna, jak się nam wydaje. No wiesz, chodzi mi o nazwisko. To nie takie łatwe. Oczywiście, można zdobyć fałszywy dowód, ale chyba najpierw trzeba mieć do kogoś dojsie? Jak się kupuje lewe prawo jazdy?

— Kupowała narkotyki, więc jednak знаła kogoś z marginesu.

— Nie, Lanny je kupował. I głównie marychę. Lissy chyba nikogo nie znała.

— Ta dziewczyna naprawdę umiała wykorzystywać innych ludzi. On kupował prochy, ty odrabiałaś za nią lekcje.

— Właśnie o tym mówię. Kiedy potrzebowała wypracowań, nie pisała ich, nie robiła niczego z własnej inicjatywy, tylko przepisywała moje. Zawsze wybierała najłatwiejszą metodę. Szukanie dojsia do fałszerzy i zmiana tożsamości wymaga wysiłku. To mi do niej nie pasuje.

— Myślisz, że żyje pod własnym nazwiskiem?

— A ty nadal w to wątpisz?

— Tak. Wiedziała, że musi ukryć zbrodnię. Dlatego zabiła Lanny'ego, to jedyne możliwe wytłumaczenie. Nie przewidziała, że nikt nie odnajdzie waszych ciał. Więc nie mogła zachować własnego nazwiska.

Zrozumieli to jednocześnie.

— Używa mojego! — zawołała Sylvie.

— Jesteście do siebie podobne? — spytał Don. — Powiedziałaś, że mogłyście się zamieniać ubraniami.

— Miałyśmy prawie ten sam kolor włosów — przyznała. — Mniej więcej podobne kontury twarzy. Nie wyglądałyśmy na siostry, ale gdybyś znał tylko jedną z nas...

— Czy mogłaby posługiwać się twoim dowodem?

— Mogłaby zmienić fryzurę, włożyć okulary i twierdzić, że wygląda inaczej, bo minęło wiele lat.

— Nie. Na pewno zgłosiła, że zgubiła prawo jazdy. Mówiła, że nazywa się Sylvie Delaney i skradziono jej torebkę.

— Ale chyba musiałyby mieć metrykę czy coś w tym rodzaju, prawda?

— Gdzie trzymałaś swoją metrykę?

— W pokoju. — Skinęła głową. — Masz rację, nigdy nie musiała pokazywać doku-

mentu ze zdjęciem.

— I nigdy nie pobierano ci odcisków palców.

— Właśnie. Rzadko bywałam w aresztach.

— Wszystko się zgadza, Sylvie. Przyjęła twoje nazwisko, twoją tożsamość...

— Moje oszczędności. Umiała podrobić mój podpis. Robiła to dla żartu, ale podpi-
sywała się identycznie jak ja. Kiedyś powiedziała, że powinnam wyrobić sobie charak-
ter pisma, bo dziecko z przedszkola mogłoby podrobić mój podpis.

— A więc już wiemy, jak uciekła.

— Uciekła... — powtórzyła Sylvie. — Don, ona wzięła moją pracę. Dopiero po chwi-
li zrozumiał, o co jej chodzi.

— Tę z Providence?

— Rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzili ze mną przez telefon. Nie spotkaliśmy
się osobiście. Lissy ma talent aktorski. Mogłaby udawać mnie z powodzeniem, dopóki
nie dostałaby pracy na stałe. I przez cały czas odbierałaby pensję.

— Ciarki mnie przechodzą. Pomyśleć, że przez te lata podawała się za ciebie. Ludzie
znali ją jako Sylvie Delaney.

Sylvie zadrżała.

— Zabrała mi życie, nazwisko, wszystko...

— Zadzwoń do nich.

— Do kogo?

— Do informacji telefonicznej w Providence.

— A potem co?

— Potem zaproszę ją tutaj.

— Dlaczego sądzisz, że przyjdzie?

— No, zaufaj mi choć raz. — Przybrał ton Marlona Brando w roli Don Corleone.
— Złożę jej propozycję nie do odrzucenia.

— Nie chcę, żebyś zrobił jej krzywdę. Tylko wpakujesz się w kłopoty. W niczym mi
nie pomożesz, jeśli zamkną cię do więzienia.

— Nie, nic jej nie zrobię. Chcę tylko, żeby stanęła przed tobą. Dopóki tu jesteś.

— Och, nie jestem pewna, czy...

— Dlaczego nie? Co ci może zrobić? Czego się boisz? Niech spojrzy w twarz własnej
winie i wstydu.

Zapadła chwila ciszy.

— Masz nadzieję, że dom ją zatrzyma — odezwała się wreszcie Sylvie.

— Może — przyznał. — Choć pewnie nic się nie stanie. Jest winna, a to, co zrobiła,
zasługuje na potępienie, więc nie może się uchronić przed wstydem. Ale ból i poczu-
cie straty?

— Straciła rodzinę, pamiętasz?

— Więc dom ją porwie. To jest sprawiedliwość, Sylvie. Niech Lissy tu utknie.

— Ale jak wtedy dokończysz remont?

Odwrócił wzrok.

— Nie wiem, czy w ogóle się za niego wezmę.

— Nie możesz sobie na to pozwolić.

Wzruszył ramionami.

— Mam na koncie jeszcze trochę pieniędzy. Mogę zburzyć dom i osłabić go na tyle, żeby staruszki z naprzeciwka odzyskały wolność.

— Wtedy Lissy nie będzie już uwięziona.

— Dlaczego nie chcesz, żebym ją tu sprowadził?

— Nie wiem. Ponieważ... ponieważ to nasz dom. Jeśli mam odejść, chcę pamiętać tylko ciebie i mnie. W tym domu.

Wstał, wyszedł z alkowy i zatrzymał się przy przeciwległej ścianie.

— W porządku.

— Co w porządku?

— W porządku, nie zadzwonię do niej. Pozwolę, żeby uszło jej to na sucho. Przeżyjemy tu nasze ostatnie dni, spędzimy je razem, a potem... potem zapomnę o wszystkim.

Odwrócił się i kopnął ścianę. Była twarda i mocna. Poczował ból stłuczonych palców. Uderzył ścianę otwartą dłonią. Znowu płakał. Niech to szlag.

Po chwili poczuł na plecach dotyk jej ręki. Lekki, zbyt lekki.

— Don — powiedziała Sylvie. — Mogę się z nią spotkać. — Nie.

— Chcę. Zrobiła mi coś, czego nie da się odwrócić. Ale to, co zrobiła tobie... to już mnie wkurza jak cholera.

Roześmiał się wbrew samemu sobie. Wziął ją w ramiona.

— Naprawdę?

— Do Providence jedzie się dwanaście godzin bez przystanków. Wtedy sobie obliczyłam. Wydaje mi się, że to było wczoraj.

— Niech zgadnę, ta suka wzięła twój samochód.

Sylvie odsunęła się od niego tanecznym ruchem.

— Jesteśmy jak głupie dzieci — rzuciła. Obróciła się powoli. — Zbudowaliśmy sobie piękny zamek na lodzie, a Lissy pewnie wyszła za jakiegoś dyrektora z koncernu Coca-Coli i mieszka z nim w Atlancie pod jego nazwiskiem.

— Mimo to warto sprawdzić. Pójdę do staruszek, może pozwolą mi skorzystać z telefonu.

— Wracaj szybko.

— Nie zbliżaj się do piwnicy, bardzo cię proszę.

— Oczywiście. Jestem zbyt zajęta, żeby zawracać sobie głowę piwnicami.

Kiedy wychodził, ciągle kręciła powolne piruety.

Drzwi otworzyła panni Evelyn.

— Więc podjąłeś decyzję?

— Sylvie odchodzi. Kiedy jej nie będzie, nie zostawię domu w pełni sił.

— Ale utopiłeś w nim wszystkie pieniądze.

— Straciłem już większą sumę. Kiedy się straci odpowiednio dużo pieniędzy, trzeba dojść do wniosku, że nic nie znaczą.

— Pieniądze zawsze coś znaczą. Przez długie lata prałyśmy i szyłyśmy dla innych, oszczędzałyśmy na wszystkim, hodowałyśmy własne warzywa, byle taniej, byle taniej. Tylko po to, żebyśmy mogły tu mieszkać i nigdy nie wychodzić poza podwórko. Pieniądze znaczą bardzo wiele.

— Ale nie w porównaniu z ludźmi, którzy się dla mnie liczą.

— Hm, mogę tylko powiedzieć, że jeśli odbierzesz siłę temu domowi, pierwszego całusa dostaniesz ode mnie.

— Za późno.

— Co, już stoi kolejka? — Panni Evelyn parsknęła śmiechem. — Powinam się domyślić, do takiego przystojniaka!

— Panni Evelyn, tu jest telefon, prawda?

— A, chcesz skorzystać? Stoi w salonie, tuż przy biurku.

Był to staroświecki czarny aparat z okrągłą tarczą.

— Nawet się pani nie domyśla, kiedy po raz ostatni widziałem coś takiego.

— Och, nie wiem, co byśmy bez niego zrobiły. Tak zamawiamy jedzenie! I żarówki, i inne sprawunki.

— Nie chodziło mi o telefon w ogóle, tylko o taki aparat. Teraz mamy telefony na guziki.

Spojrzała na niego niepewnie. Potem jej oczy rozbłyły.

— A, z przyciskami! Przez chwilę zastanawiałam się, po co, na litość, zapinać aparaty na guziki! — Roześmiała się. Potem spuściła głowę. — No tak, trochę tu dziczejemy.

Wykręcił numer czterysta jednaście — kierunkowy do Providence i zadzwonił do informacji. Już zapomniał, jakie to irytujące. Ciasne dziurki w tarczy. Czekanie w nieskończoność, aż tarcza wróci do pozycji wyjściowej.

Do salonu weszła panni Judea.

— Proszę o numer Sylvii Delaney — powiedział Don do słuchawki.

Przypomniał sobie, że nie ma czym pisać. Wyciągnął rękę ku staruszkom, które bezwstydnie go podsłuchiwały.

— Długopis, cokolwiek!

Panni Evelyn wyciągnęła ołówek z otworu na kałamarz w biurku i wyjęła otwartą kopertę z sekretarzyka. Telefonistka zgłosiła się ponownie.

— Czy to może być S. Delaney z Academy Street?

— Całkiem możliwe.

— Proszę poczekać.

Po chwili komputerowy głos zaczął odczytywać numer telefonu. Don zapisał cyfry i natychmiast zadzwonił jeszcze raz.

— Czyżbym czegoś nie wiedziała? Czy ta zmarła dziewczyna nazywała się Sylvie Delaney? — dopytywała się panni Evelyn.

Don przytaknął, nasłuchując długiego sygnału. Panni Evelyn mówiła dalej, zwracając się ostentacyjnie do panni Judei.

— Dlaczego ten chłopiec dzwoni do zmarłej do Providence, skoro ona nawiedza dom naprzeciwko?

— Cicho bądź i słuchaj — ucięła panni Judea.

Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Kobięcy głos.

— Halo?

— Halo, czy to Sylvie Delaney? — Ze wszystkich sił starał się przybrać bez troski i radosny ton.

— Tak, kto mówi?

Znudzona. Pewnie dzwoni do niej mnóstwo nieznanym mężczyźn.

— Proszę mi wybaczyć, ale muszę się upewnić, czy znalazłem właściwą osobę. Czy zrobiła pani dyplom w stanowym uniwersytecie w Greensboro?

— Kto mówi?

Odczekał chwilę.

— Muszę się upewnić — powtórzył cierpliwie.

— Tak, zrobiłam tam dyplom. Kim pan jest?

— Nie znamy się, panno Delaney, ale mam wrażenie, że jestem pani dawnym przyjacielem. Widzi pani, odnawiani stary dom Bellamych.

— Nie znam.

— Mieszkała w nim pani w latach osiemdziesiątych.

— Na pewno mnie pan z kimś pomylił. Do widzenia.

— Może pani odłożyć słuchawkę, jeśli pani chce, ale wiem, co jest w tunelu.

Cisza.

— Nie odkłada pani słuchawki?

— Może jednak musimy porozmawiać.

Don zakrył ręką mikrofon i szepnął do obu starszek:

— Zaciekawilem ją. — A do słuchawki powiedział: — Tak, uważam, że powinniśmy się spotkać.

— Jest pan tutaj?

— Nie, w Greensboro.

— Pan się spodziewa, że rzucę wszystko i pojadę do pana? Mam pracę, obowiązki...

— To chyba nie mój problem, prawda? Założę się, że przyjedzie pani jutro do południa. Potem wezwę policję, żeby zabrała ciało. Kiedy zrobią badania dentystyczne i stwierdzą, że to zwłoki Sylvie Delaney, zaczną się zastanawiać, kim jest kobieta, która przez tyle lat podawała się za nią.

— Chyba upadłeś na głowę, jeśli się ci wydaje, że zapłacę za te wytwory twojej wyobraźni.

— Nie nagrywam rozmowy, więc daj sobie spokój i nie udawaj niewiniątka. Jutro w południe w domu Bellamych. Przyjdź sama.

— W życiu nie słyszałam takich głupot.

— Bardzo się cieszę na to spotkanie... Lissy.

— Kto mówi?!

Odłożył słuchawkę na widełki. Usiadł na pluszowym fotelu.

— To może być najgorszy wygląd mojego życia.

— Co? — chciała wiedzieć panni Evelyn.

— Rozum ci odjęło, ty wsiowa niedojdo? — warknęła panni Judea. — Przecież właśnie zaprosił morderczynię tej dziewczyny, żeby przyjechała i jego też zabiła.

— Och! — krzyknęła panni Evelyn. — To było bardzo niemądre, panie Lark!

— Wiem — mruknął. — Ale przez chwilę wydawało mi się, że dobrze robię.

— To znaczy, że nawet nie masz planu? — zdumiała się panni Judea.

— Wiem tylko, że Lissy Yont po raz ostatni spojrzy w oczy swojej ofierze... zanim Sylvie odejdzie.

Panni Judea pokręciła głową.

— Lepiej znowu porozmawiaj z Gladys. Tym razem sobie nie poradzisz.

* * *

W pokoju nic się nie zmieniło. Gladys wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną i zniecierpliwioną.

— Chciałabym, żeby ta dziewczyna przestała tańczyć — warknęła. — To mnie męczy.

— Jej taniec?

— W kółko i w kółko. Jak wrzecziono. W środku wszystko mi się supła.

— Proszę się nie martwić. Wkrótce jej nie będzie.

Gladys okazała mu współczucie.

— Biedactwo! Nie możesz się z tym pogodzić?

Czyżby się z niego naśmiewała?

— Panni Judea sądzi, że powinienem z panią porozmawiać.

— Jest równie głupia jak ty. Bez urazy. Ludzie przeważnie są głupi. Nie mam do nich o to pretensji. Pytam tylko, co mamy dla ciebie zrobić, kiedy umrzesz?

— A co, przepowiada pani przyszłość?

— Pani Judea powiedziała mi, co zrobiłaś. Ta kobieta już teraz odchodzi od zmysłów. Chce cię zabić tak, żeby nikt się nie dowiedział.

— Jeśli to panią pocieszy, zamierza również spalić dom albo wysadzić go w powietrze, żeby zniszczyć wszystkie dowody przeciwko sobie. Więc i tak wyjdziecie na swoje.

— Nie chcemy, żeby dom spłonął, bo jego cień by się rozwiewał przez wiele lat. Trzeba go zburzyć. Chyba mnie wcześniej nie słuchałeś.

— Bez żartów. Nie podsuwacie mi żadnych pomysłów. A ja zamierzam oddać Sylvie sprawiedliwość, dopóki jeszcze tu jest.

— Której Sylvie?

— Jak to której? — Spojrzał na nią, nie rozumiejąc. — Sylvie. Tej Sylvie.

— Tej martwej, która mieszka naprzeciwko? Czy tej, która pewnie teraz kupuje gnata, żeby cię zabić?

— To jest Lissy Yont.

— To była Lissy. Nie znasz się na mocy imion, panie Lark? Kiedy uratowałam te dziewczęta, zawołałam je imionami ich duszy — ich ducha i ciała. Kiedy ta dziewczyna zaczęła używać imienia Sylvie, nie rozumiała, w co się pakuje. Jeśli ludzie zwracają się do ciebie jakimś imieniem, jeśli na nie odpowiadasz, ono się z tobą zrasta. Duch tej dziewczyny nadal należy do Lissy Yont, ale jej ciało od dziesięciu lat nosi nazwisko i imię Sylvie Delaney. Jest pęknięta. Jej dusza się rozszczepiła, więc imieniem jej ciała jest teraz Sylvie Delaney.

— Więc imię duszy należy do ducha i ciała?

— Rozdziel te imiona, a twoja dusza się rozszczepi. Będzie w niej miejsce dla innych duchów, które zechcą opętać ciało. To ciało nie czuje, że jest częścią duszy, czuje tylko, że jest opętane przez ducha o imieniu Lissy. I chce otrzymać właściwego ducha. — Gladys wybuchnęła skrzeczącym śmiechem. — Ignoranci wyprawiają najgłupsze rzeczy! Tak jak ty, kiedy zaprosiłeś tę morderczynię.

— A pani uważa, że to śmieszne? — spytał z rozdrażnieniem.

— Po twojej śmierci nie będę się śmiać — mruknęła. Także wyglądała na nieco rozdrażnioną.

— Nie tym razem.

— Jesteś kuloodporny?

— Nie, ale zanim mnie zobaczy, spotka się twarzą w twarz z Sylvie, prawdziwą Sylvie, w tym domu, gdzie Sylvie jest jeszcze silna. Gdzie dom spełnia jej rozkazy.

— Sylvie jest silna jedynie w porównaniu z innymi duchami, które nie mają domu. Martwa kobieta nigdy nie będzie silniejsza od żywej.

— One nie będą walczyć wręcz. Lissy musi tylko zobaczyć na własne oczy, co zrobi-

ła Sylvie.

— Masz nadzieję, że ten duch przestraszy ją na śmierć.

— Lissy uważa, że wszystko jej ujdzie na sucho. Ja chcę tylko, by przekonała się, że istnieje życie po śmierci i kiedyś będzie musiała zapłacić za to, co zrobiła.

— Nie dociera do ciebie, że tylko dobrzy ludzie boją się kary za grzechy?

— Nie. Znałem paru złych ludzi i paru dobrych, i to źli żyją w strachu, przez całe życie. Ponieważ znają swoje serca i sądzą, że wszyscy zamierzają ich skrzywdzić, tak jak oni skrzywdzili innych.

— Ludzie nie są tacy skomplikowani, jak się ci wydaje, Donie Lark.

— Sześćdziesiąt lat spędziła pani w łóżku i obrastała sadłem tylko po to, żeby nieustannie rzucać zaklęcia na stary dom, który połyka ludzi. I pani mi wmawia, że ludzie mogą być nieskomplikowani?

— Zwłaszcza ja.

— Cóż, może i ma pani rację. Może Lissy przyjdzie, zobaczy Sylvie, roześmieje się jej w twarz i rozwali mi głowę. Jeśli tak zrobi, moje kłopoty się skończą, prawda?

— No proszę, jaki bohater.

— Muszę zrobić coś dla Sylvie, zanim odejdzie. Jeśli odejdzie.

— Ona odchodzi, a ty i tak już coś zrobiłeś. Dałeś jej miłość. Myślisz, że mogłaby pragnąć czegoś więcej? Myślisz, że jej zależy na widoku Lissy? Ona to robi dla ciebie. Tylko dla ciebie.

— Dobrze, może dla mnie. A może chce spojrzeć zło w twarz i nazwać je tak, jak na to zasługuje.

— Ale ono nosi niewłaściwe imię. To ciało nazywa się Sylvie Delaney. I niech ci się nie zdaje, że przyjdzie w południe. Myślisz, że jest niespełna rozumu? Kiedy do niej zadzwoniłeś, dziesięć minut temu? Już jest w drodze. Nie samolotem. Nie zostawi swojego nazwiska na bilecie. Jedzie, ale się spieszy. Pędzi jak błyskawica. Jak długo się jedzie z Rhode Island? Pewnie jakieś dziesięć godzin. Za benzynę płaci kartą. Przyjedzie do miasta o północy. Potem się przestraszy. O północy jest zbyt wiele ludzi. Poczekaj, aż zaśniesz. Zaparkuj w pewnej odległości. Przyjdzie do domu pieszo. Od tyłu. Może nawet wejdzie tunelem. Może spróbuje wynieść zwłoki. Zniszczyć dowody, jak to mówią w programach o policjantach.

— O tym nie pomyślałem.

— W ogóle nie myślisz. Kierujesz się sercem, nie głową.

— Hm.

— Nie, nie, tak trzymaj. Dobrzy ludzie nie przechytrzą złych, ponieważ źli mają pomysły, jakie dobrym by nigdy nie przyszły do głowy. Nie wyobrażasz sobie, do czego są zdolni źli ludzie.

— Może bym potrafił panią zaskoczyć.

— Ale dobrego stać na rzeczy, na które źli ludzie by nie wpadli, ponieważ oni nie mają serc. Co na to powiesz? To dopiero głęboka myśl. Filozoficzna.

Myśl albo była zbyt głęboka jak dla Dona, albo nie dość głęboka. Nie był tego całkiem pewien. Cieszył się tylko, że znowu rozmawia z Gladys. Wejście do tunelu. Musi je dziś zasypać.

— Chciałabym nie być taka gruba — powiedziała Gladys.

— Słyszałem to od wielu ludzi.

— Chciałabym móc się zmieścić w tych drzwiach. Chciałabym móc zejść po schodach. Chciałabym znaleźć się w twoim domu.

— Dlaczego? Nie może się pani przyglądać mu z okna?

— Oczywiście, mogę. Ale nigdy nie słyszałam o niczym podobnym. To się chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło. Ktoś, kto przez lata żył pod nazwiskiem swojej ofiary, wraca, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. Kto wie, do czego dojdzie.

— Jak to?

— Duch Sylvie spotka się z jej ciałem. Wyczują, że do siebie należą. Co by było, gdyby duch Sylvie miał własne ciało? Nic. To się już zdarzało, wiele razy. Ale duch Sylvie nie ma ciała. A ciało Sylvie od dawna bardzo pragnie połączyć się z jej duchem. Chce się znowu zjednoczyć z własną duszą, przestać być opętanym ciałem.

— Czy to znaczy, że ciało Lissy może uwięzić ducha Sylvie?

— Nie mam pojęcia, co to znaczy. Tylko się zastanawiam. I tak sobie myślę, że ta twoja zmarła nie powinna dotykać Lissy.

— Mogłaby utknąć w tym samym ciełe z kobietą, która ją zabiła? — Poczuł, że robi mu się słabo. W co on wpakował Sylvie?

— Niech się trzyma od niej z daleka i tyle. Ona jest duchem. Lissy nie może jej dotknąć, chyba że sama Sylvie tego zechce.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

— Te dwie starsze panie ostrzegały cię wiele razy, ale ich nie posłuchałeś.

— Teraz już będę posłuszny.

— Jeśli wyjdiesz z tego żywy, możesz do mnie przyjść i opowiedzieć o wszystkim. Potrafię się temu przyglądać jedynie za pomocą magicznego widzenia i chcę wiedzieć, jak to wyglądało naprawdę.

Don wyciągnął rękę i zbliżył się na tyle, żeby mogła jej dotknąć. Wymienili uścisk, choć jej dłoń była tak nalana tłuszczem, że prawie nie mógł jej objąć.

— Tośmy się dogadali — podsumowała Gladys.

— Nawet lepiej, zaprzyjaźniliśmy się.

— Ha, to dobre wieści. Bo wiem, że jesteś z tych, co potrafią dbać o swoich przyjaciół.

— Nikt nie robi tego lepiej niż pani.

— No to już idź i nie daj się zabić. Pomachała mu serdelkowatymi palcami.
Dotknął róna niewidzialnego kapelusza i wrócił do domu Bellamych.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ponowne spotkanie

Nie musiał długo tłumaczyć Sylvie, co zrobił.

— Dlaczego do niej zadzwoniłeś? — spytała. Wyglądała żałośnie.

— Teraz nic ci nie może zrobić. Nie masz się czego bać.

— Może zabić ciebie.

— Słuchaj, jesteś żywym dowodem na to, że śmierć nie jest taka zła.

— Właśnie że jest. Tracisz wszystko.

— Zachowujesz wspomnienia. W końcu i tak nic więcej nie mamy.

Uniosła dłonie.

— Masz ręce. Nogi. Oczy. Uszy. Czujesz smak, zapach. — Uśmiechnęła się drżącymi ustami. — Nie czuję żadnych zapachów.

— Mamy to, co mamy. Jeśli będę żył, kiedy odejdziesz, nigdy cię nie zapomnę. I jeszcze długo będę cię pragnął.

— Więc tkwiłam tu tylko po to, żeby komuś zniszczyć życie.

— Sylvie, ty mi oddałaś życie. — Wyciągnął do niej rękę. Chciał ją pocałować.

Odwróciła głowę.

— Nie całuj mnie, Don.

— Jesteś na mnie zła?

— Nie chcę cię całować, skoro niczego nie czuję.

Odwrócił głowę, żeby ukryć uczucia. Z przyzwyczajenia, z dawnego nawyku. Już poznała jego słabości.

— Musisz się przespać — powiedziała.

— Myślisz, że zdołam zasnąć?

— Wczoraj prawie nie odpoczywałeś. Nadal jesteś śmiertelnikiem. Powinieneś być przytomny, kiedy Lissy się zjawi.

— Najpierw muszę coś zrobić. — Co?

— Zamknąć wejście do tunelu od strony wąwozu.

— Co za różnica, którądy wejdzie do domu?

— Nie chcę, żeby dotykała twojego ciała.

Zwykły łom tym razem nie wystarczy. Don odszukał inny, wielki i stary, prawie tak ciężki jak młot, który także zabrał. Wziął też piłę i dwa najdłuższe przedłużacze. Sylvie zeszła razem z nim do piwnicy i przyglądała się, jak podłącza piłę. Ale nie pozwolił jej dalej iść za sobą.

— Tunel biegnie na zewnątrz domu. Nie chcę, żebyś mi znowu znikła.

— Więc mała kobietka usiądzie w domu i będzie czekać, aż jej mężczyzna wróci z wojny.

— Raczej z kopalni.

— Jakże zielona była moja dolina!

Nie zrozumiał.

— To ze starego filmu o walijskich górnikach. Z Roddym McDowellem, kiedy jeszcze był przystojny.

— Kiedyś zabierzesz mnie do kina.

Oboje zaśmiali się, tak było to niemożliwe. Potem Don zapuścił się w ciemny tunel.

Kabel był wystarczająco długi. Przy wejściu nie leżało drugie ciało. Lissy nie zostawiła tu zwłok Lanny'ego. Drewniany sufit skończył się w punkcie, w którym tunel zmienił się w kręty korytarz. Wyjście pewnie było ukryte, dzięki czemu dzieci go nie znalazły. Lissy wiedziała, gdzie go szukać, nawet w ciemnościach. Ale dzisiaj się przekona, że trochę się tu zmieniło.

Tym razem przyniósł okulary ochronne, a z piły zdjął korpus. Trzymał w ręku nagie ostrze, śmiertelnie niebezpieczne. Zaczął od słupa najbliższej wejścia. Stare przegniłe drewno nie stawiało oporu. Było długo poddane działaniu wilgoci. Cud, że deski wytrzymały. Może tunel miał własne tajemnice. Gladys twierdziła, że to droga na wolność. Jeśli tunel był starszy od domu Bellamych, mogło to tylko oznaczać, że uciekali nim zbiegli niewolnicy. Potem goście wchodzili i wychodzili szczęśliwi. Zbudowano go z miłości. Wszystkie składniki siły, prawda? Może właśnie dlatego trwa jeszcze teraz, choć wszystkie inne budowle niszczałyby przed wieloma laty.

Niszczę historię, pomyślał. Ten tunel ma własne życie. Jestem budowniczym, nie burzycielem. A jednak muszę burzyć.

Nie chciał niszczyć zbyt wiele. Nie chciał, żeby razem z tunelem zapadł się trawnik. Zamierzał tylko zasypać wejście. Wystarczy parę metrów blokady, żeby powstrzymać Lissy. Przecież nie będzie kopać w ciemnościach. Na pewno przyjdzie uzbrojona, ale nie w łopatę i oskard.

Zabrał się do katorżniczej pracy — rozbijania stropu. Robił zamach młotem i wyrzucał go w górę. W tym kierunku nie mógł uderzać mocno. Na szczęście deski były przegniłe i młot wbijał się w nie bez trudu, powodując deszcz drzazg i ziemi. Nadeszła pora, by użyć łomu. Don wbił go w przegniłe części podkładu i podważył. Potem cofnął się, młotem wybił kolejne deski, które posypały się na dół razem z ziemią. Nagle sufit tune-

lu runął w ogromnej chmurze wilgotnego pyłu.

Don upadł. Zaczął się niezdarnie podnosić. Nogi mu ugrzęzły w sypkiej ziemi. Gorączkowo odkopał je obiema rękami. Kolejna część sufitu wybrzuszyła się do dołu, dokładnie tam gdzie przepiłował słup. Szkoda, że piłowałem aż tutaj, pomyślał. Popęzł tunelem, po omacku szukając narzędzi. Znalazł miot; łomu nie miał czasu wygrzebywać spod ziemi. Latarnię zostawił na kamiennej półeczce nieco dalej. Mógł ją odzyskać, trzeba było tylko podejść kilka kroków, ale zrezygnował. I dobrze, bo właśnie zapadły się jeszcze dwa metry sufitu i światło zgasło.

Prawie nie mógł oddychać, tyle w powietrzu fruwało gęstego pyłu. Ścisnął mocno młot. Piła powinna leżeć gdzieś nieopodal.

Poczuł pod stopą kabel; zawrócił i poszedł za nim. Przewód zniknął w kupie ziemi. Czyżby naprawdę zostawił piłę tak daleko w głębi tunelu? Daj spokój, zostaw ją. Nie jest aż tak droga, możesz sobie kupić drugą.

Nie, nie bądź głupi. To, co się miało zawalić, już się zawaliło. Piła musi leżeć tuż pod powierzchnią.

Wepchnął w stertę ziemi trzonek młota i szturchnął w różne strony. Znalazł piłę. Wyciągnął ją z ziemi.

Dopiero teraz się odwrócił. Młotem uderzył dźwięcznie o kamień. To ściana. Lewa. Nie chciał trzymać się prawej strony, żeby nie nadepnąć na materac i ciało Sylvie. Z góry dochodziły jakieś trzaski. Czy tunel dalej się zapadał? Przecież belki stropu były przecięte tylko przy wejściu!

Wreszcie ujrzał światło przed sobą — a jednocześnie usłyszał trzask przegniłego drewna i huk. Lawina ziemi zwała się do tunelu i ruszyła ku niemu niczym błyskawica. Zerwał się do biegu, szybciej, szybciej; w ciemnościach potykał się i upadał. Chciał rzucić narzędzia, ale nie mógł rozewrzeć zeszywniałych palców. Dosięgła go i pochłonięła ogromna chmura duszącego pyłu. Nie mógł odetchnąć. Potknął się, upadł. Trzask był coraz bliżej. Don na czworakach popęzł dalej, co chwila padając, aż uderzył o coś twardego. Co to mogło być?

Kocioł. Więc wyszedł z tunelu. Ale nadal nic nie widział. Drobnny pył, wyrzucony kłębami z tunelu, unosił się w piwnicy niczym czarna mgła. Don zamrugał, w oczach czuł drobinki ziemi. Łzy ciekły mu po policzkach i ciągle nic nie widział. Wyczołgał się zza kotła, wlokąc za sobą piłę. Nagle poczuł szarpnięcie. Oczywiście. Kabel został przysypiany. Szarpnął mocno. Uwolniony przewód śmignął w powietrzu, ale był to tylko kabel piły. Przedłużacz został w tunelu.

— Don! — To głos Sylvie. Dobiegał z bardzo daleka.

— Nic nie widzę — wymamrotał. — Mam piasek w oczach.

— Poprowadzę cię. — Poczuł jej delikatny dotyk; pociągnęła go za ramię. Ale po chwili go puściła. Nie, to nie tak. Jej dłoń przez niego przenikała. Z każdą chwilą stawa-

ła się mniej realna. Mniej prawdziwa.

Nie będzie tak myślał. Sylvie nie stawała się nierealna, tylko odzyskiwała wolność. Wreszcie wydostanie się z domu, który więził ją tak długo. To dobrze. A on jej nie straci, ponieważ nigdy jej nie miał. Tylko o niej marzył. Dobrze było trzymać ją w ramionach, ale zawsze była tylko duchem. Teraz, z zamkniętymi oczami, pogrążony w ciemnościach, mógł w to uwierzyć. Ta ślepotą była rzeczywistością. Sylvie i to, co dla niego znaczyła, to tylko chwilowy rozblysłk w mroku. Ona będzie jego wspomnieniem światła. Można z tym żyć.

Chyba.

Wreszcie dobrnęli do schodów na górę. Sylvie zaprowadziła go do łazienki.

— Już nie mogę odkręcać kurków — szepnęła.

— Nie możesz poprosić domu, żeby to za ciebie zrobił?

Roześmiała się.

— Przyzwyczyłam się do tego, że jestem prawdziwa.

Namacał na oślepek kurki; w tej samej chwili poczuł, że się obracają. Usłyszał szum wody. Zaczerpnął jej w obie dłonie i kilkakrotnie ochlapał twarz. Wreszcie mógł otworzyć oczy bez bólu. Namydlił ręce aż po łokcie i wyszorował. Potem umył twarz. Spojrzał w lustro. Włosy miał zlepione ziemią, a ubranie pokryte warstwą błota.

— Myślałam, że już nie żyjesz — odezwała się Sylvie. — Co tam wybuchło?

— To nie był wybuch. Tunel się zawalił. Chciał tego. Ja tylko zacząłem, a on nie umiał skończyć.

— Ha. Wreszcie mnie pochowano jak należy.

Wzdrygnął się. Pomyślał o jej zwłokach, przywalonych połamanymi przegniłymi belkami i tonami ziemi. Pogrzeb to pogrzeb, z trumną czy bez. Z płytą nagrobną czy bez.

— Teraz muszę się wykąpać — oznajmił.

Ale kiedy wyszedł z łazienki, nie skierował się na schody wiodące na piętro. Ruszył do piwnicy.

Na dole wszystko było przysypane warstwą ziemi. Przywarła nawet do belek pod sufitem. Żarówka dawała słabe światło, bo i ona pokryła się czarnym nalotem. Don podszedł do kotła. Ziemia rozsypała się wokół niego jak wachlarz, z tyłu była spiętrzona na wysokość człowieka, a u góry przebijało się słoneczne światło. Tego się właśnie obawiał — tunel zapadł się na całej długości, a na trawniku powstało zagłębienie zdradzające, gdzie jest wejście. Gdyby Lissy zechciała, mogłaby zakraść się do domu przez szczelinę w fundamentach. Ale dziura nie była wielka. Może Lissy jej nie zauważy. Jeśli przekona się, że tunel przy wejściu jest zasypany, wybierze drzwi.

Koniec przedłużacza nadal sterczał z tunelu. Don wyciągnął wtyczkę z gniazdka i zaczął ciągnąć. Z początku szło łatwo. Ziemia nie była ubita, a przewód nie zdążył się za-

plątać. Ale stopniowo ciężar ziemi w tunelu zaczął stawiać coraz większy opór. Don ciągnął uparcie. Miał mętne wrażenie, że robi to, by nikt nie zechciał odkopać przedłużacza, zakłócając spokój zwłok Sylvie. Zaparł się i pociągnął z całej siły. I nagle opór ustał, a Don klapnął siedzeniem na ziemię jak dziecko, które uczy się chodzić. Poczł silny ból; kolejne dźgnięcie nastąpiło, kiedy spróbował wstać. Starzeję się, pomyślał. Akurat teraz brakowało mi złamanej kości ogonowej.

Reszta przedłużacza dała się wyciągnąć bez trudu. Don zrozumiał, co tak nagle puściło. Przedłużacze się rozłączyły. I dobrze. Teraz z tunelu nic już nie wystawało. Nic nie zachęcało do poszukiwań.

Zwinął przewód i wyszedł na parter. Sylvie czekała na niego u wylotu schodów. W głębi domu słyszał szum płynącej wody. Wziął młot i piłę. Były oblepione ziemią. Oczyszczył je za drzwiami. Przydałyby się nawiedzone staruszki, pomyślał.

Zapadnięcie terenu na podwórku było widoczne tylko w pobliżu domu. Dalej tunel biegł zbyt głęboko pod ziemią.

Don rozejrzył się wokół. Czy ktoś go widzi? A niech patrzy w cholere. Rozebrał się, wrzucił koszulę i spodnie do kubła na śmieci. Żadna pralnia nie upora się z takim brudem. Ale buty mógł jeszcze uratować. Zdjął je i uderzał nimi o ścianę tak długo, aż przestały wyglądać jak dwie bryły błota. Skarpetki powędrowały w ślad za koszulą i spodniami.

Nawet majtki miał ubłocone. Nie chciał myśleć, jak wyglądają jego płuca. Przez tydzień będzie kaszleć ziemią. Jeszcze raz się rozejrzył, nie zauważył nikogo, zdjął majtki i wrzucił je do kubła. Podniósł piłę, przedłużacz, młot i popędził do domu. Chyba trochę przesadzam z tą czystością, pomyślał. Wolę paradować po ogródku goły jak święty turecki, niż zostawić brudne ubranie gdzie bądź, zamiast w kubie na śmieci. Wyobraził sobie, że do jego drzwi pukają policjanci, by zaarrestować go za obrazę moralności. Może przyszliby w porę, spotkaliby Lissy.

Lissy. Jeśli ludził się, że zdoła ją wsadzić do więzienia, teraz musiał się pożegnać z tą nadzieją. Najbardziej przekonujący dowód leżał przywalony tonami ziemi.

Wyobraził sobie, jak policjanci rozkopują tunel oskardami i łopatami, przy okazji rozszarpując zwłoki Sylvie. Nie, sprawę Lissy należy załatwić bez udziału osób trzecich.

Odłożył piłę, przedłużacz i młot na miejsce i zaczął szukać czystego ubrania. Ciągłe słyszał szum wody. Zdawał sobie sprawę, że to Sylvie włączyła prysznic. Rany, już się nie mógł doczekać. Skorupa błota na jego ciele wyschła i pękała przy każdym ruchu.

Odwrócił się z naręczem ubrań i stanął twarzą w twarz z Sylvie. Instynktownie zasłonił krocze.

— Eee... przepraszam.

— Już cię widziałam nagiego — powiedziała.

Uniósł brwi.

— Obserwowałam cię przez cały czas. Byłeś jedynym interesującym zjawiskiem w tym domu. Nie możesz mnie za to winić.

Ciekawe, jak go obserwowała. Własnymi oczami czy przez jakąś część domu? Nie rozumiał, na jakich zasadach dom współdziała z nawiedzającym go duchem. Na pewno spełnia życzenia Sylvie, nawet te, z których nie zdawała sobie sprawy. Patrzy na wszystko, co ona chce zobaczyć.

— No dobrze — odezwał się po chwili zakłopotanego milczenia. — Widziałas moja nagość, a ja widziałem twoje zwłoki. Nie mamy przed sobą tajemnic.

Parsknęła śmiechem.

Pobiegł po schodach na piętro. Bolała go kość ogonowa, a w mięśniach porobiły się zakwasy po wysiłkach ostatnich dni. Ciężka praca to dobra rzecz, ale trzeba znać umiar. Położył ubrania na przykrywie nieczynnej muszli klozetowej i wszedł pod prysznic. Musiał się namydlić trzy razy, zanim ściekająca po nim woda przestała być czarna. Sądząc po bagnie, które utworzyło się w brodziku, miał na sobie pewnie z pięć kilo ziemi. Oplukał brodzik, a potem siebie — po raz czwarty — po czym odsunął zasłonkę i znowu zobaczył Sylvie. Opierała się nonszalancko o framugę drzwi. Uśmiechnął się, pokręcił głową i sięgnął po ręcznik.

— Podglądanie jest prawnie zabronione, wiesz?

— Ja nie podglądam, ja się gapię.

— A, skoro tak, to w porządku. Pod warunkiem że nie zaczniesz mnie wytykać palcem i chichotać.

Włożył ubranie. Starał się nie zerkać na Sylvie, żeby nie widzieć prześwitujących przez nią drzwi. Rozwiewała się zbyt szybko, o wiele za szybko.

Naturalnie ona nie zamierzała unikać tego tematu.

— A jeśli mnie tu już nie będzie, kiedy ona przyjedzie?

— To by było fatalnie. Mam nadzieję, że daje gaz do dechy.

— Uwierz we mnie — poprosiła. — Zatrzymaj mnie tutaj.

— Mam coś lepszego niż wiara. Znam cię. Kocham cię.

— A jak ci się wydaje, czym jest wiara? — Pocałował ją. Jeszcze ją czuł, o tak, ale bardzo słabo. To było jak wspomnienie pocałunku. Jak powiew wietrzyka. Znowu zaczął płakać.

— Niech to szlag — mruknął. — Niech to, normalnie się tak nie mazgaję.

Dotknęła jego policzka.

— Jeszcze czuję twoje łzy — szepnęła.

— To tak jakbym przeżył już zbyt wiele smutku. No, nie wiem. Nie wiem.

— Nic ci nie będzie.

— Nie wiem.

— Musisz się położyć spać.

— Spać? Wydaje ci się, że zmarnuję czas, który nam pozostał?

— Ona się zbliża. A ty jesteś tak zmęczony, że ledwie trzymasz się na nogach. Spójrz na siebie, garbisz się jak starzec. Na co mi się przydasz, skoro słaniasz się z wyczerpania?

— A jeśli cię nie będzie, kiedy się obudzę?

— Będę tu, Don. Nawet jeśli się zupełnie rozwięję, ciągle tu będę. W tym domu. Nadal tu będę.

— Ona cię musi zobaczyć. Musi ci spojrzeć w oczy.

— Wytrzymam. Jestem silniejsza, niż ci się wydaje. Trzyma mnie tu moc domu, prawda? A twoja siła nadaje mi kształt. Ale teraz musisz wypocząć.

Miała rację. Skinął markotnie głową i ruszył ku schodom.

— Nie, nie tam — zaprotestowała. — Nie możesz spać na dole. A jeśli ona podejdzie cichaczem i zastrzeli cię przez okno?

— O tym nie pomyślałem.

— To nie film. Czarny charakter nie będzie ci wyznawać wszystkich grzechów, żeby dobry bohater zdążył cię uratować. Strzeli, ty umrzesz, a on ucieknie.

— Czy ja wiem? Nawet czarne charaktery chcą czasami opowiedzieć swoją historię.

— Tego dowiemy się już dzisiaj. Proszę, śpij na moim łóżku. W tym pięknym pokoju, który dla mnie zrobiłeś.

— Nie wiedziałem, że jest dla ciebie, dopóki nie był gotowy.

— Nie wiedziałam, że mnie kochasz, dopóki mi go nie dałeś.

Jej pościel nie była prana od dziesięciu lat, ale wydawała się czysta. To, co należy do niej, będzie dobre i dla niego. A może pościel naprawdę jest czysta? Tak jak spłowiała błękitna sukienka Sylvie? Może dom potrafi załatwić także i to. Brakuje tylko płatków róż, które znaczyłyby jej kroki.

Ponieważ jego całe ciało pulsowało bólem, a na dworze nadal było jasno, wydawało mu się, że będzie miał kłopoty z zaśnięciem. Ale po chwili poczuł, że i on się rozwiewa. Zdążył jeszcze pomyśleć: Czy ona tak to odczuwa? Czy właśnie tak się odchodzi? Nie, musi być inaczej. Czuł swoje ciało, ciężkie i prawdziwe; rozwiewała się tylko jego świadomość. A jej świadomość pozostanie, uwięziona w tym domu. Będzie musiał zburzyć go do fundamentów, by ją uwolnić. Zrobi to. Po opłaceniu ekipy rozbiórkowej zostanie mu dziesięć, może dwanaście tysięcy. Jeszcze zarobi tyle pieniędzy, żeby znowu kupić dom. Już raz tego dokonał. Jego życie się nie skończyło. To tylko złudzenie.

Sylvie siedziała na podłodze.

— Sylvie — szepnął.

— Jeszcze nie śpisz?

— Już prawie. Obiecuj, że mnie obudzisz, kiedy ona tu przyjdzie. Nie spotykaj się

z nią beze mnie.

— Obiecuję. Zbyt długo byłam sama. Ten dom chciał mnie wessać, chciał, żebym stała się częścią ścian, belek. Ale ja się nie zgadzałam. Wiedziałam, że muszę zostać sobą. I czekałam.

— Na powrót Lissy?

— Nie. Na ciebie.

Przysunęła się bliżej; jej twarz znajdowała się tuż przy nim.

— W towarzystwie Lissy mężczyźni nigdy nie zwracali na mnie uwagi, w niej się zadržali.

— Jestem od nich mądrzejszy — wymamrotał.

I zasnął.

* * *

Sylvie zaczęła wędrować po domu. W miarę jak się rozwiewała, czuła, że dom napiera na nią coraz bardziej. Już teraz słyszała swoje kroki tak samo głośno z dołu, jak i z góry; czuła podłogę równie mocno, jak własne stopy.

Przez dziesięć lat zabraniała sobie wszystkich pragnień. Nie tęskniła za słońcem, jeźdzeniem, miłością, życiem. Nie chciała niczego. Nie wiedziała, że jest martwa, ale tak się czuła. Dopiero kiedy Don Lark pojawił się w domu, a ona ożyła, dotarło do niej, jak bardzo była martwa. Zagubiona w poczuciu winy, we wstydzie, bólu i samotności. Nauczyła się znowu kochać i mieć nadzieję, nie była już pogrążona we wstydzie i poczuciu winy, i właśnie to znowu odbierało jej życie. Ten, kto stworzył wszechświat, musi się dowiedzieć, że spartolił sprawę, pomyślała. Niech zrobi drugi i zmieni reguły gry. Niech da trochę radości swoim dzieciom. Niech da im odetchnąć.

Snuła się po domu, po raz pierwszy czując się jak prawdziwy duch. Wiedziała, że dom jej odpowiada. Kiedy przechodziła, szyby drżały w oknach. Deski skrzypiały, bo tak chciała. Drzwi otwierały się i zamykały. Chodziła pomiędzy narzędziami Dona, które zachowywały się jak stado motyli. Unosiły się i odsuwały jej z drogi, a potem opadały na podłogę, na swoje miejsce. Szyber otworzył się i wiatr dmuchnął do środka, bo zapragnęła świeżego powietrza. Czuła w ścianach bicie własnego serca. Dom był silny. Don go takim uczynił. A teraz, kiedy ona zjednoczy się z tymi ścianami, dom zyska prawdziwą moc. Zawładnie nią bez reszty.

Proszę, zburz go, Don. Proszę, nie zostawiaj mnie w tej pułapce, w szkielecie słupów i belek, skórze w tynku. Okna to nie oczy. Ta alkowa jest piękna, ale to nie jest moje serce, to nie moje serce.

Niebo zaczęło szarzeć. Nagie drzewa szemrały na coraz silniejszym wietrze. Nadchodził zimny front — czuła, że temperatura spada, ponieważ szalunek zaczął się kurczyć. Będzie padać, będzie wiać; ostatnie jesienne liście spadną z drzew. Deszcz pewnie pod-

myje dom przez dziurę w trawniku, nowe wejście do piwnicy. Błoto wleje się do środka. Początki śmierci. Odczuje to jak ranę. Na razie niezbyt poważną, ale zaognioną. Jeśli się ją zostawi, dom zginie. A ona nie pozwoli, żeby Don to naprawił. Nie pozwoli.

Czuła, że dom chce być naprawiony. Było to uczucie podobne do wielkiego głodu, prawdziwie silna potrzeba. Kiedy dom całkiem ją połknie, czy zdobędzie się na tyle sił, żeby nie błagać Dona o dokończenie remontu? A może potrzeby domu staną się jej własnym i nie będzie czuła między nimi różnicy, tak jak większość ludzi, którzy biorą potrzeby ciała za własne, całkiem jakby byli tylko ciałem. Niszczą sobie życie tylko po to, żeby dać ciału to, czego się domagało, i przez cały czas sądzą, że zaspokajają własne pragnienia. Potem spoglądają na ruinę, jaką staje się ich życie, i dziwią się, dlaczego poszli do łóżka akurat z tą, a nie inną osobą; leżą zaintubowani w szpitalu, umierają i nadal nie rozumieją, co tak ważnego było w papierosach, że zrezygnowali dla nich z życia. Czasami trzeba umrzeć, żeby oprzytomnieć. Ale wtedy jest już za późno. A kiedy dom mnie uwięzi, czy będę pamiętać, czego się nauczyłam? Raczej nie. Znowu stanę się śmiertelna i umrę razem z domem, nie pamiętając, że jego pragnienia nie są moimi. Miłość do Dona będzie odległym wspomnieniem. A on także o mnie zapomni.

Nie, o nie. Nigdy. Nie zapomni, tak jak nie może zapomnieć o córce. Będzie o mnie pamiętać. Czuję to. Wiem, że byłam ważna, że jestem ważna. Że ktoś miał mnie w swoim sercu.

Gdyby mogła się rozplakać, zrobiłaby to. Deszcz płakał zamiast niej, spływał strugami z dachu, coraz obficie. Wiatr łkał za nią, bębniąc o ściany.

I przez cały czas patrzyła. Obserwowała sen Dona. Wyglądała na ulicę.

Północ. Jakiś samochód przejechał powoli obok domu. Pojechał dalej, ale zatrzymał się przy następnej przecznicy. Po drugiej stronie wąwozu. Wysiadła z niego kobieta. Niewyraźna sylwetka w strugach deszczu. Minęły lata, ale Sylvie nadal pamiętała te ruchy. To Lissy. Przybyła.

Przeszła przez most nad wąwozem. Rozejrzała się na obie strony. Szuka świadków? Gdybyż tylko wiedziała... przeszła nad niskim płotem. Zsunęła się po błotnistym stożku. Sylvie straciła ją z oczu, ale to nie miało znaczenia. Lissy nie wejdzie do domu od tej strony.

Oczywiście po dziesięciu minutach pojawiła się w wąwozie — deszcz padał już znacznie gęściej, zimny, przenikliwy — i zaczęła wspinać po zboczu, rozczochrana, zablocona. Trzymała torebkę, trzymała kurczowo. Miała w niej broń, to pewne.

Sylvie pomknęła na piętro, do pokoju, w którym spał Don. Ile czasu upłynęło? Był bardzo zmęczony. Nie chciała go budzić, ale przecież obiecała.

— Don — powiedziała. — Don, już przyszła. Nie usłyszał jej. Nawet nie drgnął.

Czy spał aż tak mocno? Chciała nim potrząsnąć, ale jej ręka zniknęła mu w piersi. Przez chwilę czuła bicie jego serca, potem wyszarpnęła dłoń. Nie mogła go obudzić.

— Don — powtórzyła z lękiem. Zdała sobie sprawę, że jej głos brzmi bardzo słabo, prawie ginie w łkaniu wiatru za oknem, w szumie deszczu. — Don! — krzyknęła, nie, wrzasnęła. Obrócił się na drugi bok. Pewnie myślał, że jej głos mu się śni.

No dobrze. Co mogła na to poradzić? Próbowała dotrzymać obietnicy. Ale tak było lepiej, wiedziała to od chwili, kiedy jej powiedział, że Lissy przyjedzie. To sprawa między nimi dwiema. Don spełnił rolę katalizatora, ale nie mógł pomóc. Ona sama musi się tym zająć. Jej głos jest jeszcze słyszalny, jeszcze ją widać. Chyba.

Przemknęła do łazienki i stanęła przed lustrem. No tak, była widzialna, choć prześwitywała przez nią ściana.

Znalazła się na dole dokładnie w chwili, kiedy Lissy poruszyła klamką drzwi wejściowych. Sylvie zniknęła w alkowie. Potem poprosiła dom, żeby otworzył drzwi. Żeby je uchylił. Zabawmy się w nawiedzony dom. Niech Lissy też ma coś z tego.

Lissy weszła, trzymając dłoń w torebce. Oczywiście, nie wypuszcza pistoletu z ręki. W domu nie paliło się światło, ale liście nie zasłaniały już latarni. A zatem Lissy ją zobaczy, choć niezbyt wyraźnie.

Sylvie przyglądała się, jak Lissy zakrada się ostrożnie do południowego mieszkania i sprawdza każdy pokój. Nie znalazła nikogo, tylko narzędzia Dona w salonie, gdzie przeniósł je na czas remontu sali balowej. Po pięciu minutach znowu stanęła przed drzwiami wejściowymi. Spojrzała w górę, na schody.

Nie chcę, żebyś tam wchodziła, pomyślała Sylvie.

Więc kazała reflektorowi w sali balowej, żeby się włączył.

Lissy weszła tam z bronią w ręce. Nie zauważyła Sylvie, siedzącej w mroku alkowy. Chłoneła wzrokiem ogrom sali balowej. Wyszła na środek, rozglądając się z podziwem. Pewnie nigdy się nie domyślała, że ciasne mieszkanka kryją coś takiego.

Sylvie odezwała się do niej. Właściwie krzyknęła, ale musiała mieć pewność, że Lissy usłyszy ją przez szum wiatru.

— Pozmieniało się, co?

Lissy obróciła się błyskawicznie i wystrzeliła, nawet nie patrząc, kogo ma przed sobą i czy jest uzbrojony. Morderczyni jak zawsze, prawda, Lissy?

Kula przeszła przez Sylvie na wskroś i ugrzęzła w drewnie. Sylvie czuła to zmysłami domu, a w jej ulotnym ciele po przelocie kuli powstało niewyraźne wrażenie ciepła. I tyle. Roześmiała się lekceważąco, wstała i wyszła z alkowy w plamę światła.

Och, jakże cudownie było widzieć ogromniejące oczy Lissy. Patrząc, jak wycofuje się, trzymając przed sobą broń niczym krzyż do odstraszenia wampirów, całkiem jak w starych filmach. Strach, wielki strach Sylvie zobaczyła w jej twarzy. Strach i — czy to możliwe? — wstyd. Wyrzuty sumienia? Czy można sprawić, żeby Lissy je poczuła? Jak brzmi recepta na uwięzienie w tym domu?

— Sylvie — wyszeptwała Lissy.

— Teraz to chyba twoje imię. Wydawało mi się, że tak się nazywałeś w Providence.

— Gdzie jest ten mężczyzna, który do mnie zadzwonił? — spytała Lissy.

— Ależ ty się umówiłaś ze mną. — Sylvie zbliżyła się do niej. Pamiętała, że nie powinna jej dotykać, ale jeszcze nie znalazła się aż tak blisko. A niepewność Lissy była rozkoszna. Lissy nigdy nie bywała niepewna. Wreszcie znalazło się coś, z czym nie potrafiła sobie poradzić.

— Nie podchodź do mnie — wymamrotała, bliska paniki.

Broń nie była już talizmanem. Stała się zwykłym pistoletem. Lissy wystrzeliła. I jeszcze, i znowu. Sylvie poczuła, że kule przechodzą jej na wylot przez pierś.

— Dobrze strzelasz, ale ja już nie żyję i nie mogę być bardziej nieżywa.

Nie była to prawda. Wkrótce Sylvie miała poznać inny rodzaj śmierci. No, ale nie da Lissy tej satysfakcji i nie powie jej tego.

— Nie chciałam cię zabić — jęknęła Lissy.

— Jasne, rozumiem — odparła Sylvie współczująco. — Przypadkowo upadłaś na moje gardło i przypadkowo miażdżyłaś je, aż przestałam wierzyć i się bronić, a potem przypadkowo dusiłaś mnie dalej, aż umarłam. To się zdarza.

— Ty pierwsza mnie uderzyłaś! Kamieniem!

— Ale cię nie zabiłam, prawda?

— Więc byłam lepsza od ciebie. Zawsze i we wszystkim byłam od ciebie lepsza.

Ciągle ta sama Lissy. Wściekła, znęcająca się nad Sylvie, traktująca ją jak śmieć. Ale teraz Sylvie rozumiała. Wiedziała, że Lissy jest pasożytem, który wysysa życie z bliskich.

— Jak długo utrzymałaś moją pracę w Providence? — spytała. — Na pewno szybko zorientowali się, że sobie nie radzisz. Zupełnie jakby pracę dyplomową napisała inna osoba.

— Komu potrzebna taka beznadziejna robota? To było dobre na początek. I tak nie mogłabym żyć z tej jałmużny. To by wystarczyło tylko takiej ofierze jak ty.

Lissy wycofywała się w głąb sali balowej. Zajrzała w drzwi, by sprawdzić, czy ktoś za nimi nie stoi. Bała się zasadzki, ponieważ sama o niej myślała.

Ale nikt nie zastawił na nią pułapki. Choć także nikt nie zamierzał jej tak po prostu wypuścić. Kiedy Lissy popędziła w stronę kuchni, Sylvie sięgnęła przez dom i zatrzasnęła jej drzwi tuż przed nosem. Lissy wrzasnęła przeraźliwie, odwróciła się i znowu wystrzeliła. Tym razem spudłowała. Kula przeszła sufit w miejscu, w którym niegdyś wisiał żyrandol.

Sylvie poczuła kroki Dona na piętrze, jeszcze zanim je usłyszała. Obudził się. Strzały dokonały tego, czego nie potrafiła sprawić słabnącym głosem. A teraz zamierzał zbiec po schodach, prosto pod lufę pistoletu.

— Tam jest! — krzyknęła Lissy.

— To sprawa między tobą i mną — powiedziała Sylvie.

Lissy wyminęła ją i pobiegła przez całą salę balową ku wejściu i schodom. Nie, nic z tego. Sylvie pofrunęła za nią, zatrzymała się w korytarzu.

— Już popełniłaś morderstwo, Lissy!

— Teraz jestem Sylvie! Sylvie to ja! Ja! — Lissy starała się mówić z pogardą, ale Sylvie czuła jej strach. — Zejdź mi z drogi.

— Nie ruszę się stąd. Zawsze będę przy tobie.

Lissy zeszywniała, znieruchomiała, starała się zamaskować lęk.

— Jesteś niczym. Przejdę przez ciebie.

Sylvie cofnęła się, wyciągając ostrzegawczo dłoń; Lissy zrobiła krok do przodu i zamachnęła się lewą ręką, tą bez broni, żeby odtrącić dłoń Sylvie.

Gdyby wiedziała, co się dzieje, pewnie by się odsunęła. Pamiętała, że Lissy nie powinna jej dotykać. Ale ta ręka nie wydała się Sylvie obca. To była jej ręka. Jej ciało. Cały pokój zawirował szaleńczo, nagle wszystko się zmieniło. Sylvie znowu patrzyła przez oczy, prawdziwe oczy. Oczy, które mrugały i ogromniały ze strachu.

Ale coś ją dusiło. Coś zakłócało bicie jej serca. Wewnątrz jej ciała znajdowało się coś, co nie powinno tam być. Wrzeszczało na nią bezdźwięcznie, ponieważ miała władzę nad płucami, gardłem, językiem, wargami, zębami.

To było jej ciało. Czuła to całą sobą. I ciało również miało tego świadomość. Sylvie Delaney, tak brzmiało jego imię. Ta druga kobieta była intruzem, miała inne imię, przynależała gdzie indziej. Cała dusza Sylvie Delaney odtrącała ją od siebie. Bez słów, nawet bez świadomej decyzji, Sylvie krzyknęła bezgłośnie na obcą: precz! I odrobinę ją popchnęła.

Popchnęła ją w sposób, którego nie rozumiała ani nie czuła ciałem; lekkie pchnięcie i nagle była sama w swoim ciele, tym rozkosznie żywym, oddychającym ciele, w skórze, mięśniach, bijącym sercu. Te dłonie trzymały broń, po tej twarzy spływały strużki potu, te włosy sterczały splątane wokół twarzy i szyi. Te ubrania, falujące, muskające skórę przy każdym ruchu. Odrodziła się, żyła.

* * *

Don usłyszał pierwszy strzał, lecz uznał, że to tylko sen. Następne trzy także wkomponowały się w majaki, ale go obudziły. Otworzył oczy i zaczął słuchać. W domu panowała cisza. A potem coś do niego dotarło. Głosy na dole. Tupot stóp. Trzask drzwi. Znowu strzał. Zerwał się z łóżka i popędził do wyjścia. Głosy brzmiały wyraźniej. Ktoś biegł przez salę balową. A Don pomyślał: Ona ma broń. Co mam zrobić, zbiec na dół i dać się zabić?

Jak najciszej zszedł po schodach. Słyszał już rozmowę. „Nie ruszę się stąd”, mówiła Sylvie. Wśliznął się do południowego salonu, gdzie trzymał narzędzia. Gdyby miał duży

łom, mógłby go wykorzystać w charakterze broni. „Zawsze będę przy tobie”.

Mniejszy łom, którym zrywał tynki, będzie musiał mu wystarczyć. Tak naprawdę żadne narzędzie nie stanowi dobrej obrony przed pistoletem, ale nie miał wyboru. Może zdoła zadać cios, jeśli Lissy go nie zauważy. Jedno dobre uderzenie i pistolet nie przyda się jej do niczego.

Wyszedł na palcach z salonu, przemknął przez korytarz i wyjrzał zza rogu. Sylvie stała plecami do niego, nie pozwalając Lissy przejść. Lissy, z bronią w rękę, opanowała się, ukryła strach za maską pogardy. Obie były do siebie podobne, a jednocześnie zupełnie różne. Jakże rozgoryczona i zblazowana wydawała się Lissy wobec świeżej urody i nieskrępowanej gracji ducha Sylvie.

— Jesteś niczym — powiedziała Lissy. — Przejdę przez ciebie.

Zrobiła krok ku Sylvie, która się cofnęła, wyciągając ostrzegawczo rękę. Lissy odpchnęła ją lewą dłonią.

— Nie! — krzyknął Don.

Ręce się zetknęły. I nagle, ku jego zgrozie, Sylvie skoczyła ku Lissy i zawirowała wokół własnej osi jak latawiec schwytyany w wir powietrza. A potem ciało Lissy wessało ją w siebie.

— Nie! — krzyknął jeszcze raz. Sylvie znalazła się w pułapce ciała tej morderczyni — przez niego, to on ją tu ściągnął! Rzucił się ku Lissy, wykrzywionej w grymasie... bólu? Zaskoczenia? Podniosła wzrok, ale go nie zobaczyła. Broń zwisała bezwładnie w jej dłoni. Lissy stała nieruchomo, z otwartymi ustami, bezmyślną, pustą twarzą. Spróbował odebrać jej pistolet.

Nagle wyprężyła się i zeszywniała. Jęknęła przeciągle głosem, który zmienił się w pisk, a potem w świdrujący wrzask. A kiedy już nie mogła krzyczeć bardziej przeraźliwie, coś wyskoczyło z jej ciała. Przez chwilę unosiło się w powietrzu z rozpostartymi rękami. To była Lissy, jej wierna kopia, Lissy ubrana tylko w podkoszulek. Wyglądała młodziej. Nie tak jak ciało, które przez tyle lat nosiło imię Sylvie. Był to duch Lissy, która zamordowała Sylvie w nocy przed dziesięciu laty, duch zawieszony w powietrzu.

Jednocześnie ciało Lissy ożyło. Oczy otworzyły się i spojrzały na niego. Broń upadła ze szczękiem na podłogę. Ręce się uniosły, żeby dotknąć twarzy. Język musnął wargi. I cała twarz nagle się zmieniła, ożyła w zupełnie inny sposób. Nie była już cyniczna, zła i zblazowana. Zmarszczki wryte przez te uczucia nadal na niej widniały, ale przełożył im wyraz oczu. Ta twarz promieniała zachwytem. I radością.

— Don — przemówiła kobieta. — To ja.

Jeśli duch Lissy wyfrunął z jej ciała i zawisł w powietrzu, a teraz dryfował na sam środek sali balowej, to kto mógł znajdować się w jej ciele?

— Don, nie poznajesz mnie?

Oczywiście, że ją poznał.

— Sylvie — powiedział.

Twarz rozpromieniła się w uśmiechu. I z tą chwilą przestała być twarzą Lissy. O, nadal zachowała jej rysy, kształt ust, brwi, policzków, czoła, brody. Nos dłuższy i węższy niż nos Sylvie, rzęsy ciężkie od tuszu, którego Sylvie nie używała. Ale wyraz tej twarzy, ruchy warg, iskierki w oczach — to była Sylvie. Sylvie z krwi i kości, żywa, oddychająca.

Wyciągnął do niej rękę.

— Oczywiście, że cię poznaję. — Wziął ją w ramiona. Nie była już lekka, nieludzko lekka. Miała ciężar i kształt prawdziwej kobiety, miękkie ciało. Czuł na piersi jej ciepły oddech.

— Wiedziałeś? Wiedziałeś, że tak się to skończy?

W tej samej chwili zawieszony w powietrzu duch zaczął wrzeszczeć ze strachu.

— Zdaje się, że to jeszcze nie koniec — mruknął Don.

Duch obracał się w powietrzu, ale ten ruch nie był tak nieskomplikowany, jak mogło się wydawać. Niektóre cząsteczki wirowały szybciej od pozostałych. Lissy rozciągała się jak guma. Jak ofiara na łożu tortur. Wreszcie jej ręka śmignęła w powietrzu i klasnęła o sufit, ramię rozciągnęło się i stało tak przezroczyste, że przypominało lśnienie w powietrzu. Stopa skoczyła ku przeciwległej ścianie, druga ręka ku podłodze, druga stopa przywarła do frontowej ściany. Głowa pofrunęła ku ścianie nośnej.

Korpus Lissy stracił kształt; zaczął się rozdymać jak balon o coraz cieńszych ściankach, aż wreszcie nie zostało z niego nic prócz lśniącej tęczowej bańki wypełniającej cały pokój. Don poczuł, że bańka przechodzi przez niego na wylot; przejęło go zimno sięgające do szpiku kości. Lśnienie przeszło na ściany sali, jej sufit i podłogę. Całe pomieszczenie zabłysło na parę sekund. A potem wszystko wróciło do normy.

— Odeszła — odezwał się Don.

— O nie. Dom ją złapał.

— Więc odeszła.

— Nie. Nie czuję już domu. Teraz mam tylko to ciało. Dom należy do Lissy.

Wtedy się zaczęło; najpierw dobiegły ich dźwięki ze strychu. Trzaskanie drzwi, drżenie okien. Potem z pierwszego piętra — trzaskanie i drżenie. Szum wody. Spłukiwanie toalety.

A teraz sala balowa. Niewidzialne ręce otworzyły okno. Do środka bryznął deszcz. Drzwi kuchni otworzyły się, zatrzasnęły, otworzyły, zatrzasnęły. Podłoga wybrzuszyła się, drewniana fala podeszła aż do ich stóp, przewróciła ich. Sylvie chwyciła kurczowo ramię Dona; przywarli do siebie, pomagając sobie wstać.

Ściana nośna za alkową zadrżała i wydeła się, tworząc zarys twarzy. Twarzy Lissy, ogromnej jak płaskorzeźba z tynku. Usta poruszyły się z trudem. Głos, który z nich wyszedł, mógłby dochodzić z głębi wielkiego bębna.

— To moje ciało! — jęknęła twarz w ścianie.

Oboje wpatrywali się w nią z takim osłupieniem, że omal nie przegapili tego, co wydarzyło się niemal równocześnie. Don kątem oka uchwycił jakiś ruch w drzwiach. Jego ulubiony młotek frunął prosto ku Sylvie. Don zdążył tylko skoczyć; młotek uderzył go w plecy pomiędzy łopatkami. Uderzenie rzuciło go na kolana. Pociągnął za sobą Sylvie i razem upadli. Chwilę potem łom śmignął tuż nad ich głowami.

— Żyjesz?! — krzyknęła do niego Sylvie.

— Uciekaj z domu!

— Nie zostawię cię z nią!

— Jej chodzi o ciebie! Uciekaj!

Wstał i pomógł się Sylvie podnieść, rozglądając się niespokojnie. Pociągnął ją ku wyjściu, zgięty wpół. Ból po uderzeniu młotka wyciskał mu łzy z oczu. Tylko siniaki? A może złamane żebra? Teraz nie miał czasu na oglądanie ran.

Z korytarza widać było południowy salon. Narzędzia Dona sunęły po podłodze, układając się w koncentryczne kręgi. Otaczały warsztat. Kiedy Don zatrzymał się w korytarzu, narzędzia znieruchomiały i zaraz utworzyły ścieżkę prowadzącą prosto do miejsca, w którym stał razem z Sylvie. Warsztat drgnął i ruszył w ich kierunku.

— Uciekaj! — krzyknął Don.

Warsztat uderzył go w biodro i powalił na ziemię. Don zdołał złapać go za nogę; warsztat powlókł go za sobą, nieco zwalniając, choć nadal nieustępliwie sunął w kierunku Sylvie.

Sylvie szarpała się z klamką.

— Zamknęła nas, zamknęła! — krzyczała.

Don znalazł wreszcie oparcie dla stóp. Podniósł z wysiłkiem nogę warsztatu, który zachwiał się i upadł na bok. Znieruchomiał, całkiem jakby dom zrozumiał, że ta broń już mu się nie przyda.

Drewno drzwi pod klamką zaczęło wzdymać się i pęcznić. Don rzucił się na pomoc Sylvie.

— Cofnij się! — krzyknął, ale w tej samej chwili wzdęte drewno uformowało się w kształt ludzkiej ręki i chwyciło Sylvie za przegub.

Sylvie usiłowała się wyszarpnąć. Oparła się o ścianę obok drzwi. Z tynku wyłoniła się inna ręka i złapała ją za ramię. Kolejne ręce chwyciły ją za kostki — ręce z tynku, z klepek podłogi. A potem następna para rąk sięgnęła ku jej szyi.

— Don! — załkała Sylvie, szukając go spojrzeniem pełnym śmiertelnego lęku.

To się znowu zdarzy. Lissy znowu ją zabije. Don wstał i krzyknął w powietrze:

— Jesteś aż tak głupia? Jeśli ją zabijesz, nie dostaniesz tego ciała!

Szyba w drzwiach zafalowała i wydeła się w kształt twarzy Lissy. Usta otworzyły się i wyszedł z nich głos ostry i tnący jak kryształ.

— Jeśli ja go nie mam, nikt go nie dostanie.

Inna twarz wyłoniła się z podłogi, szeroko rozwarte usta, czarna głębia gardła. Głos zadudnił głucho:

— To ciało należy do Lissy, Lissy, nie do Sylvie. Powtórz: Lissy.

— Nie wymawiaj jej imienia! — krzyknął Don. — Nic nie mów, Sylvie! Nie oddawaj jej ciała!

Nie tracił czasu na odtrącanie krępujących ją rąk. Wiedział, że w ten sposób nic nie osiągnie. Do tego trzeba broni. Zamiast walczyć z dłońmi, złamie kręgosłup tej istoty.

Zaczął gorączkowo grzebać w swoich narzędziach, szukając piły i przedłużacza. Są. Włączył przedłużacz do kontaktu, uruchomił piłę. Nagie ostrze ożyło z przeraźliwym wizgiem, rozpryskując drobinki ziemi z tunelu. Potężne słupy ściany nośnej nadal były częściowo odsłonięte. Wbił ostrze w pierwszy z nich i obrysował go dookoła, jak pień ścinanego drzewa.

Szklana twarz Lissy krzyknęła. Twarz w podłodze wykrzywiła się i zdeformowała. Czoło zmieniło się w zmarszczkę na parkiecie, a potem przekształciło się w ręce, które wyciągnęły się ku przedłużaczowi. Don zaczynał przecinać drugi słup, kiedy przedłużacz wyskoczył z kontaktu i piła zamarła.

Ale jeden słup był przecięty. To już coś. Trzeba znaleźć młot i powybijać je po kolei. To chyba osłabi dom, prawda?

Nie miał czasu szukać kolejnych narzędzi. Sylvie umierała, przygwożdżona do ściany. Trzeba sparaliżować dom, złamać mu kręgosłup. Zabić go i Lissy razem z nim.

Zauważył ruch w porę, by cofnąć rękę. Ostry koniec kielni wbił się mu w dłoń. Don potknął się i zachwiał, bliski utraty przytomności z bólu. Ale teraz był już zbyt wściekły i przerażony, żeby dać za wygraną. Szarpnął za kielnię i wyciągnął ją z rany. Ból osiągnął nowy poziom, niemal odbierając mu zmysły. Trysnęła krew. Musi pokonać dom, zanim się wykrwawi i osłabnie; w przeciwnym razie będzie mógł jedynie przyglądać się, jak Sylvie umiera. Gdzie ten młot?

Młot śmignął w powietrzu, celując w jego głowę. Don złapał go w locie; impet uderzenia był tak wielki, że okręcił nim wokół własnej osi.

— Dzięki! — krzyknął zwycięsko. Morderczyni sama włożyła mu w ręce najlepszą broń przeciw sobie.

— Muszę jej oddać ciało! — zawołała Sylvie. Dłonie trzymające ją za gardło rozluźniły chwyt na tyle, żeby mogła przemówić. — Ona cię zabije!

W odpowiedzi zamachnął się młotem i uderzył w słup powyżej cięcia. Belka zadrżała, ale nie pękła.

Sylvie krzyknęła. Zerknął za siebie i zobaczył, że z brązowych toreb unoszą się chmury gwoździ, za osiem pensów, dziesięć, dwanaście... Każdy celował w niego ostrym końcem. Każdy był wymierzona w niego strzałą. Don jeszcze raz zamachnął się młotem.

Cios spadł w tej samej chwili, w której gwoździe dotarły do celu. Poczuł, że wbijają mu się w głowę, ramiona, plecy, nogi. Jak setki żadeł. Jęknął z bólu, ale zamachnął się po raz trzeci. Czuł, że gwoździe wypadają z jego ciała; niektóre pozostały, wbite głębiej. Ból był rozdzierający, ale to go nie powstrzyma. Nie będzie beczynn timer się przyglądał, jak Sylvie umiera. W ostatni cios włożył wszystkie siły. I słup wreszcie pękł. Obie części łączyła za ledwie jedna drzazga. Czwarte uderzenie.

— Nie, to boli, boli! — krzyknęła szklana twarz.

Słup pękł całkowicie. Od strony sufitu rozległ się głośny trzask. Słup podtrzymywał piętro i dach, które teraz zaczęły ciężać ku ziemi. Cały dom wił się z bólu.

Don spojrział na Sylvie. Walczyła, szarpała się. Ręce ją trzymały nadal, ale może nieco osłabły? Chyba już jej nie dusiły... nie, gorzej. Jedna para rąk trzymała ją za głowę, wykręcała ją. Lissy chciała skrócić jej kark.

— Don! — krzyknęła Sylvie. — Jeśli wrócę do domu, ona odejdzie, ona chce odzyskać ciało. Weź broń!

— Nie rób tego! — ryknął. — Nie opuszczaj tego ciała! Nie wchodź w dom! Ja to załatwię!

Tak powiedział, ale nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.

* * *

Gladys obserwowała ich z zamkniętymi oczami, bardziej odczuwając, niż widząc. Judea i Evelyn mogły sobie wyglądać przez okno, ile tylko chciały — w ten sposób niewiele zobaczą. To ona czuła, co się naprawdę dzieje. Wiedziała, że duch morderczynie opłótł dom. Na szczęście był jeszcze zdekoncentrowany. Chciał zabić Dona i odzyskać swoje ciało, a przynajmniej je zabić. Ale kiedy mu się to uda, zwróci uwagę na nie. Na ich stare, zniewolone przez dom ciała. Ona, Gladys, nie ma już siły na dalszą walkę, nie teraz, kiedy rządzi nim ktoś tak zły.

Więc kiedy podłoga uniosła się i wyrwała przedłużacz z kontaktu, Gladys jęknęła w desperacji.

Ale nigdy nie poddawała się takim uczuciom. Już teraz wiedziała, w jaki sposób może pomóc.

— Szybko! — krzyknęła. — Dajcie ten przedłużacz! Spojrzały na nią tępo.

— Od telewizora! Przedłużacz! No!

Evelyn i Judea nie oglądały telewizji — wszystkie programy napawały je smutkiem. Ale Gladys nie opuszczała niczego. Telewizja była jej oknem na świat. To była jej podpora, jej sojusznik w walce z domem. W tym starym pokoju znajdowało się tylko jedno gniazdko. Musiały kupić przedłużacz, żeby ustawić telewizor naprzeciw łóżka.

Judea wyjęła go z gniazdko i podała jej jeden koniec.

— Oba — rzuciła Gladys niecierpliwie.

Po chwili Evelyn zdołała wyszarpnąć drugi koniec przedłużacza. Gladys ujęła końcówki w obie ręce i spróbowała je połączyć. Miała wrażenie, że zbliża do siebie dwa magnesy tymi samymi biegunami. Odpychały się.

Oczywiście. Przecież rzucała na nie zakłęcie, łączące przedłużacz z przewodem piły mechanicznej Dona. A dom to wyczuwał i usiłował z nią walczyć. Nawet w sprzyjających warunkach było to trudne zakłęcie. Ale musiała się z nim uporać.

— Pomóżcie mi — rozkazała. — Złapcie moje ręce. Pchajcie.

Starły się ze wszystkich sił, ale dopiero kiedy Don zdołał wybić pierwszy słup, dom osłabł albo przynajmniej odwrócił od nich uwagę na tyle, że udało się im tego dokonać. Gladys poczuła, że oba końce stykają się ze sobą. Pokierowała nimi ostrożnie, aż wreszcie bolce wsunęły się w otwory.

* * *

Don trzymał mocno piłę, ale nie mógł złapać kabla, żeby włożyć go w gniazdko. Przewód wił się jak wąż, wyslizgiwał się mu z palców, uciekał. A potem niespodziewanie z przedłużacza na podłodze strzeliły iskry, oslepiając go na chwilę. Przewód piły nie dotykał przedłużacza, leżały o parę metrów od siebie, ale elektryczne iskry śmięgnęły w powietrzu i połączyły je. Popłynął oslepiająco biały strumień prądu. Piła ożyła z jękiem. Don ocknął się ze zdumienia i rzucił się do pracy. Przecinał w gorączkowym skupieniu słup za słupem. Musiał się ograniczyć tylko do tych, które znajdowały się na wierzchu, ale to powinno wystarczyć.

Dom wyraźnie tracił siły. Atakował go z coraz mniejszą zaciekłością. Don zerknął przez ramię; Sylvie nadal była uwięziona, ale dom nie starał się już jej zabić. Tylko nie pozwalał jej odejść, zagarniał ją do siebie.

— Proszę — jęknęła szklana twarz. — Ja nie chciałam... Nie chciałam zrobić nic złego...

Nie miał litości. Wiedział, kim była Lissy i co musiało ją teraz spotkać. Zaczął młotem wybijać przepiłowane słupy. Przy pierwszym musiał uderzyć trzy razy, ale potem dom osłabł na tyle, że wystarczył jeden cios. Cały sufit zaczął się zapadać. Kręgosłup domu został złamany.

Szklana twarz zafalowała, rozpląnęła się i wsiąkła w szybę. Pozostał tylko jej zarys.

— Nie zabijaj domu, Sylvie — szeptała twarz. — On cię kocha.

Sufit coraz bardziej zbliżał się ku podłodze; tynk odrywał się płatami. Było ich coraz więcej, spadały coraz gęściej i szybciej. W miarę jak dom tracił siły, jego zdolność samouzdrawiania zniknęła, a pojawiły się oznaki starości. Ale Don tego nie widział; interesowała go tylko Sylvie, unieruchomiona w uścisku drewnianych i tynkowych rąk. Nie puściły jej, ale i nie trzymały aż tak mocno. Należały do martwej istoty. Zamachnął się młotem, ostrożnie, żeby nie uderzyć w Sylvie. Tynkowe ręce rozpadły się w proch.

Z drewnianych posypały się drzazgi. Sylvie była wolna.

Schody, pozbawione podpory ściany, chwiały się z jękiem. Don szarpał się z zamkiem. Pamiętał, że włożył klucz do kieszeni, ale nie miał czasu na poszukiwania.

— Odsuń się! — krzyknął.

Sylvie stanęła za jego plecami, a on zamachnął się młotem po raz ostatni. Jednym ciosem wyrwał zamek z drzwi, które otworzyły się od uderzenia. Chwyił Sylvie za przegub i pociągnął ją na ganek. Pod ich ciężarem deski zaczęły się wyginać i trzeszczeć. Zeskoczył na ziemię i wyciągnął ramiona; Sylvie rzuciła mu się prosto w objęcia. Chwyił ją mocno i znowu zaczęli tańczyć, ale tym razem nie było to wspomnienie starych walców. Otaczała ich rzeczywistość, wietrzna i deszczowa, a kobieta w jego ramionach żyła, płakała i śmiała się ze szczęścia.

Pocałował ją. Miała usta mokre od deszczu, ale jej wargi były ciepłe, i objęła go, mocno, prawdziwymi silnymi ramionami.

Rozdział dwudziesty drugi

Wolność

Przerwał im głos dochodzący od strony płotu.

— Bardzo przepraszam, czy żadne z was nie ma dość rozumu, by się schronić przed deszczem?

Panni Evelyn stała za sztachetami, osłonięta parasolką. Nawet w słabym świetle latarni wydawała się silniejsza niż wczoraj. Jakby w jej żyłach krążyła nowa krew.

— Udało się! — zawołał Don. — Teraz wszystko już będzie dobrze.

— Dom jest słabszy, ale jeszcze nie umarł.

— Wkrótce umrze. A my żyjemy!

— Ledwie. Spójrz na siebie, krwawisz jak zarzynany wieprzek. Rzeczywiście, krew nadal sączyła się z rany na jego dłoni. Poziom adrenaliny opadł i Don zaczął odczuwać ból. W całym ciele.

— Gwoździe powbijały ci się w głowę — powiedziała Sylvie. — Odwróć się.

— Chodźcie do nas, możemy pomóc — dodała panni Evelyn.

Obeszli płot i ruszyli przez trawnik do domu. Panni Judea pomachała do nich z gan-ku.

— Nie chodźcie po deszczu! — zawołała. — Mam tu wszystko, czego wam trzeba.

Trzymała parujący dzbanek i koszyk pełen bandaży i maści. Niektóre z nich wyglądały tak, że Ministerstwo Zdrowia nigdy by ich nie zatwierdziło, ale Don doszedł do wniosku, że Gladys zna się na rzeczach, o których Ministerstwo Zdrowia nie ma bladego pojęcia, więc nie protestował. Stał spokojnie, a one wyciągały mu gwoździe z nóg i pleców.

— Ktoś cię nieźle przygwoździł — powiedziała panni Judea i wybuchnęła tak radosnym chichotem, jakby nie śmiała się od lat.

Potem posadziły go na bujanej ławeczce i zaczęły smarować rany cuchnącymi maściami, które najpierw szczypały, a potem łagodziły ból. Don był nieludzko zmęczony, lecz szczęśliwy.

Staruszki przedstawiły się Sylvie.

— Więc to ty jesteś tym duchem z naprzeciwka? — spytała panni Evelyn.

Sylvie uniosła dłoń do policzka.
— Już nie.
— Mówiłam panni Judy, mówiłam jej: „Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko ten chłopiec”.
— Nieprawda — warknęła panni Judea. — Mówiłaś, że nikt nigdy tego nie dokona.
— Ach, ta twoja pamięć — westchnęła panni Evelyn. Z domu naprzeciwko wyszedł mężczyzna w dresach.
— Co się tu dzieje? Słyszałem jakiś huk. I krzyk kobiety.
— To myśmy hałasowali — odezwał się Don. — Remontuję dom. Zawaliła się główna ściana nośna.
— Przeklęta buda.
— Jakby pan zgadł. Nie wejdę tam już za żadne pieniądze. Jutro z samego rana sprowadzę ekipę rozbiórkową.
— Ale nie przed ósmą, dobrze?
— Jasne.
— Może kawy? — spytała panni Judea.
— Nie, dziękuję — powiedział sąsiad boleśnie. — Ja chcę spać.
— Ci państwo cudem uratowali życie — poinformowała go panni Evelyn.
— Hm, no tak. Ale nikomu nic się nie stało?
— Wszyscy czujemy się znakomicie — zapewnił go Don. I tak naprawdę było, bo Sylvie siedziała tuż obok, prawdziwa i namacalna.
Sąsiad oddalił się truchtem.
— Przystaje padać — zauważyła panni Evelyn.
— Uwielbiam deszcz — oświadczyła Sylvie.
— Słońce też będziesz uwielbiać, niech no tylko się pokaże — mruknęła panni Judea.
— Zaprowadźmy biednego chłopca do łóżka. Będzie musiał sobie kupić nowe ubranie. Wszystko, co ma, zostało w domu albo jest zakrwawione i podziurawione jak sito.
— Rano pójdę na zakupy — powiedziała Sylvie i zaczęła płakać. — Och, Don! Mogę iść na zakupy. Mogę wyjść!
Wziął ją za rękę i razem weszli do dawnej powozowni.
Po tygodniu dom został rozebrany do fundamentów. Don nie wszedł do niego ani razu. Bał się, że spotka tam cień Lissy. Nie chciał znowu usłyszeć jej głosu. Nie chciał zabłąkać się w jej legowisko, gdzie razem z domem mogła zaskoczyć go jeszcze jakąś sztuczką. Jednak stracił narzędzia. Ale niczego nie żałował, bo zależało mu tylko na zdjęciach Nellie, a te trzymał w albumie w furgonetce.
W miarę jak dom znikał, staruszki nabierały sił i wigoru. Zaczęły chadzać na spacer. Sylvie dorobiła nowe kluczyki do samochodu Lissy, a kiedy Don usunął z niego wszelkie ślady obecności poprzedniej właścicielki, jeździła nim i zabierała ze sobą obie sta-

ruszki. Wkrótce stały się nierozłączne, jak szajka złodziejasków. Don i Gladys zostawali razem w pokoju na piętrze.

Don starannie zdemontował nowymi narzędziami drzwi pokoju Gladys, a na schodach położył deski i dywan, przekształcając je w długą pochylnię. Poszerzył drzwi frontowe, rozwalając częściowo ścianę, i zbudował rampę prowadzącą z ganku na trawnik. Kilku lekarzy zbadało Gladys, by stwierdzić, czy można ją przenieść. Zarezerwowano miejsce w sanatorium i wynajęto transport.

W dniu, kiedy dom zburzono do końca, sprzątnięto gruz i zasypano fundamenty, Gladys została dźwignięta z łóżka. Cztery sanitariusze wynieśli ją przez poszerzone drzwi po wyłożonej dywanem pochylni, wywindowali na trzy połączone razem łóżka i powieźli do czekającej ciężarówki.

— Zrobią mnie na bóstwo! — krzyknęła Gladys. — W tym ciebie siedzi czternaście chudych kobiet i wszystkie chcą się wydostać!

— Tylko słuchaj lekarzy — przykazała jej panni Judea.

— Będziemy cię codziennie odwiedzać — obiecała panni Evelyn.

— Nieprawda — parsknęła Gladys. — Znudzicie się, a prawdę mówiąc, chciałabym trochę odpocząć od waszego widoku. Oczywiście zawsze będzie mi miło.

Przetransportowanie jej do ciężarówki wymagało dwudziestu minut ciężkich wysiłków, ale wreszcie spoczęła na ogromnym materacu, otoczona stertą poduszek. Dwaj sanitariusze mieli się nią opiekować w drodze.

Sylvie, Don, Evelyn i Judea zebrali się przy otwartych drzwiach ciężarówki.

— Mówiłam, że nie oczekuję codziennych wizyt, ale to nie znaczy, że macie o mnie zapomnieć. — Wskazała palcem na Dona. — Jestem czarującą towarzyszką, a poza tym coś mi się od ciebie należy.

— Przyjdziemy — obiecał. — Zaczekamy nawet ze ślubem, żeby mogła pani przyjść. Nie planujemy nic wielkiego. Będzie nas tylko pięcioro i jakiś ksiądz, żeby wszystko było legalne.

— Dziękuję, że rozwaliłeś nasz dom, by mnie wydostać. Skoro nie musiałam już walczyć z tamtym, czułam, że oszaleję, jeśli zostanę w tym pokoju choć chwilę dłużej.

— Rozumiem — powiedziała Sylvie.

— No, chłopaki, na farmę piękności! — zawołała do sanitariuszy. — Do widzenia, panni Evelyn, do widzenia, kuzynko Judy! Nie dla mnie już wasze jedzonko!

Pożegnali się jeszcze raz i kierowca zamknął tylne drzwi. Samochód odjechał.

Don podszedł do tablicy z napisem „Na sprzedaż”, wbitej w trawnik przed domkiem. Spojrzał na ziejącą dziurę obok drzwi.

— Trzeba trochę nad nim popracować, zanim pójdzie do ludzi.

— To bardzo miło, że zechcesz to dla nas zrobić — ucieszyła się panni Evelyn.

— Ten dom nie musi skończyć tak jak tamten — dodała panni Judea.

Spojrzeni na wyrównaną ziemię w miejscu, w którym stał stary dom Bellamych. Trudno było uwierzyć, że na tej działce mógł się zmieścić tak ogromny budynek.

— To był piękny dom — odezwał się Don.

— Zbudowany z miłości — dopowiedziała Sylvie.

— Był zbyt mocny, żeby mu to wyszło na zdrowie — mruknęła panni Judea.

— Ale ja go kochałam — szepnęła panni Evelyn.

— Za dużo krył brzydkich sekretów — ucięła panni Judea.

— Dobrze mi tu było — rzekła Sylvie. — Przez dziesięć lat.

— Martwa, ale szczęśliwa — parsknęła panni Judea.

— Nie — zaprotestowała Sylvie. Wzięła Dona za rękę. — Szczęśliwa jestem dopiero teraz.

— Jak to możliwe? — spytała panni Judea. — Nie macie grosza przy duszy. Wszystko straciliście razem z domem.

— Zostało mi parę tysięcy — wyjaśnił Don.

— Nie, nie, nie psujcie nam przyjemności! — zawołała panni Evelyn. Wyjęła z przepastnej torebki naklejkę z napisem „Sprzedany” i przyklepiła ją do tablicy.

— Już go sprzedaliście? — zdziwił się Don.

— Ten chłopak trochę wolno myśli, nie? — rzuciła panni Judea do Sylvie.

— Don, zdaje się, że one dają nam ten dom.

— Nie, on jest potrzebny wam.

— Mamy go po dziurki w nosie. Chcę mieć przyjemne małe mieszkanie z trawnikiem, o który dba ktoś inny, żebym ja mogła sobie oglądać telewizję i chodzić do kina.

— Już doszliśmy do porozumienia — przyświadczyła Evelyn. — Ciągłe ją namawiam na wycieczkę statkiem.

— Tylko nie statkiem. Ani samolotem.

— Nie ma co, zestarzałaś się.

— Mamy mnóstwo oszczędności — wyjaśniła panni Judea. — Nie potrzebujemy domu. I nie mamy dla niego żadnych sentymentalnych uczuć, więc jak już nareperujesz wszystko, możesz go sprzedać, rozumiesz? Nie chcę, żebyście tkwili w pobliżu miejsca, w którym wydarzyło się tyle zła. Dom zniknął, lecz wspomnienia zostały.

— Nam nic nie trzeba — zaprotestował Don. — Mogę naprawić tu wszystko, ale za-trzymacie pieniądze...

Panni Evelyn pokręciła głową i zasłoniła mu usta.

— Niektórzy nie wiedzą, kiedy skończyć dyskusję i podziękować.

— Żal mi takich ludzi — dodała panni Judea. — A ty co sądzisz, Sylvie?

Sylvie roześmiała się, Don się roześmiał i sprawa była załatwiona.

— Damy wam znać, kiedy podpiszemy umowę — oznajmiła panni Evelyn.

Przed domem zatrzymała się taksówka i obie staruszki natychmiast ku niej podrep-

tały. Kazały kierowcy włożyć walizki do bagażnika, a ponieważ wszystkie się nie zmieściły, także na przednie siedzenie. Same usiadły z tyłu. Po chwili już ich nie było.

Don i Sylvie, wreszcie sami, weszli po rampie do domu, który właśnie przeszedł w ich ręce. Sylvie obeszła go, dotykając wszystkich drobiazgów, obrazów, mebli, świadectwa długiego życia.

— One naprawdę chcą wszystko zostawić? — dziwiła się.

— To już się dla nich nie liczy.

— Chyba ty to rozumiesz.

— Już kiedyś zostawiłem wszystko za sobą. Straciłem wszystko. Teraz zostało mi tylko jedno. — Wziął ją za rękę.

— Don — szepnęła. — Spójrz na mnie.

Objął spojrzeniem jej twarz.

— Czy teraz, kiedy wyglądam jak Lissy, jestem ładniejsza?

Roześmiał się, ale ona ścisnęła jego dłoń.

— Muszę to wiedzieć.

— Nie wiem, ponieważ widziałem twarz Lissy tylko przez parę chwil. Potem znikła i zobaczyłem ciebie.

— Ale to nie jest twarz, na którą patrzyłam przez tyle lat. Nie lubię przeglądać się teraz w lustrze. Robi mi się smutno. I wiem, że kiedy na mnie patrzysz, widzisz ją...

— Nie, to nie jest jej twarz. Lissy nie uśmiechała się tak jak ty. W jej oczach nigdy nie pojawiał się ten wyraz, nie widziałem w nich twojej duszy. Kiedy stała w sali balowej, wydała mi się cyniczna, zmęczona i pospolita. A potem za tą twarzą znalazłaś się ty. Rozpoznałbym cię, nawet gdybym nie widział tej transformacji. Gesty, mimika... Twój uśmiech... Nie, widzę tylko ciebie, a ta twarz będzie się stopniowo stawać taka, jaka powinna być. Nie rozumiesz? Ci, którzy woleli ją, a nie ciebie... to byli mężczyźni w jej typie. Ja jestem w twoim typie.

Spojrzała mu badawczo w oczy. Uwierzyła mu, zawahała się, znowu uwierzyła...

— A niech to! — powiedział. — Przez następne pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat będę cię przekonywał, że mam rację.

— Dobrze. To mi się podoba. Zdaje się, że oboje jesteśmy trochę zdewastowani.

— Mamy mnóstwo czasu na remont. — Pocałował ją, stojąc przed rozwaloną ścianą przy drzwiach. Przez otwór wpadał rześki jesienny wiatr, a cały świat mógł ich podglądać... ale oni nie zwracali na nikogo uwagi.

Pocałunek dobiegł końca.

— Bierzmy się do roboty — zaproponowała Sylvie. — Wiem, że pracujesz samotnie, ale może wzięłabyś mnie na asystentkę?

— Fachowy termin brzmi „partner”.

— Wszystko jedno. Nie mam doświadczenia, ale za to nie musisz mi płacić.

Przez resztę popołudnia wstawiali brakujący fragment ściany i instalowali nowe drzwi. Kiedy zapadła noc, w domu znowu można było zamieszkać.

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy	4
Nowy dom	
Rozdział drugi	7
Ponowne odkrycie	
Rozdział trzeci	11
Sprzedawca z motywacją	
Rozdział czwarty	17
Inspekcja	
Rozdział piąty	28
Drzwi	
Rozdział szósty	41
Lemoniada	
Rozdział siódmy	52
Dzika lokatorka	
Rozdział ósmy	59
Transakcja	
Rozdział dziewiąty	73
Pomocne dłonie	
Rozdział dziesiąty	81
Wyburzanie	
Rozdział jedenasty	96
Gorąca woda	

Rozdział dwunasty	111
Czosnek	
Rozdział trzynasty	119
Córki	
Rozdział czternasty	130
Łom	
Rozdział piętnasty	142
Tunel	
Rozdział szesnasty	151
Sala balowa	
Rozdział siedemnasty	159
Pytania	
Rozdział osiemnasty	168
Rodzice	
Rozdział dziewiętnasty	176
Odpowiedzi	
Rozdział dwudziesty	186
Lissy	
Rozdział dwudziesty pierwszy	198
Ponowne spotkanie	
Rozdział dwudziesty drugi	217
Wolność	